



ROBERT HARRIS

Indeks strachu

NIC NIE SZERZY SIĘ TAK SZYBKO, JAK STRACH...

ROBERT HARRIS

Indeks strachu

Z angielskiego przełożyła

MAGDALENA SŁYSZ



2012. Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
THE FEAR INDEX
Copyright © Robert Harris 2011
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2012
Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2012

Redakcja: Ewa Pawłowska
Konsultacja: dr hab. Krzysztof Borowski, Szkoła Główna Handlowa
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz
ISBN 978-83-7659-490-3

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



2012. Wydanie elektroniczne

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o. o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [Podziękowania](#)
- [1](#)
- [2](#)
- [3](#)
- [4](#)
- [5](#)
- [6](#)
- [7](#)
- [8](#)
- [9](#)
- [10](#)
- [11](#)
- [12](#)
- [13](#)
- [14](#)
- [15](#)
- [16](#)
- [17](#)
- [18](#)
- [19](#)
- [Przypisy.](#)

*Mojej rodzinie,
Gillowi,
Holly, Charliemu, Matildzie, Samowi*

Podziękowania

Chciałbym podziękować tym wszystkim, którzy, dzieląc się szczerze swoją wiedzą, umożliwili mi napisanie tej książki: przede wszystkim Neville'owi Quie z Citi, który udzielił mi wielu pomocnych rad i wprowadził poprawki, a także, razem z Cameron Small, cierpliwie pomagał mi przebrnąć przez labirynt zagadnień giełdowych, zasad krótkiej sprzedaży i handlu opcjami; Charlesowi Scottowi, dawniej z Morgan Stanley, który omówił ze mną pomysł, przeczytał maszynopis powieści i przedstawił mnie Andre Sternowi z Oxford Asset Management, Elemu Ledermanowi, byłemu prezesowi Turquoise, i Davidowi Keetly'emu oraz Johnowi Mansellowi z Polar Capital Alva Fund; wszyscy oni wnieśli bardzo pożyteczne uwagi; Ledzie Bradze, Mike'owi Plattowi, Pawłowi Lewickiemu i zespołowi z BlueCrest za ich gościnność i za to, że pozwolili mi przez jeden dzień obserwować ich w akcji; Christianowi Holzerowi za rady dotyczące VIX-a; Lucie Chaumeton za weryfikację faktów; Philippe'owi Jabre'owi z Jabre Capital Partners SA za to, że wprowadził mnie w zagadnienia rynków finansowych; doktorowi Ianowi Birdowi, szefowi Large Hadron Collider Computing Grid Project, za dwukrotne oprowadzenie po CERN-ie z lat dziewięćdziesiątych minionego stulecia; Ariane Koek, Jamesowi Gilliesowi, Christine Sutton i Barbarze Warmbein z CERN Press Office; doktorowi Bryanowi Lynnowi, fizykowi, który pracował zarówno w Merrill Lynch, jak i CERN-ie, i który uprzejmie podzielił się ze mną swoimi doświadczeniami z pracy w tych dwóch odmiennych światach; Jeanowi-Philippe'owi Brandtowi z policji genewskiej za to, że oprowadził mnie po mieście i udzielał odpowiedzi na pytania dotyczące procedur policyjnych; doktorowi Stephenowi Goldingowi, radiologowi z John Radcliffe Hospital w Oksfordzie, za informacje na temat sposobów prześwietlania ludzkiego mózgu i skontaktowanie mnie z profesorem Christophem Beckerem i doktor Minervą Becker, którzy z kolei oprowadzili mnie po oddziale radiologicznym genewskiego University Hospital. Nikt z nich, oczywiście, nie odpowiada za błędy rzeczowe, mylne informacje i gotyckie wytwory fantazji, które zaraz nastąpią.

Wreszcie specjalne podziękowania dla Angeli Palmer, która wielkodusznie pozwoliła mi zapożyczyć koncepcję swoich niezwykłych dzieł i przypisać ją Gabrielle Hoffmann (oryginały można obejrzeć na

stronie www.angelpalmer.com), jak również Paulowi Greengrassowi za mądre rady, przyjaźń i za to, że dzielił się ze mną aktualnymi informacjami giełdowymi.

Robert Harris, 11.07.11

1

Ucz się ode mnie, jeśli już nie przez moje wskazania, to przynajmniej na moim przykładzie, jakie niebezpieczeństwo niesie z sobą zdobyta wiedza i o ile więcej szczęśliwy jest ten, dla kogo jego miasto rodzinne stanowi cały świat, niż ten, który dąży do tego, aby stać się większym, niż mu to wyznaczają jego przyrodzone zdolności.

Mary Shelley, *Frankenstein* (1818),

przekład Henryka Goldmanna,

Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1989

Doktor Alexander Hoffmann siedział przy kominku w swoim gabinecie w Genewie i przrzucał strony pierwszego wydania *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt* Karola Darwina. Nisko nad jego ramieniem znajdowała się przegubowa lampa stołowa, a w popielniczce obok leżało wypalone do połowy cygaro, już zimne. Wiktoriański zegar stojący wybił w holu północ, ale Hoffmann tego nie słyszał. Nie zauważył też, że ogień już prawie wygasł. Całą swoją niezwykłą zdolność koncentracji skupił na książce.

Wiedział, że została wydana w Londynie w roku 1872 przez oficynę John Murray & Co. w nakładzie siedmiu tysięcy egzemplarzy. Wydrukowano ją w dwóch rzutach. Wiadomo mu było ponadto, że w dodruku wprowadzono literówkę – na stronie dwieście ósmej zamiast *that* widniało „htat”. Ponieważ trzymany przez niego tom nie zawierał tego błędu, musiał pochodzić z pierwszego rzutu, co znacznie podnosiło jego wartość. Hoffmann obrócił go i przyjrzał się grzbietowi. Oprawa została wykonana z zielonego płótna, miała złote tłoczone litery, a grzbiet tylko lekko wystrzępił się na końcach. Wśród bibliofilów uznano by, że egzemplarz jest w dobrym stanie, i prawdopodobnie wyceniono by go na jakieś piętnaście tysięcy dolarów. Kiedy tego wieczoru wrócił z pracy do domu, tuż po dziesiątej, zaraz po zamknięciu nowojorskich rynków, książka już na niego czekała. Ale najdziwniejsze było to, że choć kolekcjonował pierwsze wydania dzieł naukowych, szukał właśnie tego i zamierzał je kupić, wcale go nie zamówił.

W pierwszej chwili pomyślał, że to prezent od żony, ale ona zaprzeczyła. Początkowo jej nie uwierzył, chodził za nią po kuchni, gdy nakrywała do stołu, i pokazywał jej książkę.

– Chcesz mi wmówić, że nie tyją dla mnie kupiłaś?

– Tak, Alex. Przykro mi. Ale to nie ja. Co mogę powiedzieć? Może masz cichą wielbicielekę.

– Jesteś pewna? Nie mamy rocznicy ślubu ani czegoś takiego? Nie zapomniałem kupić ci prezentu?

– Na litość boską, nie ja ją kupiłam, rozumiesz?!

W paczce nie było żadnej informacji z wyjątkiem ulotki reklamowej holenderskiego antykwariatu o treści: „Rosengaarden & Nijenhuis, antykwaryczne dzieła naukowe i medyczne. Rok założenia 1911. Prinsengracht 227, 1016 HN Amsterdam, Holandia”. Hoffmann nacisnął pedał kosza na śmieci i wyjął bąbelkowe opakowanie oraz gruby brązowy papier. Spojrzał na wydrukowaną naklejkę z dokładnym adresem: „Dr Alexander Hoffmann, Villa Clairmont, 79 Chemin de Ruth, 1223 Cologny, Genewa, Szwajcaria”. Przesyłka została wysłana poprzedniego dnia, pocztą kurierską.

Po kolacji – zapiekance rybnej z zieloną sałatą, przyrządzonej przez ich gospodynię przed wyjściem do domu – Gabrielle została w kuchni, żeby na wszelki wypadek zadzwonić jeszcze w kilka miejsc w związku z otwarciem następnego dnia swojej wystawy, a on wycofał się z tajemniczą książką do gabinetu. Godzinę później, gdy Gabrielle wetknęła głowę za drzwi, aby mu powiedzieć, że idzie do łóżka, wciąż był pogrążony w lekturze.

– Nie kładź się zbyt późno – poprosiła. – Zaczekam na ciebie.

Nie odpowiedział. Żona stała chwilę w progu i patrzyła na niego. Jak na czterdziestodwulatka wciąż wyglądał całkiem młodo, zresztą zawsze był przystojniejszy, niż sądził – według niej ta cecha była u mężczyzny równie atrakcyjna, co rzadka. U niego nie wynikało to jednak ze skromności, uświadomiła sobie. Wręcz przeciwnie – był w najwyższym stopniu obojętny na wszystko, co nie pociągało go intelektualnie, i ten rys osobowości zyskał mu u jej przyjaciółek opinię nieznośnego grubianina – co też jej się podobało. Jego nienaturalnie chłopięca, typowo amerykańska twarz nachylała się teraz nad książką, a okulary były odsunięte na czubek głowy z jasnobrązowymi włosami; szkła, w których nagle odbił się ogień na kominku, jakby błysnęły ostrzegawczo. Gabrielle знаła męża zbyt dobrze, żeby mu przerwać. Westchnęła więc i poszła na górę.

Hoffmann od lat wiedział, że *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt* było jedną z pierwszych książek ze zdjęciami, ale nigdy wcześniej ich nie widział. Monochromatyczne fotografie przedstawiały modeli wiktoriańskich malarzy oraz pensjonariuszy domu dla obłąkanych z hrabstwa Surrey w różnych stanach emocjonalnych – w cierpieniu, rozpacz, radości, buncie, strachu – bo praca ta miała być studium *homo sapiens* jako zwierzęcia, ze wszystkimi jego instynktownymi reakcjami, bez maski będącej efektem socjalizacji. Urodzeni na tyle późno w stuleciu nauki, żeby mogli zostać sfotografowani, ludzie ci ukazywali rozbiegane oczy i krzywe zęby, które nadawały im wygląd przebiegłych, przesądnych chłopów z czasów średniowiecza. Przypomnieli Hoffmannowi koszmar z dzieciństwa – dorosłych z dawnych bajek, którzy mogą przyjść nocą do pokoju dziecka, porwać je z łóżka i uprowadzić głęboko w las.

Niepokoilo go jeszcze jedno. Ulotka reklamowa antykwariatu była wetknięta między strony poświęcone strachowi, jakby nadawca specjalnie chciał zwrócić jego uwagę na fragment:

Człowiek owładnięty strachem najpierw staje jak skamieniały, bez ruchu i bez tchu, albo przykuca, jakby instynktownie chciał ujść przed obserwacją. Serce bije mu szybko i mocno, kołacze i tłucze się o żebra...¹.

Hoffmann, gdy myślał, miał zwyczaj przekrzywiać głowę na bok i patrzeć w dal. Teraz też to zrobił. Czy to zbieg okoliczności? Tak, stwierdził, na pewno. Z drugiej jednak strony, fizjologiczne objawy strachu miały tak bezpośredni związek z VIXAL-em 4, systemem transakcyjnym, nad którym obecnie pracował, że wydało mu się to uderzające. Ale przecież VIXAL 4 był ściśle tajnym projektem, wiedzieli o nim tylko członkowie zespołu, i chociaż przezornie dobrze im płacił – dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów stanowiło pensję początkową, z dodatkami w postaci premii – było mało prawdopodobne, aby którykolwiek z nich wydał piętnaście tysięcy, żeby kupić mu prezent, i to jeszcze anonimowo. Jedyną osobą, która mogła sobie na to pozwolić, która wiedziała o projekcie i potraktowałaby to jako żart – jeśli faktycznie to miało być kosztownym żartem – był jego wspólnik w interesach Hugo Quarry, więc Hoffmann zadzwonił do niego, nie myśląc o tym, że może pora jest niewłaściwa.

– Cześć, Alex. Jak leci? – Jeżeli Quarry dostrzegł coś dziwnego w telefonie po północy, doskonałe maniery nigdy nie pozwoliłyby mu się z tym zdradzić. Poza tym znał zwyczaje Hoffmanna, „szalonego

naukowca”, jak go nazywał – i to zarówno w oczy, jak i za plecami, bo jego urok polegał między innymi na tym, że odnosił się do każdego zawsze tak samo, oficjalnie czy nieoficjalnie.

Hoffmann, który wciąż czytał opis strachu, odparł z roztargnieniem:

– Cześć. Czy to ty kupiłeś mi książkę?

– Nie sądzę, stary przyjacielu. A dlaczego pytasz? Miałem kupić?

– Ktoś dzisiaj przysłał mi pierwsze wydanie Darwina i nie wiem kto.

– To chyba droga rzecz.

– Owszem. Pomyślałem, że to może ty, bo wiesz, że Darwin ma kluczowe znaczenie dla VIXAL-a.

– Obawiam się, że to nie ja. Może któryś klient? Chciał ci podziękować i zapomniał dołączyć bilecik? Bóg wie, Alex, że dzięki nam zarobili mnóstwo pieniędzy.

– Uhm, może. Dobra. Przepraszam, że zawracam ci głowę.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia rano. Jutro wielki dzień. A właściwie dzisiaj. Powinieneś być już w łóżku.

– Jasne. Idę spać. Branoc.

Gdy strach osiąga najwyższy poziom, rozlega się straszliwy krzyk przerażenia. Na skórze występują krople potu. Wszystkie mięśnie ciała się rozluźniają. Wkrótce następuje skrajne wyczerpanie i słabną zdolności umysłowe. Reagują jelita. Zwieracz przestaje działać i nie jest w stanie utrzymać ich zawartości...

Hoffmann podsunął książkę pod nos i powąchał. Poczł zapach skóry, bibliotecznego kurzu i dymu z cygara, tak silny, że niemal poczuł jego smak, z ledwie wyczuwalną chemiczną wonią – być może formaldehydu albo gazu węglowego. Skojarzyło mu się to z dziewiętnastowiecznym laboratorium lub aulą i przez chwilę ujrzał przed oczami palniki bunsenowskie na drewnianych ławach, buteleczki z kwasem i szkielet małpy. Włożył reklamówkę antykwariatu tam, gdzie tkwiła poprzednio, i ostrożnie zamknął książkę. Potem podszedł z nią do regału i delikatnie, dwoma palcami, zrobił dla niej miejsce między pierwszym wydaniem *O pochodzeniu gatunków*, które kupił na aukcji w Sotheby's w Nowym Jorku za sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a oprawionym w skórę egzemplarzem *O pochodzeniu człowieka*, należącym kiedyś do Thomasa Henry'ego Huxleya.

Później będzie usiłował sobie przypomnieć, co kolejno robił. Zajrzał do terminalu Bloomberga na swoim biurku, żeby sprawdzić ostatnie notowania

w USA: indeksy Dow Jones, S&P 500 i NASDAQ poszły w dół. Wrócił do korespondencji e-mailowej z Susumu Takahashim, dealerem czuwającym nad pracą VIXAL-a 4 w godzinach nocnych, który poinformował go, że wszystko jest jak trzeba, i przypomniał mu, że tokijska giełda papierów wartościowych zostanie otwarta po trwającym trzy dni Złotym Tygodniu za niespełna dwie godziny. Na otwarciu na pewno wszystko pójdzie w dół, żeby nadrobić tygodniowe spadki notowań w Europie i Stanach Zjednoczonych. I była jeszcze jedna sprawa: VIXAL proponował krótką sprzedaż kolejnych udziałów Procter & Gamble o wartości trzech milionów dolarów po sześćdziesiąt dwa dolary za sztukę, dzięki czemu ich ogólna pozycja osiągnęłyby sześć milionów – była to duża transakcja: czy Hoffmann wyraża zgodę? Hoffmann odpisał „Okay”, odłożył niewypalone do końca cygaro, przykrył wylot kominka osłoną z cienkiej drucianej siatki i wyłączył światła w gabinecie. Zatrzymał się w holu, żeby sprawdzić, czy drzwi frontowe są zamknięte, a potem włączył alarm antywłamaniowy, wstukując czterocyfrowy kod: 1729. (Liczba ta padła kiedyś podczas rozmowy Godfrey'a Harolda Hardy'ego ze Srinivasą Ramanujanem w 1920 roku, kiedy to Hardy przyjechał taksówką o tym numerze do szpitala, aby odwiedzić umierającego kolegę, i poskarżył się, że to „nieciekawa liczba”, na co Ramanujan odparł: „Nie, Hardy! Ależ skąd! To bardzo piękna liczba. Najmniejsza liczba wyrażająca na dwa różne sposoby sumę dwóch sześcianów). Zostawił na dole tylko jedną zapaloną lampę – tego był pewny – a potem wspinał się po krętych białych marmurowych schodach do łazienki. Zdjął okulary, rozebrał się, umył, wyszorował zęby i włożył niebieską jedwabną piżamę. Nastawił budzik w telefonie komórkowym na wpół do siódmej i przy okazji odnotował, że było dwadzieścia minut po północy.

W sypialni ze zdziwieniem zobaczył, że Gabrielle jeszcze nie śpi, leży w łóżku na plecach w czarnym jedwabnym kimonie. Na toaletce paliła się świeca zapachowa; gdyby nie ona, w pokoju byłoby ciemno. Gabrielle trzymała ręce pod głową, łokcie miała skierowane na boki, nogi skrzyżowane w kolanach. Jedna smukła blada stopa, z palcami pomalowanymi ciemnoczerwonym lakierem, zataczała niecierpliwie kółka w wonnym powietrzu.

– O Boże – powiedział. – Zapomniałem o randce.

– Nie przejmuj się. – Rozwiązała pasek przy kimonie i rozchyliła jedwabne poły, a potem wyciągnęła do męża ramiona. – Ja za to nigdy nie

zapominam.

* * *

Okolo trzeciej pięćdziesiąt nad ranem Hoffmanna coś obudziło. Został wyrwany z głębokiego snu i gdy otworzył oczy, ujrzał niebiańskie oślepiające światło. Miało formę geometryczną, jak wykres, z cienkimi poziomymi liniami i szeroko rozstawionymi pionowymi kolumnami, choć bez żadnych liczb – sen matematyka, ale w gruncie rzeczy wcale nie sen, jak uświadomił sobie po kilku sekundach mrużenia oczu; raczej blask ośmiu pięćsetwatowych wolframowohalogenowych reflektorów systemu bezpieczeństwa, które były prosto w zasłonięte okno – taką ilością energii można by oświetlić małe boisko piłkarskie; od dawna zamierzał wymienić te żarówki.

Światła wyłączały się automatycznie po trzydziestu sekundach. Czekał na to, zaczął się zastanawiać, co mogło przerwać promienie podczerwieni, które przecinały ogród, i włączyć reflektory. To musiał być kot, pomyślał, albo lis, a może jakiś większy liść, który poruszył się na wietrze. Po kilku sekundach światła rzeczywiście zgasły i pokój znowu pogrążył się w ciemnościach.

Ale Hoffmann już wybudził się ze snu. Sięgnął po telefon komórkowy. Był to specjalny model, produkowany dla funduszy hedgingowych, umożliwiający szyfrowanie poufnych rozmów telefonicznych i e-maili. Żeby nie budzić Gabrielle – nie znosiła, gdy to robił jeszcze bardziej niż jego palenia – włączył go pod kołdrą i szybko wszedł na stronę Profit & Loss, żeby sprawdzić notowania dalekowschodnie. Tak jak przewidywał, w Tokio, Singapurze i Sydney nastąpiły spadki, ale portfel zarządzany przez VIXAL 4 poszedł w górę o trzy dziesiąte procent, co oznaczało według jego obliczeń, że od pójścia do łóżka zarobił prawie trzy miliony dolarów. Zadowolony, wyłączył telefon, odłożył go na szafkę nocną i wtedy usłyszał hałas: stłumiony, trudny do zidentyfikowania, a jednak dziwnie niepokojący, jakby ktoś okręcał schody.

Patrząc na małą czerwoną diodę czujnika dymu zainstalowanego u sufitu, ostrożnie wyciągnął ręce pod kołdrą w kierunku Gabrielle. Ostatnio, jeśli nie mogła zasnąć po seksie, miała zwyczaj schodzić do pracowni i malować. Przesunął palcami po ciepłych odkształceniach materaca, aż opuszkami trafił na jej biodro. W tej samej chwili Gabrielle

wymamrotała coś niezrozumiale i odwróciła się w jego stronę, naciągając na ramiona kołdrę.

Hałas rozległ się znowu. Hoffmann uniósł się na łokciach i wyteżył słuch. To nie było nic określonego – od czasu do czasu lekki głuchy odgłos. Mógł go powodować system grzewczy albo drzwi miotające się pod wpływem przeciągu. Wtedy jeszcze Hoffmann się nie zaniepokoił. Rezydencja była strzeżona jak twierdza, zresztą między innymi właśnie dlatego kupił ją przed kilkoma tygodniami: miała nie tylko te reflektory, ale także trzymetrowej wysokości mur z potężnymi bramami sterowanymi elektronicznie, wzmocnione stałą drzwi frontowe z domofonem na szyfr, kuloodporne szyby we wszystkich oknach na parterze i rejestrujący ruch alarm antywłamaniowy, który Hoffmann włączył – był tego pewny – przed pójściem do łóżka. Prawdopodobieństwo, że intruz przedostał się przez te wszystkie zabezpieczenia, było nikłe. Poza tym Hoffmann był w dobrej formie fizycznej: już dawno zauważył, że wysoki poziom endorfin pozwala mu sprawniej myśleć. Ćwiczył. Uprawiał jogging. I teraz obudził się w nim atawistyczny instynkt, nakazujący bronić swojego terytorium.

Wstał z łóżka, nie budząc Gabrielle, a następnie włożył okulary, szlafrok i kapcie. Po chwili wahania rozejrzał się dokoła w ciemnościach, ale stwierdził, że w pokoju nie ma nic, co mogłoby posłużyć jako broń. Wsunął komórkę do kieszeni i otworzył drzwi sypialni – najpierw tylko trochę, a potem szerzej. Zapalona lampa na dole rzucała przyćmione światło na schody. Przystanął na progu i zaczął nasłuchiwać. Ale hałas – jeśli w ogóle coś takiego było, bo nagle ogarnęły go wątpliwości – najwyraźniej ustał. Po minucie Hoffmann ruszył w stronę schodów i zaczął powoli po nich schodzić.

Może był to efekt lektury Darwina tuż przed snem, ale idąc po schodach, zdał sobie sprawę, że z naukowym zacięciem mimowolnie rejestruje swoje fizyczne reakcje. Zaczął szybciej oddychać, a serce tak mu waliło w piersi, że było to wręcz nieprzyjemne odczucie. Włosy zjeżyły mu się jak sierść zwierzęcia.

Wreszcie dotarł na parter.

Rezydencja pochodziła z okresu belle époque, zbudowano ją w 1902 roku dla francuskiego przedsiębiorcy, który zbił majątek na uzyskiwaniu ropy naftowej z odpadów węglowych. Wnętrze zostało starannie urządzone przez poprzedniego właściciela, tak że do domu można się było od razu wprowadzić i pewnie dlatego Hoffmann nigdy nie czuł się w nim jak

u siebie. Po lewej stronie miał wejście, a przed sobą drzwi do salonu. Korytarz po prawej prowadził w głąb budynku: do jadalni, kuchni, biblioteki i wiktoriańskiej cieplarni, w której Gabrielle urządziła swoją pracownię. Stał zupełnie nieruchomo, z podniesionymi jak do obrony rękami. Nie słyszał nic niepokojącego. Małe czerwone oko czujnika wykrywającego ruch mrugało do niego z kąta holu. Uzmysłował sobie, że jeśli nie będzie uważał, sam uruchomi alarm. W Cologny zdarzyło się to już dwukrotnie, odkąd się tu wprowadzili – wielkie domy wyły nerwowo zupełnie bez powodu za wysokimi murami porośniętymi bluszczem jak rozhisteryzowane bogate stare damy.

Opuścił ręce i przeszedł przez hol do miejsca, gdzie na ścianie wisiał antyczny barometr. Wcisnął zapadkę i barometr usunął się w bok. Za nim krył się panel sterowania systemu alarmowego. Hoffmann wyciągnął prawą rękę i już miał palcem wskazującym wystukać kod, aby wyłączyć system, gdy nagle coś sobie uświadomił.

Alarm był wyłączony.

Jego palec zawisł w powietrzu, podczas gdy mózg gorączkowo szukał racjonalnego wyjaśnienia. Może jednak Gabrielle zeszła na parter, wyłączyła system i zapomniała go potem włączyć przed powrotem do łóżka. Albo prawdopodobnie on sam zapomniał go włączyć. Albo system się po prostu zepsuł.

Hoffmann bardzo powoli odwrócił się w lewo, żeby obejrzeć drzwi frontowe.

Pokrywająca je czarna błyszcząca farba lśniła w świetle lampy. Wydawały się dobrze zamknięte i nie było na nich widać śladów włamania. Tak jak alarm stanowiły najnowszy model myśli technicznej i również były otwierane elektronicznie, za pomocą kodu. Hoffmann obejrzał się przez ramię i obrzucił wzrokiem schody oraz korytarz odchodzący w głąb domu. Wszędzie cisza i spokój. Podeszedł do drzwi. Wprowadził kod. W odpowiedzi zamki się odblokowały. Ujął ciężką mosiężną gałkę, przekręcił ją i wyszedł na pogrążony w mroku ganek.

Księżyc, który wisiał nad atramentową połącią trawnika, przypominał srebrnobiały dysk, jakby mknący z dużą prędkością wśród sunących po niebie mas czarnych chmur. Cienie wysokich szumiących na wietrze jodeł, które zasłaniały dom od drogi, kołysały się i chwiały.

Hoffmann zrobił kilka kroków na zwirowym podjeździe, ale wyszedł za daleko, przerwał promień podczerwieni emitowany przez czujniki ruchu

i włączył reflektory przed frontem. Zalany światłem, drgnął nerwowo i znieruchomiał jak uciekający więzień. Podniósł dłoń, żeby osłonić oczy, i zwrócił twarz w stronę oświetlonego na żółto holu, a wtedy zauważył parę dużych czarnych butów ustawionych porządnie przy wejściu do domu, jakby ich właściciel nie chciał wnieść do środka błota albo przeszkadzać mieszkańcom. Buty nie należały do Hoffmanna i na pewno nie do Gabrielle. Dałby też głowę, że nie było ich tutaj, gdy sześć godzin wcześniej wrócił do domu.

Patrząc na buty, wyjął telefon, niemal go wypuszczając, i zaczął wybierać 911, gdy przypomniał sobie, że jest w Szwajcarii, i zaczął od nowa; tym razem wystukał jednak 117.

Rozległ się tylko jeden sygnał – telefon zadzwonił o trzeciej pięćdziesiąt dziewięć według wydziału policji genewskiej, która rejestruje wszystkie zgłoszenia i od razu je nagrywa. Ostro zgłosiła się kobieta:

– *Oui, police?*

Jej głos wydał się Hoffmannowi w tej ciszy bardzo głośny. I uświadomił mu, że gdy tak stoi w powodzi światła, jest dobrze widoczny ze wszystkich stron. Szybko więc przesunął się na lewo, poza zasięg wzroku każdego, kto obserwowałby go z holu, i jednocześnie podszedł pod dom, żeby się za nim ukryć. Przycisnął telefon do ust i powiedział szeptem:

– *J'ai un intrus sur ma propriété.*

Na taśmie jego głos brzmi spokojnie, nieprzekonująco, niemal mechanicznie. To głos człowieka, którego mózg – nawet bez udziału świadomości – koncentruje się przede wszystkim na przeżyciu. To wyraz strachu w czystej postaci.

– *Quelle est votre adresse, monsieur?*

Powiedział jej. Jednocześnie wciąż szedł wzdłuż fasady domu. Słyszał, jak palce kobiety stukają w klawiaturę.

– *Et votre nom?*

– Alexander Hoffmann – odparł szeptem.

Reflektory zgasły.

– *Okay, monsieur Hoffmann. Restez la. Une voiture est en route.*

Rozłączyła się. Sam w ciemnościach, Hoffmann stanął za rogiem domu. W Szwajcarii było niezwykle zimno jak na pierwszy tydzień maja. Od Jeziora Lemańskiego wiał północno-wschodni wiatr. Hoffmann słyszał, jak fale rozbijają się o pobliskie molo, olinowanie uderza o metalowe maszty jachtów. Szczelniej otulił się szlafrokiem. Cały drżał z zimna. Musiał

zaciśnąć zęby, żeby nie dzwoniły o siebie. A jednak, o dziwo, nie czuł paniki. Zaczął odkrywać, że panika to coś zupełnie innego niż strach. Panika jest objawem załamania nerwowego, psychicznego, stratą cennej energii, podczas gdy strach to sam instynkt, źródło siły: zwierzę, które staje na tylnych łapach, które przejmuje kontrolę nad twoim mózgiem i mięśniami. Wciągnął w nozdrza powietrze i zerknął wzdłuż ściany domu w stronę jeziora. Gdzieś na tyłach domu na parterze paliło się światło. Jego blask efektownie oświetlał sąsiednie krzewy, tworząc z nich bajkową grootę.

Odczekał pół minuty, a potem zaczął skradać się w jego kierunku, ostrożnie stąpając po rabacie z roślinami wieloletnimi, która biegła wzdłuż domu. Początkowo nie był pewny, z którego pomieszczenia dochodzi światło: nie zapuszczał się tam od czasu, gdy agent z agencji handlu nieruchomościami oprowadzał ich po budynku. Ale gdy podszedł bliżej, zorientował się, że to kuchnia, a kiedy pod nią stanął i wyjrzał zza ramy okiennej, zobaczył w środku postać mężczyzny. Był zwrócony do okna plecami. Stał przy wyspie kuchennej z granitowym blatem pośrodku pomieszczenia. Poruszał się bez pośpiechu. Wyjmował noże z bloku rzeźnickiego i ostrzył je na elektrycznej ostrzarce.

Serce biło Hoffmannowi tak mocno, że niemal słyszał własny puls. Natychmiast pomyślał o Gabrielle: musi wydostać ją z domu, dopóki intruz jest zajęty w kuchni. Wydostać ją albo przynajmniej kazać jej zamknąć się w łazience do przyjazdu policji.

Wciąż trzymał w ręce komórkę. Nie spuszczać intruza z oczu, wybrał numer żony. Chwilę później usłyszał, że dzwoni jej telefon – zbyt głośno i zbyt blisko, żeby mógł znajdować się na piętrze. Intruz natychmiast uniósł wzrok znad ostrzarki. Telefon Gabrielle leżał tam, gdzie go zostawiła, zanim poszła spać, na wielkim sosnowym stole w kuchni; jego ekran zaczął świecić, a różowy plastikowy pokrowiec wibrować na drewnianej powierzchni, aparat wyglądał jak egzotyczny żuk przewrócony na grzbiet. Włamywacz rozejrzał się szybko po kuchni i zlokalizował źródło dźwięku. Przez kilka długich sekund stał w miejscu. Potem, z tym samym wkurzającym spokojem, odłożył nóż – ulubiony nóż Hoffmanna, ten z długim cienkim ostrzem, które sprawdzało się szczególnie dobrze przy oddzielaniu mięsa od kości – i okrążył wyspę, zmierzając do stołu. Wtedy częściowo odwrócił się do okna i Hoffmann pierwszy raz mógł mu się przyjrzeć – łyse czoło z długimi cienkimi, siwymi na skroniach, przetłuszczonymi włosami ściągniętymi w kucyk; zapadnięte policzki;

kilkudniowy zarost. Mężczyzna miał na sobie wyświechtany płaszcz z brązowej skóry. Wyglądał na podróżnika, kogoś, kto pracuje w cyrku albo jeździ służbowo na targi. Patrzył ze zdziwieniem na telefon, jakby widział coś takiego po raz pierwszy w życiu, potem go wziął, a po chwili wahania wcisnął „odbierz” i przystawił do ucha.

Hoffmanna ogarnął morderczy gniew. Jego fala zalała go jak światło. Powiedział cicho: – Ty skurwysynie, wynoś się z mojego domu! – i z zadowoleniem zobaczył, że intruz wzdryga się z przerażenia jak szarpnięty z góry przez jakiś niewidoczny drut. Gwałtownie obrócił głowę – w lewo, w prawo, w lewo, w prawo – a potem jego wzrok spoczął na oknie. Na moment napotkał spojrzenie Hoffmanna, ale o tym nie wiedział, bo patrzył w ciemną szybę. Trudno by powiedzieć, który z nich był bardziej przestraszony. Nagle rzucił telefon na stół i z zaskakującą zręcznością rzucił się do drzwi.

Hoffmann przeklął, odwrócił się i ruszył w kierunku, z którego przyszedł. Ślizgał się na grządkach i potykał – ciężko szło mu się w kapciach, z wykręconą nogą w kostce, a każdy jego oddech był jak szloch. Gdy doszedł do rogu, usłyszał trzaśnięcie drzwi frontowych. Uznał, że intruz wybiegł z domu i ucieka w stronę drogi. Ale nie; mijaly sekundy, a mężczyzna się nie pojawiał. Musiał zamknąć się w środku.

– O Boże – jęknął Hoffmann. – Boże, Boże.

Popędził ku wejściu. Buty wciąż tam stały – z wywalonymi językami, stare, sfatygowane, wrogie. Gdy wprowadzał kod, trzęsły mu się ręce. Jednocześnie zaczął wołać Gabrielle, mimo że sypialnia znajdowała się po przeciwnej stronie domu i były niewielkie szanse, że żona go usłyszy. Zamki się odblokowały. Gwałtownie otworzył drzwi w ciemnościach. Lampa w holu była wyłączona.

Przez chwilę stał zdyszany na stopniu i myślał o tym, jaki dystans ma do przebycia, kalkulował swoje szanse, a potem rzucił się ku schodom, wołając:

– Gabrielle! Gabrielle!

Był w połowie marmurowej podłogi holu, gdy nagle dom wokół niego jakby eksplodował, schody się zawaliły, płytki podłogowe uniosły, a ściany wystrzeliły na boki w noc.

2

Jak ziarnko przeważające szalę, drobiazg zdecyduje, który osobnik przeżyje, a który zginie...

Karol Darwin, *O pochodzeniu gatunków* (1859)

Hoffmann nie pamiętał nic z tego, co działo się później – żadne myśli ani wizje nie nękały jego prawie nigdy beczynnego umysłu – aż wreszcie jakby po długiej podróży zobaczył zarys łądu wyłaniający się z mgły, zaczął stopniowo odzyskiwać zmysły – poczuł lodowatą wodę spływającą po szyi, zimny ucisk na środku czaszki i ostry ból w głowie, usłyszał mechaniczne dzwonienie w uszach i wciągnął w nozdrza znajomy zapach kwiatowych, trochę mdlących perfum żony. Wtedy uświadomił sobie, że leży na boku z czymś miękkim pod policzkiem. Na jego ręce spoczywało coś ciężkiego.

Otworzył oczy i kilka cali od twarzy zobaczył białą plastikową miskę; natychmiast do niej zwymiotował i poczuł kwaśny smak zapiekanki rybnej, którą jadł wieczorem. Zakrztusił się i zwymiotował ponownie. Miskę zabrano.

Wtedy z kolei zaświecono mu jasnym światłem w każde z oczu. Wytarto mu nos i usta. Do ust chwilę później przyciśnięto szklanę z wodą. Jak dziecko najpierw ją odepchnął, a potem bez sprzeciwu wypił całą zawartość do dna. Kiedy skończył, znowu otworzył oczy i zmrużywszy je, rozejrzał się po świecie.

Znajdował się w holu, leżał na podłodze, z plecami opartymi o ścianę. W oknie, jakby podczas nieustającego wyładowania elektrycznego, błyskało niebieskie światło wozu policyjnego; z radia dochodziła niezrozumiała wymiana zdań. Obok niego klęczała Gabrielle, która trzymała go za rękę. Uśmiechnęła się i ucisnęła jego palce.

– Dzięki Bogu – westchnęła.

Miała na sobie dzinsy i sweter. Podniósł się i oszołomiony rozejrzał dokoła. Ponieważ nie miał na nosie okularów, wszystko było lekko rozmazane: dwaj sanitariusze pochyleni nad skrzynką z błyszczącym sprzętem medycznym, dwaj żandarmi w mundurach, jeden przy drzwiach z hałaśliwym radiotelefonem przy pasku, drugi schodzący właśnie po schodach i trzeci mężczyzna, wyglądający na zmęczonego, dobrze po pięćdziesiątce, w ciemnoniebieskiej wiatrówce i białej koszuli z ciemnym

krawatem, który przyglądał się Hoffmannowi obojętnym wzrokiem. Wszyscy z wyjątkiem Hoffmanna byli ubrani i nagle poczuł gwałtowną potrzebę, aby także coś na siebie włożyć. Ale kiedy próbował unieść się wyżej, stwierdził, że nie ma dość siły w rękach. Czaszkę przeszył mu ostry ból.

Mężczyzna w ciemnym krawacie zaoferował:

– Pomogę panu. – I podszedł do niego z wyciągniętą ręką. – Jean-Philippe Leclerc, inspektor genewskiego wydziału policji.

Jeden z sanitariuszy wziął Hoffmanna za drugą rękę i obaj z inspektorem ostrożnie go dźwignęli z podłogi i postawili na nogi. Na pomalowanej kremową farbą ścianie, w miejscu, gdzie spoczywała jego głowa, pozostała nieregularna plama krwi. Krew była też na podłodze – rozmazana, jakby ktoś się na niej poślizgnął. Pod Hoffmannem ugięły się kolana.

– Trzymam pana – uspokoił go Leclerc. – Proszę oddychać głęboko. I nie wykonywać gwałtownych ruchów.

Gabrielle odezwała się z niepokojem:

– Powinien pojechać do szpitala.

– Karetka będzie tu za dziesięć minut – odparł sanitariusz. – Coś ją zatrzymało.

– Może tam na nią zaczekamy? – zaproponował Leclerc. Otworzył drzwi do zimnego salonu.

Gdy Hoffmann został umieszczony w pozycji siedzącej na kanapie – nie chciał leżeć – przyklęknął przed nim sanitariusz.

– Może mi pan powiedzieć, ile palców pokazuję?

Hoffmann zapytał w odpowiedzi:

– Czy mogę dostać... Jak to się mówi? Zapomniałem słowa. – Podniósł dłoń do oczu.

– Potrzebuje okularów – wyjaśniła Gabrielle. – Tu są, kochanie. – Nałożyła mu je na nos i pocałowała go w czoło.

– Spokojnie, nie denerwuj się, dobrze?

– Widzi pan już moje palce? – powtórzył pytanie sanitariusz.

Hoffmann policzył uważnie. Zanim odpowiedział, zwilżył językiem usta.

– Trzy.

– A teraz?

– Cztery.

– Musimy zmierzyć panu ciśnienie, *monsieur*.

Hoffmann siedział spokojnie, gdy podwijano mu rękaw piżamy, mocowano plastikowy pas wokół bicepsa i nadmuchiowano. Końcówka stetoskopu, która dotknęła skóry, była zimna. Jego umysł powoli, stopniowo przestawiał się na dawny tryb funkcjonowania. Hoffmann metodycznie rejestrował poszczególne części pokoju: jasnożółte ściany, głębokie fotele i szelongi obite białym jedwabiem, fortepian buduarowy Bechsteina, zegar w stylu Ludwika XV, tykający cicho na kominku, pejzaż Auerbacha w grafitowej tonacji. Na stoliku do kawy przed nim stał jeden z wczesnych autoportretów Gabrielle: sześcian o boku pół metra, złożony ze stu tafli szkła Mirogard, na których czarnym atramentem wprowadziła obraz swojego ciała uzyskany metodą rezonansu magnetycznego. W efekcie powstał dziwny trójwymiarowy obraz bezbronnej obcej istoty, jakby unoszącej się w powietrzu. Hoffmann przyjrzał się temu dziełu, jakby widział je po raz pierwszy. Coś powinien z związku z nim pamiętać? Ale co? Było to dla niego nowe doświadczenie – nie móc sobie przypomnieć czegoś natychmiast, w chwili gdy było mu to potrzebne. Gdy sanitariusz skończył badanie, Hoffmann zwrócił się do Gabrielle:

– Masz na dziś jakieś plany? – W skupieniu zmarszczył czoło, próbując przewyciężyć chaos w pamięci. – Już wiem – powiedział w końcu z ulgą. – Dziś otwarcie twojej wystawy.

– Tak, ale możemy je odwołać.

– Nie, w żadnym razie... to przecież twój pierwszy wernisaż.

– Dobrze – stwierdził Leclerc, który przyglądał się Hoffmannowi z fotela. – Bardzo dobrze.

Hoffmann powoli zwrócił głowę w jego stronę. Ten ruch wywołał kolejną falę bólu w jego czaszce. Popatrzył na Leclerca.

– Dobrze?

– Dobrze, że przypomina pan sobie różne rzeczy. – Inspektor pokazał wzniesiony kciuk. – Niech mi pan powie na przykład, jakie jest pańskie ostatnie wspomnienie z dzisiejszej nocy.

Gabrielle wyraziła sprzeciw:

– Myślę, że Alex powinien skonsultować się z lekarzem, zanim odpowie na jakiegokolwiek pytania. Poza tym musi odpocząć.

– Co zapamiętałem przed utratą przytomności? – Hoffmann zastanowił się z uwagą nad tym pytaniem, jakby to był problem matematyczny. –

Chyba wchodziłem przez drzwi frontowe. On musiał zaczaić się za nimi, czekał tam na mnie.

– On? Był tylko jeden człowiek? – Leclerc rozpiął suwak wiatrówki i z wysiłkiem wydobył z jakiejś głębokiej kieszeni notes, potem zmienił pozycję w fotelu i wyjął długopis. Przez cały ten czas patrzył na Hoffmanna zachęcająco.

– Tak, z tego co wiem. Tylko jeden. – Hoffmann przyłożył dłoń do tyłu głowy. Jego palce dotknęły ciasno przylegającego bandaża.

– Czym mnie uderzył?

– Wszystko wskazuje na to, że gaśnicą.

– Jezu. A jak długo byłem nieprzytomny?

– Dwadzieścia pięć minut.

– Tylko tyle? – Hoffmann miał wrażenie, jakby stracił świadomość na wiele godzin. Kiedy jednak spojrzął za okno, zobaczył, że jest jeszcze ciemno, a na zegarze w stylu Ludwika XV dopiero dochodziła piąta.

– I krzyczałem do ciebie, żeby cię ostrzec – powiedział do Gabrielle. – To pamiętam.

– Tak, rzeczywiście. Usłyszałam cię. Zeszłam do holu i znalazłam cię tam. Drzwi frontowe były otwarte. Zaraz potem przyjechała policja.

Hoffmann znowu popatrzył na Leclerca.

– Złapaliście go?

– Niestety uciekł, zanim przybył patrol. – Leclerc zajrzał do notesu. – To dziwne. Wydaje się, że facet po prostu wszedł przez bramę i tak samo wyszedł. A jednak, jeśli dobrze rozumiem, żeby pokonać zarówno ją, jak i drzwi wejściowe, trzeba wprowadzić różne kody. Tak się zastanawiam... czy ten człowiek mógł skądś pana znać? Bo zakładam, że nie wpuścił go pan celowo?

– Wcześniej nigdy w życiu go nie widziałem.

– Aha. – Leclerc coś zanotował. – Dobrze mu się pan przyjrzał?

– Był w kuchni. Zobaczyłem go przez okno.

– Nie rozumiem. On był w środku, a pan na zewnątrz?

– Tak.

– Przepraszam... ale jak to możliwe?

Początkowo z wahaniem, a potem coraz płynniej, w miarę jak wracały mu siła i pamięć, Hoffmann zrelacjonował kolejne wydarzenia: to, jak usłyszał hałas, zszedł do holu, odkrył, że alarm został wyłączony, otworzył

drzwi, zobaczył parę butów, zauważył w oknie na parterze światło, obszedł dom i ujrzał przez okno intruza.

– Może go pan opisać? – Leclerc notował pospiesznie, ledwie kończył jedną stronę, już rozpoczynał nową.

– Alex... – poprosiła Gabrielle.

– Wszystko w porządku, Gabby – odparł uspokajająco Hoffmann. – Musimy im pomóc złapać tego drania. – Przymknął powieki. Miał przed oczami wyraźny jego obraz – niemal zbyt wyraźny, jak wtedy, gdy zaglądał do jasno oświetlonej kuchni. – Był średniego wzrostu. Wyglądał podejrzanie. Po pięćdziesiątce. Pociągła twarz. Łysina na czubku głowy. Długie rzadkie siwe włosy, ściągnięte do tyłu i związane w kucyk. Miał na sobie skórzany płaszcz, a może kurtkę... tego nie pamiętam. – Nagle ogarnęły go wątpliwości. Urwał. Leclerc patrzył na niego i cierpliwie czekał na dalszy ciąg. – Powiedziałem, że nigdy wcześniej go nie widziałem, ale teraz, gdy się nad tym zastanawiam, nie jestem tego już tak pewny. Może jednak gdzieś go widziałem... przelotnie, na ulicy. Było w nim coś znajomego... – Nie dokończył.

– Proszę mówić dalej – zachęcił go Leclerc.

Hoffmann zamyślił się na chwilę, ale potem lekko pokręcił głową.

– Nie. Nie mogę sobie przypomnieć. Przykro mi. Ale, szczerze mówiąc... choć nie chciałbym robić z tego afery... ostatnio mam dziwne wrażenie, że jestem obserwowany.

– Nigdy mi o tym nie wspominałeś – zauważyła Gabrielle ze zdziwieniem.

– Nie chciałem cię niepokoić. A poza tym to ani razu nie było nic konkretnego.

– Być może dom był pod obserwacją od jakiegoś czasu – stwierdził Leclerc. – Albo pana śledzono. Mógł pan nieświadomie minąć tego człowieka na ulicy. Proszę się nie martwić. Powoli wszystko pan sobie przypomni. Co on robił w kuchni?

Hoffmann zerknął na Gabrielle. Wahał się chwilę.

– On... ostrzył noże.

– Rany boskie! – Gabrielle podniosła rękę do ust.

– Byłby pan w stanie go rozpoznać, gdyby zobaczył go pan ponownie?

– O tak – odparł ponuro Hoffmann. – Może mi pan wierzyć.

Leclerc postukał długopisem o notes.

– Musimy sporządzić jego rysopis. – Wstał. – Przepraszam państwa na chwilę. – I wyszedł do holu. Hoffmann nagle poczuł się zbyt zmęczony, żeby kontynuować tę rozmowę. Zamknął oczy i oparł głowę na kanapie, a potem przypomniał sobie o swojej ranie.

– Przepraszam. Pobrudzę meble.

– Do diabła z meblami!

Popatrzył na nią. Bez makijażu wyglądała trochę starzej, bezbronne i – co widział po raz pierwszy – była mocno przestraszona. Poczuł gniew na włamywacza. Jednak udało mu się do niej uśmiechnąć. Początkowo pokręciła głową, ale potem – przelotnie i z wahaniem – odpowiedziała uśmiechem i przez chwilę pomyślał z nadzieją, że cała ta sprawa to nic poważnego: okaże się, że był to stary włóczęga, który znalazł kody dostępu na jakimś skrawku papieru w śmieciach gdzieś na ulicy, i pewnego dnia uśmieją się – z tego uderzenia w głowę gaśnicą!, jego śmiesznego bohaterstwa i jej niepokoju.

Leclerc wrócił do salonu, niosąc dwie przezroczyste plastikowe torebki na dowody.

– Znaleźliśmy to w kuchni – wyjaśnił i z westchnieniem usiadł na poprzednim miejscu. Uniósł torebki. W jednej znajdowały się kajdanki, a w drugiej coś, co wyglądało jak czarny skórzany kołnierz z przyczepioną piłeczką golfową.

– Co to takiego? – zapytała Gabrielle.

– Knebel – wyjaśnił Leclerc. – Nowy. Pewnie kupił go w sex-shope. Takie rzeczy cieszą się dużą popularnością wśród zwolenników sadomaso. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy sklep, z którego to pochodzi.

– O mój Boże! – Gabrielle spojrzała na męża z przerażeniem. – Co on chciał nam zrobić?

Hoffmannowi znowu zrobiło się słabo i zaschło mu w ustach.

– Nie wiem. Porwać nas?

– Nie można tego wykluczyć – przyznał Leclerc i rozejrzał się po salonie. – Jest pan bogatym człowiekiem, to oczywiste. Ale muszę powiedzieć, że w Genewie nie słyszy się o porwaniach. To praworządne miasto. Mogę zapytać pana o zawód?

– Jestem fizykiem.

– Fizyk. – Leclerc to zanotował. Potem pokiwał głową i uniósł brew. – Tego się nie spodziewałem. Anglik?

– Amerykanin.

– Żyd?
– A co to, do diabła, ma do rzeczy?!
– Proszę mi wybaczyć. Pańskie nazwisko... pytam, na wypadek gdyby w grę wchodził motyw rasistowski.
– Nie, nie jestem Żydem.
– *A madame Hoffmann?*
– Jestem Angielką.
– I od dawna mieszka pan w Szwajcarii, panie Hoffmann?
– Od czternastu lat. – Znowu ogarnęło go zmęczenie. – Przyjechałem tu w latach dziewięćdziesiątych, żeby podjąć pracę w CERN-ie, przy Wielkim Zderzaczu Hadronów. I byłem tam zatrudniony przez sześć lat.
– A teraz?
– Prowadzę własną firmę.
– Pod nazwą?
– Hoffmann Investment Technologies.
– Czym się ona zajmuje?
– Czym się zajmuje? Zarabianiem pieniędzy. To fundusz hedgingowy.
– Świetnie. „Zarabia pieniądze”. Jak długo pan tu mieszka?
– Jak powiedziałem... czternaście lat.
– Nie, miałem na myśli to miejsce... ten dom.
– Och... – Spojrzał na Gabrielle z rezygnacją.
– Dopiero miesiąc – odparła za niego.
– Miesiąc? Zmienili państwo szyfry po wprowadzeniu się do domu?
– Oczywiście.
– A kto oprócz państwa zna kod systemu antywłamaniowego i tak dalej?
– Nasza gospodyni – wyjaśniła Gabrielle. – Pokojówka. Ogrodnik.
– I żadne z nich tu nie mieszka?
– Nie.
– A czy ktoś w pańskiej firmie zna te kody, panie Hoffmann?
– Moja asystentka. – Hoffmann ściągnął brwi. Jak wolno pracował jego mózg: niczym zawirusowany komputer. – Och, i nasz konsultant do spraw bezpieczeństwa... sprawdził wszystko, zanim kupiliśmy ten dom.
– Pamięta pan jego nazwisko?
– Genoud. – Zastanawiał się przez chwilę. – Maurice Genoud. Leclerc szybko uniósł głowę.
– W policji genewskiej pracował Maurice Genoud. Jeśli dobrze sobie przypominam, założył własną firmę ochroniarską. No, no. – Na jego

zrezygnowanej twarzy pojawiło się zamyślenie. Wrócił do notowania. – Oczywiście, wszystkie te kody trzeba będzie natychmiast zmienić. Sugeruję, żeby nie zdradzali państwo nowych kodów swoim pracownikom, dopóki nie zostaną przez nas przesłuchani.

W holu rozległ się brzęczyk. Hoffmann aż podskoczył.

– To pewnie karetka pogotowia – domyśliła się Gabrielle. – Otworzę bramę.

Gdy wyszła z pokoju, Hoffmann zapytał:

– Przypuszczam, że wiadomość o tym incydencie dostanie się do prasy?

– Czy to jakiś problem?

– Wolałbym, żeby moje nazwisko nie pojawiało się w mediach.

– Postaramy się zachować dyskrecję. Ma pan wrogów, panie Hoffmann?

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo. A z pewnością nie takich, którzy posunęliby się do czegoś takiego.

– Jakiś bogaty inwestor. na przykład Rosjanin... który stracił pieniądze?

– My nie tracimy pieniędzy. – Mimo to Hoffmann zaczął się zastanawiać, czy któryś z jego klientów mógłby maczać w tym palce. Ale nie: to było niemożliwe. – Czy pana zdaniem to bezpieczne, żebyśmy tu zostali? Gdy ten szaleniec chodzi na wolności?

– Przez większość dnia będą tu nasi ludzie, a w nocy możemy mieć oko na dom... choćby wysłać radiowóz, żeby stał na drodze dojazdowej. Ale muszę powiedzieć, że zazwyczaj ludzie o pańskiej pozycji wprowadzają własne środki bezpieczeństwa.

– Ma pan na myśli ochroniarzy? – Hoffmann się skrzywił. – Nie chcę tak żyć.

– Niestety, taki dom jak ten zawsze przyciąga niepożądaną uwagę. A finansiści nie są szczególnie popularni w tych czasach, nawet w Szwajcarii. – Leclerc ponownie rozejrzał się wokół. – Mogę zapytać, ile pan za niego zapłacił?

W normalnych okolicznościach Hoffmann powiedziałby mu, żeby sobie poszedł do diabła, ale nie miał siły.

– Sześćdziesiąt milionów dolarów.

– A niech mnie! – Leclerc boleśnie zacisnął usta. – Wie pan co? Nie stać mnie już na mieszkanie w Genewie. Przenieśliśmy się z żoną do domku przy granicy francuskiej, bo tam życie jest tańsze. Oczywiście to oznacza codziennie długie dojazdy do pracy, ale cóż.

Z zewnątrz dobiegł warkot dieslowskiego silnika. Gabrielle wystawiła głowę za drzwi.

– Przyjechał ambulans. Pójdę na górę i znajdę ci jakieś ubrania, które zabierzemy z sobą.

Hoffmann próbował wstać. Leclerc podszedł, żeby mu pomóc, ale odprawił go machnięciem ręki. Szwajcarzy, pomyślał z goryczą: udają, że lubią cudzoziemców i chętnie ich u siebie przyjmują, a tak naprawdę nas nie znoszą. Co mnie to obchodzi, że ten facet mieszka we Francji?

Podnosił się dwa razy, zanim wstał z kanapy; podczas trzeciej próby wreszcie stanął niepewnie na dywanie typu Aubusson. Szum, jaki poczuł w głowie, ponownie wywołał u niego mdłości.

Leclerc tymczasem powiedział:

– Mam nadzieję, że ten przykry incydent nie zniechęci pana do naszego pięknego kraju.

Hoffmann nie był pewny, czy facet nie żartuje, jednak na twarzy inspektora malowała się całkowita powaga.

– Ależ skąd.

Razem wyszli do holu, Hoffmann uważał przesadnie, stawiając każdy krok, jak pijak, który stara się uchodzić za trzeźwego. W domu zapełniło się od ludzi ze służb udzielających pomocy w nagłych wypadkach. Przyjechali następnii żandarmi, a także pracownicy pogotowia, mężczyzna i kobieta, którzy popychali nosze na kółkach. Patrząc na ich ciężkie uniformy, Hoffmann znowu poczuł się nagi i bezbronny, jak kaleka. Z ulgą zobaczył, że Gabrielle schodzi po schodach z jego płaszczem przeciwdeszczowym. Leclerc wziął go od niej i zarzucił mu na ramiona.

Przy drzwiach Hoffmann zauważył gaśnicę, zapakowaną w plastikową torbę. Na sam jej widok poczuł przyływ bólu. Zapytał:

– Zamierzacie sporządzić portret pamięciowy tego człowieka?

– Być może.

– Wobec tego chyba powinien pan coś zobaczyć. – Wróciło to do niego nagle, z mocą objawienia. Nie zważając na protesty ludzi z pogotowia, którzy nalegali, żeby się położył, odwrócił się i ruszył korytarzem do swojego gabinetu. Terminal Bloomberg'a na jego biurku był wciąż włączony. Kątem oka dostrzegł czerwone światelko. Niemal wszystkie notowania poszły w dół. Rynki dalekowschodnie krwawiły. Włączył światło i przeszukał regał, aż znalazł *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt*. Ręce mu drżały z podniecenia. Przerzucił kartki.

– O tutaj – powiedział i odwrócił się, żeby pokazać swoje odkrycie Leclercowi i Gabrielle. Postukał palcem w kartkę. – To człowiek, który mnie zaatakował.

Wskazywał fotografię ilustrującą gniew – przedstawiała starego człowieka z szeroko otwartymi oczami i otwartymi bezzębnymi ustami. Do mięśni jego twarzy były podłączone elektrody, za pomocą których wielki francuski uczony, doktor Duchenne, specjalista w dziedzinie galwanoterapii, uzyskiwał pożądaną u pacjenta minę.

Hoffmann wyczuł sceptycyzm inspektora i żony – nie, gorzej, ich konsternację.

– Przepraszam – powiedział Leclerc ze zdziwieniem. – Chce nam pan powiedzieć, że to ten człowiek był w pańskim domu przed godziną?

– Och Alex – jęknęła Gabrielle.

– Oczywiście, nie mówię, że to był dosłownie on... ten człowiek nie żyje od ponad stu lat... mówię tylko, że tamten wyglądał bardzo podobnie. – Oboje patrzyli na niego z natężeniem. Sądzą, że oszalałem – pomyślał. Zaczerpnął powietrza. – Dobra. Tę książkę – zaczął wyjaśniać cierpliwie Leclercowi – dostarczono mi wczoraj, bez żadnego wyjaśnienia. Nie zamawiałem jej, rozumie pan? Nie wiem, kto mi ją przysłał. Może to przypadek. A musi pan przyznać, że sprawa jest dziwna: kilka godzin po nadejściu przesyłki jakiś człowiek... który wygląda jak wyjęty z niej żywcem... pojawia się w naszym domu, żeby na nas napaść. – Ani Leclerc, ani Gabrielle nic na to nie odpowiedzieli. – W każdym razie – zakończył – mówię tylko, że jeśli chcecie sporządzić portret pamięciowy włamywacza, powinniście zacząć od tego.

– Dziękuję panu – powiedział Leclerc. – Będę to miał na względzie.

Nastąpiła pauza.

– Dobrze – radośnie oświadczyła Gabrielle. – Jedźmy do szpitala.

* * *

Leclerc odprowadził ich do drzwi frontowych.

Księżyc zniknął za chmurami. Niebo było zupełnie ciemne, chociaż do świtu pozostało już tylko pół godziny. Amerykański fizyk, w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym, z obandażowaną głową i z wystającymi spod drogiej piżamy różowymi kostkami, wsiadł z pomocą sanitariusza do karetki. Od czasu nedorzeczných uwag na temat wiktoriańskiej fotografii

popadł w milczenie; wydał się Leclercowi zawstydzony. Zabrał z sobą tę książkę. Żona szła za nim z torbą pełną jego ubrań. Wyglądali jak para uchodźców. Drzwi się zatrzasnęły i karetka odjechała, a wóz policyjny ruszył zaraz po niej.

Leclerc patrzył za tymi dwoma pojazdami, aż dotarły do zakrętu na podjeździe prowadzącym do głównej drogi. Światła stopu rozbłysły szkarłatem, a potem zniknęły.

Odwrócił się i wszedł do domu.

– Duża chałupa jak na dwoje ludzi – mruknął jeden z żandarmów, którzy stali tuż za drzwiami.

– Duża by była i na dziesięcioro – dorzucił Leclerc.

Ruszył na samotną wędrowkę, żeby spróbować się wczuć w sprawę, którą miał się zajmować. Pięć, sześć – nie, siedem sypialni na górze, każda z osobą łazienką, najwyraźniej nieużywane; przestronna główna sypialnia z przylegającą do niej dużą garderobą, pełną szaf z lustrzanymi drzwiami i komód; telewizor plazmowy w łazience; dwie umywalki – dla niej i dla niego; kosmiczny prysznic z mnóstwem dysz. Po drugiej stronie korytarza sala gimnastyczna z rowerem stacjonarnym, przyrządem do treningu wioślarskiego, mechaniczną bieżnią, sztangą, kolejny wielki telewizor. Brak zabawek. Nigdzie żadnych śladów dzieci, nawet na stojących tu i tam oprawionych zdjęciach, które pochodziły głównie z ekskluzywnych wakacji państwa Hoffmannów – wypadów na narty oczywiście i rejsów jachtem. Na jednej z fotografii Hoffmannowie trzymali się za ręce, siedząc na jakiejś werandzie, wzniesionej na palach nad niesamowicie błękitną laguną koralową.

Leclerc zszedł na parter; wyobraził sobie, jak musiał czuć się Hoffmann, gdy półtorej godziny wcześniej schodził tędy, aby zmierzyć się z nieznanym. Ominął plamy krwi i wkroczył do gabinetu. Całą ścianę zajmowały tam książki. Wyjął jedną z nich na chybił trafił i spojrzał na jej grzbiet: *Die Traumdeutung* Zygmunta Freuda. Otworzył ją. „Leipzig – Vienna, 1900”. Pierwsze wydanie. Wyjął inną. *La Psychologie des foules* Gustave’a le Bona. „Paris 1895”. I jeszcze inną: *L’homme machine* Juliena Offraya de La Mettrie. „Leiden 1747”. Także pierwsze wydanie. Leclerc nie znał się na białych krukach, ale wiedział o nich dość, aby zdać sobie sprawę, że ta kolekcja musi być warta miliony. Nic dziwnego, że w domu było tyle czujników dymu.

Zgromadzone tu książki były przeważnie naukowe, z dziedziny socjologii, psychologii, biologii, antropologii – nic na temat finansów.

Podszedł do biurka i usiadł w antycznym fotelu kapitańskim. Stojący przed nim duży ekran co jakiś czas mrugał, gdy zmieniały się na nim błyszczące kolumny liczb: -1.06, -78, -4.03%, -\$0.95. Było to dla niego równie czytelne jak kamień z Rosetty. Gdybym tylko potrafił znaleźć klucz – pomyślał – może stałbym się równie bogaty jak ten gość. Jego własna inwestycja, na którą przed kilkoma laty namówił go jakiś pryszczaty „doradca finansowy”, aby miał dostatnią starość, była obecnie warta połowę tego co na początku. Wiedział, że jeśli sytuacja się nie zmieni, po przejściu na emeryturę będzie musiał wziąć jakąś dodatkową robotę na pół etatu, może jako szef ochrony w domu towarowym. Będzie pracować, aż padnie trupem – do czego nie byli zmuszeni nawet jego ojciec i dziadek. Trzydzieści lat pracy w policji i nie mógł sobie nawet pozwolić, żeby mieszkać w mieście, w którym się urodził. A kto kupował te wszystkie drogie posiadłości? Głównie ci, którzy prali brudne pieniądze – żony i córki prezydentów tak zwanych „młodych demokracji”, politycy republik Azji Środkowej, rosyjscy oligarchowie, afgańscy watażkowie, handlarze bronią – krótko mówiąc, prawdziwi przestępcy tego świata, podczas gdy on tracił czas na szukanie nastoletnich algierskich dealerów narkotyków kręcących się po dworcu kolejowym. Wstał i przeszedł do innego pokoju, żeby przestać o tym myśleć.

W kuchni oparł się o wyspę z granitowym blatem i obejrzał noże. Na jego polecenie zostały zapakowane do plastikowych torebek i zabezpieczone na wypadek, gdyby były na nich odciski palców. Tego fragmentu relacji Hoffmanna nie rozumiał. Jeśli intruz włamał się do domu, żeby uprowadzić właścicieli, musiał już mieć przy sobie broń, no nie? Porywacz potrzebowałby co najmniej jednej: Hoffmann był stosunkowo młody i sprawny – na pewno by się bronił. Czy więc motywem była kradzież? Ale zwyczajny włamywacz wkradłby się do domu i uciekł z niego jak najszybciej, zabierając tyle, ile zdołałby unieść, a tu było mnóstwo wartościowych przedmiotów do zrabowania. Wszystko więc wskazywało, że przestępca jest niepełnosprawny umysłowo. Ale skąd niebezpieczny psychopata miałby znać kody? To była zagadka. Niewykluczone, że do budynku można się dostać inną drogą, łatwiejszą.

Leclerc wrócił na korytarz i skręcił w lewo. Na tyłach domu znajdowała się duża wiktoriańska oranżeria, w której urządzono pracownię artystyczną,

choć nie powstawała tu sztuka, którą inspektor nazwałby tym mianem. Pomieszczenie przypominało raczej pracownię radiograficzną albo zakład szklarski. Na pierwotnej ścianie zewnętrznej wisiała duża kolekcja uzyskanych elektronicznie – cyfrowo, w podczerwieni, poprzez prześwietlenie rentgenowskie – obrazów ludzkiego ciała, a także rysunki anatomiczne przedstawiające różne organy, kończyny i mięśnie.

Na drewnianych półkach leżały tafle szkła antyrefleksowego i pleksiglasu o rozmaitej wielkości i grubości. W metalowej skrzyni spoczywały dziesiątki teczek pełnych obrazów komputerowych i wszystkie były starannie oznakowane: „Rezonans magnetyczny głowy, przekroje 1–14, strzałkowy, osiowy, wieńcowy”; „Mężczyzna, przekroje, strzałkowy i wieńcowy, wirtualna klinika”. Na ławie znajdowały się: przeglądarka do przezroczy, małe imadło, kilka kałamarzy, narzędzia do grawerowania i pędzle. Na czarnej gumowej podstawie leżała wiertarka, a obok niej stały ciemnoniebieska puszka z napisem „Taylor’s of Harrogate, Earl Grey Tea”, pełna rozmaitej wielkości wiertel, i plik kolorowych katalogów wystawy zatytułowanej *Ludzkie kontury*, której wernisaż miał się odbyć tego dnia w galerii przy Plaine de Plainpalais. W środku zamieszczono notę biograficzną autorki: „Gabielle Hoffmann urodziła się w Yorkshire, w Anglii. Uzyskała dyplom z wyróżnieniem w zakresie historii sztuki i języka francuskiego na University of Salford i ukończyła Royal College of Art w Londynie. Przez kilka lat pracowała dla Organizacji Narodów Zjednoczonych w Genewie”. Zwinął katalog w rulon i wetknął go do kieszeni.

Przy ławie stało na koźle jedno z jej dzieł: trójwymiarowy obraz płodu, złożony z około dwudziestu elementów rysunków na taflach przezroczystego szkła. Leclerc pochylił się, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Głowa była nieproporcjonalnie duża w stosunku do reszty ciała, chude nóżki podwinięte i ukryte z tyłu. Oglądany z boku obraz miał głębię, ale gdy zmieniało się perspektywę i patrzyło na niego z przodu, wrażenie trójwymiarowości zniknęło zupełnie. Leclerc nie mógł się zorientować, czy dzieło jest skończone, czy nie. Robiło pewne wrażenie, musiał przyznać, ale sam nie chciałby mieć czegoś takiego w domu. Zbyt przypominało szkielet gada umieszczony w gablocie. Jego żona uznałaby to za odrażające.

Drzwi oranżerii prowadziły do ogrodu. Były zamknięte na zamek i zasuwę; nigdzie w pobliżu nie widział klucza. Za szklaną ścianą migotały

światła leżącej po drugiej stronie jeziora Genewy. Wzdłuż Quai du Mont Blanc przesuwała się pojedyncza para reflektorów samochodowych.

Leclerc wyszedł z oranżerii i wrócił na korytarz. Odchodziło od niego jeszcze dwoje drzwi. Jak się okazało, za jednymi z nich znajdowała się toaleta, z dużym staroświeckim klozetem, z którego Leclerc przy okazji skorzystał, a za drugimi – coś w rodzaju magazynu, w którym złożono sprzęty z poprzedniego domu państwa Hoffmannów: zrolowane i przewiązane sznurem dywany, urządzenie do pieczenia chleba, leżaki, zestaw do gry w krykieta i – w głębi, w doskonałym stanie – łódeczko dziecięce, rozkładany stół i zegar astronomiczny ukazujący położenie gwiazd i księżyca.

3

Podjeźliwość, pochodna strachu, jest nader typowa dla większości dzikich zwierząt.

Karol Darwin, *O pochodzeniu człowieka* (1871)

Według raportu, wydanego potem przez genewskie służby medyczne, karetka opuściła rezydencję Hoffmannów o godzinie piątej dwadzieścia dwie. Pustymi o tej porze ulicami Genewy jazda do szpitala trwała tylko pięć minut.

Hoffmann w tylnej części ambulansu nadal odmawiał przestrzegania przepisów bezpieczeństwa, zamiast leżeć, siedział wyprostowany z nogami z boku, ponury i niechętny. Był błyskotliwym, bogatym człowiekiem, przyzwyczajonym do posłuchu i szacunku. A nagle stwierdził, że deportują go do jakiegoś biedniejszego i mniej uprzywilejowanego kraju: królestwa chorych, gdzie każdy był obywatelem drugiej kategorii. Irytowało go wspomnienie tego, jak patrzyli na niego Gabrielle i Leclerc, gdy pokazał im *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt* – jakby oczywisty związek między książką i włamaniem do domu był wytworem jego chorego umysłu. Zabrał z sobą to dzieło; trzymał je na kolanach i nerwowo stukał w nie palcem.

Ambulans skręcił za róg i sanitariuszka wyciągnęła rękę, aby go uspokoić. Hoffmann spojrział na nią gniewnie. Nie miał zaufania do policji genewskiej ani instytucji rządowych. Generalnie nie miał zaufania do nikogo z wyjątkiem siebie samego. Sprawdził kieszenie szlafroka w poszukiwaniu telefonu komórkowego.

Gabrielle, która siedziała naprzeciwko, obok sanitariuszki, i patrzyła na niego, zapytała:

– Co robisz?

– Dzwonię do Hugona.

Przewróciła oczami.

– Na miłość boską, Alex...

– No co? Musi wiedzieć, co się stało. – Słuchając sygnału połączenia, wziął ją za rękę i powiedział pojednawczo: – Czuję się już o wiele lepiej, naprawdę.

W końcu Quarry odebrał.

– Alex? – Po raz pierwszy w jego zazwyczaj flegmatycznym głosie brzmiał niepokój: kto dzwoni przed świtem z dobrymi wiadomościami? – Co się stało, u licha?

– Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Mieliśmy włamanie.

– O Boże, bardzo mi przykro. Nic wam się nie stało?

– Gabrielle jest cała i zdrowa. Ja dostałem w głowę. Właśnie jesteśmy w karetce, jedziemy do szpitala.

– Którego?

– Chyba Uniwersyteckiego. – Spojrzał na Gabrielle, aby uzyskać potwierdzenie. Żona kiwnęła głową. – Tak, Uniwersyteckiego.

– Zaraz tam będę.

Kilka minut później karetka jechała już drogą dojazdową do wielkiego szpitala akademickiego. Przez przydymione szyby Hoffmann przelotnie zobaczył jego rozmiary – był to naprawdę wielki budynek: dziewięciopiętrowy, świecący w ciemności jak ogromny terminal zagranicznego lotniska – potem światła znikły, jakby opadła na nie zasłona. Ambulans wjechał na podziemny podjazd i zatrzymał się. Silnik został wyłączony. Gabrielle w ciszy posłała Hoffmannowi uspokajający uśmiech, a on pomyślał: Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie. Tylne drzwi się otworzyły i zobaczył przed sobą nieskazitelnie czysty parking. Ktoś krzyknął w oddali i jego głos odbił się od betonowych ścian.

Hoffmannowi kazano się położyć i tym razem postanowił posłuchać: wkroczył do systemu i musiał poddać się obowiązującym w nim regułom. Wyciągnął się więc na składanych noszach, które zostały wyjęte z karetki, i z przerażającym poczuciem bezsilności pozwolił się powieźć dokądś tajemniczymi, jakby fabrycznymi korytarzami, patrząc na oświetlenie sufitowe. Wreszcie zatrzymali się na krótko przy izbie przyjęć. Towarzyszący im żandarm podał przez okienko dokumenty. Hoffmann patrzył, jak jego dane są rejestrowane, potem odwrócił głowę na poduszce i spojrzał przez zatłoczoną salę w stronę telewizora, nastawionego na kanał informacyjny, którego nikt z obecnych tam pijaków i narkomanów nie oglądał. Na ekranie japońscy inwestorzy z przytkniętymi do uszu telefonami komórkowymi w przeróżny sposób dawali wyraz przerażeniu i rozpacz. Ale zanim dowiedział się czegoś więcej, został przewieziony krótkim korytarzem do pustego pokoju.

Gabrielle usiadła na plastikowym modelowanym krześle, wyjęła puderniczkę i szybkimi nerwowymi pociągnięciami pomalowała usta

szminką. Hoffmann przyglądał jej się jak nieznajomej: była ciemnowłosa, schludna, opanowana, jak kotka myjąca pyszczek. Robiła to samo, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, na przyjęciu w Saint-Genis-Pouilly. Do pokoju wszedł udręczony młody lekarz, Turek, z podkładką w ręce; plastikowa plakietka z nazwiskiem przypięta do białego fartucha informowała, że nazywa się Muhammet Celik. Przerzucił notatki dotyczące Hoffmanna. Zaświecił mu latareczką w oczy, małym młotkiem stuknął go w kolana i zapytał o nazwisko obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, a potem polecił mu policzyć wspak od stu do osiemdziesiąciu.

Hoffmann odpowiadał bez trudu. Lekarz, zadowolony, włożył lateksowe rękawiczki. Zdjął bandaż z jego głowy, rozdzielił włosy i zbadał czaszkę, delikatnie jej dotykając. Hoffmann czuł się, jakby szukano u niego wszy. Towarzysząca temu wymiana zdań toczyła się nad nim, bez jego udziału.

– Stracił dużo krwi – poinformowała lekarza Gabrielle.

– Rany na głowie zawsze mocno krwawią. Chyba będzie trzeba założyć szwy.

– Czy to głęboka rana?

– Nie, nie taka głęboka, ale opuchlizna jest dość rozległa. Widzi pani? Uderzono go czymś tępym?

– Gaśnicą.

– Uhm. Zanotuję to. Musimy zrobić tomografię głowy. Celik pochylił się nad Hoffmannem i zbliżył do niego twarz. Uśmiechnął się lekko. Otworzył szeroko oczy i powiedział bardzo powoli:

– Doskonale, *monsieur* Hoffmann. Później zaszyję ranę. Teraz musimy zabrać pana na dół i prześwietlić panu głowę. Zrobimy to tomografem. Wie pan, co to jest, *monsieur* Hoffmann?

– Tomograf to urządzenie złożone z ruchomego detektora i źródła promieniowania rentgenowskiego, służące do uzyskiwania przekrojowych obrazów radiograficznych... to technologia z lat siedemdziesiątych, żadna nowość. A przy okazji, nie *monsieur* Hoffmann... tylko doktorze Hoffmann.

Gdy wieziono go do windy, Gabrielle powiedziała z wyrzutem:

– Nie musiałeś być niegrzeczny. On tylko chciał ci pomóc.

– Mówił do mnie jak do dziecka.

– To przestań się zachowywać jak dziecko. Masz, potrzyj to. – Rzuciła mu na kolana torbę z ubraniami i podeszła do windy, żeby ją

przywołać.

Gabrielle dobrze знаła oddział radiologiczny, co Hoffmann w skrytości ducha uznał za irytujące. W ciągu paru ostatnich lat pracownicy szpitala pomagali jej w pracy artystycznej, udostępniali urządzenia medyczne, gdy nie były w użyciu, zostawiali do późna po zakończeniu swojej zmiany, aby uzyskać obrazy, których potrzebowała. Kilku z nich nawet się z nią zaprzyjaźniło. Powinien być im za to wdzięczny, ale nie był. Winda zjechała na dół i drzwi się otworzyły na pogrążonym w mroku niższym piętrze. Mieli tu dużo nowoczesnego wyposażenia, przypomniał sobie. To właśnie do tego szpitala transportowano helikopterami większość rannych narciarzy, z Chamonix, Megeve czy nawet Courchevel. Hoffmann miał wrażenie, że wokół w ciemności znajduje się mnóstwo pomieszczeń i sprzętu medycznego – nie tylko na stanowisku dyżurnym, ale i na całym oddziale było pusto i cicho. Podszedł do nich młody mężczyzna z długimi ciemnymi kręconymi włosami.

– Gabrielle! – zawołał.

Ujął jej rękę i pocałował, a potem odwrócił się i spojrzał na Hoffmanna.

– A więc dla odmiany przywiozłaś rzeczywistego pacjenta?

Gabrielle wyjaśniła:

– To mój mąż, Alexander Hoffmann. Alex... to Fabian Tallon, dyżurny technik. Pamiętasz Fabiana? Tyle ci o nim opowiadałam.

– Chyba nie – odparł Hoffmann. Uniósł głowę i przyjrzał się młodemu człowiekowi. Tallon miał duże, ciemne wilgotne oczy, szerokie usta, niezwykle białe zęby i kilkudniowy ciemny zarost. Koszulę nosił rozpiętą nieco niżej, niż było trzeba, co zwracało uwagę na jego szeroką pierś, pierś rugbyisty. Nagle Hoffmann zaczął się zastanawiać, czy Gabrielle nie ma z tym facetem romansu. Usiłował odsunąć od siebie tę myśl, ale daremnie. Od lat nie czuł zazdrości; prawie już zapomniawszy, jaka potrafi być przykra. Przenosząc wzrok z jednego na drugie, powiedział: – Dziękuję za wszystko, co zrobił pan dla Gabrielle.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Alex. A teraz zobaczmy, co mogę zrobić dla ciebie. – Pchnął nosze na kółkach z taką łatwością, jakby to był wózek z supermarketu, minął stanowisko kontrolne i wreszcie wjechał z Alexem do pomieszczenia z tomografem. – Proszę wstać.

Hoffmann znowu poddał się procedurze. Zabrano mu płaszcz i okulary. Kazano usiąść na brzegu kozetki, która stanowiła część urządzenia. Zdjęto mu z głowy bandaż.

I wreszcie polecono położyć się na plecach, z głową w kierunku tomografu. Tallon dopasował zagłówek.

– To potrwa niecałą minutę – oświadczył i zniknął.

Drzwi zamknęły się za nim cicho. Hoffmann lekko uniósł głowę. Był sam. Za swoimi nagimi stopami, przez okno z grubą szybą na końcu pomieszczenia, widział Gabrielle, która patrzyła na niego. Chwilę później dołączył do niej Tallon. Powiedzieli do siebie coś, czego nie słyszał. Rozległ się brzęk, a potem Tallon poleciał przez głośnik:

– Niech się pan położy, Alex. I stara leżeć bez ruchu.

Hoffmann wykonał polecenie. Rozległ się szum i kozetka zaczęła się wsuwać do szerokiego bębna tomografu. Nastąpiło to dwa razy: raz trwało to krótko, żeby ustalić pozycję, drugi raz dłużej, żeby uzyskać prześwietlenie. Hoffmann patrzył na białą plastikową osłonę, gdy się pod nią przesuwiał. Czuł się tak, jakby był poddawany radioaktywnemu myciu samochodu. Kozetka się zatrzymała i ruszyła w drogę powrotną, a wtedy Hoffmann wyobraził sobie, że jego mózg zalewa bardzo jasne demaskujące światło, przed którym nic się nie ukryje – że ukazą się w nim wszystkie brudy, które następnie zostaną usunięte z sykiem płomienia.

Włączył się głośnik i przez chwilę Hoffmann słyszał w tle cichnący głos Gabrielle. Wydało mu się – czy mógł mieć rację? – że żona mówi szeptem. Tallon powiedział:

– Dziękuję panu, Alex. Już po wszystkim. Proszę się nie ruszać. Zaraz do pana przyjdę i pomogę wstać. – Po czym wrócił do rozmowy z Gabrielle: – Ale widzisz... – Dźwięk został jednak wyłączony.

Hoffmann leżał na kozetce przez dość długą, jak mu się wydawało, chwilę: w każdym razie miał mnóstwo czasu, aby sobie uświadomić, jak łatwo Gabrielle mogłaby nawiązać romans w ostatnich kilku miesiącach. Przebywała w szpitalu przez wiele godzin, zbierając obrazy, których potrzebowała do pracy; a on spędzał w swoim gabinecie całe dni, łącznie z wieczorami, rozbudowując VIXAL. Co mogło utrzymać razem małżonków po przeszło siedmiu latach małżeństwa, jeśli nie mieli dzieci, które by ich łączyły? Nagle doznał dawno zapomnianego uczucia: ogarnął go cudowny dziecienny żal nad sobą. Ku swojemu przerażeniu zdał sobie sprawę, że płacze.

– Wszystko w porządku, Alex? – Nad kozetką pojawiła się twarz Tallona, przystojna, zaniepokojona, nienawistna.

– Tak. W porządku.

– Jest pan pewny?

– Nic mi nie jest. – Hoffmann szybko otarł oczy rękawem piżamy i włożył okulary. Umysł podpowiadał mu, że te nagłe zmiany nastroju to prawdopodobnie skutki urazu głowy, ale przez to nie były one mniej realne. Odmówił powrotu na ruchome nosze. Spuścił nogi z kozetki, kilka razy odetchnął głęboko i gdy wchodził do sąsiedniego pomieszczenia, już nad sobą panował.

– Alex – odezwała się Gabrielle – to radiolog, doktor Dufort.

Wskazała drobną kobietę z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami, która siedziała przed ekranem komputera. Lekarka się odwróciła i skinęła mu zdawkowo głową nad wąskim ramieniem, a potem wróciła do oglądania wyników tomografii.

– Czy to ja? – zapytał Hoffmann, patrząc na ekran.

– Tak, *monsieur*. – Nie odwróciła się.

Hoffmann przyjrzał się swojemu mózgowi obojętnie, a nawet z pewnym rozczarowaniem. Czarno-biały obraz na ekranie mógł przedstawiać wszystko – fragment rafy koralowej sfilmowanej podwodną kamerą, powierzchnię Księżyca, twarz małpy. Przygnębił go jego brak jakiegokolwiek formy czy urody. Z pewnością stać nas na więcej – pomyślał. To nie może być efekt końcowy. To musi być tylko etap ewolucji i zadaniem człowieka jest przygotować grunt pod to, co nadejdzie w następnej kolejności, jak wytwarzana przez gaz materia organiczna. Od ponad piętnastu lat zajmował się sztuczną inteligencją czy autonomicznym myśleniem elektronowym, jak wolał ją nazywać – AME. Głupi ludzie, podburzani przez dziennikarzy, uważali, że celem tych prac jest stworzenie repliki ludzkiego umysłu, aby potem wyprodukować zdygitalizowaną wersję nas samych. Ale naprawdę – po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu, aby stworzyć kopię czegoś tak słabego i zawodnego, z tak krótkim okresem żywotności: procesor centralny, który może ulec całkowitemu zniszczeniu, ponieważ jakaś podrzędna część – serce, powiedzmy, albo wątroba – zostanie uszkodzona i przestanie działać? To tak jakby stracić superkomputer marki Cray i całą zawartość jego pamięci, bo zepsuła się wtyczka.

Radiolożka odwróciła jego mózg górną do dołu i skinęła głową, jakby witała przybysza z przestrzeni kosmicznej. Potem obróciła obraz na osi. I przekreśliła z lewej strony na prawą.

– Nie ma śladów pęknięcia czaszki – stwierdziła – ani opuchlizny, a to najważniejsze. Ale ciekawa jestem, co to może być.

Czaszka wyglądała jak odwrócona skorupka orzecha laskowego. Po szarej tkance mózgu biegła biała linia różnej grubości. Lekarka powiększyła obraz, który zatarł się na moment i w końcu zamienił w jasnoszarą supernową. Hoffmann pochylił się, żeby lepiej widzieć.

– Tu. – Doktor Dufort dotknęła ekranu pozbawionym pierścionka palcem z obgryzionym paznokciem. – Widzi pan te drobne białe punkciki? Jasne gwiazdki? To mikrowylewy w tkance mózgowej.

Gabrielle zapytała:

– Czy to coś poważnego?

– Nie, niekoniecznie. Pewnie po tego rodzaju ranie należy spodziewać się czegoś takiego. Wie pani, mózg reaguje, kiedy głowa zostaje uderzona z odpowiednią siłą. Musi nastąpić małe krwawienie. Ale to chyba już ustało. – Podniosła okulary i przysunęła twarz do ekranu jak jubiler do oglądanego cennego kamienia. – Ale mimo to – dodała – chciałabym przeprowadzić jeszcze jedno badanie. Hoffmann często wyobrażał sobie tę chwilę – wielki, bezosobowy szpital, odbiegające od normy wyniki badania, spokojnie wygłoszona diagnoza, pierwszy krok na równi pochyłej do bezsilności i śmierci – dopiero po chwili uświadomił sobie, że to nie kolejna z jego hipochondrycznych wizji.

– Jakie badanie? – zapytał.

– Chciałabym zobaczyć wynik rezonansu magnetycznego, który o wiele lepiej pokazuje tkankę miękką. Dowiemy się z niego, czy to wcześniejszy uraz, czy nie.

Wcześniejszy uraz...

– Ile to zajmie czasu?

– Samo badanie nie trwa długo. To tylko kwestia tego, kiedy skaner będzie wolny. – Otworzyła na ekranie inny plik i przewinęła go. – Będziemy mogli skorzystać ze skanera w południe, pod warunkiem że nie będzie pilniejszych przypadków.

– A to nie jest pilny przypadek? – zapytała Gabrielle.

– Nie, nie. Nie ma tu bezpośredniego zagrożenia dla życia.

– W takim razie darujmy to sobie – rzucił Hoffmann.

– Nie bądź głupi – zaprotestowała Gabrielle. – Poddaj się badaniu. Co ci szkodzi.

– Nie chcę.

– Jesteś śmieszny...

– Powiedziałem, że nie chcę tego cholernego badania! Nastąpiła chwila pełnej zdziwienia ciszy.

– Wiemy, że jest pan zdenerwowany, Alex – odezwał się Tallon – ale nie musi pan zwracać się w ten sposób do Gabrielle.

– Proszę mi nie mówić, jak mam zwracać się do własnej żony! – Podniósł rękę do czoła. Miał bardzo zimne palce.

I zaschło mu w gardle. Pomyślał, że musi jak najszybciej wydostać się ze szpitala. Przełknął ślinę i powiedział: – Przepraszam, ale naprawdę nie chcę tego badania. Mamy dziś inne ważne sprawy do załatwienia.

– *Monsieur* – odezwała się stanowczo doktor Dufort – wszyscy pacjenci, którzy stracili przytomność na tak długi czas jak pan, są zatrzymywani w szpitalu na co najmniej dwudziestoczterogodzinną obserwację.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Jakie to ważne sprawy masz do załatwienia? – Gabrielle popatrzyła na niego z niedowierzaniem. – Chyba nie pojedziesz do pracy?

– Owszem, zamierzam pojechać. A ty pojedziesz do galerii na otwarcie wystawy.

– Alex...

– Tak, pojedziesz do galerii. Pracujesz nad tym od miesiący... pomyśl choćby, ile czasu tu spędziłaś. A wieczorem pójdziemy na kolację, żeby uczcić twój sukces. – Był świadomy, że znowu podnosi głos. Zmusił się do zachowania spokoju. – To, że ktoś wtargnął do naszego domu, nie oznacza, że wtargnie też w nasze życie. Chyba że mu na to pozwolimy. Spójrz na mnie. – Wskazał na siebie. – Nic mi nie jest. Widziałaś zdjęcia... nie ma żadnego pęknięcia ani obrzęku.

– Ani cholernego zdrowego rozsądku – odezwał się po angielsku jakiś głos za nimi.

– Hugo – powiedziała Gabrielle, nie odwracając się, żeby spojrzeć – bądź tak miły i powiedz swojemu wspólnikowi, że jest z krwi i kości, tak jak reszta z nas.

– Dobrze, ale czy rzeczywiście tak jest? – Quarry stanął w drzwiach w rozpiętym płaszczu, z wiśniowym szalikiem na szyi i rękami w kieszeniach.

– Wspólnik? – powtórzył doktor Celik, który przyprowadził Quarry'ego z pogotowia i teraz patrzył na niego podejrzliwie. – Mówił pan, że jest jego bratem, jeśli pamiętam?

– Zgódź się na to badanie, Al – powiedział Quarry. – Możemy przełożyć prezentację.

– Właśnie – dołączyła się Gabrielle.

– Obiecuję wam, że poddam się temu badaniu – oświadczył w końcu Hoffmann. – Ale nie dzisiaj. Może tak być, pani doktor? Nic mi się nie stanie?

– *Monsieur* – odezwała się siwowłosa radiolożka, która pełniła dyżur przez cały wieczór i noc i zaczynała już tracić cierpliwość – może pan robić, co pan tylko chce. To pańska decyzja. Moim zdaniem ranę należy zszyć, a jeśli zdecyduje się pan wyjść, będzie pan musiał podpisać oświadczenie, że zwalnia pan szpital ze wszelkiej odpowiedzialności. Reszta zależy od pana.

– Świetnie. Rana zostanie zszyta, a ja podpiszę oświadczenie. A na rezonans zgłoszę się kiedy indziej, w bardziej dogodnym terminie. Jesteś zadowolona? – zwrócił się do Gabrielle.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległ się znajomy elektroniczny sygnał. Dopiero po chwili zorientował się, że to budzik w jego telefonie. Nastawił go na wpół do siódmej w poprzednim życiu.

* * *

Hoffmann zostawił żonę z Quarrym na izbie przyjęć i udał się do gabinetu zabiegowego na założenie szwów. Dostał znieczulenie miejscowe w postaci zastrzyku – poczuł ostry ból, który na moment pozbawił go tchu – a potem jednorazową plastikową brzytwą ogolono mu głowę wokół rany. Zakładanie szwów było nie tylko nieprzyjemnym, ile dziwnym doznaniem, jakby ściągano mu skórę na czaszce. Później doktor Celik wyjął małe lusterko i pokazał Hoffmannowi swoje dzieło jak fryzjer, który czeka na pochwałę ze strony klienta. Rana miała zaledwie pięć centymetrów długości. Zszyta przypominała skrzywione usta z grubą warstwą białej szminki w miejscu, gdzie wycięto włosy. I jakby uśmiechała się do niego prowokacyjnie w lusterku.

– Może boleć, gdy przestanie działać znieczulenie – oznajmił radośnie Celik. – Będzie pan musiał wziąć środki przeciwbólowe. – Zabrał lusterko i uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Nie zabandażuje pan tego?

– Nie. Szybciej się zagoi, jeśli będzie odsłonięte.

– Dobrze. W takim razie wychodzę stąd.

Celik wzruszył ramionami.

– Pańskie prawo. Ale najpierw proszę podpisać oświadczenie.

Po złożeniu podpisu na jakimś świstku – „Oświadczam, że opuszczam Szpital Uniwersytecki wbrew zaleceni lekarza, mimo że poinformowano mnie o zagrożeniu, i przyjmuję za to pełną odpowiedzialność” – Hoffmann wziął torbę ze swoimi rzeczami i poszedł za Celikiem do małego pomieszczenia z prysznicem. Lekarz włączył światło. Odwracając się, Turek mruknął ledwie słyszalnie: – Dupek – a w każdym razie takie Hoffmann odniósł wrażenie, ale drzwi się zamknęły, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Od chwili gdy odzyskał przytomność, po raz pierwszy znalazł się sam i przez chwilę delectował się tym. Zdjął szlafrok i piżamę. Na przeciwległej ścianie wisiało lustro i Hoffmann zatrzymał się na moment, aby przyjrzeć się swojemu nagiemu ciału w bezlitosnym neonowym świetle: miał ziemistą skórę, zwiotczały brzuch, wydatniejsze niż kiedyś piersi, jak u dojrzewającej dziewczyny. Niektóre włosy na piersi były już siwe. Na lewym biodrze widniał długi czarny siniak. Wykręcił głowę na bok, żeby lepiej go obejrzeć, przebiegł palcami po pociemniałej otartej skórze, a potem ujął w dłoń penisa. Nie wywołało to żadnej reakcji, więc zaczął się zastanawiać: czy cios w głowę może spowodować impotencję? Gdy zerknął w dół, własne stopy wydały mu się nienaturalnie płaskie i żylaste na zimnej, wyłożonej kafelkami podłodze. To starość – pomyślał wstrząśnięty – to przyszłość: wyglądam jak ten portret autorstwa Luciana Freuda, na którego kupno Gabrielle mnie namawiała. Pochylił się, żeby wziąć torbę, i przez chwilę pokój wokół niego zawirował. Hoffmann przysiadł więc na białym plastikowym krześle i opuścił głowę między kolana.

Gdy doszedł do siebie, ubrał się powoli i starannie – włożył bokserki, bawełniany podkoszulek, skarpety, dżinsy, białą koszulę z długimi rękawami i sportową kurtkę i wraz z każdą z tych rzeczy czuł się odrobinę silniejszy, mniej bezbronny. Gabrielle włożyła mu portfel do kieszeni kurtki. Sprawdził jego zawartość. Miał trzy tysiące franków szwajcarskich w nowych banknotach. Usiadł i włożył mokasyny, a kiedy wstał i ponownie spojrzał na siebie w lustrze, poczuł się satysfakcjonująco zamaskowany. Jego strój nic o nim nie mówił, i to mu się podobało. Właściciel funduszu hedgingowego z kapitałem wartości dziesięciu miliardów dolarów mógł w tych czasach uchodzić za kuriera, który dostarczał mu przesyłki. Pod tym

względem, jeśli już nie żadnym innym, pieniądze – duże pieniądze, pewne pieniądze, takie, którymi nie ma potrzeby się chwalić – stały się demokratyczne.

Ktoś zapukał do drzwi i Hoffmann usłyszał głos radiolożki, doktor Dufort, która wołała go po nazwisku.

– *Monsieur* Hoffmann? *Monsieur* Hoffmann, nic panu nie jest?!

– Nie, dziękuję! – odkrzyknął. – Czuję się znacznie lepiej.

– Kończę już dyżur. Mam coś dla pana. – Otworzył drzwi. Kobieta miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i kalosze, a w ręce trzymała parasolkę. – Proszę. To pańskie tomogramy. – Wsadziła mu w ręce płytę CD w plastikowym pudełku. – Jeśli chce pan mojej rady, powinien pan jak najszybciej pokazać je swojemu lekarzowi.

– Oczywiście, zrobię to, dziękuję pani.

– Naprawdę? – Rzuciła mu sceptyczne spojrzenie.

– Niech pan pamięta. Jeśli dzieje się coś złego, to samo nie przejdzie. Lepiej stawić czoło lękom od razu, niż pozwolić im narastać.

– Więc pani zdaniem coś jest nie tak? – Nie spodobało mu się brzmienie własnego głosu – drżącego, żalosego.

– Nie wiem, *monsieur*. Musi pan poddać się rezonansowi magnetycznemu, aby to stwierdzić.

– A co to może być według pani? – Hoffmann się zawahał. – Nowotwór?

– Nie, nie sędzę.

– To co innego?

Spojrzał jej w oczy, szukając jakiegoś tropu, ale zobaczył tylko znużenie; często musi przekazywać złe wiadomości, uświadomił sobie.

– Pewnie to nic takiego. Ale może też być... tylko spekuluję, rozumie pan? Na przykład stwardnienie rozsiane albo demencja. Lepiej sprawdzić. – Poklepała go po ręce. – Niech pan się zobaczy ze swoim lekarzem, *monsieur*. Naprawdę może mi pan wierzyć: najbardziej przerażające jest zawsze to, co nieznanne.

4

Nawet najmniejsza przewaga jakiegoś stworzenia, niezależnie od jego wieku i okresu życia, nad tymi, z którymi konkuruje, albo choćby nieco lepsza adaptacja do otaczających go warunków fizycznych, wpływa na równowagę w przyrodzie.

Karol Darwin, *O pochodzeniu gatunków* (1859)

Niektórzy z tajnych zespołów doradczych superbogaczy od czasu do czasu głośno wyrażali zdziwienie, dlaczego Hoffmann uczynił Quarry'ego swoim wspólnikiem w Hoffmann Investment Technologies: w końcu to algorytmy fizyka generowały zyski; to on firmował całe przedsięwzięcie. Ale Hoffmannowi odpowiadało, że ma kogoś do reprezentacji, za kim może się schować. Poza tym zdawał sobie sprawę, że bez wspólnika nie byłoby firmy. Quarry miał nie tylko doświadczenie i znajomości w świecie finansjery, których jemu samemu brakowało, ale także coś, czego Hoffmann nigdy by w sobie nie rozwinął, choćby wychodził ze skóry: umiejętność postępowania z ludźmi.

Składał się na nią, oczywiście, urok osobisty. Ale było w tym coś więcej – zdolność manipulowania otoczeniem, aby osiągnąć wyższy cel. Gdyby wybuchła kolejna wojna, Quarry byłby doskonałym adiutantem feldmarszałka – które to stanowisko w brytyjskiej armii piastowali jego prair prapradziadek: pilnowałby, żeby wypełniano rozkazy, łagodziłby pretensje i poczucie krzywdy, zwalniał podwładnych z takim taktem, że skłonni by byli sądzić, iż sami odchodzą, zajmowałby najlepszy miejscowy *châteaux* na tymczasową kwaterę główną i pod koniec długiego, szesnastogodzinnego dnia aktywności godziłby zazdrosnych rywali przy kolacji, do której sam wybierałby odpowiednie wina. Uzyskał w Oksfordzie dyplom z dziedziny politologii, filozofii i ekonomii, był rozwiedziony i miał troje dzieci, bezpiecznie ulokowanych w ponurej lutyensowskiej rezydencji w deszczowym zakątku Surrey, posiadał domek narciarski w Chamonix, dokąd jeździł w zimie z aktualną dziewczyną, jedną z wielu bystrych, pięknych, anorektycznych istot, które porzucał, zanim padła jakakolwiek wzmianka o ginekologu czy prawniku. Gabrielle go nie znosiła.

Niemniej z powodu nagle zaistniałej sytuacji stali się tymczasowymi sprzymierzeńcami. Podczas gdy Hoffmannowi zakładano szwy, Quarry

poszedł dla niej po słodką kawę z mlekiem z automatu na korytarzu. Siedział z Gabrielle w małej poczekalni, z twardymi drewnianymi krzesłami i galaktyką plastikowych gwiazd świecących na suficie. Trzymał ją za rękę i ścisnął w odpowiednich momentach.

Słuchał jej relacji o tym, co się stało. Kiedy wyliczała dziwne reakcje Hoffmanna, które nastąpiły później, zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze:

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Gabs, on nigdy nie był zupełnie normalny, nawet w najlepszych czasach, no nie? Wszystko załatwię, nie martw się. Daj mi tylko dziesięć minut.

Zadzwoił do swojej asystentki i powiedział jej, że potrzebuje jak najszybciej samochodu z kierowcą, który będzie czekał pod szpitalem. Obudził firmowego konsultanta do spraw bezpieczeństwa, Maurice'a Genouda, i szorstko polecił mu przyjechać na pilną naradę w siedzibie firmy za godzinę, a także wysłać kogoś do domu Hoffmannów. Wreszcie, nie bez trudności, skontaktował się z inspektorem Leclerkiem i przekonał go do wyrażenia zgody, aby doktor Hoffmann nie musiał udać się na policję w celu złożenia zeznań zaraz po wyjściu ze szpitala: Leclerc przyznał, że uzyskał już dostatecznie dużo informacji, aby odtworzyć bieg zdarzeń; Hoffmann będzie mógł skorygować swoje zeznania, jeśli okaże się to konieczne, i podpisać je w późniejszym terminie.

Cały ten czas Gabrielle obserwowała Quarry'ego z niechętnym uznaniem. Był zupełnym przeciwieństwem Alexa – przystojnym mężczyzną, który dobrze o tym wiedział. Jako prezbiteriankę z północy drażnił ją jego afektowany południowoangielski sposób bycia. Czasami się zastanawiała, może jest homoseksualistą, a te jego dziewczyny są tylko na pokaz.

– Hugo – zaczęła poważnie, gdy tylko skończył rozmowę przez telefon.
– Chciałabym cię prosić o przysługę. Zabroń mu jechać dziś do biura.

Quarry spojrzał na nią ponownie.

– Moja droga, gdybym uważał, że to coś da, zrobiłbym to. Ale sama wiesz, tak jak ja, że jeśli Alex się przy czymś uprze, to nie ma na niego siły.

– A czy to naprawdę takie ważne? To, co ma dziś do zrobienia?

– Owszem. – Quarry nieznacznie wykręcił rękę, żeby zerknąć na zegarek, nie puszczając jej dłoni. – To znaczy nie jest to nic, czego nie można by odwołać z powodu stanu jego zdrowia. Ale jeśli mam być z tobą

szczerzy, lepiej by było to załatwić. Ludzie przyjechali kawał drogi, żeby się z nim spotkać.

Cofnęła rękę.

– Lepiej na niego uważaj, bo to kura znosząca złote jajka – zauważyła z goryczą. – Gdyby coś mu się stało, ucierpiałyby cała firma.

– Mam tego świadomość – odparł gładko. Gdy się uśmiechnął, wokół jego ciemnoniebieskich oczu pojawiły się zmarszczki; rzęsy, podobnie jak włosy, miał piaskowego koloru. – Posłuchaj, gdybym choć przez chwilę sądził, że grozi mu coś poważnego, odesłałbym go do domu i położył z mamusią do łóżka w ciągu piętnastu minut. I to mogę ci obiecać. A na razie – zakończył, oglądając się przez ramię – jeśli wzrok mnie nie myli, nasza kochana kura znosząca złote jajka właśnie wraca. Ma powyrywane i zmierzwiowane pióra, ale jest w dobrej formie.

W jednej chwili zerwał się na nogi.

– Kochany Al – powiedział, wychodząc współnikowi naprzeciw do połowy korytarza – jak się czujesz? Jesteś bardzo blady.

– Poczuję się znacznie lepiej, gdy tylko stąd wyjdę. – Hoffmann wsunął płytę CD do kieszeni płaszcza tak, żeby Gabrielle tego nie zauważyła. Pocałował ją w policzek. – Już wszystko będzie dobrze.

* * *

Przeszli przez główną izbę przyjęć. Było już prawie wpół do ósmej. Na zewnątrz wreszcie nastał dzień, pochmurny, chłodny i nieprzyjemny. Gęste chmury, które wisały nad szpitalem, były tego samego odcienia szarości co jego tkanka mózgowa, a przynajmniej takie wrażenie odniósł. Hoffmann teraz wszędzie, gdzie spojrzał, widział swój tomogram. Na okrężnym podjeździe powiał wiatr, pod wpływem którego płaszczy przywarł mu do nóg. Mała, ale egalitarna grupa palaczy, lekarzy w białych fartuchach i pacjentów w szlafrokach, stała przed głównym wejściem i kulila się przed nietypowym majowym chłodem. Dym papierosowy wirował w blasku sodowego oświetlenia i rozwiewał się wśród kropli deszczu.

Quarry odnalazł samochód, wielkiego mercedesa z dyskretnej i niezawodnej genewskiej wypożyczalni limuzyn, która na stałe współpracowała z firmą. Stał on w zatoce z miejscami parkingowymi dla niepełnosprawnych. Szofer – potężnie zbudowany wąsaty mężczyzna – wysiadł z za kierownicy, gdy podeszli, i otworzył im drzwi. Ten facet już

mnie woził, pomyślał Hoffmann i zbliżając się do niego, usiłował sobie przypomnieć, jak ma na imię.

– Georges! – przywitał go z ulgą. – Witaj, Georges.

– Dzień dobry, *monsieur*. – Szofer się uśmiechnął i przytknął dłoń do czapki, gdy Gabrielle wsiadała za Quarrym do samochodu. – *Monsieur* – szepnął na boku do Hoffmanna – proszę mi wybaczyć, ale nazywam się Claude.

– Dobrze, panie i panowie – odezwał się Quarry, który zajął miejsce między Hoffmannami i jednocześnie uściśnął ich najbliższe kolana – to dokąd jedziemy?

Hoffmann rzucił: – Do biura – podczas gdy Gabrielle powiedziała: – Do domu.

– Do biura – uściślił Hoffmann – a potem z moją żoną do domu.

Na obrzeżach centrum zaczęły się już tworzyć korki i kiedy mercedes skręcił w Boulevard de la Cluse, Hoffmann, jak to miał w zwyczaju, zapadł w milczenie. Zastanawiał się, czy inni zauważyli jego pomyłkę. Po co w ogóle się odzywał, do diabła?! Zwykle nie zwracał uwagi na kierowców, a już na pewno z nimi nie rozmawiał: podczas podróży samochodowych korzystał z iPada, surfował po sieci, szukając informacji technicznych albo lżejszej lektury, elektronicznej wersji „Financial Timesa” czy „Wall Street Journal”. Rzadko nawet wyglądał przez okno. Dziwnie się czuł, robiąc to teraz, bo nie miał czym się zająć – po raz pierwszy od lat zauważył na przykład ludzi stojących w kolejce na przystanku autobusowym, najwyraźniej już zmęczonych, choć dzień się jeszcze na dobre nie zaczął; albo sporo młodych Marokańczyków i Algierczyków, którzy stali na rogach ulic – czegoś takiego nie zobaczyłoby się w czasach, gdy przeniósł się do Szwajcarii. Dlaczego jednak miałyby ich tu nie być? – pomyślał. Ich obecność w Genewie była takim samym przejawem globalizacji jak obecność jego samego czy Quarry’ego.

Limuzyna zwolniła, żeby skręcić w lewo. Rozległ się dzwonek. Przez ulicę przejechał tramwaj. Hoffmann przesunął nieobecny wzrokiem po twarzach w oświetlonych oknach. Przez chwilę wydawały się wisieć nieruchomo w mroku poranka, a potem cicho ruszyły naprzód i go minęły: niektórzy z pasażerów patrzyli przed siebie, inni drzemali, jeden czytał „Tribune de Geneve” i wreszcie, w ostatnim oknie, ukazał się wydatny profil mężczyzny po pięćdziesiątce z wysokim czołem i niechlujnymi siwymi włosami związanymi w kucyk. Na moment zrównał się

z Hoffmannem, potem jednak tramwaj przyspieszył, zaleciało wyładowaniem elektrycznym i w kaskadzie jasnoniebieskich iskier zjawa zniknęła.

To wszystko zdarzyło się tak szybko i jak we śnie, że Hoffmann nie był pewny, co tak naprawdę widział. Quarry musiał zauważyć, że jego współnik drgnął, albo usłyszeć, że gwałtownie wciągnął powietrze. Odwrócił się więc do niego i zapytał:

– Wszystko w porządku, stary przyjacielu?

Ale Hoffmann był zbyt przestraszony, żeby odpowiedzieć.

– Co się stało? – Gabrielle się wyprostowała i spojrzała zza Quarry’ego na męża.

– Nic. – Hoffmann odzyskał głos. – Chyba znieczulenie przestaje działać. – Osłonił dłonią oczy i wyjrzał przez szybę. – Włącz radio, dobrze?

Wnętrze samochodu wypełnił głos kobiety czytającej wiadomości, niepokojąco wesoły, jakby nie znała tekstu; mogłaby z uśmiechem oznajmić nadejście Armagedonu.

„Wczoraj wieczorem grecki rząd zapowiedział, że nadal będzie wdrażał surowe środki, mimo śmierci trzech urzędników bankowych w Atenach. Ci ludzie stracili życie, gdy demonstranci, protestujący przeciwko cięciom budżetowym, obrzucili bank butelkami z benzyną...”

Hoffmann próbował się zorientować, czy ma halucynacje, czy nie. Jeśli nie, powinien natychmiast zadzwonić do Leclerca, a potem kazać kierowcy jechać za tramwajem aż do przyjazdu policji. Ale jeśli ponosi go wyobraźnia? Wzdrygnął się na myśl o kompromitacji, jaka by z tego wynikła. Co gorsza, to by znaczyło, że nie może już wierzyć własnym zmysłom. A zniósłby wszystko, tylko nie obłąd. Raczej umrze, niż znowu wstąpi na tę ścieżkę. Nic więc nie powiedział i odwrócił twarz, by żona i współnik nie widzieli paniki w jego oczach. Tymczasem z radia płynęły dalsze wiadomości.

„Oczekuje się, że po wielkich spadkach giełdowych, które miały miejsce przez cały tydzień w Europie i Ameryce, notowania rynków finansowych otworzą się nisko. Kryzys wywołały obawy, że co najmniej jeden z krajów strefy euro nie wywiąże się ze spłaty długów. Na Dalekim Wschodzie w nocy nastąpiły dalsze duże spadki...”

Gdyby mój mózg był algorytmem, pomyślał Hoffmann, poddałbym go kwarantannie; zamknąłbym go.

„W Wielkiej Brytanii wyborcy udadzą się dziś do urn wyborczych, aby wybrać nowy rząd. Panuje powszechna opinia, że centrolewicowa Partia Pracy straci władzę po przeszło trzynastu latach...”.

– Zamierzasz oddać głos korespondencyjnie, Gabs? – zapytał Quarry niedbale.

– Tak. A ty nie?

– Broń Boże. Po co się trudzić? Na kogo zagłosujesz? Nie... poczekaj... niech zgadnę. Na zielonych.

– Głosowanie jest tajne – odparła sztywno i odwróciła wzrok, zirytowana, że odgadł.

Fundusz hedgingowy Hoffmanna miał swoją siedzibę w Les Eaux-Vives, w dzielnicy leżącej na południowym brzegu jeziora, równie solidnej i zamożnej jak dziewiętnastowieczni szwajcarscy przedsiębiorcy, którzy ją założyli: przysadziste budynki, szerokie, a la paryskie bulwary z tramwajową siecią trakcyjną, drzewa wiśniowe eksplodujące na krawężnikach mnóstwem zakurzonych białoróżowych kwiatów, sklepy i restauracje przy ulicach, siedmiopiętrowe biurowce i apartamentowce niewzruszenie wznoszące się powyżej. Na tle tej burżuazyjnej szacowności wąska wiktoriańska fasada Hoffmann Investment Technologies prezentowała się dość skromnie, łatwo można ją było przeoczyć; o jej istnieniu informowała tylko mała tabliczka z nazwą firmy przy domofonie. Na podziemny parking prowadziła rampa ze stalowymi drzwiami, której strzeżono za pośrednictwem kamery. Po jednej stronie znajdował się *salon de thé*, a po drugiej otwarty do późnego wieczoru supermarket. Na widocznych w oddali wierzchołkach Jury wciąż leżała warstwa śniegu.

– Obiecasz, że będziesz na siebie uważał? – zapytała Gabrielle, gdy mercedes się zatrzymał.

Hoffmann wyciągnął rękę za plecami Quarry’ego i uściśnął jej ramię.

– Z minuty na minutę wracają mi siły. A co z tobą, skoro o tym mowa? Nie boisz się wrócić do domu?

– Genoud już tam kogoś wysłał – wyjaśnił Quarry.

Gabrielle zrobiła za jego plecami minę – skrzywiła usta, wystawiła język i przewróciła oczami. Wbrew sobie Hoffmann niemal parsknął śmiechem.

– Hugo ma kontrolę nad wszystkim – zauważyła – mam rację, Hugo? Jak zwykle. – Cmoknęła dłoń męża, która wciąż spoczywała na jej

ramieniu. – Zresztą i tak wpadnę do domu tylko na chwilę. Wezmę swoje rzeczy i pojadę do galerii.

Szofer otworzył drzwi samochodu.

– Hej, posłuchaj – powiedział Hoffmann. Nie chciał się z nią rozstać. – Życzę ci powodzenia. Przyjadę, jak tylko będę mógł się wyrwać, i zobaczę, jak ci idzie.

– Byłoby mi miło.

Wysiadł na chodnik. Gabrielle nagle doznała przeczucia, że widzi go po raz ostatni, to wrażenie było tak silne, że niemal zrobiło jej się niedobrze.

– Jesteś pewien, że oboje nie powinniśmy wszystkiego odwołać i zrobić sobie wolne?

– Ależ skąd. Wszystko pójdzie świetnie.

Quarry rzucił tymczasem: – No to pa, moja droga – i przesunął się na skórzanej tapicerce tylnego siedzenia, żeby wysiąść.

– Wiesz co? – zagadnął, gdy już się wygramolił na zewnątrz. – Może też wpadnę i kupię jedno z twoich dzieł. Dobrze by wyglądało w naszej recepcji.

Gdy samochód odjeżdżał, Gabrielle wyjrzała przez tylną szybę. Quarry objął lewym ramieniem Alexa i prowadził go po chodniku; prawą dłoń natomiast żywo gestykulował. Co te gesty oznaczały, nie miała pojęcia, ale była pewna, że żartował. Chwilę później obaj zniknęli z pola widzenia.

* * *

Biura Hoffmann Investment Technologies ukazywały się gościom jak starannie przemyślane etapy sztuczki magicznej. Ciężkie drzwi z przydymionego szkła otwierały się automatycznie, odsłaniając wąską recepcję, nieco tylko szerszą od korytarza o niskim suficie, wyłożonego brązowym granitem, z przyćmionym światłem. Następnie wchodzący zwracał twarz do kamery, skanującej obraz trójwymiarowo: w ciągu niespełna sekundy metryczny algorytm geometryczny dopasowywał jego parametry do swojej bazy danych (podczas tej procedury należało zachować neutralny wyraz twarzy); jeśli się było gościem, należało podać swoje nazwisko zawsze poważnemu strażnikowi. Po sprawdzeniu tożsamości należało przejść przez stalowy kołowrót i podążyć dalej innym krótkim korytarzem, a następnie skrócić w lewo – i nagle człowiek stawał przed wielką otwartą przestrzenią zalaną dziennym światłem: dopiero

wtedy uświadamiał sobie, że są to tak naprawdę trzy budynki połączone w jeden. Ściany na tyłach bowiem wyburzono i w ich miejsce postawiono istną alpejską lawinę lodową z pozbawionego ram szkła, wysokości ośmiu pięter, która górowała nad centralnie położonym dziedzińcem z fontanną pośrodku i wielkimi paprociami. Bliźniacze windy bezszelestnie kursowały w górę i w dół w swoich dźwiękoszczelnych przeszklonych szybach.

Quarry, showman i handlowiec, zachwycił się tym projektem w chwili, gdy oprowadzono go po budynku przed dziewięcioma miesiącami. Hoffmann natomiast zakochał się w komputerowym systemie sterowania – oświetleniu, które harmonizowało ze światłem dziennym na zewnątrz, oknach, które otwierały się automatycznie, żeby regulować temperaturę, kominach w dachu, którymi do środka dostawało się świeże powietrze, aby nie trzeba było instalować klimatyzacji we wszystkich otwartych pomieszczeniach, systemie grzewczym z wykorzystaniem pomp ciepła czerpanego z ziemi, urządzeniu przetwarzającym deszczówkę, ze zbiornikiem pojemności stu tysięcy litrów, do spuszczenia wody w toaletach. Budynek reklamowano jako „holistyczną, cyfrowo sterowaną konstrukcję o minimalnej emisji dwutlenku węgla”. Na wypadek pożaru natychmiast zamykano szyby w systemie wentylacyjnym, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się dymu, a windy zjeżdżały na parter, żeby ludzie nie mogli do nich wsiąść. A co najważniejsze, budynek był podłączony do światłowodu GV1, najszybszego w Europie. To przesądziło sprawę: wynajęli całe piąte piętro. Pozostali najemcy poniżej i powyżej – DigiSyst, Ecotech, EuroTel – byli równie tajemniczy jak ich nazwy. Pracownicy jednej firmy jakby nie zauważali istnienia pracowników innej. Podczas jazdy windą panowała niezręczna cisza, wsiadający pasażerowie mówili tylko, na które piętro jadą (system rozpoznawania głosu rozróżniał regionalizmy w dwudziestu czterech językach): Hoffmannowi, który fetyszyzował prywatność i nie znosił towarzyskich pogawędek, bardzo to odpowiadało.

Piąte piętro stanowiło udzielne księstwo w królestwie. Dostęp z wind blokowała ściana z matowego turkusowego szkła z pęcherzykami powietrza. Żeby się przez nią przedostać, trzeba było, jak na dole, zwrócić twarz – z naturalną miną – do czytnika. Pozytywna identyfikacja powodowała uruchomienie panelu i szkło drżało lekko, gdy tafla przesuwiała się na bok, ukazując recepcję firmy: niskie sześciany obite czarnoszarą tapicerką, poustawiane jak dziecięce klocki w formie foteli

i kanap, stolik do kawy z chromu i szkła oraz ruchome konsole mieszczące komputery z ekranami dotykowymi dla gości, aby mogli, czekając na spotkanie, korzystać z internetu. Na każdym wygaszacz ekranu widniało kredo firmy, złożone czerwonymi literami na białym tle:

FIRMA PRZYSZŁOŚCI NIE BĘDZIE POTRZEBOWAŁA
PAPIERU.

FIRMA PRZYSZŁOŚCI NIE BĘDZIE POTRZEBOWAŁA
WYPOSAŻENIA.

FIRMA PRZYSZŁOŚCI BĘDZIE WYŁĄCZNIE CYFROWA.

FIRMA PRZYSZŁOŚCI WŁAŚNIE NASTAŁA.

W recepcji nie było żadnych czasopism ani gazet; wynikało to ze świadomej polityki, starano się bowiem, na ile było to możliwe, nie wnosić na teren firmy żadnych druków ani papieru do pisania. Oczywiście, nie można było narzucić tego gościom, ale pracownicy, łącznie z kierownictwem, musieli płacić grzywnę w wysokości dziesięciu franków, a ich nazwiska ogłaszano w wewnętrznej sieci, gdy tylko zostali przyłapani na korzystaniu z papieru czy atramentu zamiast silikonu i plastiku. Zdumiewające było, jak szybko ludzie, nawet Quarry, pod wpływem tego prostego nakazu zmieniali nawyki. Dziesięć lat od czasu, gdy Bill Gates po raz pierwszy w *Biznesie szybkim jak myśl* wygłosił mowę o konieczności wprowadzenia biur bez papieru, Hoffmann urzeczywistnił tę ideę. W dziwny sposób był tak samo dumny z tego dokonania jak ze wszystkich innych.

Dlatego było dla niego krępujące, że musiał przejść przez recepcję z pierwszym wydaniem *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt*. Gdyby przyłapał kogoś innego z tą książką, powiedziałby mu, że tekst jest dostępny online w ramach Projektu Gutenberg albo na darwin.online.org, i zapytałby biedaka sarkastycznie, czy jego zdaniem czyta szybciej od algorytmu VIXAL 4 albo czyjego mózg jest sprawniejszy od wyszukiwarki internetowej. Nie widział sprzeczności w tym, że w pracy zakazywał korzystania z książek, a w domu kolekcjonował rzadkie pierwodruki. Książki były dla niego antykami, jak wszystkie inne artefakty. Równie dobrze można by było zganić kolekcjonera weneckich kandelabrow czy

sedesów pokojowych z okresu regencji za to, że używa światła elektrycznego czy toalety ze spłuczką. Niemniej wsunął tom pod płaszcz i zerknął z poczuciem winy na jedną z małych kamer monitorujących piętro.

– Łamie pan własne zasady, profesorze? – zapytał Quarry i jednocześnie poluzował szalik. – Ładnie, bardzo ładnie.

– Zapomniałem, że mam ją przy sobie.

– Jasne. Idziemy do ciebie czy do mnie?

– Nie wiem. Czy to ma jakieś znaczenie? Dobra... do ciebie.

Do gabinetu Quarry'ego szło się przez dział transakcji, czyli parkiet. Japońską giełdę zamykano za piętnaście minut, europejską otwierano o dziewiątej, więc w biurze ciężko pracowało już ponad czterdziestu analityków kwantytatywnych – w zawodowym żargonie zwanych lekceważąco kwantami. Żaden z nich nie mówił głośniejszym niż szeptem. Każdy patrzył w milczeniu na swój terminal składający się z sześciu oddzielnych ekranów. Wielkie telewizory plazmowe, z przyciszonym dźwiękiem, były nastawione na kanały CNBC i Bloomberga, podczas gdy tworzący jaskrawoczerwoną linię szereg zegarów elektronicznych pod nimi bezszelestnie pokazywał nieubłagany upływ czasu w Tokio, Pekinie, Moskwie, Genewie, Londynie i Nowym Jorku. Taki to dźwięk towarzyszył robieniu pieniędzy w drugiej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku. O obecności ludzkiej świadczył jedynie cichy stukot w klawiaturę, który rozlegał się od czasu do czasu.

Hoffmann podniósł rękę ku tyłowi głowy i dotknął twardej, jakby szczerzącej się w uśmiechu rany. Ciekaw był, czy bardzo ją widać. Może powinien włożyć czapkę bejsbolową? Miał świadomość, że jest błąd i nieogolony, i starał się unikać wzroku kogokolwiek, co nie było trudne, bo niewielu zadawało sobie trud, żeby na niego spojrzeć. Zespół jego kwantów w dziewięciu dziesiątych składał się z mężczyzn, choć sam Hoffmann nie bardzo rozumiał, dlaczego tak jest. Nie był to efekt celowej polityki: można było po prostu odnieść wrażenie, że o pracę tę ubiegali się wyłącznie mężczyźni, przeważnie uciekający z uczelni przed typową dla nich bolączką: niskimi pensjami i dużym zadęciem. Kilku odeszło z CERN-u. Hoffmann nie brał nawet pod uwagę zatrudnienia kogoś bez doktoratu z matematyki czy nauk fizycznych; wszystkie prace doktorskie musiały być zrecenzowane przez kolegów i uzyskać wysokie noty. Narodowość nie miała znaczenia, podobnie jak obywatelstwo, tak że w efekcie podwładni

Hoffmanna czasami przypominali członków konferencji ONZ na temat zespołu Aspergera. Quarry nazywał tę społeczność „planetą małą”. Za sprawą zeszłorocznej premii przeciętne wynagrodzenie w firmie osiągnęło poziom prawie pół miliona dolarów rocznie.

Tylko pięć osób z kierownictwa miało własne gabinety – szefowie działów: finansowego, ryzyka i operacji, Hoffmann, który piastował stanowisko prezesa firmy, i Quarry, oficjalnie dyrektor generalny. Gabinetami tymi były standardowe dźwiękoszczelne przedziały z białymi weneckimi żaluzjami, białą wykładziną i skandynawskimi meblami z jasnego drewna i chromu. Okna pokoju Quarry’ego wychodziły na ulicę i znajdujący się po jej drugiej stronie prywatny bank niemiecki, kryjący się za grubymi firankami. Dyrektor generalny niedawno zlecił firmie Benetti z Viareggio budowę superjachtu długości sześćdziesięciu pięciu metrów, więc na ścianach wisały projekty i szkice łodzi oprawione w ramki, a na biurku stał jej drewniany model w pomniejszonej skali. Kadłub miał być wyposażony w rząd świateł biegnących poniżej pokładu, które będzie można włączać i wyłączać, a także zmienić ich kolor za pomocą pilota w breloczku, jedząc w porcie kolację. Quarry zamierzał go nazwać „Trade Alpha”. Hoffmann, któremu zupełnie wystarczał jacht produkcji Hobie Cat, miał obawy, że klienci mogą wziąć tę ostentację za dowód, iż firma zarabia za dużo pieniędzy. Ale jak zwykle Quarry znał ich mentalność lepiej niż on: – Nie, nie, wręcz przeciwnie, będą pod wrażeniem. Zaczną mówić wszystkim: „Masz pojęcie, jaką ci goście tłuką forszę...?”. I tym bardziej będą chcieli z nami współpracować, możesz mi wierzyć. To duzi chłopcy. Stado baranów.

Usiadł teraz za modelem jachtu, wyjrzał zza jednego z trzech basenów na jego pokładzie i zapytał:

– Kawy? Coś na śniadanie?

– Poproszę tylko kawę. – Hoffmann podszedł do okna. Quarry powiedział przez interkom do asystentki:

– Dwie czarne kawy. – A Hoffmannowi poradził: – Powinieneś pić dużo wody. Bo inaczej się odwodnisz. – Ale ten nie słuchał. Rzucił więc do interkomu: – I jeszcze wodę niegazowaną, kotku. A dla mnie banana i jogurt. Jest już Genoud?

– Jeszcze nie przyszedł.

– Kiedy się zjawi, przyślij go od razu. – Zwolnił przycisk. – Dzieje się tam coś ciekawego?

Hoffmann oparł dłonie na parapecie. Patrzył na ulicę. Grupa pieszych czekała na rogu, aż zmienią się światła, mimo że na jezdni nie było ruchu. Obserwując ich przez chwilę, Hoffmann mruknął wściekle: – Ci cholerni praworządni Szwajcarzy... straszne z nich dupki!

– Uhm, ale przypomnij sobie, że te dupki oferują nam stawkę podatkową osiem koma osiem, i od razu poczujesz się lepiej.

Do gabinetu weszła bez pukania stylowa piegowata kobieta w sweterku z głębokim dekoltem i kaskadą ciemnorudych włosów; była to asystentka Quarry'ego, Australijka – Hoffmann nie pamiętał jej imienia. Podejrzał, że była kiedyś dziewczyną Hugona, która przekroczyła barierę wieku na tym stanowisku, trzydzieści jeden lat, i została oddelegowana do lżejszych obowiązków w innym sektorze. Niosła tacę. Za nią stał mężczyzna w ciemnym garniturze i czarnym krawacie, z przewieszonym przez ramię beżowym płaszczem przeciwdeszczowym.

– Jest już pan Genoud – oznajmiła, a potem dodała z troską: – Jak się czujesz, Alex?

Hoffmann zwrócił się do Quarry'ego:

– Powiedziałaś jej?

– Tak, zadzwoniłem do niej ze szpitala. Przysłała po nas samochód. Czy to ma jakieś znaczenie? To chyba żadna tajemnica, co?

– Wolałbym, żeby nikt z biura nie wiedział, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Jasne, skoro tak sobie życzysz. Zachowaj to dla siebie, Amber, dobrze?

– Oczywiście, Hugo. – Spojrzała ze zdziwieniem na Hoffmanna. – Przepraszam, Alex.

Hoffmann podniósł rękę w geście łaskawości. Wziął z tacy filiżankę kawy i wrócił do okna. Piesi przeszli już przez ulicę. Tramwaj zatrzymał się na przystanku i otworzył drzwi, a pasażerowie wysypali się z niego na całej długości, jakby ktoś przeciął go nożem i wypatroszył. Hoffmann usiłował dostrzec twarze poszczególnych ludzi, ale było ich zbyt wielu i rozchodzili się zbyt szybko. Pociągnął łyk kawy. Kiedy znowu się odwrócił, Genoud był już w gabinecie i drzwi zostały zamknięte. Mężczyźni mówili coś do niego, ale on tego nie słyszał. Uświadomił sobie, że zapadła krępująca cisza.

– Słucham?

Genoud powtórzył cierpliwie:

– Właśnie mówiłem panu Quarry’emu, doktorze Hoffmann, że rozmawiałem z kilkoma dawnymi kolegami z policji genewskiej. Właśnie sporządzili rysopis tego człowieka. A w pańskim domu jest teraz ekipa dochodzeniowa.

Hoffmann poinformował:

– Inspektor, który prowadzi śledztwo w tej sprawie, nazywa się Leclerc.

– Tak, znam go. Niestety, niebawem wyślą go na zieloną trawkę. Ta sprawa go chyba przerasta. – Genoud się zawahał. – Mogę pana o coś zapytać, doktorze Hoffmann... na pewno wszystko mu pan powiedział? Lepiej nic przed nim nie ukrywać.

– Oczywiście, że tak. Dlaczego miałbym coś przemilczeć? – Hoffmann nie zważał na ton, jaki przybrał.

Włączył się Quarry: – Gównu mnie obchodzi, co myśli inspektor Clouseau. Najważniejsze, jak ten świr pokonał zabezpieczenia w domu Alexa? I czy jeśli raz się tam dostał, może to zrobić powtórnie? A jeśli dostał się do domu, to czy może również dostać się tutaj, do biura? To za to ci płacimy, nieprawdaż, Maurice? Masz zapewnić nam bezpieczeństwo czy nie?

Na zapadniętych policzkach Genouda wystąpiły rumieńce.

– Ten budynek jest strzeżony jak żaden inny w Genewie. Jeżeli chodzi o dom doktora Hoffmanna, policja twierdzi, że intruz znał kody dostępu do bramy, drzwi wejściowych i być może nawet szyfr systemu alarmowego. Żaden system bezpieczeństwa na świecie przed tym nie ochroni.

– Wieczorem zmienię kody. A w przyszłości sam będę decydować, kto je pozna – oświadczył Hoffmann.

– Zapewniam pana, doktorze Hoffmann – odparł Genoud – że tylko dwie osoby w naszej firmie znają te kombinacje: ja sam i jeden z moich techników. Przecieki nastąpił gdzie indziej.

– Tak pan mówi. Ale skądś ten facet musiał je wziąć.

– Dobra, zostawmy na razie sprawę kodów – odezwał się znowu Quarry. – Dopóki gość nie zostanie złapany, trzeba zapewnić Alexowi odpowiednią ochronę. Co proponujesz, Maurice?

– Na pewno stałą obserwację domu... jeden z moich ludzi już tam jest. Dziś w nocy co najmniej dwóch ludzi na warcie... jeden będzie patrolował posiadłość, a drugi pozostanie w domu, na parterze. Gdy doktor Hoffmann będzie przemieszczał się po mieście, proponuję, żeby towarzyszyli mu kierowca po szkoleniu antyterrorystycznym i ochroniarz.

- Uzbrojony?
- To już zależy od pana.
- I co pan na to, profesorze?

Godzinę wcześniej Hoffmann uznałby każdy z tych środków bezpieczeństwa za absurdalny. Ale zjawa z tramwaju go przeraziła. Raz po raz ogarniały go ataki paniki niczym pożar buszu.

– Chcę, aby ochraniało także Gabrielle. Zakładamy, że ten maniak chciał dopaść mnie, ale może chodzi mu o nią?

Genoud zaczął robić notatki w swoim organizerze.

- Dobrze, zajmiemy się tym.
- Tylko do czasu, gdy drań zostanie schwytany, dobra? Potem będziemy mogli wrócić do normalności.

– A co z panem, panie Quarry? – zapytał Genoud.

– Pana też mamy strzec?

Quarry się zaśmiał.

– Jedyne, co nie daje mi spać po nocach, to strach przed pozwaniem do sądu o ustalenie ojcostwa.

* * *

– Dobra – rzucił Quarry, gdy Genoud już wyszedł – porozmawiajmy teraz o prezentacji... jeśli jesteś na nią gotowy.

– Jestem gotowy.

– No to dzięki Bogu. Dziewięciu inwestorów. wszystko nasi klienci, tak jak uzgodniliśmy. Cztery instytucje, trzech ultrabogatyh inwestorów indywidualnych, dwie rodzinne firmy i kuropatwa trzepocząca skrzydłami, żeby odciągnąć uwagę od swojego potomstwa.

– Kuropatwa?

– W porządku, może nie kuropatwa. Nie ma żadnej kuropatwy, przyznaję. – Quarry miał doskonały humor. Jeśli w trzech czwartych był hazardzistą, to w jednej czwartej – handlowcem, który od dłuższego czasu nie miał okazji wystawić głowy. – Główne zasady są takie: po pierwsze, muszą podpisać umowę z klauzulą poufności dotyczącą naszego firmowego oprogramowania, a po drugie, każdy z nich będzie mógł ściągnąć jednego z profesjonalnych doradców. Wszyscy mają przyjechać za jakieś półtorej godziny... proponuję, żebyś wziął prysznic i się ogolił, zanim się tu zjawią: musisz sprawiać wrażenie błyskotliwego ekscentryka, a nie... jeśli wolno

mi się tak wyrazić... jakiegoś walniętego świra. Przedstawisz im założenia. Pokażemy im sprzęt. A potem ja wstawię gadkę. I na koniec zabierzemy ich na lunch do Beau-Rivage.

– Ile do ilu chcemy podbić stawkę?

– Chciałbym do miliarda. Ale na siedemset pięćdziesiąt też się zgodzimy.

– A prowizja? Taka, jak ustaliliśmy? Trzymamy się dwóch i dwudziestu?

– A jak sądzisz?

– Sam nie wiem. To twoja działka.

– Jeśli podamy kwoty wyższe niż zwyczajowe, wyjdziemy na chciwców, a jeśli niższe... rano nie będą nas szanować.

Z naszymi osiągnięciami to rynek sprzedawcy, ale mimo to trzymajmy się dwóch i dwudziestu. – Quarry odsunął się z fotelem w tył i jednym płynnym ruchem położył nogi na biurku. – To będzie nasz wielki dzień, Alex. Czekałszy rok, żeby im to zaprezentować. A oni już przebierają nogami.

Dwa procent prowizji rocznie od miliarda dolarów za zarządzanie portfelem to dwadzieścia milionów, a wymaga tylko przychodzenia rano do roboty. Dwadzieścia procent prowizji zysku z zainwestowanego miliarda, przy założeniu dwudziestoprocentowej stopy zwrotu – całkiem skromnie na obecne standardy Hoffmanna – to dodatkowe czterdzieści milionów w rok. Innymi słowy, roczny dochód w wysokości sześćdziesięciu milionów dolarów za pół dnia pracy i dwie godziny męczących pogaduszek w małej restauracyjce. Nawet Hoffmann był gotów za taką sumę pocierpieć trochę w towarzystwie tych głupców.

– A kogo właściwie ściągnęliśmy? – zapytał.

– Och, no wiesz... zwykłych podejrzanych. – Przez kilka następnych minut Quarry przedstawiał każdego z nich. – Ale nie martw się o nich. Tą stroną zajmę się ja. Ty tylko masz opowiedzieć o swoich genialnych algorytmach. A teraz idź i odpocznij trochę.

5

Prawie żadna inna zdolność nie odgrywa ważniejszej roli w rozwoju intelektualnym człowieka niż koncentracja. Zwierzęta wyraźnie ją demonstrują, jak kot, który obserwuje mysz dziurę i przygotowuje się do ataku na swoją ofiarę.

Karol Darwin, *O pochodzeniu człowieka* (1871)

Gabinet Hoffmanna wyglądał tak samo jak Quarry'ego, z tym wyjątkiem, że nie było w nim rysunków łodzi ani żadnych innych dekoracji oprócz trzech oprawionych w ramki zdjęć. Jedno przedstawiało Gabrielle i zostało zrobione podczas lunchu na plaży Pampelonne w Saint-Tropez przed dwoma laty: żona śmiała się na nim, patrząc wprost do aparatu, słońce świeciło jej w twarz i na policzku miała biały ornament z wyschniętej soli od długiego pływania w morzu przez cały ranek – Hoffmann nigdy nie widział nikogo tak pełnego życia; za każdym razem, gdy patrzył na tę fotografię, poprawiał mu się nastrój. Na drugim zdjęciu, zrobionym w 2001 roku, był on sam, miał na głowie żółty kask ochronny i przebywał sto siedemdziesiąt pięć metrów pod ziemią, w tunelu, w którym ostatecznie miał się znaleźć synchrotron Wielkiego Zderzacza Hadronów. Na trzecim widniał Quarry w stroju wieczorowym, gdy przyjmował w Londynie od ministra rządu laburzystowskiego nagrodę przyznawaną corocznie menedżerom najlepszych algorytmicznych funduszy hedgingowych; Hoffmann, oczywiście, odmówił pójścia na tę uroczystość, co Quarry zaaprobował, twierdząc, że to tylko posłuży wizerunkowi firmy.

Hoffmann zamknął drzwi i obszedł przeszklone ściany gabinetu, opuszczając wszystkie weneckie żaluzje i zamykając je. Powiesił płaszcz, wyjął z jego kieszeni płytę CD ze swoim tomogramem i postukał pudełkiem o zęby, bo nie wiedział, co z nią zrobić. Jego biurko było puste, znajdowały się na nim tylko terminal Bloomberga z sześcioma oddzielnymi ekranami, klawiatura, mysz i telefon. Usiadł na swoim cennym – wartym dwa tysiące dolarów – ortopedycznym fotelu obrotowym z wysokim oparciem, pneumatycznym mechanizmem regulacji ustawień i jasnobieżową tapicerką, otworzył dolną szufladę biurka i wrzucił do niej płytę, żeby zniknęła z widoku. Potem szufladę zamknął i włączył komputer. W Tokio indeks Nikkei obejmujący dwieście dwadzieścia pięć spółek spadł na zamknięciu o trzy i trzy dziesiąte procent. Cena akcji Mitsubishi

zniżkowała o pięć i cztery dziesiąte procent, Japan Petroleum Exploration Company – cztery procent, Mazda Motors – pięć procent, a Nikon – trzy i pół procent. Indeks Shanghai Composite stracił cztery i jedną dziesiątą procent w ciągu ośmiu miesięcy. To zamienia się w prawdziwy pogrom, pomyślał Hoffmann.

Nagle, zanim zdał sobie sprawę, co się dzieje, ekrany przed nim się rozmazały i zaczął płakać. Ręce mu się trzęsły. Z jego gardła wydobył się dziwny żalony dźwięk. Górną częścią jego ciała wstrząsnął spazmatyczny szloch. Rozsypuje się na kawałki, pomyślał i w poczuciu nieszczęścia złożył głowę na biurku. A jednocześnie zachował dziwną obojętność w stosunku do swojego własnego załamania, jakby obserwował samego siebie z górnego rogu pokoju. Miał świadomość, że oddycha gwałtownie jak wyczerpane zwierzę. Po kilku minutach, kiedy wreszcie przestał się trząść i znowu mógł złapać oddech, poczuł się znacznie lepiej, a nawet ogarnęła go lekka euforia – tanie katharsis wywołane płaczem. Uświadomił sobie, że łatwo mógłby się od niego uzależnić. Usiadł, zdjął okulary i przetarł drżącymi jeszcze opuszkami palców oczy, a potem wierzchem dłoni nos. Wydął policzki.

– Boże – szepnął do siebie. – Boże, Boże.

Siedział bez ruchu parę minut, aż się upewnił, że odzyskał panowanie nad sobą, a potem wstał, podszedł do płaszcza i wyjął z niego dzieło Darwina. Położył je na biurku i usiadł przy nim. Licząca sto trzydzieści osiem lat zielona płócienna oprawa z lekko wystrzępionym grzbietem wyraźnie kontrastowała z wyposażeniem jego biura, gdzie nic nie było starsze niż sprzed sześciu miesięcy. Z wahaniem otworzył książkę w miejscu, w którym skończył czytać tuż po północy (rozdział dwunasty: *Zaskoczenie – osłupienie – strach – przerażenie*). Wyjął reklamówkę holenderskiego antykwariatu, rozłożył ją i wygładził. „Rosengaarden & Nijenhuis, antykwaryczne dzieła naukowe i medyczne. Rok założenia 1911”. Sięgnął po telefon. Po krótkim zastanowieniu, czy słusznie postępuje, wystukał numer antykwariatu w Amsterdamie.

Telefon dzwonił dłuższą chwilę; nikt nie odbierał, ale nic dziwnego, była dopiero ósma trzydzieści. Hoffmann nie miał jednak żadnych względów, jeśli chodzi o czas i porę dnia: zakładał, że jeśli sam siedzi przy biurku, to inni też powinni. Czekał i czekał na połączenie, myśląc jednocześnie o Amsterdamie. Był w nim dwa razy. Podobała mu się jego elegancja, świadomość historii; to miasto miało inteligencję:

muszą pojechać tam z Gabrielle, gdy już będzie po wszystkim. Wypalą sobie trawkę w kawiarni – czy nie tak robią ludzie w Amsterdamie? – a potem będą się kochać przez całe popołudnie w pokoju na poddaszu przytulnego hoteliku. Wyobraził sobie dzwonienie telefonu w jakimś zakurczonym sklepie z książkami, za szybkami z grubego weneckiego szkła, przy brukowanej ulicy, oddzielonej drzewami od kanału; wysokie regały z rozchwianymi drabinkami; wymyślne przyrządy naukowe wykonane z polerowanego mosiądzu – może sekstans i mikroskop; starszy księgarz, przygarbiony i łysy, obraca klucz w drzwiach i pośpiesznie podchodzi do biurka, jeszcze zdąży odebrać telefon...

– *Goedemorgen. Rosengaarden en Nijenhuis.*

Głos nie był ani stary, ani męski, tylko młody i kobiecy, melodyjny, wręcz śpiewny.

– Czy mówi pani po angielsku? – spytał Hoffmann.

– Tak. W czym mogę panu pomóc?

Odchrząknął i wyprostował się w fotelu.

– Jeśli się nie mylę, przedwczoraj wysłali mi państwo książkę. Nazywam się Alexander Hoffmann. Mieszkam w Genewie.

– Hoffmann? A tak, doktor Hoffmann! Pamiętam, oczywiście. Pierwsze wydanie Darwina. Piękna książka. Dostał ją pan już? Mam nadzieję, że nie było żadnych kłopotów z dostawą.

– Tak, dostałem. Ale nie dołączono żadnego listu, więc nie mogę podziękować osobie, która ją dla mnie kupiła. Mogłaby mi pani podać jej nazwisko?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Powiedział pan, że nazywa się Alexander Hoffmann?

– Uhm, zgadza się.

Tym razem przerwa była dłuższa i kiedy dziewczyna odezwała się znowu, była najwyraźniej zmieszana.

– Sam pan ją kupił, doktorze Hoffmann.

Zamknął oczy. Kiedy ponownie je otworzył, wydało mu się, że gabinet obrócił się lekko wokół własnej osi.

– To niemożliwe – odparł. – Nie kupiłem jej. To musiał być ktoś, kto się za mnie podał.

– Ależ pan za nią zapłacił. Na pewno pan o tym nie zapomniał?

– W jaki sposób zapłaciłem?

– Przelewem.

– A jaka to była suma?

– Dziesięć tysięcy euro.

Wolną ręką Hoffmann uchwycił się brzegu biurka.

– Chwileczkę. Jak to się mogło stać? Ktoś przyszedł do antykwariatu i przedstawił się jako ja?

– Sklep już nie istnieje. Od pięciu lat. Korespondencję odbieramy na poste restante. Magazyn mamy teraz pod Rotterdamem.

– Ale ktoś przynajmniej musiał rozmawiać ze mną przez telefon?

– Nie, teraz nie rozmawia się już z klientami. Zamówienia przychodzą drogą e-mailową.

Hoffmann przytrzymał telefon ramieniem. Kliknął w ikonę na ekranie i wszedł do poczty. Przewinął elementy wysłane.

– Kiedy rzekomo wysłałem to zamówienie?

– Trzeciego maja.

– Hm, przeglądam właśnie swoje e-maile z tamtego dnia i zapewniam panią, że nie wysłałem do państwa żadnej wiadomości. Z jakiego adresu wysłano zamówienie?

– A kropka Hoffmann mała Hoffmann Investment Technologies kropka com.

– Zgadza się, to mój adres. Ale nie widzę tu żadnego listu do antykwariatu.

– Może wysłał go pan z innego komputera?

– Nie, na pewno nie. – Ale gdy wypowiadał te słowa, w jego głosie zabrakło pewności i poczuł, że ze strachu robi mu się słabo, jakby pod jego stopami rozwarła się przepaść. Radiolożka wspomniała, że przyczyną białych kropek na tomogramie może być demencja. Niewykluczone, że wysłał zamówienie z komórki, laptopa albo komputera domowego i o tym zapomniał – chociaż gdyby rzeczywiście tak było, chyba gdzieś pozostałby jakiś ślad? Odparł więc:

– Jak dosłownie brzmi wiadomość, którą do państwa wysłałem? Może mi ją pani przeczytać?

– Nie było wiadomości. Zamówienia dokonuje się automatycznie. Klient klika na tytuł w naszym katalogu internetowym i wypełnia elektroniczny formularz... podaje nazwisko, adres, sposób płatności. – Kobieta musiała dosłyszeć brak pewności w jego głosie i stała się ostrożna. – Mam nadzieję, że nie chce pan anulować zamówienia.

– Nie, tylko chciałbym coś ustalić. Mówi pani, że zapłacono przelewem. Z jakiego rachunku bankowego wyszły pieniądze?

– Nie mogę ujawnić tej informacji.

Hoffmann zmobilizował wszystkie swoje siły.

– Proszę mnie posłuchać. Padłem ofiarą poważnego oszustwa. Podawanie się za kogoś innego to przestępstwo. Z całą pewnością anuluję zamówienie i przekażę całą tę podejrzaną sprawę w ręce policji oraz moich prawników, jeśli nie poda mi pani tego przeklętego numeru konta, żebym mógł się dowiedzieć, o co tu, do cholery, chodzi!

Po drugiej stronie łącza zapadła cisza. W końcu kobieta powiedziała zimno:

– Nie mogę ujawnić tej informacji przez telefon, ale wyślę ją pod adres e-mailowy, który widnieje na zamówieniu. Zrobię to natychmiast. Czy to pana zadowala?

– Owszem, zadowala. Dziękuję pani.

Hoffmann rozłączył się i odetchnął. Oparł łokcie na biurku, złożył głowę na splecionych dłoniach i przez chwilę wpatrywał się w ekran komputera. Miał wrażenie, że czas płynie bardzo powoli, ale tak naprawdę upłynęło zaledwie dwadzieścia sekund do chwili, gdy skrzynka odbiorcza powiadomiła go o nadejściu nowego e-maila. Otworzył go. Pochodził z antykwariatu. Nie było w nim żadnego nagłówka, tylko pojedynczy szereg cyfr i liter, a także nazwisko właściciela rachunku: A.J. Hoffmann. Zapatrzył się na niego, a potem zadzwonił przez interkom do swojej asystentki:

– Marie-Claude, mogłabyś przesłać mi e-mailem numery wszystkich moich kont bankowych? Jak najszybciej, proszę.

– Oczywiście.

– I chyba masz listę kodów dostępu do mojego domu, prawda?

– Tak, mam, doktorze Hoffmann. – Marie-Claude była energiczną Szwajcarką między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Pracowała dla Hoffmanna od pięciu lat i jako jedyna w budynku nie zwracała się do niego po imieniu. Nie mieściło mu się w głowie, żeby mogła być zamieszana w jakąkolwiek działalność przestępczą.

– Gdzie je trzymasz?

– W pańskim osobistym folderze.

– Czy ktoś się nimi interesował?

– Nie.

– Rozmawiałaś o nich z kimś?
– Ależ skąd.
– Nawet z mężem?
– Mój mąż zmarł w zeszłym roku.
– Naprawdę? Ojej. Dobra. To przepraszam. W każdym razie zeszłej nocy włamano się do mojego domu. Być może policja zechce zadać ci kilka pytań. Tylko cię uprzedzam.
– Rozumiem, doktorze Hoffmann.
Czekając, aż Marie-Claude prześle mu listę jego kont, przerzucił Darwina. Odszukał w spisie treści rozdział pod tytułem *Podęjrzenie*:

Serce człowieka może przepęłniać najczarniejsza nienawiść albo podejrzliwość, może trawić je zawiść i zazdrość; ale ponieważ uczucia te nie prowadzą do żadnych działań i trwają tylko jakiś czas, nie przejawiają się w widoczny sposób...

Mimo całego szacunku dla Darwina Hoffmann uznał, że to empirycznie nieprawdziwe stwierdzenie. Jego serce przepęłniała właśnie podejrzliwość i nie miał wątpliwości, że uwidacznia się to na jego twarzy – w skrzywieniu ust i ponurym, rozbieganym spojrzeniu zwięzionych oczu. Czy kiedykolwiek słyszano, żeby jakiś człowiek podszył się pod swoją ofiarę w celu kupienia jej prezentu? Ktoś bawił się z nim w kotka i myszkę, igrał z jego umysłem – o to tu chodziło. Jakimś ludziom zależało, by zwątpił w swoją poczytalność, może nawet chcieli go wykończyć. Albo rzeczywiście tracił zmysły.

Odepchnął się od biurka, wstał i zaczął krążyć po gabinecie. Rozchylił żaluzje i spojrzał na dział transakcji. Czyżby miał tu wroga? Jego sześćdziesięciu kwantów należało do trzech zespołów: inkubacji, który opracowywał i testował algorytmy; technicznego, który przekształcał prototypy w narzędzia operacyjne; i wdrażania, który nadzorował już same transakcje. Niektórzy z nich byli trochę dziwni, to nie ulegało wątpliwości. Na przykład Węgier, Imre Szabo – nie mógł przejść korytarzem, żeby nie dotknąć każdej gałki u drzwi. Inny facet jadł wszystko nożem i widelcem, nawet herbatniki i chrupki. Hoffmann osobiście przyjmował tych ludzi do pracy, nie zważając na ich dziwactwa, ale nie znał ich dobrze. Byli raczej jego kolegami niż przyjaciółmi. Teraz tego żałował. Odszedł od okna i wrócił do terminalu.

W skrzynce odbiorczej czekała już lista jego rachunków bankowych. Miał ich osiem – we frankach szwajcarskich, dolarach, funtach

szterlingach, w euro, bieżący, depozytowy, zagraniczny i wspólny z żoną. Porównał ich numery z numerem konta, którym posłużono się przy kupnie książki. Żaden nie pasował. Przez kilka sekund Hoffmann stukał palcem o blat biurka, a potem wziął telefon i zadzwonił do głównego księgowego firmy, Lin Ju-Longa.

– LJ? Tu Alex. Mogę cię prosić o przysługę? Sprawdź dla mnie pewien rachunek bankowy, dobrze? Jest na moje nazwisko, ale nic o nim nie wiem. Chciałbym wiedzieć, czy jest gdzieś w naszym systemie. Przesyłam ci go. Dostałeś?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Tak, Alex, dostałem. Dobra, jedno mogę ci powiedzieć od razu. Zaczyna się od „KYD”... to skrót oznaczający rachunek w banku na Kajmanach prowadzony w dolarach amerykańskich.

– Czy może to być rachunek firmowy?

– Zaraz przepuszcę go przez system. Masz jakiś problem?

– Nie. Chcę tylko to sprawdzić i tyle. Będę wdzięczny, jeśli to pozostanie tylko między nami.

– Nie ma sprawy, Alex. Przykro mi z powodu...

– Nic mi nie jest – przerwał mu szybko Hoffmann. – Nic takiego się nie stało.

– To dobrze. A przy okazji, czy rozmawiał z tobą Gana?

Gana to był Ganapathi Rajamani, menedżer ryzyka w firmie.

– Nie, a dlaczego pytasz? – zdziwił się Hoffmann.

– Autoryzowałeś zeszłej nocy krótką sprzedaż Procter & Gamble? Za dwa miliony po sześćdziesiąt dwa za akcję?

– Tak, i co z tego?

– Gana się niepokoi. Twierdzi, że przekroczyliśmy limit ryzyka. Domaga się spotkania komitetu do spraw ryzyka.

– Hm, powiedz mu, żeby poszedł z tym do Hugona. I daj mi znać, jeśli dowiesz się czegoś w sprawie konta, dobrze?

Hoffmann poczuł się zbyt zmęczony, żeby zrobić coś więcej. Ponownie zadzwonił do Marie-Claude i poprosił, żeby nie przeszkadzano mu przez godzinę. Wyłączył telefon komórkowy. Później położył się na kanapie i zaczął się zastanawiać, kto, do diabła, zadał sobie trud i podał się za niego, aby kupić mu białego kruka z dziedziny historii naturalnej, posługując się rachunkiem dolarowym banku na Kajmanach. Ale nie mógł rozwiązać tej dziwacznej zagadki i szybko zasnął.

* * *

Inspektor Leclerc wiedział, że szef wydziału policji genewskiej, znany służbista, nieodmiennie przyjeżdża na komendę przy Boulevard Carl-Vogt punkt dziewiąta i od razu czyta sprawozdanie o tym, co wydarzyło się na terenie kantonu w ciągu nocy. Dlatego gdy osiem po dziewiątej w jego gabinecie zadzwonił telefon, domyślił się, kogo usłyszy w słuchawce.

– Jean-Philippe? – zapytał energiczny głos.

– Dzień dobry, szefie.

– Ten atak na amerykańskiego bankowca, Hoffmanna.

– Tak, szefie?

– Co wiemy w tej sprawie?

– Hoffmann na własną prośbę wypisał się ze szpitala. W domu są śledczy. Sporządziliśmy szczegółowy rysopis podejrzanego. Jeden z naszych ludzi obserwuje rezydencję. To wszystko.

– Facet nie odniósł poważnych ran?

– Najwyraźniej nie.

– To już coś. Co o tym wszystkim sądzisz?

– Dziwaczna sprawa. Ten dom to prawdziwa forteca, ale intruz w jakiś sposób zwyczajnie do niego wszedł. Zamierzał obezwładnić ofiarę... albo ofiary... i zdaje się, że ostrzył noże na terenie budynku. Ale w efekcie tylko uderzył Hoffmanna w głowę i zbiegł. Niczego nie ukradł. Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że Hoffmann nie mówi nam całej prawdy, ale nie jestem pewny, czy robi to celowo, czy jest po prostu oszołomiony.

Po drugiej stronie łącza zapadła cisza. Leclerc słyszał, że ktoś tam się porusza.

– Kończysz dyżur?

– Właśnie miałem wyjść, szefie.

– Wyświadczyć mi przysługę i zostań na następną zmianę, dobra? Właśnie odebrałem telefon od ministra finansów, który chce wiedzieć, co się dzieje. Byłoby dobrze, gdybyś dopilnował sprawy.

– Minister finansów? – powtórzył Leclerc ze zdumieniem. – Dlaczego tak go to interesuje?

– Och, no wiesz, z tego samego powodu, co zwykle. Bogaci mają przywileje, nie to co biedni. Informuj mnie na bieżąco o postępach, zgoda?

Po odłożeniu słuchawki Leclerc zaklął siarczyście pod nosem. Potem powędrował korytarzem do automatu z kawą i kupił sobie czarne,

wyjatkowo obrzydliwe espresso. Oczy go piekły, zatoki bolały. Jestem już na to za stary, pomyślał. Nawet nie bardzo miał co robić: wysłał jednego ze swoich podwładnych, żeby przesłuchał służbę domową. Wrócił więc do swojego gabinetu, zadzwonił do żony, aby jej powiedzieć, że wróci do domu dopiero po lunchu, a potem wszedł do internetu, aby poszukać informacji o doktorze Alexandre Hoffmannie, fizyku i właścicielu funduszu hedgingowego. Ale, ku swojemu zdziwieniu, nie znalazł prawie nic – ani hasła w Wikipedii, ani żadnego artykułu prasowego, ani choćby zdjęcia. A mimo to sam minister finansów interesował się tą sprawą.

A co to właściwie jest fundusz hedgingowy, do licha? – zaczął się zastanawiać. Przeczytał: *Prywatny fundusz inwestycyjny, mogący inwestować w różnej klasy aktywa i stosujący całe spektrum różnorodnych strategii inwestycyjnych w celu zabezpieczenia posiadanego portfela aktywów przed nieoczekiwanymi spadkami ich wartości na rynkach, przy jednoczesnej maksymalizacji zysków podczas wzrostu cen.*

Niewiele mądrzejszy, przerzucił swoje notatki. Hoffmann wspomniał podczas przesłuchania, że pracuje w sektorze finansowym od ośmiu lat; wcześniej, przez sześć lat, był zatrudniony w CERN-ie, przy Wielkim Zderzaczu Hadronów. Leclerc przypadkiem znał człowieka, byłego inspektora policji, który pracował w ochronie CERN-u. Zadzwonił więc do niego i piętnaście minut później siedział już za kierownicą swojego małego renault. Jechał powoli w porannym korku, kierując się na północny zachód od lotniska, Route de Mayrin, przez Zimeysę, nieciekawą strefę przemysłową.

Rysująca się przed nim wielka drewniana kopuła CERN-u w rdzawym kolorze, obramowana dalekimi górami, wyrastała z pól uprawnych jak gigantyczny zabytek: wizja przyszłości z lat sześćdziesiątych. Leclerc zaparkował samochód i wszedł do głównego budynku. Podał swoje nazwisko i przypiął plakietkę gościa do wiatrówki. Czekał, aż przyjdzie po niego kolega, obejrzał małą wystawę na terenie recepcji. Wynikało z niej, że w dwudziestosiedmiokilometrowym tunelu o kształcie okręgu pod jego stopami znajduje się tysiąc sześćset nadprzewodzących magnesów, z których każdy waży prawie trzydzieści ton i emituje wiązki tak szybko, że obiegają one tunel jedenaście tysięcy razy na sekundę. Zderzenia tych wiązek o energii siedmiu trylionów elektronowoltów w przeliczeniu na proton miały pomóc odtworzyć początki wszechświata, ukazać inne

wymiary i wyjaśnić naturę ciemnej materii. Z tego co Leclerc mógł się zorientować, nie miało to jednak nic wspólnego z rynkami finansowymi.

* * *

Zaproszeni przez Quarry'ego klienci zaczęli przybywać tuż po dziesiątej i jako pierwsi zjawili się – pięćdziesięciosześcioletni genewczyk, Etienne Mussard, i jego młodsza siostra, Clarisse – przyjechali autobusem.

– Ci będą najwcześniej – uprzedził Hoffmanna Quarry.

– Zawsze są przed czasem.

Niemodnie ubrani, oboje byli stanu wolnego i mieszkali na przedmieściach Lancy, w małym mieszkaniu z trzema sypialniami, które odziedziczyli po rodzicach. Nie mieli samochodu. Nie jeździli na wakacje. Rzadko jadali w restauracjach. Quarry szacował majątek *monsieur* Mussarda na jakieś siedemset milionów euro, a *mademoiselle* Mussard – na pięćset pięćdziesiąt milionów. Ich pradziadek ze strony matki, Robert Fazy, był niegdyś właścicielem prywatnego banku, który sprzedał w latach osiemdziesiątych po skandalu związanym z żydowskimi majątkami zdeponowanymi w Fazy et Cie i bezprawnie przejętymi podczas drugiej wojny światowej przez nazistów. Państwo Mussard przywieźli z sobą rodzinnego prawnika, doktora Maxa – Alberta Gallanta, którego firma szczęśliwym zbiegiem okoliczności prowadziła sprawy prawne Hoffmann Investment Technologies. To za pośrednictwem Gallanta Quarry poznał Mussardów.

– Traktują mnie jak syna – stwierdził Quarry. – Są niewiarygodnie nieuprzejmi i nieustannie tylko narzekają.

Zaraz po tej niemiłej parze przybyła chyba najbardziej egzotyczna klientka Hoffmanna, Elmira Gulzhan, trzydziestoosmioletnia córka prezydenta Azachstanu. Ta mieszkająca w Paryżu absolwentka INSEAD w Fontainebleau zarządzała zagranicznym portfelem akcji Gulzhanów, wycenianym przez CIA na mniej więcej dziewiętnaście miliardów dolarów. Quarry zaaranżował spotkanie z nią na przyjęciu w Val d'Isere, gdzie przyjechała na narty.

Gulzhanowie do tej pory zainwestowali w fundusz sto dwadzieścia milionów dolarów – Quarry liczył, że przekona ją do podwojenia tej kwoty. Zaprzyjaźnił się też na stoku z wieloletnim kochankiem Elmiry, Françoise de Gombart-Tonnelle'em, paryskim prawnikiem, który towarzyszył jej tego

dnia. Elmira wysiadła ze swojego kuloodpornego mercedesa w szmaragdowym jedwabnym płaszczu z pasującym do niego szalem, udrapowanym lekko na hełmie z błyszczących czarnych włosów. Quarry czekał w holu, żeby ją powitać.

– Nie daj się zwieść – ostrzegł Hoffmanna. – Może wygląda, jakby przyszła na wyścigi konne, ale mogłaby dostać pracę u Goldmana jeszcze w tym tygodniu. A gdyby tylko poprosiła, jej tata mógłby powyrywać ci paznokcie.

W następnej kolejności, limuzyną z hotelu President Wilson po drugiej stronie jeziora, przyjechało dwóch Amerykanów, którzy przylecieli z Nowego Jorku specjalnie na tę prezentację. Ezra Klein był głównym analitykiem Winter Bay Trust, wartego czternaście miliardów dolarów funduszu funduszy, którego celem, mówiąc słowami z prospektu emisyjnego, było „zmniejszenie ryzyka przy zapewnieniu jednoczesnej wysokiej stopy zwrotu poprzez inwestowanie powierzonego kapitału raczej w szeroki wachlarz zarządzanych portfeli inwestycyjnych niż w poszczególne obligacje czy akcje”. Klein uchodził za bardzo bystrego, a wrażenie to potęgował jego sposób mówienia, ponieważ wyrzucał z siebie sześć słów na sekundę (kiedyś wyliczyli to jego oszołomieni podwładni), czyli około dwóch razy więcej niż wszyscy inni ludzie, a co trzecie z tych słów było akronimem albo pochodziło z żargonu finansowego.

– Ezra to ktoś dla nas – stwierdził Quarry. – Nie ma żony, nie ma dzieci, nie ma organów płciowych, z tego, co się orientuję. Od Winter Bay można by wyciągnąć kolejne sto milionów. Musimy się postarać.

Obok Kleina, nawet nie udając, że słucha jego niezrozumiałej gadaniny, podążał okrągły mężczyzna po pięćdziesiątce, w typowym uniformie z Wall Street: czarnym garniturze z kamizelką i krawacie w czerwono-białe paski. Był to Bill Easterbrook z AmCor, amerykańskiego konglomeratu bankowego.

– Poznałeś już Billa – zwrócił uwagę Hoffmannowi Quarry. – Pamiętasz go? To ten dinozaur, który wygląda jak żywcem przeniesiony z filmu Olivera Stone’a. Od czasu gdy go widziałeś, założył oddzielną firmę o nazwie AmCor Alternative Investments, ale to tylko sztuczka księgowa, żeby nadzór finansowy się nie czepiał.

Sam Quarry przez dziesięć lat pracował dla AmCor w Londynie i obaj z Easterbrokiem przeszli długą drogę – „bardzo, bardzo długą”, jak wspominał nostalgicznie, zbyt długą, żeby wszystko pamiętać z uwagi na

upływ lat, dawał tym samym do zrozumienia – od lat dziewięćdziesiątych, epoki koki i call girls. Kiedy opuścił AmCor, żeby związać się z Hoffmannem, Easterbrook podesłał im pierwszych klientów w zamian za prowizję. Obecnie AmCor Alternative był największym inwestorem Hoffmanna, z kapitałem rzędu miliarda dolarów. Był to kolejny klient, którego Quarry powitał osobiście w holu.

Przybyli także: dwudziestosiedmioletni Amschel Herxheimer z dynastii Herxheimerów, znanych bankowców i handlowców, którego siostra studiowała z Quarrym w Oksfordzie i który przygotowywał się do przejęcia liczącego dwieście lat prywatnego, rodzinnego banku; niepozorny Iain Mould z jeszcze bardziej niepozornej oszczędnościowej kasy mieszkaniowej Fife, która na początku wieku zamieniła się w spółkę publiczną i w ciągu trzech lat zaciągnęła długi w wysokości szkockiego produktu krajowego brutto i w efekcie została przejęta przez rząd brytyjski; miliarder Mieczysław Łukasinski, były wykładowca matematyki i przywódca Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, który teraz był właścicielem trzeciej co do wielkości firmy ubezpieczeniowej w Europie Wschodniej, Liwei Xu i Qi Zhang, reprezentujący bank inwestycyjny z siedzibą w Szanghaju, którzy przylecieli z co najmniej sześcioma kolegami w ciemnych garniturach, przedstawiając ich jako prawników, choć Quarry był przekonany, że to informatycy przybyli, żeby sprawdzić zabezpieczenia systemu informatycznego Hoffmanna – po szalenie uprzejmej przepychance słownej „prawnicy” niechętnie zgodzili się wyjść.

Żaden z zaproszonych przez Quarry’ego inwestorów nie odrzucił zaproszenia na spotkanie.

– Przyjeżdżają z dwóch powodów – wyjaśniał Quarry Hoffmannowi. – Po pierwsze, dlatego że w ciągu trzech lat mimo spadków na rynkach finansowych zapewniliśmy im zysk w wysokości osiemdziesięciu trzech procent i śmiem twierdzić, że żaden fundusz hedgingowy nie ma takich wyników. muszą się zastanawiać, co my takiego, u licha, tu wyczyniamy i nawet nie chcemy od nich powiększenia powierzanych nam portfeli ani o centa.

– A jaki jest drugi powód ich przyjazdu?

– Och, nie bądź taki skromny.

– Nie rozumiem.

– Ty nim jesteś, idioto. Chcą cię zobaczyć. Chcą się dowiedzieć, co tam kombinujesz. Stałeś się legendą i pragną dotknąć rąbka twojej szaty, żeby

się przekonać, czy ich palce zamienią się w złoto.

* * *

Marie-Claude obudziła Hoffmanna.

– Doktorze Hoffmann? – Delikatnie potrząsnęła jego ramieniem. – Doktorze Hoffmann? Pan Quarry prosił, aby panu powiedzieć, że czekają na pana w sali konferencyjnej.

Śniło mu się coś bardzo realistycznego, ale kiedy otworzył oczy, wizje zniknęły jak pękające bąbelki. Przez chwilę miał wrażenie, że nachylająca się nad nim asystentka jest podobna do jego matki. Miała takie same szarozielone oczy, wydatny nos, pełen niepokoju inteligentny wyraz twarzy.

– Proszę mu powiedzieć, że przyjdę za minutę – po czym dodał pod wpływem impulsu – i przykro mi z powodu twojego męża. Jestem trochę – bezradnie rozłożył ręce – roztargniony.

– Nic nie szkodzi. Dziękuję.

Po drugiej stronie korytarza znajdowała się łazienka. Odkręcił kurek z zimną wodą i nabrał jej w złączone dłonie. Kilka razy ochlapał twarz, żeby się rozbudzić i odświeżyć. Nie miał czasu, żeby się ogolić. Skóra na jego brodzie i wokół ust, zazwyczaj gładka i miękka, teraz była szorstka i kłująca jak u zwierzęcia. Dziwnym sposobem – niewątpliwie na skutek irracjonalnych zmian nastroju wywołanych urazem głowy – zaczął odczuwać euforię. Przeżył spotkanie ze śmiercią – co samo w sobie było powodem do radości – a teraz czekała na niego cała sala petentów, którzy – mówiąc słowami Hugona – chcieli dotknąć rąbka jego szaty w nadziei, że jego talent do robienia pieniędzy przejdzie na nich. Najwięksi bogacze na ziemi opuścili swoje jachty, baseny i tory wyścigowe, sale operacji finansowych na Manhattanie i działy rachunkowości w Szanghaju, aby zebrać się w Szwajcarii i wysłuchać doktora Alexandra Hoffmanna, legendarnego – znowu słowami Hugona – założyciela Hoffmann Investment Technologies, który przedstawi swoją wizję przyszłości. A jaką historię miał do powiedzenia! Jaką mowę do wygłoszenia!

Wśród takich myśli, przebiegających mu przez zranioną głowę, Hoffmann wytarł twarz, wyprostował ramiona i wyszedł z łazienki. Gdy przechodził przez dział transakcji, wyszedł mu naprzeciw smukły Ganapathi Rajamani, menedżer ryzyka, ale Hoffmann odprawił go ruchem ręki: jeśli miał do niego jakąś sprawę, będzie musiała poczekać.

6

Niewątpliwie wielkie bogactwo czyni z ludzi bezużytecznych próżniaków, ale ich liczba nigdy nie jest wysoka; i dokonuje się tu pewna eliminacja, gdyż codziennie widzimy bogaczy – głupców albo rozrzutników – którzy marnotrawią swoje majątki.

Karol Darwin, *O pochodzeniu człowieka* (1871)

Sala konferencyjna była równie bezosobowa jak gabinety kierownictwa firmy – miała takie same dźwiękoszczelne szklane ściany i żaluzje weneckie od podłogi do sufitu. Na końcu pomieszczenia znajdował się ogromny ekran do telekonferencji, który górował nad wielkim owalnym skandynawskim stołem z jasnego drewna. Gdy Hoffmann wszedł do sali, siedemnaście z osiemnastu krzeseł było zajętych przez szefów albo ich doradców; wolne pozostało jedynie miejsce obok Quarry’ego, który z widoczną ulgą podążył wzrokiem za swoim współnikiem, kiedy ten okrążył stół.

– Jest wreszcie – oznajmił. – Panie i panowie, doktor Alexander Hoffmann, prezes Hoffmann Investment Technologies. Jak widzicie, ma tak wielki mózg, że musieliśmy zrobić mu dziurę w głowie, bo się w niej nie mieścił. Przepraszam, Alex, to był tylko żart. Obawiam się, że odniósł ranę, stąd szwy, ale czuje się już dobrze, prawda?

Wszyscy spojrzeli na Hoffmanna. Ci, którzy siedzieli najbliżej niego, musieli obrócić się na krzesłach, żeby na niego popatrzeć. On jednak, zaczerwieniony z zakłopotania, unikał kontaktu wzrokowego z kimkolwiek. Zajął krzesło obok Quarry’ego, złożył ręce na stole przed sobą i wbił wzrok w swoje splecione palce. Poczł uścisk Quarry’ego na ramieniu, coraz silniejszy, w miarę jak Anglik podnosił się z krzesła.

– Wobec tego możemy już zacząć. A zatem... przyjaciele, witajcie w Genewie. Minęło prawie osiem lat od czasu, gdy razem z Alexem założyliśmy tę firmę i korzystając z jego inteligencji oraz mojej urody stworzyliśmy bardzo szczególny fundusz inwestycyjny, oparty wyłącznie na transakcjach algorytmicznych. Zaczęliśmy od ponad stu milionów dolarów w aktywach, a to w dużej mierze dzięki obecnemu tu mojemu staremu przyjacielowi, Billowi Easterbrookowi z AmCor. witaj, Bill. Już po dwunastu miesiącach działalności odnotowaliśmy zyski i odnotowujemy je co roku, dlatego jesteśmy obecnie sto razy więksi niż na początku, aktywa

naszego funduszu wynoszą bowiem w tej chwili dziesięć miliardów dolarów. Nie zamierzam chwalić się naszymi wynikami. Mam nadzieję, że nie muszę. Wszyscy dostajecie kwartalne rozliczenia i wiecie, co razem osiągnęliśmy. Podam tylko jedną liczbę. Dziewiątego października dwa tysiące siódmego roku indeks Dow Jones Industrial Average osiągnął na zamknięciu czternaście tysięcy sto sześćdziesiąt cztery punkty. Zeszłego wieczoru... sprawdziłem to przed wyjściem z gabinetu... spadł do dziesięciu tysięcy osmiuset sześćdziesięciu sześciu punktów. To oznacza stratę jednej czwartej wartości w ciągu ponad dwóch lat. Wyobraźcie to sobie! Ci wszyscy biedni frajerzy ze swoimi planami emerytalnymi i obligacjami oszczędnościowymi stracili około dwudziestu pięciu procent zainwestowanych środków. Natomiast wy, ponieważ w tym samym czasie zaufaliście nam, zaobserwowaliście osiemdziesięciotrzyprocentowy wzrost wartości aktywów netto. Panie i panowie, chyba przyznacie, że powierzenie nam swoich pieniędzy było inteligentnym posunięciem.

Hoffmann po raz pierwszy odważył się rozejrzeć wokół stołu. Zebrani uważnie słuchali Quarry'ego. („Dwa najciekawsze tematy na świecie – stwierdził kiedyś Quarry – to życie seksualne innych ludzi i własne pieniądze”). Nawet Ezra Klein, który zwykle kiwał się na krześle w tył i w przód jak uczeń madrasy, na chwilę znieruchomiał, podczas gdy Mieczysław Łukasziński nie mógł powstrzymać uśmiechu na swojej okrągłej chłopskiej twarzy.

Quarry nie zdejmował prawej ręki z ramienia Hoffmanna, a lewą od czasu do czasu wsuwał do kieszeni.

– W naszej branży różnica między stopą zwrotu funduszu a stopą zwrotu portfela rynkowego nosi nazwę „alfa”. W ciągu ostatnich trzech lat alfa wygenerowana przez Hoffmann Investment Technologies osiągnęła wysokość stu dwunastu procent. Dlatego prasa branżowa dwukrotnie przyznała nam tytuł algorytmicznego funduszu hedgingowego roku.

Te osiągnięcia – kontynuował – nie są dziełem przypadku, zapewniam was. Hoffmann Investment Technologies wydają trzydzieści dwa miliony dolarów rocznie na badania. Zatrudniamy sześćdziesięciu najwybitniejszych specjalistów na świecie... wierzę na słowo, że są wybitni, bo nie rozumiem ani słowa z tego, co mówią.

Skinieniem głowy skwitował pochlebne śmiechy. Hoffmann zauważył, że brytyjski bankowiec, Iain Mould, śmieje się szczególnie głośno, i od

razu uznał go za głupca. Quarry podniósł obie ręce i położył je przed sobą na stole. Pochylił się do przodu, nagle poważny i skupiony.

– Osiemnaście miesięcy temu Alex i jego zespół dokonali znaczącego przełomu technologicznego. W efekcie musieliśmy podjąć bardzo trudną decyzję o twardym zamknięciu. – Twarde zamknięcie funduszu oznaczało odmowę przyjmowania dodatkowych inwestycji nawet od stałych klientów. – I wiem, że każdy z was, zebranych w tym pokoju... dlatego właśnie was tu zaprosiliśmy... był tym rozczarowany i zaniepokojony, a niektórzy nawet wpadli w gniew.

Spojrzał na Elmirę Gulzhan, która siedziała po drugiej stronie stołu i słuchała uważnie. Hoffmann wiedział, że zwymyślała Quarry'ego przez telefon, a nawet zagroziła, że wycofa rodzinne pieniądze z funduszu albo jeszcze gorzej (jak Bóg Gulzhanom, tak Gulzhanowie Bogu...).

– Cóż – kontynuował Quarry, posławszy ledwie zauważalnie pocałunek w stronę Elmiry – przepraszamy za to. Ale uznaliśmy, że musimy skoncentrować się na wdrażaniu tej nowej strategii inwestycyjnej przy wykorzystaniu istniejących aktywów. Jak na pewno wiecie, każdemu funduszowi grozi, że jego rozrost przełoży się na pogorszenie wyników finansowych. Chcieliśmy więc mieć pewność, że nam się to nie zdarzy.

W naszej ocenie ten nowy system, który nazwaliśmy VIXAL 4, jest już na tyle sprawny, żeby poradzić sobie z rozszerzeniem portfela. Alfa wygenerowana w ciągu ostatnich sześciu miesięcy osiągnęła nawet wyższą wartość, niż wtedy gdy korzystaliśmy z naszych pierwotnych algorytmów. Dlatego ogłaszam, że Hoffmann Investment Technologies przechodzą z twardego zamknięcia na miękkie zamknięcie i przyjmują od stałych klientów kapitał inwestycyjny.

Przerwał i napił się wody, żeby jego słowa wywarły pożądany efekt. W sali zapanowała zupełna cisza.

– Cieszcie się – rzucił wesoło – to miała być dobra wiadomość.

Napięcie rozładowały śmiechy i po raz pierwszy, odkąd Hoffmann wkroczył na salę, klienci wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Uświadomił sobie, że tworzą coś w rodzaju elitarnego klubu: byli jak masoni połączeni tajemną wiedzą. Wokół stołu można było zobaczyć konspiracyjne uśmieszki. Mieli poczucie uprzywilejowania.

– Na tym etapie – odezwał się znowu Quarry, który rozejrzał się z zadowoleniem – najlepiej będzie, jeśli oddam głos obecnemu tu Alexowi, który lepiej niż ja objaśni wam techniczną stronę przedsięwzięcia. – Już

prawie usiadł, ale uniósł się ponownie. – Przy odrobinie szczęścia może i ja zdołam coś zrozumieć.

Znowu rozległy się śmiechy i przewodnictwo zebrania objął Hoffmann.

Nie był człowiekiem, który zabiera głos publicznie w sposób naturalny. Nieliczne zajęcia, które prowadził w Princeton przed wyjazdem ze Stanów Zjednoczonych, były torturą zarówno dla niego, jak i studentów. Jednak w tej chwili poczuł, że przepełnia go dziwna energia, która rozjaśnia mu umysł. Lekko dotknął palcami zaszytej rany na głowie, kilka razy odetchnął głęboko, a potem wstał.

– Panie i panowie, musimy zachować dyskrecję, jeśli chodzi o szczegóły działalności tej firmy, aby konkurenci nie ukradli nam pomysłów, ale generalne zasady naszego funkcjonowania nie są żadną wielką tajemnicą, jak dobrze wiecie. Typujemy kilkaset różnych papierów wartościowych i handlujemy nimi w cyklu dwudziestoczterogodzinnym. Algorytmy, które wprowadziliśmy do naszych systemów komputerowych, wybierają, a następnie zajmują pozycje na podstawie szczegółowej analizy poprzednich trendów. Są to głównie kontrakty terminowe na indeksy: Dow albo S&P pięćset... i ceny najważniejszych surowców: ropy naftowej z Morza Północnego, gazu ziemnego, złota, srebra, miedzi, pszenicy i tak dalej. Uprawiamy także high-frequency trading, tak zwaną błyskawiczną grę na giełdzie, czyli trzymamy daną pozycję przez zaledwie kilka milisekund. To naprawdę nie jest takie skomplikowane. Nawet dwustusecyjna średnia krocząca indeksu S&P pięćset może być niezłym wskaźnikiem panujących na rynku tendencji: jeśli indeks znajduje się powyżej średniej, na rynku oczekiwane są wyżki; jeśli zaś jest poniżej średniej – spadki. Bazując na danych z dwudziestu lat, możemy też przewidzieć, że jeśli cyna ma taką cenę, a jen taką wartość, to najprawdopodobniej DAX wyniesie tyle a tyle. Oczywiście, mamy do dyspozycji o wiele więcej takich zależności... nawet kilka milionów. – ale generalnie zasada jest taka: najbardziej wiarygodnym narzędziem umożliwiającym poznanie przyszłości jest przeszłość. I musimy dobrze ocenić rynki tylko w pięćdziesięciu pięciu procentach czasu, aby osiągnąć zysk. Kiedy zaczynaliśmy działalność, niewielu ludzi zdawało sobie sprawę, jak ważne okaże się spekulowanie algorytmiczne. Pionierzy w tej dziedzinie często byli nazywani lekceważąco kwantami, dziwakami, maniakami komputerowymi... to z nami dziewczyny nie chciały tańczyć na imprezach...

– Wiele się od tego czasu nie zmieniło... – wtrącił Quarry.

Hoffmann przeszedł do porządku nad tą uwagą.

– Może i tak, ale sukces, jaki osiągnęła ta firma, mówi sam za siebie. Hugo wspomniał, że w czasie, gdy Dow spadł o prawie dwadzieścia procent, my odnotowaliśmy wzrost wartości o prawie osiemdziesiąt trzy procent. Jak to się stało? W bardzo prosty sposób. Na rynkach od prawie dwóch lat panowała panika, a nasze systemy uwielbiają panikę, bo istoty ludzkie, gdy się boją, zawsze postępują w sposób przewidywalny.

Podniósł ręce.

– *Przestrzeń niebieską wypełniają nagie istoty, krążące w powietrzu. To ludzie, nadzy mężczyźni i nagie kobiety, śmigający w górze i wzniecający zamiecie śnieżne. Słyszysz ten szum? Rozlega się w powietrzu jak szum skrzydeł wielkich ptaków. To strach nagich ludzi, to ich ucieczka.*

Przerwał. Spojrzał na uniesione twarze swoich klientów. Kilku z nich miało otwarte usta jak małe ptaszki, które czekają na pożywienie.

– To nie są moje słowa. To wizja zaczerpnięta od Eskimosów, którą przedstawił w *Masie i władzy* Elias Canetti²; gdy projektowałem VIXAL-a cztery, zrobiłem z tego cytatu wygaszacz ekranu. Mogę prosić o trochę wody, Hugo? – Quarry wychylił się i podał mu butelkę wody Evian oraz szklankę. Hoffmann nie wziął szklanki, zdjął plastikową zakrętkę i zaczął pić prosto z butelki. Nie wiedział, jaki efekt wywrze to na słuchaczach. I nie obchodziło go to. Otarł usta wierzchem dłoni. – Około trzysta pięćdziesiątego roku przed Chrystusem Arystoteles nazwał istotę ludzką *zoon logon echon*³, myślącym zwierzęciem albo dokładniej zwierzęciem mającym własny język. To przede wszystkim język odróżnia nas od innych stworzeń na tej planecie. Rozwój języka wyzwolił nas ze świata przedmiotów fizycznych i wprowadził we wszechświat symboli. Zwierzęta niższego rzędu także mogą porozumiewać się z sobą w prymitywny sposób i da się je nawet nauczyć znaczenia kilku naszych ludzkich symboli... pies na przykład potrafi zrozumieć, co znaczy „siad” albo „do nogi”. Ale przez czterdzieści tysięcy lat tylko człowiek był *zoon logon echon*, zwierzęciem mającym własny język. Teraz to się zmieniło. Do naszego świata wkroczyły komputery. Komputery... – Hoffmann wskazał butelką dział transakcji, rozlewając wodę po stole. – Kiedyś wyobrażaliśmy sobie, że komputery... roboty... wyręczą nas w pracy fizycznej, że włożą fartuchy i będą nas obsługiwać, zostaną naszymi pokojówkami, zajmą się pracami domowymi i tak dalej, a my będziemy mieli czas na przyjemności albo wypoczynek.

Ale tak naprawdę stało się odwrotnie. Mamy mnóstwo pozbawionych inteligencji zasobów ludzkich, które mogą wykonywać te proste fizyczne prace, często przez wiele godzin i za niską płacę. A komputery zastępują członków klas wykształconych: tłumaczy, techników medycznych, prawników, księgowych, maklerów.

Komputery są coraz bardziej godnymi zaufania pomocnikami w sektorach handlowym i technologicznym. W dziedzinie medycyny analizują występujące u pacjenta symptomy i diagnozują chorobę, a nawet zalecają stosowne leczenie. W dziedzinie prawa przeszukują i szacują olbrzymie liczby skomplikowanych dokumentów za ułamek pensji analityka. Umiejętność rozpoznawania języka umożliwia algorytmom abstrahowanie znaczenia zarówno tekstów mówionych, jak i pisanych. Biuletyny informacyjne mogą być analizowane w czasie rzeczywistym.

Kiedy Hugo i ja zakładaliśmy ten fundusz, posługiwaliśmy się wyłącznie zdygitalizowanymi statystykami finansowymi: niemal nic innego nie było. Ale w ciągu paru ostatnich lat w naszym zasięgu znalazła się cała nowa galaktyka informacyjna. Niedługo wszystkie informacje na świecie... każdy skrawek wiedzy, którą zdobyli ludzie, każda myśl, którą w ciągu tysięcy lat uznano za wartą utrwalenia... wszystko będzie dostępne w postaci cyfrowej. Każda droga na ziemi widnieje już na mapie. Każdy budynek został sfotografowany. Za każdym razem, gdy gdzieś my, ludzie, się udajemy, coś kupujemy, czegoś szukamy w sieci, zostawiamy po sobie cyfrowy ślad jak ślimak śluz. I te dane można znaleźć, odczytać i przeanalizować za pośrednictwem komputerów, choć jeszcze nawet nie rozumiemy, jaką to ma wartość. Większość ludzi ledwie zdaje sobie sprawę z tego, co się stało. Dlaczego by mieli sobie zdawać? Jeśli wyjdziecie z tego budynku i pójdziecie ulicą, wszystko będzie wyglądało tak jak zawsze. Gdyby facet sprzed stu lat przeszedł przez tę część Genewy, poczułby się jak w domu. Ale świat za tą fizyczną fasadą... za kamieniami, cegłami i szkłem... jest już inny, zniekształcony, wypaczony, skurczony, jakby nasza planeta przeszła w inny wymiar. Podam wam mały przykład. W dwa tysiące siódmym roku rząd brytyjski stracił dane dwudziestu pięciu milionów osób: numery identyfikacji podatkowej, numery kont, adresy, daty urodzin. I nie przepadło wcale kilka ciężarówek, zniknęły tylko dwie płyty CD. A to przecież nic. Google pewnego dnia zdygitalizują wszystkie książki, jakie kiedykolwiek wydano. Biblioteki nie będą już potrzebne.

Jedyne, czego będziecie potrzebować, to ekran, który zdołacie utrzymać w rękach.

Ale jest jedna sprawa. Istoty ludzkie wciąż czytają tak samo wolno jak Arystoteles. Przeciętny student college'u w Ameryce czyta czterysta pięćdziesiąt słów na minutę. Ci naprawdę inteligentni – osiemset. To mniej więcej dwie strony na minutę. Jednak IBM w zeszłym roku ogłosił, że pracuje nad nowym komputerem dla władz USA, który jest w stanie dokonać dwudziestu tysięcy trylionów obliczeń na sekundę. Istnieje fizyczny limit informacji, które my, jako gatunek, możemy przyswoić. I doszliśmy już do niego. A komputer nie ma takich ograniczeń.

No a język... zdolność zastępowania przedmiotów symbolami... ma kolejną wadę, jeśli chodzi o nas, ludzi. Grecki filozof Epiktet zrozumiał to dwa tysiące lat temu, gdy pisał: *Człowieka martwią i niepokoją nie same rzeczy, lecz opinie i wyobrażenia na ich temat.* Język wyzwolił moce wyobraźni, a co za tym idzie, pogłoski, strach, panikę. Natomiast algorytmy nie mają wyobraźni. Nie wpadają w panikę. I dlatego są idealnymi narzędziami do spekulowania na rynkach finansowych.

Spróbowaliśmy więc wykorzystać naszą nową generację algorytmów VIXAL, by wyizolować, zmierzyć i zastosować w kalkulacjach giełdowych element ceny, który wynika wyłącznie z przewidywalnych wzorów zachowań ludzkich. Dlaczego na przykład cena giełdowa, która rośnie w oczekiwaniu na pozytywne rezultaty, prawie zawsze w sposób nieunikniony spada poniżej wartości początkowej, jeśli rezultaty te okazują się nie takie, jak się spodziewano? Dlaczego klienci w pewnych sytuacjach uparcie trzymają się pewnych akcji, nawet jeśli następuje spadek ich wartości i na nich tracą, a kiedy indziej sprzedają takie, które dobrze stoją i powinni je zatrzymać, a postępują tak tylko dlatego, że generalnie odnotowuje się spadki na giełdzie? Algorytm, który w swojej strategii uwzględnia te zagadki, będzie niezwykle efektywny. Naszym zdaniem mamy już dostatecznie dużo danych, aby zacząć przewidywać te wszystkie anomalie i czerpać z nich zysk.

Ezra Klein, który bujał się na krześle z coraz większą częstotliwością, nie mógł już wytrzymać.

– Ależ to finanse behawioralne! – wypalił. Zabrzmiało to w jego ustach jak herezja. – Dobra, przyznaję, że HER to lipa, ale jak zamierzacie przefiltrować szумы, żeby uczynić z FB narzędzie?

– Jeśli się odejmie wartość fundamentalną od ceny giełdowej akcji, w miarę jak zmienia się w czasie, to zostaje już tylko efekt behawioralny, jeśli coś w ogóle zostaje.

– Owszem, ale skąd wiecie, co wywołało dany efekt behawioralny? W grę wchodzi przecież historia całego cholernego wszechświata!

– Zgadzam się z tobą, Ezra – spokojnie oświadczył Hoffmann. – Nie możemy przeanalizować wszystkich aspektów ludzkiego zachowania na giełdach i ich przyczyn na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat, niezależnie od liczby dostępnych cyfrowo danych i szybkości naszego sprzętu. Od początku wiedzieliśmy, że będziemy musieli zawęzić poszukiwania. Doszliśmy więc do wniosku, że powinniśmy skoncentrować się na jednej szczególnej emocji, na temat której mamy wystarczająco dużo danych.

– I co wybraliście?

– Strach.

W sali zapanowało poruszenie. Chociaż Hoffmann starał się nie używać branżowego żargonu – jakie to typowe dla Kleina, pomyślał, że zamiast powiedzieć po prostu „hipoteza efektywności rynku”, posłużył się skrótem – wyczuł, że konsternacja wśród słuchaczy rośnie. Niemniej słuchali go z wielką uwagą, co do tego nie miał wątpliwości. Ciągnął więc:

– Strach to pod względem historycznym najsilniejsze uczucie w gospodarce. Pamiętacie, co powiedział Franklin Delano Roosevelt podczas wielkiego kryzysu? To najśłynniejszy cytat w dziejach ekonomii: *Jedyną rzeczą, której powinniśmy się bać, jest strach*. Strach to chyba najsilniejsze ludzkie uczucie. Czy kiedykolwiek ktoś obudził się o czwartej nad ranem, dlatego że poczuł się szczęśliwy? Jest to uczucie tak silne, że okazało się, iż można stosunkowo łatwo przefiltrować szумы wywołane przez inne emocje i skupić się tylko na tym jednym sygnale. Udało nam się na przykład skorelować ostatnie fluktuacje na giełdzie z częstotliwością występowania w mediach słów związanych ze strachem, takich jak „przerażenie”, „zaskoczenie”, „panika”, „trwoga”, „lęk”, „bojaźń”, „niepokój”, „wąglik”, „nuklearny”. W naszej ocenie strach to w tej chwili najsilniejszy czynnik wpływający na bieg świata, silniejszy niż kiedykolwiek.

– Czyli, krótko mówiąc, Al-Kaida – zauważyła Elmira Gulzhan.

– Częściowo tak. Ale dlaczego Al-Kaida miałyby budzić większy strach niż groźba wzajemnego zniszczenia podczas zimnej wojny w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, które, tak się składa, były czasem

wielkich wzrostów na giełdzie i generalnie stabilności? Doszliśmy do wniosku, że sama dygitalizacja wywołuje epidemię strachu i że Epiktet miał rację: żyjemy w świecie opinii i wyobrażeń, a nie przedmiotów rzeczywistych. Niestabilność rynku naszym zdaniem to efekt dygitalizacji, która wpływa na ludzkie nastroje poprzez bezprecedensową szybkość rozpowszechniania informacji za pośrednictwem internetu.

– I znaleźliśmy sposób, żeby na tym zarobić – stwierdził Quarry z zadowoleniem. Ruchem głowy dał Hoffmannowi znak, żeby kontynuował.

– Jak większość z was wie, Chicago Board Options Exchange posługuje się tak zwanym indeksem zmienności S&P pięćset, w skrócie VIX. Istnieje on, w takiej czy innej formie, od siedemnastu lat. To barometr, bo nie ma lepszego określenia... który mierzy wartość opcji typu call i put na ceny akcji wchodzące w skład indeksu S&P pięćset. Jeśli interesuje was matematyka, to pierwiastek kwadratowy z wariancji trzydziestodniowych stawek swapowych, kwotowany w zannualizowanej formie stosunku. Jeśli matematyka was nie interesuje, to powiedzmy, że VIX ukazuje przewidywalną zmienność rynku na następny miesiąc. Rośnie i spada z minuty na minutę. Im jest wyższy, tym większa niepewność na rynku, dlatego specjaliści nazwali go indeksem strachu. Oczywiście, sam jest zmienny... na rynku są opcje oraz kontrakty terminowe i na VIX-ie nimi handlujemy.

Tak więc VIX był dla nas punktem wyjścia. Dzięki niemu uzyskaliśmy mnóstwo pożytecznych danych aż po rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci, które możemy zestawić ze sporządzonymi przez nas nowymi indeksami behawioralnymi i zastosować naszą dotychczasową metodologię. Od niego wzięliśmy też nazwę prototypowego algorytmu, VIXAL jeden, która przetrwała wszystkie etapy prac, mimo że daleko odeszliśmy w nich od samego VIX-a.

Dysponujemy już czwartą wersją programu, którą z braku wyobraźni nazwaliśmy VIXAL cztery.

Klein podskoczył znowu.

– Zmienność określana przez VIX może wskazywać nie tylko na spadki, ale i wzrosty.

– Wzięliśmy to pod uwagę – odparł Hoffmann. – W naszym systemie optymizm może być mierzony zarówno jako skłonność do ryzyka, jak i reakcja na strach. Proszę pamiętać, że strach oznacza nie tylko

powszechną panikę na giełdzie i ucieczkę do bezpiecznych aktywów. Występuje jeszcze coś takiego, co nazywamy „efektem przywiązania”, kiedy akcji nie wyprzedaje się wbrew zdrowemu rozsądkowi, i „efekt adrenaliny”, gdy te gwałtownie zwyżkują. Wciąż badamy te wszystkie kategorie, aby określić ich wpływ na rynek i udoskonalić nasz model. – Easterbrook podniósł rękę. – Tak, Bill?

– Czy ten algorytm już działa?

– Może Hugo odpowie na to pytanie, bo odnosi się ono już do praktyki, a nie teorii.

Quarry zabrał głos.

– W fazie inkubacji zaczęto testować VIXAL jeden prawie dwa lata temu, choć naturalnie była to tylko symulacja, poza rynkiem. W maju dwa tysiące dziewiątego przetestowaliśmy na żywo VIXAL dwa, z kapitałem wartości stu milionów dolarów. Po wyeliminowaniu usterek w listopadzie przeszliśmy do VIXAL-a trzy i powierzyliśmy mu miliard dolarów. Okazał się takim sukcesem, że pozwoliliśmy VIXAL-owi cztery przez tydzień zarządzać całym naszym funduszem.

– Z jakim efektem?

– Konkretne wyniki zaprezentujemy na końcu. Na razie powiem z pamięci, że VIXAL dwa zarobił dwanaście milionów dolarów podczas sześciomiesięcznego okresu próbnego. VIXAL trzy już sto osiemnaście milionów. A VIXAL cztery zeszłego wieczoru osiągnął zysk wysokości siedemdziesięciu dziewięciu koma siedem miliona.

Easterbrook zmarszczył czoło.

– Nie powiedziałeś, że pracował zaledwie przez tydzień?

– Owszem.

– Ale to by znaczyło, że...

– To znaczy – odezwał się Ezra Klein, który szybko dokonał w głowie obliczeń i prawie zerwał się z krzesła – że przy dziesięciu miliardach kapitału, jakim dysponuje fundusz, chcecie zarobić cztery koma czternaście miliarda rocznie.

– A VIXAL cztery to autonomiczny samodzielnie uczący się algorytm – zauważył Hoffmann. – Im więcej zbiera danych, które analizuje, tym staje się efektywniejszy.

Wokół stołu rozległy się gwizdy i pomruki uznania. Dwaj Chińczycy zaczęli szeptać między sobą.

– Widzicie, dlaczego postanowiliśmy pozyskać większy kapitał inwestycyjny – stwierdził Quarry z uśmiechem.

– Musimy wykorzystać ten wynalazek, zanim ktoś inny zastosuje podobną strategię. A teraz, panie i panowie, chyba przyszedł odpowiedni moment, żeby zaprezentować wam VIXAL podczas akcji.

* * *

Trzy kilometry dalej, w Cologny, policyjna dochodzeniówka skończyła oględziny domu Hoffmannów. Specjaliści zabezpieczający miejsce przestępstwa – młoda kobieta i mężczyzna, którzy mogliby być studentami albo kochankami – spakowali swój sprzęt i odjechali. Znudzony żandarm siedział w samochodzie na podjeździe.

Gabrielle była w swojej pracowni, demontowała portret płodu: wyjmowała kolejno tafle szkła ze szczelin w drewnianej podstawie, owijała je w papier, a potem w folię bąbelkową i układała w kartonowym pudle. Mimowolnie pomyślała, jakie to dziwnie, że tyle twórczej energii wypłynęło z czarnej dziury, jaką była tamta tragedia. Przed dwoma laty, w połowie piątego miesiąca ciąży, Gabrielle straciła dziecko; poroniła nie pierwszy raz, ale na stosunkowo późnym etapie rozwoju płodu i był to dla niej wielki wstrząs. W szpitalu przejęci lekarze dali jej wyniki rezonansu magnetycznego, co było dość nietypowe. Później, zamiast zostać w Szwajcarii, wyjechała z Alexem w podróż służbową do Oksfordu. Wędrując po muzeum, gdy on prowadził rozmowy z naukowcami w hotelu Randolph, natknęła się na trójwymiarowy model przedstawiający strukturę penicyliny, odtworzoną na taflach pleksiglasu w 1944 roku przez Dorothy Hodgkin, laureatkę Nagrody Nobla w dziedzinie chemii. Wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł i po powrocie do Genewy spróbowała tą samą techniką przedstawić obraz płodu, jedyną pamiątkę po swoim dziecku.

Po tygodniu prób i błędów wytypowała kilka z dwustu przekrojowych skanów do wydrukowania, opracowała metodę trawienia ich w szkło, znalazła odpowiedni tusz i odkryła sposób zapobiegania jego rozmazywaniu się. Wielokrotnie kaleczyła sobie dłonie na ostrych brzegach szklanych tafli. Ale w to popołudnie, w które zestawiała je razem i uzyskiwała zarys dziecka – zaciśnięte rączki, podkurczone paluszki u stóp – zdarzył się istny cud, który miała zapamiętać na zawsze. Gdy pracowała, niebo za oknami ich ówczesnego mieszkania pociemniało; nad górami pojawiły się

zygzakowate żółte błyskawice. Wiedziała, że gdyby o tym komukolwiek powiedziała, nie uwierzyłyby jej. To było zbyt teatralne. Miała jednak wrażenie, że manipuluje jakąś pierwotną siłą: igra ze śmiercią. Kiedy Alex wrócił do domu i zobaczył portret, stał jak oniemiały przez dziesięć minut.

Później całkowicie pochłonął ją też mariaż nauki i sztuki, umożliwiający odtwarzanie żywych form. Przeważnie sama była dla siebie modelem; namówiła radiologów ze szpitala, żeby prześwietlili ją od stóp do głów. Ze wszystkich części ciała najtrudniej było uzyskać obraz mózgu. Musiała się nauczyć, które linie najlepiej wychodzą na szkło – akwedukt Sylwiusza, cysterna wielkiej żyły mózgu, namiot mózdzku, rdzeń. Najbardziej przemawiały do niej prostota formy i paradoksy, które z niej wynikały – przejrzystość i tajemniczość, bezosobowość i jednocześnie intymność, typowość i unikatowość. Gdy tego rana patrzyła, jak Alex wsuwa się do tomografu, zapragnęła stworzyć jego portret. Zaczęła się zastanawiać, czy lekarze udostępnią jej jego wyniki i czy on sam pozwoli jej to zrobić.

Z czułością owinęła ostatnią taflę szkła, a potem podstawę, i zalepiła kartonowe pudło brązową taśmą klejącą. To była dla niej bolesna decyzja – oddać na wystawę akurat to z jej dzieł; wiedziała, że już nigdy go nie zobaczy, jeśli ktoś je kupi. A jednak uznała, że tak właśnie powinna postąpić; po to je stworzyła – żeby istniało niezależnie, poszło w świat.

Podniosła pudło i wyniosła je do holu, jakby składała je w ofierze. Na gałkach przy drzwiach prowadzących na korytarz, a także na drewnianej boazerii widniały ślady po niebieskobiałym proszku, którym posypano wszystkie powierzchnie, żeby zdjąć z nich odciski palców. Z podłogi w holu zmyto krew. Parkiet był jeszcze wilgotny w miejscu, gdzie leżał Alex, gdy go znalazła. Ostrożnie ominęła ten odcinek. Z gabinetu dobiegł jakiś hałas i gdy w progu pojawił się zarys potężnej męskiej sylwetki, poczuła ciarki na całym ciele. Wykrzyknęła ze strachu i prawie upuściła pudło.

Rozpoznała go natychmiast. Był to specjalista do spraw zabezpieczeń, Genoud. Gdy się tu wprowadzili, pokazywał jej, jak posługiwać się systemem alarmowym. Był z nim jakiś mężczyzna – ciężko zbudowany, jak zapaśnik.

– *Madame Hoffmann*, proszę nam wybaczyć, jeśli panią przestraszyliśmy. – Genoud zachowywał się z powagą, jak przystało na profesjonalistę. Przedstawił swojego towarzysza.

– Camille został przysłany przez pani męża, ma panią ochraniać do końca dnia.

– Nie potrzebuję ochrony... – zaczęła Gabrielle.

Była jednak zbyt poruszona, żeby zbyt stanowczo się sprzeciwić, i w efekcie pozwoliła ochroniarzowi wziąć pudło i zanieść je do stojącego przed domem mercedesa. Upierała się, że pojedzie do galerii własnym samochodem. Ale Genoud twierdził, że to zbyt niebezpieczne – przynajmniej dopóki mężczyzna, który zaatakował jej męża, nie zostanie złapany – a ponieważ był w tej kwestii nieugięty, w końcu się poddała i zrobiła, co jej zalecał.

* * *

– Poszło genialnie, cholera – szepnął Quarry, ujmując Hoffmanna za łokieć, gdy wyszli z sali konferencyjnej.

– Tak sądzisz? Miałem wrażenie, że w pewnym momencie się pogubili.

– To nie szkodzi, jeśli tylko potem się odnajdą i zobaczą to, co chcą zobaczyć, czyli ostateczny cel. I wszyscy lubią trochę filozofii greckiej. – Poprowadził Hoffmanna w odpowiednim kierunku. – Mój Boże, stary Ezra to okropny upierdliwiec, ale chętnie bym go ucałował za te pamięciowe kalkulacje na samym końcu.

Klienci czekali cierpliwie przed działem transakcji, wszyscy z wyjątkiem Herxheimera i Polaka Łukasińskiego, którzy odwrócili się plecami do pozostałych i z ożywieniem rozmawiali po cichu przez telefony komórkowe. Quarry spojrzał pytająco na Hoffmanna. Ten wzruszył ramionami. Nawet jeśli łamali klauzulę poufności, niewiele można było na to poradzić. Trudno ją egzekwować, jeśli nie ma dowodów, że jest łamana, a na to było w tym przypadku za późno.

– Tędy, jeśli państwo pozwolą! – zawołał Quarry i jak przewodnik, z uniesionym palcem, przeprowadził ich, idących parami jak dzieci, przez rozległe pomieszczenie. Herxheimer i Łukasiński szybko zakończyli rozmowy telefoniczne i dołączyli do grupy. Elmira Gulzhan, w dużych okularach przeciwsłonecznych, odruchowo objęła przywództwo. Clarisse Mussard, w swoim rozpinanym swetrze i workowatych spodniach, sunęła tuż za nią jak jej służąca. Hoffmann mimowolnie spojrzał na pasek z notowaniami giełdowymi na koncie CNBC, żeby sprawdzić, co się dzieje

na rynkach europejskich. Odnotowywane od tygodnia spadki wreszcie się skończyły; indeks FTSE 100 wzrósł o prawie pół procentu.

Wszyscy zebrali się wokół dużego ekranu w dziale transakcji. Jeden z kwantów opuścił swoje biurko, żeby mieli lepszy widok.

– Oto VIXAL cztery w akcji – oznajmił Hoffmann. Stał plecami do inwestorów, żeby być bliżej terminalu. Postanowił, że nie będzie siadać, bo wtedy wyraźnie zobaczyliby ranę na jego głowie. – Algorytm typuje transakcje do realizacji. Znajdują się one po lewej stronie ekranu według kolejności zleceń. Po prawej widzicie transakcje dokonane. – Przysunął się trochę bliżej, żeby przeczytać liczby. – Tu na przykład – zaczął – mamy...

– Urwał, zaskoczony wysokością kwoty; przez chwilę wydawało mu się, że przecinek jest w niewłaściwym miejscu. – Tu, jak widzicie, mamy półtora miliona opcji na sprzedaż Accenture po pięćdziesiąt dwa dolary za akcję.

– O rany – odezwał się Easterbrook. – Niezły typ jak na krótką sprzedaż. Wiecie coś, panowie, na temat Accenture, czego my nie wiemy?

– Wyniki w drugim kwartale roku obrotowego: spadek o trzy procent – wyrecytował Klein z pamięci – zyski: sześćdziesiąt centów na akcji, to wprawdzie niewiele, ale nie rozumiem logiki tej pozycji.

– Jakaś przyczyna musi być, inaczej VIXAL nie wzięłyby opcji. Może pokażesz państwu inną transakcję, Alex – wyjaśnił Quarry.

Hoffmann zmienił ekran.

– Dobrze. Tutaj... widzicie?... to inna krótka sprzedaż, którą podjęliśmy dziś rano: dwanaście i pół miliona opcji na sprzedaż Vista Airways po osiem euro dwadzieścia siedem centów za akcję.

Vista Airways to były tanie europejskie linie lotnicze charakteryzujące się dużą liczbą wykonywanych lotów. Nikt z obecnych by na nią nie postawił.

– Dwanaście i pół miliona?! – powtórzył Easterbrook. – To musi być kawał rynku, do cholery. Ta wasza machina ma jaja, muszę przyznać.

– No naprawdę, Bill – odezwał się Quarry – czy to rzeczywiście aż takie ryzykowne posunięcie? Akcje wszystkich linii lotniczych to w tych czasach niebezpieczna inwestycja. O tę pozycję jestem zupełnie spokojny. – Ale w jego głosie brzmiał obronny ton i Hoffmann pomyślał, że współnik zauważył ruch w górę na rynkach europejskich: jeśli korekta techniczna nastąpi też po drugiej stronie Atlantyku, może ich zaskoczyć fala zwyżkowa i będą musieli wyprzedać opcje ze stratą.

– Vista Airways odnotowały w czwartym kwartale dwunastoprocentową zwyżkę, jeśli chodzi o liczbę pasażerów, i najnowsza prognoza zysku przewiduje dziewięcioprocentowy wzrost. Właśnie odebrały dostawę nowej floty powietrznej. Sensu tej pozycji też nie rozumiem – zauważył Klein.

– Wynn Resorts – odezwał się Hoffmann, patrząc na następny ekran. – Milion dwieście tysięcy w krótkiej sprzedaży po sto dwadzieścia cztery. – Ściągnął brwi, zaskoczony. – Tak duże inwestycje obliczone na spadki były nietypowe dla normalnego, złożonego schematu transakcji hedgingowych, realizowanych przez VIXAL.

– Hm, to mnie już naprawdę dziwi – stwierdził Klein – bo przecież odnotowali w pierwszym kwartale wzrost z siedmiuset czterdziestu milionów do dziewięciuset dziewięciu, z dywidendą w gotówce w wysokości dwudziestu pięciu centów za akcję, no i nabyli ten wspaniały nowy ośrodek w Makau, który stanowi dosłownie fabrykę pieniędzy... przyniósł ponad dwadzieścia miliardów z gier stołowych w samym tylko pierwszym kwartale. Mogę?

– Nie czekając na pozwolenie, pochylił się przed Hoffmannem, ujął myszkę i zaczął przewijać ostatnie transakcje. Jego garnitur zalatywał zapachem z pralni; Hoffmann musiał się odsunąć. – Procter & Gamble, sześć milionów po sześćdziesiąt dwa w krótkiej sprzedaży... Exelon, trzy miliony po czterdzieści jeden pięćdziesiąt na krótko... plus wszystkie opcje... Jezu, Hoffmann... jakaś asteroidea ma uderzyć w ziemię czy co?

Twarz miał niemal przyklejoną do ekranu. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki notes i zaczął zapisywać w nim liczby, ale Quarry wyciągnął rękę i stanowczo wyjął mu go z ręki.

– Nieładnie, Ezra – skarcił go. – Wiesz, że w tym biurze nie używa się papieru. – Wyrwał kartkę, zmiął ją w kulkę i włożył do kieszeni.

– Powiedz mi, Alex, takie duże shorty jak te wszystkie... czy algorytm realizuje je zupełnie niezależnie, czy w tym celu konieczna jest ingerencja człowieka? – zapytał Francois de Gombard-Tonnelle, kochanek Elmiry.

– Realizuje je niezależnie – odparł Hoffmann. Usunął szczegóły transakcji z ekranów. – Najpierw algorytm typuje akcje, które chciałby kupić. Potem analizuje ich notowania w ciągu ostatnich dwudziestu dni. I wreszcie sam wydaje polecenie kupna w taki sposób, żeby nie alarmować rynku i nie wpłynąć na cenę.

– Więc cały proces jest sterowany elektronicznie? Wasi maklerzy są jak piloci w jumbo jecie?

– Właśnie tak. Nasz system łączy się bezpośrednio z systemem wykonawczym brokera i wtedy przy użyciu ich infrastruktury dokonujemy transakcji. Nikt już nie telefonuje do brokera. Nie z tej firmy.

– Mam jednak nadzieję, że człowiek nadzoruje to w jakimś punkcie – zauważył Iain Mould.

– Owszem, tak jak w kokpicie jumbo jeta... jest stały nadzór, ale zwykle nie ma potrzeby interweniować, chyba że zaczyna się dziać coś złego. Jeśli jeden z chłopców w dziale transakcji zauważy zlecenie, które go niepokoi, oczywiście może wstrzymać jego realizację, aż zatwierdzi to któryś z nas, ja, Hugo albo jeden z naszych kierowników.

– Czy doszło kiedyś do tego?

– Nie. Nie z VIXAL-em cztery. Jak dotąd.

– Ile zleceń dziennie realizuje system?

– Około ośmiuset – odpowiedział tym razem Quarry.

– I są składane przez system?

– Tak. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz sam dokonałem transakcji.

– Pewnie waszym głównym brokerem jest AmCor, biorąc pod uwagę długość wzajemnej współpracy?

– Mamy obecnie różnych brokerów, nie tylko AmCor.

– Tym większa szkoda – zauważył Easterbrook ze śmiechem.

Quarry odparł:

– Z całym szacunkiem dla Billa, nie chcemy współpracować z tylko jedną firmą brokerską, która by znała wszystkie nasze strategie. W tej chwili korzystamy z usług wielkich banków i firm o określonej specjalizacji: trzech od akcji, trzech od surowców i pięciu od papierów dłużnych. Spójrzmy na sprzęt, dobrze?

Gdy grupa odeszła, Quarry odciągnął Hoffmanna na bok.

– Albo coś przeoczyłem – zagadnął cicho – albo te pozycje są nietypowe?

– Rzeczywiście, wydają się bardziej ryzykowne niż zwykle – przyznał Hoffmann – ale nie ma powodu do niepokoju. Jeśli dobrze sobie przypominam, LJ wspomniał, że Gana prosił o zwołanie zebrania komitetu ryzyka. Skierowałem go do ciebie.

– Chryste Panie, to w tej sprawie do mnie przyszedł? Nie miałem czasu, żeby z nim porozmawiać. Cholera jasna. – Quarry spojrział na zegarek, a potem na pasek z notowaniami. Na rynkach europejskich wciąż panowała tendencja zwykła. – Dobra, skorzystajmy z pięciominutowej przerwy,

gdy tamci będą pili kawę. Wezwę Ganę do swojego gabinetu. A ty tymczasem idź do nich i ich baw.

Sprzęt komputerowy znajdował się w dużym, pozbawionym okien pomieszczeniu po przeciwnej stronie działu transakcji i tym razem Hoffmann objął prowadzenie. Stał przed kamerą z czytnikiem optycznym – tylko kilka osób miało dostęp do tego świętego miejsca – i czekał na identyfikację rysów twarzy, potem, gdy bolce się odsunęły, pchnął drzwi. Były grube, żaroodporne, z szybą ze wzmocnianego szkła pośrodku i gumowymi uszczelkami próżniowymi po bokach, tak że wydawały lekki szmer, gdy się otwierały i guma od spodu sunęła po wyłożonej białymi kaflami podłodze.

Hoffmann pierwszy wszedł do środka; za nim ruszyli pozostali. W porównaniu z relatywną ciszą w dziale transakcji szum komputerów brzmiał wręcz industrialnie. Procesory znajdowały się na regałach magazynowych; gdy przetwarzały dane, rzędy ich czerwonych i zielonych wskaźników błyskały szybko. Na końcu pomieszczenia, w dwóch identycznych podłużnych gablotach z pleksiglasu, para robotów taśmowych IBM typu TS3500 przesuwiała się tam i z powrotem na szynach, wystrzeliwując szybko jak atakujące węże z jednego końca na drugi, gdy VIXAL 4 wydawał im polecenie, aby dostarczyły albo odstawiły na miejsce dane. Było tu o kilka stopni chłodniej niż w pozostałej części budynku. Szum potężnej klimatyzacji chłodzącej procesor centralny był dziwnie głośny i utrudniał porozumiewanie się. Kiedy wszyscy weszli już do środka, Hoffmann podniósł głos, żeby słyszeli go ci z tyłu:

– Na wypadek gdybyście byli pod wrażeniem, powiem, że to tylko cztery procent wydajności centralnego procesora w CERN-ie, gdzie kiedyś pracowałem. Jednak zasada działania jest taka sama. Dysponujemy prawie tysiącem standardowych centralnych jednostek obliczeniowych – wyjaśnił, dumnie opierając rękę na regale. – Każdy z nich ma od dwóch do czterech rdzeni, dokładnie tak samo jak wasze domowe komputery, tylko są bez obudowy i zmontowała je dla nas specjalizująca się w tym firma.

Uznaliśmy, że będzie to bezpieczniejsze i ekonomiczniejsze niż zakup superkomputerów, a także łatwiejsze do upgradowania, co robimy nieustannie. Na pewno znacie prawo Moore'a? Mówi ono, że liczba tranzystorów, które można umieścić w układzie scalonym... co zasadniczo oznacza rozmiar pamięci operacyjnej i szybkość procesora... podwaja się co osiemnaście miesięcy, więc koszt zmniejsza się o połowę. Prawo to

stosuje się z zadziwiającą konsekwencją od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku. W CERN-ie w latach dziewięćdziesiątych mieliśmy superkomputer Cray X-MP/48, który kosztował piętnaście milionów dolarów i dawał połowę mocy, jaką teraz za dwieście dolarów daje XBox Microsoftu. Możecie sobie wyobrazić, co ta tendencja oznacza dla nas w przyszłości.

Elmira Gulzhan splotła ręce na piersi i zadrżała demonstracyjnie.

– Ale dlaczego musi tu być tak cholernie zimno?

– Procesory wytwarzają dużo ciepła. Musimy trzymać je w chłodzie, żeby się nie przegrzały. Gdybyśmy wyłączyli w tym pomieszczeniu klimatyzację, temperatura zaczęłaby się podnosić o pół stopnia Celsjusza na minutę. Po dwudziestu minutach zrobiłoby się bardzo nieprzyjemnie. A po półgodzinie system by padł.

– A co by się stało, gdyby zabrakło prądu? – zapytał Etienne Mussard.

– W przypadku krótkotrwałych przerw w dostawie prądu przeszlibyśmy na akumulatory. Po dziesięciu minutach bez prądu włączyłyby się dieslowskie generatory w suterenie.

– A co by było, gdyby wybuchł pożar? – zagadnął Łukasiński. – Albo gdyby budynek zaatakowali terroryści?

– Oczywiście, mamy system backupowy. Nie przerwalibyśmy działalności. Ale nic takiego się nie wydarzy, proszę się nie martwić. Inwestujemy w system bezpieczeństwa: instalację tryskaczową, detektory dymu, przegrody ogniotrwałe, nadzór wideo, strażę, ochronę elektroniczną. I proszę pamiętać, jesteśmy w Szwajcarii.

Większość ludzi się uśmiechnęła. Ale nie Łukasiński.

– Macie własną ochronę czy korzystacie z zewnętrznej?

– Zewnętrznej. – Hoffmann zaczął się zastanawiać, skąd u Polaka taka obsesja na punkcie bezpieczeństwa. Typowa dla bogaczy mania prześladowcza, uznał. – Korzystamy z firm zewnętrznych w szerokim zakresie: jeśli chodzi o bezpieczeństwo, sprawy prawne, księgowość, transport, catering, nadzór techniczny, sprzątanie. Te biura są wynajęte. Nawet umeblowanie jest wypożyczone. Chcemy być firmą, która nie tylko zarabia pieniądze w erze cyfrowej; sami chcemy być cyfrowi. To znaczy, że staramy się być wirtualni, zmniejszamy stan posiadania, redukujemy wyposażenie.

– A co z ochroną osobistą? – nie ustępował Łukasiński. – Ta rana na twojej głowie... zeszłej nocy zostałeś zaatakowany w swoim domu.

Hoffmanna ogarnęło poczucie winy i zakłopotanie.

– Skąd o tym wiesz?

– Ktoś mi powiedział – rzucił bez wahania Łukasiński.

Elmira położyła dłoń na ramieniu Hoffmanna; jej długie brązowoczerwone paznokcie były jak szpony.

– Och Alex – powiedziała z troską – to okropne.

– Kto? – nie dawał się zbyć Hoffmann.

– Jeśli mogę się wtrącić – zabrał głos Quarry, który tymczasem wślizgnął się do pomieszczenia. – To, co zdarzyło się Alexowi, nie ma nic wspólnego z działalnością firmy... to robota jakiegoś czubka, którego policja na pewno niebawem złapie. A co do twojego pytania, Mieczysław, przedsięwzięliśmy środki, żeby zapewnić Alexowi dodatkową ochronę do czasu wyjaśnienia sprawy. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania dotyczące sprzętu? – Zapadła cisza. – Nie? Wobec tego proponuję, żebyśmy stąd wyszli, zanim wszyscy zamarzniemy na śmierć. W sali konferencyjnej czeka już kawa na rozgrzewkę, zapraszam was tam. My przyjdziemy za kilka minut. Muszę zamienić z Alexem parę słów.

* * *

Byli w połowie drogi przez parkiet, odwrócenie plecami do wielkich ekranów telewizyjnych, gdy jeden z kwantów gwałtownie zaczerpnął powietrza. W pomieszczeniu, gdzie wszyscy mówili szeptem, ten dźwięk zabrzmiał jak wystrzał z broni palnej w bibliotece. Hoffmann przystanął gwałtownie i odwróciwszy się, zobaczył, że jego podwładni wstają z miejsc, patrząc na ostatnie doniesienia Bloomberga i CNBC. Siedzący obok fizyk podniósł rękę do ust.

Oba kanały satelitarne emitowały ten sam materiał filmowy, najwyraźniej zarejestrowany telefonem komórkowym przez pasażera samolotu lądującego na lotnisku. Maszyna najwyraźniej miała kłopoty, podchodziła do lądowania zbyt szybko, z jednym skrzydłem uniesionym wyżej niż drugie. Z kadłuba wydobywał się dym.

Ktoś chwycił pilota i pogłośnił dźwięk.

Odrzutowiec zniknął za wieżą kontrolą, a potem pojawił się znowu, leciał tuż nad dachami budynków w piaskowym kolorze – być może hangarów; w tle widać było jodły. Wydawało się, że musnął podwoziem znajdujący się poniżej budynek, jakby go głąskał, gdy nagle eksplodował

wielką rozprzestrzeniającą się kulą ognia. Jedno ze skrzydeł, z umieszczonym pod spodem silnikiem, wystrzeliło z tego piekła i zatoczyło łuk po niebie. Obiektyw śledził je chwiejnie, dopóki nie zniknęło z pola widzenia, a wtedy huk wybuchu i fala uderzeniowa dotarły do aparatu. Rozległy się szczęk metalu i okrzyki przerażenia w języku, którego Hoffmann nie potrafił zidentyfikować – może rosyjskim. Obraz zadrżał, a potem ukazało się bardziej stabilne ujęcie gęstego, czarnego tłustego dymu, z pomarańczowożółtymi językami ognia, który rozpostarł się nad lotniskiem.

Wizji towarzyszył głos prezenterki amerykańskiej, która mówiła bez tchu:

– Są to sceny, które rozegrały się zaledwie kilka minut temu, kiedy odrzutowiec pasażerski Vista Airways z dziewięćdziesięcioma ośmioma osobami na pokładzie rozbił się podczas schodzenia do lądowania na moskiewskim lotnisku Domodiedowo...

– Vista Airways? – zapytał Quarry, odwracając się do Hoffmanna. – Czy ona powiedziała: Vista Airways?

Jednocześnie w dziale transakcji rozległy się stłumione głosy:

– Mój Boże, od rana sprzedajemy na krótko ich akcje.

– To niesamowite, prawda?

– Aż ciarki mnie przechodzą.

– Czy można wyłączyć to cholerstwo?! – zawołał Hoffmann.

Ponieważ nikt nie zareagował, przeszedł między biurkami i wyrwał pilota z ręki oniemiałego kwanta. Tymczasem w telewizji nadawano nakręcony materiał ponownie, co niewątpliwie miało nastąpić jeszcze wiele razy tego dnia, dopóki się nie opatrzy i nie straci mocy oddziaływania. Hoffmannowi wreszcie udało się wyłączyć dźwięk i w pomieszczeniu znowu zrobiło się cicho.

– Dobra – oświadczył. – Dość tego. Wracamy do roboty.

Rzucił pilota na biurko i wrócił do klientów. Easterbrook i Klein, zaprawieni w bojach bywalcy sal operacji finansowych, dopadli już do najbliższego terminalu i sprawdzali notowania. Inni, oszołomieni, stali bez ruchu jak naiwni chłopcy, którzy są świadkami nadprzyrodzonego zjawiska. Hoffmann czuł ich wzrok na sobie. Clarisse Mussard nawet się przeżegnała.

– Mój Boże – jęknął Easterbrook, patrząc na ekran z notowaniami – to stało się zaledwie pięć minut temu i akcje Visty spadły już o piętnaście procent. I lecą w dół dalej.

– Na łeb na szyję – dodał Klein, nerwowo chichocząc.

– Darujcie sobie, panowie – włączył się Quarry – są tu cywile. – Zwrócił się do klientów: – Pamiętam, że dwóch giełdźiarzy z Goldman Sachs rano dziewiątego września sprzedawało akcje firmy ubezpieczającej linie lotnicze. Właśnie przybijali piątkę, gdy pierwszy samolot uderzył w wieżę. Ale skąd mieli wiedzieć. Nikt z nas nie wiedział. Przypadki chodzą po ludziach.

Klein wciąż wpatrywał się w notowania giełdowe.

– O rany – mruknął z uznaniem – to wasze czarne pudełko zbiera żniwo, Alex.

Hoffmann spojrział nad jego ramieniem. Liczby w kolumnie transakcji dokonanych zmieniały się szybko, gdy VIXAL obliczał zyski na opcjach sprzedaży akcji Vista Airways po cenie sprzed katastrofy. Licznik zysków/strat podający wynik w dolarach był jedną zamazaną zieloną smugą.

– Ciekaw jestem, ile, panowie, zarobicie na tej jednej transakcji... dwadzieścia, trzydzieści milionów? Jezu, Hugo, ci z nadzoru obleżą was jak mrówki na pikniku – zagadnął Easterbrook.

– Alex! Musimy iść na spotkanie – odezwał się Quarry.

Ale Hoffmann, który nie mógł oderwać wzroku od liczb na ekranie, wcale nie słuchał. Czuł straszliwe ciśnienie w głowie. Przyłożył palce do rany i dotknął nimi szwów. Miał wrażenie, że są tak naciągnięte, jakby za chwilę miały pęknąć.

7

To nie może trwać w nieskończoność. Wzrost wykładniczy cechuje to, że jego granica wciąż się przesuwa i w końcu następuje katastrofa.

Gordon Moore, autor prawa Moore'a (2005)

Komitet do spraw ryzyka Hoffmann Investment Technologies zebrał się na krótko o jedenastej pięćdziesiąt siedem, jak zanotował później Ganapathi Rajamani, menedżer ryzyka w firmie. Obecni byli wszyscy członkowie kierownictwa: doktor Alexander Hoffmann, prezes; Hugo Quarry, dyrektor generalny; Lin Ju-Long, dyrektor finansowy; Pieter van der Zyl, dyrektor do spraw operacyjnych; i sam Rajamani.

Zebranie nie było tak formalne, jak wynika z protokołu. Później, gdy porównano relacje jego uczestników, okazało się, że nikt nawet nie usiadł. Wszyscy zebrani w gabinecie Quarry'ego stali, z wyjątkiem jego samego, bo przysiadł na brzegu swojego biurka, żeby patrzeć na terminal komputera. Hoffmann zajął swoje poprzednie miejsce przy oknie i co jakiś czas rozchyłał żaluzje, żeby wyjrzeć na ulicę. Wszyscy zapamiętali jeszcze jedno: że był bardzo roztargniony.

– Dobra – zaczął Quarry – załatwmy to szybko. Mam w sali konferencyjnej sto miliardów dolarów, które przebierają nogami, i muszę do nich wrócić. Zamknij drzwi, LJ, jeśli możesz. – Zaczekał chwilę, aby mieć pewność, że nikt ich nie podsłucha. – Rozumiem, że wszyscy z was widzieli, co się przed chwilą stało. Pierwsze pytanie jest takie: czy to, że dokonaliśmy tak dużej transakcji w krótkiej sprzedaży tuż przed gwałtownym spadkiem akcji Vista Airways, spowoduje wszczęcie oficjalnego dochodzenia? Gana?

– Szybka odpowiedź brzmi: tak, prawie na pewno. – Rajamani był schludnym, precyzyjnie wyrażającym się młodym mężczyzną o silnym poczuciu własnej wartości. Miał za zadanie kontrolować poziomy ryzyka funduszu i czuwać nad zgodnością operacji finansowych z prawem. Quarry ściągnął go z Financial Services Authority w Londynie przed sześcioma miesiącami w ramach zasłony dymnej.

– Tak? – upewnił się Quarry. – Ale przecież nie mogliśmy wiedzieć, co się stanie?

– Cały proces odbywa się automatycznie. Algorytmy kontrolerów wykryją zwiększoną aktywność w związku z akcjami linii lotniczych tuż przed spadkiem ich cen. I wtedy trafią na nas.

– Ale nie zrobiliśmy nic sprzecznego z prawem.

– Nie. Pod warunkiem że nie dokonaliśmy sabotażu z samolotem.

– Przecież nie dokonaliśmy, mam rację? – Quarry rozejrzał się wokół. – To znaczy, popieram ludzi z inicjatywą, ale...

– Będą chcieli sprawdzić – ciągnął Rajamani, nie zwracając na niego uwagi – dlaczego zdecydowaliśmy się na tę transakcję akurat w tym momencie. Wiem, że to absurdalne pytanie, Alex, ale czy VIXAL mógł w jakiś sposób uzyskać wiadomość o katastrofie przed resztą rynku?

Hoffmann niechętnie puścił żaluzje i odwrócił się twarzą do kolegów.

– VIXAL pobiera wiadomości w formie cyfrowej bezpośrednio od Reutersa... to daje mu jedno-, dwusekundową przewagę nad giełdźmierzem w postaci ludzkiej... ale podobnie jest w przypadku mnóstwa innych systemów algorytmicznych.

– Zresztą niewiele mógłbyś w tym czasie zrobić. Przeprowadzenie takiej transakcji jak nasza zajęłoby kilka godzin – odezwał się van der Zyl.

– Kiedy zaczniemy nabywać opcje? – zapytał Quarry.

– Gdy tylko nastąpi otwarcie rynków europejskich. Czyli o dziewiątej – odparł Ju-Long.

– Możemy z tym skończyć? – spytał z irytacją Hoffmann. – Nawet najgłupszy kontroler w ciągu niespełna pięciu minut zorientuje się, że nie tylko te akcje sprzedaliśmy na krótko, bo to element strategii. Nie ma w tym nic szczególnego. Zbieg okoliczności i tyle. Dajmy już temu spokój.

– Jeśli mogę coś powiedzieć jako były głupi kontroler – włączył się Rajamani. – Alex ma rację. Liczy się przede wszystkim strategia. Dlatego właśnie chciałem z wami rano porozmawiać, jeśli pamiętacie.

– Uhm, przepraszam cię, ale byłem już spóźniony na prezentację. – Quarry popełnił błąd, zatrudniając tego faceta, pomyślał Hoffmann. Jeśli ktoś był kiedyś kontrolerem, pozostanie nim do końca życia: to jak obcy akcent, zawsze już będzie zdradzał pochodzenie człowieka.

– Musimy skupić się na czymś innym, mianowicie na poziomie ryzyka, jeśli akcje na rynkach nadal będą szły w górę... Procter & Gamble, Accenture, Exelon i dziesiątki innych: dziesiątki milionów w opcjach od wtorku wieczorem. To wszystko ogromne transakcje jednego typu – kontynuował Rajamani.

– No i jesteśmy narażeni na VIX-a – dodał van der Zyl. – Już od kilku dni słyszę w głowie dzwonki alarmowe. W zeszłym tygodniu wspominałem ci o tym, Hugo, pamiętasz? – Van der Zyl wykladał kiedyś inżynierię na Uniwersytecie Technicznym w Delft i nie wyzbył się dydaktycznego podejścia.

– To jak stoimy z VIX-em? – zapytał Quarry. – Byłem tak zajęty przygotowaniem do prezentacji, że ostatnio nie sprawdzałem naszych pozycji.

– Gdy patrzyłem ostatnim razem, dochodziliśmy do dwudziestu tysięcy kontraktów.

– Dwudziestu tysięcy?! – Quarry spojrział na Hoffmanna.

Ju-Long wyjaśnił:

– Zaczęliśmy skupować kontrakty terminowe na VIX jeszcze w kwietniu, kiedy indeks wynosił osiemnaście. Gdybyśmy sprzedali je w tym tygodniu, nieźle byśmy zarobili i przypuszczałem, że tak się stanie. Ale zamiast postąpić zgodnie z logiką i przystąpić do sprzedaży, wciąż kupowaliśmy. Zeszłego wieczoru nabyliśmy kolejne cztery tysiące kontraktów po dwadzieścia pięć. To jest dopiero implikowana zmienność.

Rajamani stwierdził:

– Jestem poważnie zaniepokojony, naprawdę. Nie wiem już, co robimy. Kupujemy złoto. Wchodzimy w dolary. Sprzedajemy na krótko kontrakty terminowe na wszystkie indeksy.

Hoffmann spojrział na nich kolejno – na Rajamaniego, Ju-Longa oraz van der Zyla – i nagle zrozumiał, że wszyscy trzej porozumieli się wcześniej. To była zasadzka – zasadzka finansowych biurokratów. Żaden z nich nie miał kwalifikacji, żeby pracować jako kwant. Poczuł, że traci panowanie nad sobą.

– Co wobec tego proponujesz, Gana? – zapytał.

– Myślę, że powinniśmy przystąpić do likwidacji niektórych pozycji.

– To już najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem – skomentował Hoffmann. Sfrustrowany, uderzył wierzchem dłoni o żaluzje, tak że uderzyły o szybę. – Jezu, Gana, w zeszłym tygodniu zarobiliśmy prawie osiemdziesiąt milionów dolarów. Dziś rano zbiliśmy kolejne czterdzieści milionów. A ty chcesz, żebyśmy ignorowali analizy VIXAL-a i wrócili do strategii dyskrecjonalnej?

– Nie ignoruję ich, Alex. Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

– Daj mu spokój, Alex. To była tylko propozycja. Na tym polega jego praca, czuwa nad ryzykiem – wtrącił spokojnie Quarry.

– Nie, nie dam mu spokoju. On chce, żebyśmy porzucili strategię, która charakteryzuje się wysoką alfą, a to właśnie wynikająca ze strachu nielogiczna, chora reakcja na sukces, którą VIXAL ma uwzględnić! I jeśli Gana nie wierzy, że algorytmy mają wyższość nad istotami ludzkimi, jeśli chodzi o grę na giełdzie, to pracuje nie w tej branży, co potrzeba.

Na Rajamanim jednak tyrada prezesa nie zrobiła wrażenia. Nie darmo nazywano go terierem: w FSA wytrwale polował na Goldmana.

– Muszę ci przypomnieć, Alex – powiedział teraz – że firma ta w swoim prospekcie gwarantuje klientom, że nie wykroczy poza dwadzieścia procent zmienności rocznej. Mam obowiązek interweniować, jeśli widzę, że statutowe limity ryzyka mogą zostać przekroczone.

– To znaczy?

– To znaczy, że jeśli poziom ryzyka nie spadnie, będę musiał powiadomić inwestorów. Spotkać się z zarządem.

– Ale to moja firma.

– Która w przeważającej części obraca pieniędzmi klientów.

W ciszy, która zapadła, Hoffmann gwałtownie zaczął masować knykciami skronie. Znowu rozboleła go głowa: potrzebował jakiegoś środka przeciwbólowego.

– Z zarządem? – mruknął. – Nawet nie wiem, kto jest w tym pieprzonym zarządzie. – Dla niego była to jedynie formalna jednostka prawna, zarejestrowana ze względu na podatki na Kajmanach, która miała sprawować nadzór nad pieniędzmi klientów i wypłacać funduszowi hedgingowemu prowizje za zarządzanie kapitałem i z tytułu zysków.

– Dobra – zamknął sprawę Quarry – nie sądzę, żeby miało do tego dojść. Jak to kiedyś mówiono na wojnie, zachowajmy spokój i róbmy swoje. – Obdarzył zebranych swoim najbardziej urzekającym uśmiechem.

– Ze względów prawnych muszę prosić, żeby zaprotokołowano moje obawy – oświadczył Rajamani.

– Dobrze. Spisz protokół narady, a ja go podpiszę. Nie zapominaj jednak, że jesteś tu nowy i że firma należy do Alexa... Alexa i mnie, choć obaj jesteśmy tu tylko dzięki niemu. A jeśli on wierzy w VIXAL, to my wszyscy też powinniśmy... Bóg mi świadkiem, że nie mamy powodów, aby w niego wątpić. Ale zgadzam się, że musimy jednocześnie monitorować poziom ryzyka... nie chcemy przecież zderzyć się z górą, gdy będziemy

wpatrywać się w tablicę przyrządów. Alex, masz coś przeciwko? Więc, biorąc pod uwagę, że większość tych akcji jest notowana w Stanach, proponuję, żebyśmy spotkali się ponownie w tym gabinecie o wpół do czwartej, kiedy to otwierają się giełdy w Ameryce, i wtedy od nowa przeanalizowali sytuację.

– W takim razie życzę sobie, aby był przy tym prawnik – stwierdził złośliwie Rajamani.

– Doskonale. Poproszę Maxa Gallanta, żeby został po lunchu. Co ty na to, Alex?

Hoffmann znużonym gestem wyraził zgodę.

Według protokołu zebranie zakończyło się o dwunastej osiem.

* * *

– Och, Alex, a przy okazji – odezwał się Ju-Long, odwracając się w progu, gdy wychodzili – prawie zapomniałem... Ten numer rachunku, o który pytałeś. Okazuje się, że figuruje w naszym systemie.

– Jaki rachunek? – zainteresował się Quarry.

– Och, nieważne – odparł Hoffmann. – Chciałem tylko coś sprawdzić. Przyjdę do ciebie za chwilę, LJ.

Pozostali trzej skierowali się do swoich gabinetów, Rajamani szedł na czele. Quarry patrzył za nimi i w tym czasie na jego twarzy zamiast uprzedzająco grzecznej, pojednawczej miny pojawiła się pogarda.

– Co za nadęty dupek z tego faceta – zauważył. Zaczął przedrzeźniać poprawną urywaną angielszczyznę Rajamaniego. – „Będę musiał porozumieć się z zarządem”. „Życzę sobie, aby był przy tym prawnik”. – Podniósł rękę do oka i udał, że bierze go na cel.

– To ty go zatrudniłeś – zauważył Hoffmann.

– Owszem, rzeczywiście, masz rację, i to ja go wywalę, spokojna głowa. – Nacisnął wyimaginowany spust chwilę przed tym, jak tamci trzej skręcili za róg i zniknęli z pola widzenia. – I jeśli mu się wydaje, że płacę Maxowi Gallantowi dwa tysiące franków za godzinę, aby chronić jego tyłek, to bardzo się zdziwi. – Nagle ściszył głos. – Ale wszystko w porządku, Alex, co? Nie muszę się martwić? Bo przez sekundę miałem takie samo uczucie, jak wtedy gdy pracowałem w AmCor i sprzedawałem zabezpieczone papiery dłużne.

– Czyli jakie uczucie?

– Że z każdym dniem staję się bogatszy, ale nie wiem, jakim sposobem.

Hoffmann popatrzył na niego ze zdziwieniem. W ciągu ośmiu lat ani razu nie słyszał, żeby Quarry wyrażał obawy. Było to niemal tak niepokojące jak niektóre inne zdarzenia tego ranka.

– Posłuchaj, Hugo – powiedział – możemy po południu zawiesić działanie VIXAL-a, jeśli chcesz. Możemy zamknąć pozycje i zwrócić pieniądze inwestorom. Gram w to przede wszystkim ze względu na ciebie, pamiętasz o tym?

– Ale dlaczego, Alex? – zapytał Quarry z naciskiem. – Chcesz zwinąć interes? Czemu nie?... zarobiliśmy już dosyć, żeby do końca naszych dni pławić się w luksusie. Nie musimy bajerować klientów.

– Nie, nie chcę zwinąć interesu. Mamy tu możliwości techniczne, aby dokonać czegoś, na co nikt się nawet jeszcze nie odważył. A jeśli ty wolisz się wycofać, odkupię od ciebie udziały.

Teraz Quarry spojrział na niego ze zdziwieniem. Potem jednak nagle się uśmiechnął.

– Akurat! Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. – Odzyskał zimną krew tak szybko, jak ją stracił. – Nie, nie, na razie się nie wycofuję. Chyba widok tego samolotu... trochę wytrącił mnie z równowagi. Ale jeśli ty jesteś spokojny, to ja też. To co? – Dał Hoffmannowi znak, żeby szedł przodem. – Wracamy do szacownych psychopatów i przestępców, których z dumą nazywamy naszymi klientami?

– Ty wracaj. Ja nie mam im już nic do powiedzenia. Jeśli chcą włożyć w to dodatkowe pieniądze... to dobrze. Jeśli nie, niech się pieprzą.

– Ale przyjechali zobaczyć się z tobą...

– Uhm, i już mnie widzieli.

Quarry'emu zrzędła mina.

– Ale przyjdiesz chociaż na lunch?

– Hugo, naprawdę nie znoszę tych ludzi... – Ale współnik miał tak żałosny wyraz twarzy, że Hoffmann od razu skapitulował. – O Boże, jeśli to rzeczywiście takie ważne, przyjdę na ten cholerny lunch.

– Beau-Rivage. O pierwszej. – Quarry chciał powiedzieć coś jeszcze, ale spojrział na zegarek i przeklął. – Niech to szlag, czekają już kwadrans! – Ruszył w stronę sali konferencyjnej. – O pierwszej! – zawołał jeszcze i odwróciwszy się, szedł dalej tyłem. Pokazał wzniesiony kciuk. – Dobry z ciebie człowiek. – W drugiej ręce trzymał już telefon komórkowy i wybierał numer.

Hoffmann odwrócił się na pięcie i poszedł w przeciwną stronę. Na korytarzu nie było nikogo. Szybko wystawił głowę za róg i zajrzał do wspólnej kuchni z ekspresem do kawy, kuchenką mikrofalową i wielką lodówką: tu także pusto. Kilka kroków dalej znajdował się gabinet Ju-Longa: drzwi były zamknięte. Hoffmann zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

Odniósł wrażenie, jakby nakrył grupę nastolatków na oglądaniu zdjęć pornograficznych w domowym komputerze. Ju-Long, van der Zyl i Rajamani pospiesznie odsunęli się od terminalu, a Ju-Long kliknął myszką w ekran, aby go zgasić.

Van der Zyl wyjaśnił:

– Właśnie sprawdzaliśmy notowania waluty, Alex. – Holender miał bardzo wyraziste rysy, co sprawiało, że wyglądał jak bystry, ponury gargulec.

– No i?

– Euro traci na wartości w stosunku do dolara.

– Chyba się tego spodziewaliśmy. – Hoffmann szerzej otworzył drzwi. – Nie chcę was zatrzymywać...

– Alex... – zaczął Rajamani.

Hoffmann mu przerwał:

– Mam sprawę do LJ... prywatną. – Zapatrzył się przed siebie, gdy podwładni wychodzili. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, zapytał LJ: – Mówisz, że ten numer konta jest w systemie?

– Pojawił mi się dwukrotnie.

– Chcesz powiedzieć, że to jeden z naszych rachunków. używamy go w interesach?

– Nie. – Na gładkim czole Ju-Longa pojawiła się zaskakująco głęboka zmarszczka. – Myślałem, że to twoje osobiste konto.

– Dlaczego?

– Bo poprosiłeś back office, żeby przelał na nie czterdzieści dwa miliony dolarów.

Hoffmann przyjrzał się Ju-Longowi uważnie, aby się upewnić, że facet nie żartuje. Ale ten, jak zawsze powtarzał Quarry, choć miał wiele godnych podziwu zalet, był zupełnie pozbawiony poczucia humoru.

– Kiedy zleciłem ten przelew?

– Jedenaście miesięcy temu. Właśnie przesłałem ci tamten e-mail, żeby ci przypomnieć.

- Dobra, dzięki. Zaraz to sprawdzę. Mówiłeś, że były dwie transakcje?
- Tak. Ta suma została zwrócona w całości, z odsetkami.
- I nigdy mnie o to nie spytałeś?
- Nie, Alex – spokojnie odparł Chińczyk. – Po co miałbym to robić?

Jak powiedziałeś, to twoja firma.

- Uhm, jasne. No dobra. Dzięki, LJ.
- Nie ma za co.

Hoffmann odwrócił się jeszcze przy drzwiach.

- Mówiłeś o tym Ganie i Pieterowi?

– Nie. – Ju-Long niewinnie spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

Hoffmann ruszył pośpiesznie do swojego gabinetu. Czterdzieści dwa miliony dolarów? Był pewny, że nie zlecił przelewu takiej sumy. Przecież by nie zapomniał. To musiał być jakiś przekręt. Ominął Marie-Claude, która pisała coś na komputerze przed drzwiami jego gabinetu, i podszedł prosto do swojego biurka. Zalogował się do systemu i wszedł do poczty. W skrzynce odbiorczej rzeczywiście znalazł polecenie przelewu 42 032 127,88 dolara na konto Royal Grand Cayman Bank Limited z 17 czerwca poprzedniego roku. Tuż poniżej znajdowało się powiadomienie z macierzystego banku funduszu hedgingowego o wpłynięciu 3 kwietnia na rachunek firmy sumy 43 188 037,09 dolara.

Dokonał w pamięci obliczeń. Co za oszust zwraca sumę, którą ukradł, i to z odsetkami wartości dwóch i siedemdziesięciu pięciu setnych procent?

Spojrzał znowu na ekran i przestudiował rzekomo swój e-mail z poleceniem przelewu. Nie miał on żadnego nagłówka ani podpisu, zawierał tylko standardową instrukcję, żeby przelać sumę X na rachunek Y. LJ wykonał polecenie bez sekundy wahania, pewny, że ich wewnętrzna sieć jest bezpieczna za najlepszą zaporą internetową, jaką można kupić za pieniądze, i że w odpowiednim czasie będzie można zweryfikować transakcję elektronicznie. Gdyby pieniądze przekazywano w formie sztabek złota albo gotówki w walizkach, może byliby bardziej ostrożni. Ale to nie były dla nich prawdziwe pieniądze, w sensie fizycznym, tylko ciągi świecących zielonych symboli, nie bardziej materialne niż protoplazma. Dlatego mieli odwagę robić to, co robili.

Sprawdził, o której godzinie wysłał ten e-mail: dokładnie o północy.

Odchylił się w tył na fotelu i spojrzał na czujnik dymu w suficie nad swoim biurkiem. Często pracował w firmie do późna, ale nigdy do północy.

Wiadomość, jeśli była autentyczna, musiałaby więc raczej wyjść z terminalu w domu. Czy to możliwe, że gdyby zajrzał do komputera w domowym gabinecie, znalazłby ją razem z zamówieniem złożonym w holenderskim antykwariacie? Czyżby cierpiał na syndrom doktora Jekylla i pana Hyde'a, to znaczy jedna połowa jego mózgu robiła coś, o czym nie wiedziała druga?

Pod wpływem impulsu otworzył szufladę biurka, wyjął płytę CD i włożył ją do czytnika optycznego w komputerze. Program pracował przez chwilę, a potem na ekranie ukazał się wykaz dwustu monochromatycznych obrazów przedstawiających wnętrze jego głowy. Przewinął go szybko, próbując znaleźć obraz, który zwrócił uwagę radiolożki, ale było to beznadziejne zadanie. Oglądany pobieżnie, jego umysł jakby wyłaniał się z pustki, przechodził w smugę szarej masy i znowu zniknął.

Połączył się przez interkom ze swoją asystentką.

– Marie-Claude, jeśli zajrzysz do mojego osobistego folderu, znajdziesz nazwisko doktor Jeanne Polidori. Możesz mnie z nią umówić na jutro? Powiedz jej, że to pilne.

– Dobrze, doktorze Hoffmann. O której godzinie?

– Wszystko jedno. Chciałbym także pojechać do galerii, w której moja żona urządza wystawę. Znasz adres?

– Tak, doktorze Hoffmann. Kiedy zamierza pan tam jechać?

– Jak najszybciej. Możesz załatwić mi samochód?

– Ma pan kierowcę do dyspozycji przez cały czas, na zlecenie pana Genouda.

– A tak, rzeczywiście, zapomniałem. Dobrze, powiedz temu człowiekowi, że zaraz zejdę.

Wyjął płytę CD i razem z wydaniem Darwina schował ją do szuflady, a następnie sięgnął po płaszcz. Przechodząc przez dział transakcji, zerknął przez szybę do sali konferencyjnej. Tam, gdzie żaluzje nie były właściwie przekręcone, zobaczył Elmirę Gulzhan i jej przyjaciela prawnika, którzy pochylali się nad iPadem pod okiem Quarry'ego; wspólnik stał z założonymi na piersi rękami i wyglądał na zadowolonego z siebie. Etienne Mussard, odwrócony do pozostałych plecami przypominającymi skorupę żółwia, ze starczą powolnością wystukiwał liczby na dużym kieszonkowym kalkulatorze.

Na przeciwległej ścianie Bloomberg i CNBC pokazywały rzędy czerwonych strzałek: wszystkie skierowane były w dół. Notowania na

rynkach europejskich spadały szybko, zaprzepaszczając niedawne zyski. Wiedział, że wpłynie to na giełdę amerykańską, dzięki czemu z kolei fundusz hedgingowy będzie po południu, na jej otwarciu, mniej narażony na straty. Hoffmann poczuł ulgę i od razu poprawił mu się nastrój.

Nawet ogarnęła go duma. Kolejny raz VIXAL udowodnił, że jest inteligentniejszy niż otaczający go ludzie, a nawet jego twórca.

Dobry humor nie opuszczał go, gdy zjeżdżał windą na parter, a potem skręcał do holu, gdzie natychmiast zerwał się z krzesła potężny mężczyzna w tanim garniturze. Ze wszystkich przejawów bogactwa żaden nie wydawał się Hoffmannowi równie absurdalny jak widok ochroniarza siedzącego przed salą zebrań albo restauracją; często się zastanawiał, dlaczego akurat bogacze mają być narażeni na napaść, chyba ze strony współakcjonariuszy czy członków ich rodzin. Ale tego dnia poczuł zadowolenie, gdy podszedł do niego uprzejmy, groźnie wyglądający facet, który pokazał mu swoją legitymację i przedstawił się jako Olivier Paccard, *l'homme de la sécurité*.

– Zechce pan poczekać chwilę, doktorze Hoffmann – powiedział. Uniósł rękę z prośbą o ciszę i spojrzał gdzieś w dal. Miał w uchu spiralny kabel. – Dobrze, możemy iść – oświadczył.

Ruszył szybkim krokiem do wyjścia, wypukłą częścią dłoni nad nadgarstkiem nacisnął guzik przy drzwiach i w tej samej chwili przed budynek zajechał długi czarny mercedes z tym samym kierowcą, który odebrał Hoffmanna ze szpitala. Paccard go wyprzedził, otworzył tylne drzwi samochodu i pomógł Alexowi wsiąść. Jego dłoń przelotnie musnęła szyję fizyka. Zanim Hoffmann zdążył usadowić się w środku, Paccard zajął miejsce z przodu, drzwi samochodu zostały zamknięte i zablokowane, i ruszyli, włączając się w południowy ruch na ulicach. Cała procedura nie mogła trwać dłużej niż dziesięć sekund.

Z piskiem opon skręcili ostro w lewo i pomknęli ciemną boczną ulicą, na końcu której ukazało się jezioro i dalekie góry. Słońce nie przebiło się jeszcze przez chmury. Biała kolumna Jet d'Eau strzelała w szare niebo na wysokość stu czterdziestu metrów i w końcu zamieniała się w zimny deszcz, który spadał w dół, mącąc ciemną powierzchnię jeziora. Flesze aparatów fotograficznych błyskały na tle ciemnego nieba, gdy turyści robili sobie pod fontanną zdjęcia.

Mercedes przyspieszył, żeby zdążyć przed czerwonym światłem, i znowu wykonał ostry skręt w lewo, wyjeżdżając na dwupasmową ulicę, a potem zahamował gwałtownie przy Jardin Anglais, jak przed jakąś

niewidzialną przeszkodą. Paccard wykręcił szyję, aby zobaczyć, co się dzieje.

Była to okolica, w której Hoffmann czasami uprawiał jogging, gdy miał jakiś problem do rozwiązania – biegał stąd do Parc des Eaux-Vives i z powrotem, dwa albo trzy razy, jeśli było trzeba, aż znalazł odpowiedź; nie rozmawiał z nikim i na nic nie patrzył. Nigdy wcześniej nie rozglądał się po okolicy, więc teraz wyjrzał przez szybę i z pewnym zdziwieniem zarejestrował miejsca, które powinny być dla niego znajome: plac zabaw dla dzieci z plastikowymi niebieskimi zjeżdżalnicami, *crêperie* pod drzewami, przejście dla pieszych, przy którym czasami dreptał w miejscu przez chwilę, czekając na zielone światło. Po raz drugi tego dnia nagle poczuł pragnienie, żeby kazać zatrzymać samochód i wysiąść. Ale w momencie gdy przyszło mu to głowy, mercedes ruszył dalej. Na końcu Pont du Mont-Blanc włączyli się do ruchu i kilka sekund później skierowali się na zachód. Klucząc pomiędzy wolniejszymi ciężarówkami i autobusami, jechali w stronę galerii i sklepów z antykami przy Plaine de Plainpalais.

8

Nie ma wyjątków od reguły, że każdy żywy organizm rozmnaża się tak szybko, iż gdyby nie został zniszczony, świat byłby wkrótce pełen potomstwa jednej pary.

Karol Darwin, *O pochodzeniu gatunków* (1859)

Wystawa *Contours de l'homme: Un exposition de l'oeuvre de Gabrielle Hoffmann* – o ileż większe wrażenie robiło to po francusku niż po angielsku, pomyślała – miała trwać przez tydzień i była do obejrzenia tylko w Galerie d'Art Contemporain Guya Bertranda, małej pomalowanej na biało powierzchni wystawowej w miejscu, gdzie poprzednio znajdował się warsztat naprawczy Citroena, przy bocznej uliczce za rogiem MAMCO, największej galerii wystawiającej sztukę współczesną w mieście.

Pięć miesięcy wcześniej Gabrielle została usadzona obok jej właściciela, *monsieur* Bertranda, na bożonarodzeniowej aukcji charytatywnej w hotelu Mandarin Oriental – Alex stanowczo odmówił pójścia na tę imprezę – i następnego dnia wkroczył on do jej pracowni, żeby zobaczyć, nad czym pracuje. Po dziesięciu minutach jawnych pochlebstw zaproponował, że urządzi jej wystawę, za połowę zysku, jeśli ona pokryje jej koszty. Oczywiście od razu się zorientowała, że przemówił do niego nie jej talent, lecz pieniądze Alexa. W ostatnich latach zauważyła, że wielkie bogactwo działa jak niewidzialny magnes, przyciąga i odpycha ludzi, wpływając na zmianę ich zachowań. Ale nauczyła się z tym żyć. Człowiek by zwariował, gdyby wciąż dociekał, czyje reakcje są autentyczne, a czyje fałszywe. Poza tym chciała mieć wystawę – uświadomiła sobie, że pragnie tego bardziej niż czegokolwiek innego w swoim życiu, z wyjątkiem dziecka.

Bertrand nakłaniał ją, żeby urządziła wernisaż z przyjęciem; to wzbudzi zainteresowanie, twierdził, przyciągnie publiczność. Gabrielle się sprzeciwiała. Wiedziała, że jej mąż będzie cierpiał przez wiele dni, mając w perspektywie takie wydarzenie. W końcu osiągnęli kompromis. Kiedy o jedenastej tego dnia otwarto drzwi galerii, dwie młode kelnerki w białych bluzkach i czarnych minispódniczkach stały z kieliszkami szampana Pol Roger i małymi kanapkami na tacach, częstując wszystkich, którzy przekroczyli próg. Gabrielle miała obawy, że nikt się nie pokaże, ale martwiła się niepotrzebnie; przyszli stali bywalcy, którzy dostali e-mailowe

zaproszenia na wystawę; przechodnie, przyciągnięci widokiem bezpłatnego poczęstunku; oraz jej przyjaciele i znajomi, których wcześniej zawiadomiła telefonicznie i e-mailem – były to nazwiska ze starych skorowidzów, ludzie, których nie widziała od lat. Zjawili się wszyscy. W rezultacie około południa w galerii zebrało się ponad sto osób, tłum wylewał się przez drzwi na chodnik, gdzie stali palacze.

W połowie drugiego kieliszka szampana Gabrielle zdała sobie sprawę, że nawet dobrze się bawi. Na jej ekspozycję składało się dwadzieścia siedem dzieł – wszystkie, które ukończyła w ciągu ostatnich trzech lat, z wyjątkiem własnego autoportretu, który Alex chciał zatrzymać i dlatego pozostał na stoliku do kawy w salonie. I naprawdę, gdy zostały zebrane razem i odpowiednio oświetlone – zwłaszcza ryty w szkłe – wyglądały jak prawdziwe dzieła sztuki; robiły takie samo wrażenie jak większość dzieł na wystawach, na których była. Nikt się z nich nie śmiał. Ludzie oglądali je uważnie i komentowali z namysłem, przeważnie pochlebnie. Przejęty młody reporter z genewskiej „Tribune” zwrócił nawet uwagę na prostotę ich linii i porównał je do topografii głowy u Giacomettiego. Martwiło ją już tylko to, że jak dotąd nikt niczego nie kupił, ale winiła za to wysokie ceny, na jakie nalegał Bertrand: od czterech tysięcy pięciuset franków szwajcarskich – około pięciu tysięcy dolarów – za tomogramy najmniejszego łba zwierzęcego aż po osiemnaście tysięcy za duży portret uzyskany metodą rezonansu magnetycznego, zatytułowany: *Niewidzialny człowiek*. Jeśli nic nie zostanie sprzedane do końca dnia, to będzie porażka.

Próbowała o tym nie myśleć, tylko skupić się na tym, co mówił mężczyzna stojący naprzeciwko niej. Ale było zbyt głośno. Musiała mu przerwać. Położyła dłoń na jego ramieniu:

– Przepraszam, nie dosłyszałam, jak się nazywasz?

– Bob Walton. Pracowałem z Alexem w CERN-ie. Właśnie mówiłem, że wy dwoje chyba poznaliście się u mnie na przyjęciu.

– O mój Boże! – wykrzyknęła. – Rzeczywiście! Jak się masz? – Uścisnęła mu rękę i po raz pierwszy spojrzała na niego uważnie: szczupły, wysoki, schludny, szary – asceta, uznała, albo po prostu człowiek surowy, zasadniczy. Mógł być zakonikiem – nie, kimś wyżej postawionym, miał w sobie pewność siebie i godność: opat. – To zabawne – rzekła – właściwie na tamto przyjęcie zabrali mnie znajomi. Nie jestem nawet pewna, czy zostaliśmy sobie przedstawieni.

– Chyba nie.

– Cóż... wprowadzie z opóźnieniem, ale dziękuję ci. Zmieniłeś moje życie.

Nie uśmiechnął się wcale.

– Nie widziałem się z Alexem od lat. Przyjdzie tu, prawda?

– Mam taką nadzieję. – Kolejny raz spojrzała ku drzwiom, licząc, że pojawi się w nich Alex. Jak dotąd mąż jedynie przysłał jej małomównego ochroniarza, który ustawił się przy wejściu jak bramkarz w nocnym klubie i od czasu do czasu mówił coś do rękawa.

– Więc co cię tu sprowadza? Bywasz w tej galerii czy akurat przechodziłeś obok?

– Ani jedno, ani drugie. Alex mnie zaprosił.

– Alex? – Spojrzała na niego ponownie. – Przepraszam.

Nie wiedziałam, że Alex wysłał jakieś zaproszenia. Zwykle tego nie robi.

– Sam byłem zaskoczony. Zwłaszcza że trochę się pokłóciliśmy podczas naszego ostatniego spotkania. Przyszedłem więc, żeby wyciągnąć rękę na zgodę, a jego nie ma. Ale nic nie szkodzi. Podobają mi się twoje prace.

– Dziękuję. – Wciąż nie mieściło jej się w głowie, że Alex mógł zaprosić własnych gości, i to nic jej o tym nie mówiąc. – Może coś kupisz?

– Obawiam się, że ceny nie są na kieszeń pracownika CERNU-u. – I pierwszy raz uśmiechnął się do niej – uśmiech ten wydawał się tym cieplejszy, że stanowił rzadki widok, był jak przebłysk słońca w szarym krajobrazie. Wsunął rękę do kieszeni na piersi. – Jeśli będziesz zamierzała stworzyć dzieło sztuki z dziedziny fizyki cząstek elementarnych, skontaktuj się ze mną. – Dał jej swoją wizytówkę. Gabrielle przeczytała na niej:

Prof. Robert WALTON

Dyrektor Ośrodka Przetwarzania Danych

CERN – Europejski Ośrodek Badań Jądrowych

1211 Genewa 23, Szwajcaria

– Brzmi dostojnie. – Schowała wizytówkę do kieszeni żakietu. – Dziękuję. Niewykluczone, że tak zrobię. A teraz opowiedz mi o sobie i Alexie...

– Kochanie, ależ bystra z ciebie dziewczyna – odezwał się kobiecy głos za jej plecami. Poczowała, że ktoś ściska ją za łokieć i gdy się odwróciła, zobaczyła przed sobą szeroką bladą twarz i wielkie szare oczy Jenny Brinkerhof, jeszcze jednej Angielki po trzydziestce, która wyszła za mąż za właściciela funduszu hedgingowego. (W Genewie zaczęło się już od nich roić, zauważyła Gabrielle: ekonomiczni emigranci z Londynu, który uciekali przed pięćdziesięcioprocentową stawką podatkową w Wielkiej Brytanii. Można by odnieść wrażenie, że wszyscy z nich mówią tylko o tym, jak tu trudno znaleźć przyzwoitą szkołę dla dziecka).

– Jen, jak miło, że przyszłaś – odpowiedziała.

– Jak miło, że mnie zaprosiłaś.

Pocałowały się na przywitanie i Gabrielle odwróciła się, żeby przedstawić jej Waltona. On jednak już odszedł i rozmawiał z reporterem „Tribune”. Tak to bywało na koktajlach: człowiek był skazany na towarzystwo kogoś, z kim nie miał ochoty rozmawiać, podczas gdy ktoś, z kim miał ochotę pogadać, krążył w oddali. Zastanawiała się, ile czasu minie, zanim Jen zacznie mówić o swoich dzieciach.

– Tak ci zazdroszczę, że masz w życiu czas, aby zajmować się czymś takim. Jeśli posiadanie trójki dzieci coś w tobie zabija, to zdecydowanie kreatywność...

Nad jej ramieniem Gabrielle zauważyła, że do galerii wchodzi niepasująca do tego miejsca postać, a jednak dziwnie znajoma.

– Przepraszam na chwilę, Jen, jeśli mogę... – Oddaliła się szybko i podeszła do drzwi. – Inspektor Leclerc?

– *Madame Hoffmann*. – Leclerc uprzejmie uściśnął jej rękę.

Zauważyła, że był w tym samym stroju co nad ranem: ciemnej wiatrówce, białej koszuli, teraz już szarawej przy kołnierzyku, i czarnym krawacie, zawiązanym niemodnie bliżej grubszego końca, tak jak miał w zwyczaju nosić krawaty jej ojciec. Zarost, widoczny już na policzkach, sięgał niczym srebrny grzyb ciemnych kręgów pod oczami. Policjant wyglądał tu zdecydowanie nie na miejscu. Jedna z kelnerek podeszła do niego z szampanem i Gabrielle spodziewała się, że inspektor odmówi – czy nie tak postępowali policjanci na służbie: nie pili alkoholu? – ale on rozjaśnił się i powiedział:

– O, wspaniale, dziękuję – i ostrożnie ujął kieliszek za nóżkę, jakby się bał, że szkło pęknie. – Bardzo dobry – zauważył, gdy pociągnął łyk

szampana i cmoknął ustami. – Ile kosztuje? Z osiemdziesiąt franków za butelkę?

– Nie mam pojęcia. Mój mąż go zamówił.

Zbliżył się do nich fotoreporter z „Tribune” i zrobił im wspólne zdjęcie. Wiatrówka Leclerca załatywała stęchlizną, jakby leżała w wilgotnym miejscu. Policjant odczekał, aż reporter odejdzie, a potem zaczął:

– Hm, muszę powiedzieć, że śledczy zdjęli wyraźne odciski palców z pani komórki i noży kuchennych. Niestety nie udało nam się jednak znaleźć ich odpowiedników w naszych rejestrach. Włamywacz nie ma przeszłości kryminalnej, przynajmniej tu, w Szwajcarii. To jakiś fantom! Teraz porównujemy nasze dane z Interpolem. – Wziął tartinkę od przechodzącej z tacą kelnerki i połknął w całości. – A pani mąż? Jest tutaj? Nigdzie go nie widzę.

– Jeszcze go nie ma. A dlaczego pan pyta? Ma pan coś do niego?

– Nie, przyszedłem obejrzyć pani prace.

Przydryfował Guy Bertrand, najwyraźniej zadowolony.

Gabrielle wcześniej powiedziała mu o włamaniu.

– Wszystko w porządku? – zapytał, więc przedstawiła mu inspektora. Bertrand był otyłym młodym mężczyzną, ubranym od stóp do głów w czarny jedwab – koszulę od Armaniego, marynarkę, spodnie, mokasyny w stylu zen. On i Leclerc popatrzyli na siebie z wzajemnym brakiem porozumienia; mogliby należeć do odmiennych gatunków.

– Inspektor policji – powtórzył Bertrand ze zdziwieniem w głosie. – Wobec tego zainteresuje pana *Niewidzialny człowiek*.

– *Niewidzialny człowiek*?

– Pokażę panu – włączyła się Gabrielle, zadowolona, że ma okazję ich rozdzielić. Zaprowadziła Leclerca do największego eksponatu, podświetlonej od dołu szklanej gabloty, w której znajdował się naturalnej wielkości nagi mężczyzna, jakby zrobiony z jasnoniebieskiej pajęczyny i unoszący się nad ziemią. Robił niesamowite, niepokojące wrażenie.

– To Jim, niewidzialny człowiek.

– Kim jest ten Jim?

– Był mordercą. – Leclerc gwałtownie odwrócił się i spojrzał na nią. – To James Duke Johnson – ciągnęła usatysfakcjonowana jego reakcją – stracony na Florydzie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym. Zanim wykonano egzekucję, kapelan więzienny przekonał go, żeby oddał swoje ciało na badania naukowe.

- I na wystawę?
- W to wątpię. Jest pan zszokowany?
- Tak, przyznaję.
- To dobrze. O taki efekt mi chodziło.

Leclerc mruknął coś i odstawił szampana. Podszedł do szklanej gabloty, oparł ręce na biodrach i przyjrzał się dziełu z uwagą. Jego wylewający się zza paska brzuch skojarzył jej się z topniejącymi zegarkami Dalego.

– Jak pani osiąga efekt unoszenia się w powietrzu? – zapytał.

– Tajemnica zawodowa. – Gabrielle się zaśmiała. – Dobrze, powiem panu. To całkiem proste. Biorę fragmenty obrazów uzyskanych metodą rezonansu magnetycznego i wytrawiam je w bardzo przejrzystym szkłe, dwumilimetrowym Mirogardzie, najbardziej przezroczystym, jaki można dostać. Tylko czasami zamiast pióra używam wiertła dentystycznego, aby rysować linie. W świetle dziennym ledwie widać ślady. Ale jeśli rzuci pan na to sztuczne światło, i to pod odpowiednim kątem... cóż, osiąga się taki właśnie rezultat.

– Nadzwyczajne. A co myśli o tym pani mąż?

– Uważa, że mam niezdrową obsesję. Ale on ma własne.

– Dopiła szampana. Wszystko wydawało jej się teraz intensywniejsze: kolory, dźwięki, wrażenia. – Pewnie sądzi pan, że dziwna z nas para.

– Proszę mi wierzyć, *madame*, w pracy stykam się z ludźmi dziwniejszymi, niż może sobie pani wyobrazić. – Nagle zwrócił na nią spojrzenie swoich przekrwionych oczu. – Mogę zadać pani kilka pytań?

– Proszę.

– Kiedy poznała pani doktora Hoffmanna?

– Właśnie sobie to przypominałam. – Ujrzała Alexa przed oczami z niezwykłą wyrazistością. Rozmawiał z Hugonem Quarrym – zawsze w tle ten cholery Quarry, od samego początku – i sama musiała wykonać pierwszy ruch, ale wypięła wystarczająco dużo, żeby się tym nie przejmować. – To było na przyjęciu w Saint-Genis-Pouilly jakieś osiem lat temu.

– Saint-Genis-Pouilly – powtórzył Leclerc. – Chyba mieszka tam sporo naukowców z CERN-u.

– Wtedy na pewno mieszkali. Widzi pan tamtego wysokiego, szpakowatego mężczyznę... nazywa się Walton. To było w jego domu. Później pojechałam do Alexa i pamiętam, że w jego mieszkaniu były same komputery. Wytwarzały tyle ciepła, że pewnego dnia w policyjnym

helikopterze ukazały się na czujnikach podczerwieni i wydział antynarkotykowy przeprowadził nalot na mieszkanie. Policja myślała, że Alex hoduje konopie indyjskie.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie, podobnie jak Leclerc – ale on raczej dla pozorów, żeby zachęcić ją do mówienia, jak podejrzewała.

– Pani też pracowała w CERN-ie?

– A broń Boże, pracowałam jako sekretarka w ONZ-ecie... byłam typową absolwentką uczelni artystycznej z kiepskimi perspektywami i dobrą znajomością angielskiego. – Uświadomiła sobie, że zbyt szybko mówi i za dużo się uśmiecha. Jeszcze facet pomyśli, że się zalała.

– Ale doktor Hoffmann wciąż pracował w CERN-ie, gdy go pani poznała?

– Właśnie miał stamtąd odejść, żeby założyć własną firmę, ze współnikiem, jakimś Hugonem Quarrym. Wszyscy troje poznaliśmy się tego samego wieczoru, dziwne, prawda? Czy to ważne?

– Kiedy dokładnie to się stało? To znaczy, kiedy odszedł z CERN-u? Wie pani?

– Musiałabym go zapytać. Jego albo Hugona.

– Ja to zrobię. To Amerykanin, ten pan Quarry?

Roześmiała się.

– Nie, Anglik. Bardzo typowy.

– Jeśli dobrze rozumiem, doktor Hoffmann odszedł z CERN-u, bo chciał zarabiać więcej?

– Nie, tak naprawdę nie. Pieniądze nigdy nie były dla niego najważniejsze. W każdym razie nie wtedy. Mówił, że łatwiej byłoby mu prowadzić swoje badania, gdyby miał własną firmę.

– Jakie to badania?

– Nad sztuczną inteligencją. Ale o to też musiałby pan spytać jego samego. Obawiam się, że nie znam się na tym zbyt dobrze.

Leclerc umilkł na chwilę.

– Wie pani, że korzystał z pomocy psychiatrycznej?

To pytanie ją przestraszyło.

– Nie, nie wiedziałam. Dlaczego pan pyta?

– Bo zdaje się, że doznał załamania nerwowego, gdy pracował w CERN-ie. Niektórzy twierdzą, że właśnie dlatego stamtąd odszedł. Ciekaw jestem, czy miał nawroty choroby?

Zdała sobie sprawę, że patrzy na niego z otwartymi ustami. Zamknęła je więc.

On przyglądał jej się bacznie.

– Przepraszam – rzucił. – Powiedziałem coś nie tak? Nie wiedziała pani o tym?

Odzyskała panowanie nad sobą na tyle, aby skłamać.

– Ależ oczywiście, że wiedziałam... coś wiedziałam. – Uświadomiła sobie, że nie brzmi to przekonująco. Ale jaki miała wybór? Nie chciała przyznać, że jej mąż był dla niej w dużej mierze zagadką, że te wszystkie zagadnienia, które codziennie absorbowały jego umysł, były dla niej nieprzeniknione, i że właśnie ta jego tajemniczość wydała jej się kiedyś tak pociągająca i od tego czasu stale ją niepokoiła. – Więc robi pan wywiad na temat Alexa? – zapytała łamiącym się głosem. – Nie powinien pan szukać człowieka, który go zaatakował?

– Muszę poznać wszystkie fakty, *madame* – odparł Leclerc sztywno. – Niewykluczone, że napastnik znał pani męża w przeszłości albo miał coś przeciwko niemu. Zapytałem tylko znajomego z CERN-u... nieoficjalnie i bardzo dyskretnie, zapewniam panią... dlaczego doktor Hoffmann stamtąd odszedł.

– I ten człowiek powiedział panu, że Alex przeszedł załamanie nerwowe, a teraz pan uważa, że zmyślił całą tę historię o tajemniczym włamywaczu?

– Nie, po prostu próbuję zrozumieć wszystkie okoliczności. – Jednym haustem opróżnił kieliszek. – Przepraszam... chyba powinna pani wracać do swoich gości.

– Wypije pan jeszcze kieliszek?

– Nie. – Przytknął palce do ust i stłumił beknięcie. – Muszę już iść. Dziękuję pani. – Skłonił się lekko, w staroświeckim stylu. – To było naprawdę interesujące... zobaczyć pani dzieła. – Zatrzymał się jeszcze i ponownie spojrzał na straconego mordercę w szklanej gablocie. – Za co ten człowiek został skazany na śmierć?

– Za zabójstwo starszego mężczyzny, który przyłapał go na kradzieży elektrycznego koca. Zastrzelił biedaka i zakłuł go nożem. Siedział w celi śmierci przez dwanaście lat. Kiedy odrzucono jego ostatnie podanie o łaskę, został stracony przez wstrzyknięcie trucizny.

– Barbarzyństwo – mruknął Leclerc, ale czy miał na myśli zbrodnię, czy karę – nie miała pojęcia. Nie wiedziała też, co ma o tym wszystkim myśleć.

* * *

Leclerc siedział później w swoim samochodzie po przeciwnej stronie ulicy, z notesem na kolanie, i starał się zapisać wszystko, czego się dowiedział na wystawie. Przez okno galerii widział ludzi kręcących się wokół Gabrielle i jej szczupłą ciemnowłosą postać oświetlaną co jakiś czas błyskami fleszy aparatów fotograficznych. Stwierdził, że ją lubił – spodobała mu się bardziej niż jej wystawa. Cztery i pół tysiąca franków za kilka kawałków szkła z naskrobaną czaszką konia? Wydał policzki. Wielki Boże, za tę sumę można by było kupić porządne zwierzę do roboty – i to całe, nie tylko łeb.

Skończył pisać i przejrzał od nowa swoje notatki, jakby w procesie przypadkowych skojarzeń mógł znaleźć trop, który do tej pory mu umykał. Kolega z CERN-u zajrzał do akt personalnych Hoffmanna i Leclerc zanotował sobie najważniejsze informacje: że Hoffmann dołączył do zespołu badawczego obsługującego Wielki Zderzacz Elektronowo-Pozytronowy w wieku dwudziestu siedmiu lat i był jednym z nielicznych Amerykanów przydzielonych do tego projektu; że szef jego działu uważał go za bardzo zdolnego matematyka; że przeniósł się z zespołu budowy nowego akceleratora cząstek, Wielkiego Zderzacza Hadronów, do projektowania programów i systemów mających za zadanie analizę miliardów danych, uzyskiwanych w drodze eksperymentów; że po długim okresie wyczerpującej pracy do tego stopnia przestał nad sobą panować, iż koledzy zaczęli się na niego skarżyć i został wyprowadzony z budynku przez ochronę; i wreszcie, że po długim zwolnieniu lekarskim rozwiązano z nim umowę o pracę.

Leclerc był prawie pewien, że wiadomość o załamaniu nerwowym męża była dla Gabrielle zaskoczeniem: jedną z jej ujmujących cech było to, że nie umiała kłamać. Wszystko więc wskazywało na to, że Hoffmann jest tajemnicą dla wszystkich – dla kolegów naukowców, dla świata finansów, nawet dla żony. Leclerc zakreślił nazwisko Hugona Quarry'ego.

Z zamyślenia wyrwał go warkot potężnego silnika, więc zerknął na drugą stronę ulicy i zobaczył wielkiego grafitowego mercedesa z włączonymi reflektorami, który zajechał pod galerię. Zanim jeszcze zatrzymał się na dobre, z miejsca obok kierowcy wyskoczył potężny mężczyzna w ciemnym garniturze, który szybko zlustrował ulicę przed i za sobą, a następnie otworzył tylne drzwi. Ludzie stojący na chodniku,

z kieliszkami i papierosami w dłoniach, odwrócili się leniwie, aby zobaczyć, kto przyjechał, a potem wrócili do rozmów, gdy tymczasem nieznany przybysz wszedł z eskortą do galerii.

9

Nawet gdy jesteśmy całkiem sami, jakże często myślimy z zadowoleniem i przykrością o tym, co sądzą o nas inni – o ich wyimaginowanej aprobacie albo dezaprobatie; a to wszystko wynika z poczucia solidarności, nieodzownego elementu instynktów społecznych. Człowiek, który tych instynktów jest pozbawiony, stanie się zwyrodniałym potworem.

Karol Darwin, *O pochodzeniu człowieka* (1871)

To, że Hoffmann prawie nie istniał w świadomości publicznej, było efektem niemałych starań z jego strony. Pewnego dnia, w dość wczesnej historii Hoffmann Investment Technologies, kiedy firma dysponowała tylko dwoma miliardami powierzonego jej w zarząd kapitału, Hoffmann zaprosił właścicieli najstarszej szwajcarskiej agencji public relations na śniadanie do hotelu President Wilson i zaproponował im następujący układ: dwieście tysięcy franków szwajcarskich rocznie za to, że jego nazwisko nie pojawi się w mediach. Postawił tylko warunek: jeśli jakimś zbiegiem okoliczności kiedyś jednak się w nich pojawi, odejmie z tego wynagrodzenia dziesięć tysięcy franków; jeśli pojawi się więcej niż dwadzieścia razy w roku, to oni zaczną mu płacić. Po długiej dyskusji właściciele agencji wyrazili zgodę i udzielili mu odwrotnych zaleceń niż wszystkim innym swoim klientom. Dlatego Hoffmann nie organizował żadnych akcji charytatywnych, nie chodził na uroczyste kolacje ani ceremonie wręczania nagród branżowych, nie zabiegał o względy dziennikarzy, nie pojawiał się na publikowanych przez gazety listach najbogatszych ludzi, nie wydawał przyjęć dla kontrahentów, nie sponsorował żadnych uczelni ani szkół, nie wygłaszał mów ani nie prowadził wykładów. Jeśli trafił się jakiś ciekawski dziennikarz, kierowano go do brokerów funduszu, którzy zawsze chętnie przypisywali sobie jego sukcesy, albo – w przypadkach wyjątkowej dociekliwości – do Quarry’ego. Właściciele agencji public relations rok w rok otrzymywali więc pełne honorarium, a Hoffmann pozostawał w cieniu.

Dlatego też obecność na pierwszym wernisazu żony była dla niego niezwykle doświadczeniem i prawdę mówiąc, także nie lada wyzwaniem. Już od chwili gdy wysiadł z samochodu, przeciął zatłoczony chodnik i wkroczył do gwarnej galerii, miał ochotę odwrócić się na pięcie

i odjechać. Wyrastali przed nim ludzie, których musiał kiedyś znać, przyjaciele i znajomi Gabrielle, i mówili coś do niego, ale chociaż potrafił liczyć w pamięci do piątego miejsca po przecinku, nie był w stanie przypomnieć sobie ich twarzy.

Można by odnieść wrażenie, że zdolności matematyczne rozwinęły się u niego kosztem pozostałych cech osobowości. Słyszał, co mówili inni, były to zwykłe zdawkowe, nic nieznaczące uprzejmości, ale jakoś ich nie rozumiał. Miał świadomość, że mamrocze w odpowiedzi dziwaczne albo wręcz niestosowne rzeczy. Gdy podsunęto mu drinki, wziął wodę i wtedy właśnie zauważył Boba Waltona, który patrzył na niego z drugiego końca sali.

Akurat Walton, ze wszystkich ludzi!

Zanim zdążył zastosować jakiś unik, dawny kolega już ruszył przez tłum w jego stronę z wyciągniętą ręką, najwyraźniej zamierzając zamienić z nim słowo.

– Alex – powiedział na przywitanie – kopę lat!

– Bob. – Chłodno uścisnął mu rękę. – Chyba nie widzieliśmy się od czasu, gdy zaproponowałem ci pracę, a ty odpowiedziałeś, że jestem jak diabeł, który przyszedł zabrać ci duszę.

– Na pewno ująłem to inaczej.

– Tak? Jeśli dobrze pamiętam, jasno powiedziałeś, co sądzisz o naukowcach, którzy przechodzą na ciemną stronę mocy i zostają kwantami.

– Naprawdę? Bardzo mi przykro. – Walton wskazał kieliszkiem salę. – Tak czy owak, cieszę się, że ci się poszczęściło. I mówię to szczerze, Alex.

Zabrzmiało to tak serdecznie, że Hoffmann pożałował swojej wrogości. Kiedy przyjechał do Genewy z Princeton, nie znał tam nikogo i nie miał nic, oprócz dwóch walizek i słownika angielsko-francuskiego, Walton był jego szefem w CERN-ie. Oboje z żoną wzięli go pod swoje skrzydła – zapraszali w niedziele na lunchy, szukali dla niego mieszkania, podwozili go do pracy, a nawet próbowali znaleźć mu dziewczynę.

Hoffmann odparł z wymuszoną życzliwością:

– A jak tam poszukiwania boskiej cząstki?

– Och, jakoś idzie. A u ciebie? Co ze Świętym Graalem niezależnej myślącej maszyny?

– Tak samo. Jakoś idzie.

– Naprawdę? – Walton uniósł brwi ze zdziwieniem. – Wciąż się tym zajmujesz?

– Oczywiście.

– O rany. To wspaniale. Co ci się stało w głowę?

– Nic. Głupi wypadek. – Zerknął w stronę Gabrielle. – Chyba powinienem podejść do żony i przywitać się z nią...

– Jasne. Wybacz. – Walton ponownie podał mu rękę. – Miło było cię zobaczyć, Alex. Musimy umówić się kiedyś na spotkanie. Masz mój adres e-mailowy.

– Chyba nie mam! – zawołał za nim Hoffmann. Walton się odwrócił.

– Owszem, masz. Przecież przysłałeś mi zaproszenie.

– Jakie zaproszenie?

– Na tę wystawę.

– Nie wysłałem ci żadnego zaproszenia.

– Na pewno. Sam się przekonasz. Poczekaj chwileczkę... Jakie to typowe dla akademickiej pedanterii Waltona – pomyślał Hoffmann. – Obstaje przy tak drobnej sprawie, chociaż nie ma racji. Ale ku jego zdziwieniu Walton podał mu swój BlackBerry i pokazał zaproszenie wysłane spod adresu e-mailowego Hoffmanna.

Hoffmann odrzekł niechętnie, bo sam także nie lubił przyznawać się do błędów:

– No dobra. Przepraszam. Musiałem zapomnieć. Do zobaczenia.

Odwrócił się szybko od Waltona, żeby ukryć konsternację, i poszedł szukać w tłumie Gabrielle. Kiedy wreszcie się do niej precyzyjnie, powiedziała – dość smutno, jak pomyślał:

– Bałam się już, że nie przyjdiesz.

– Wyrwałem się, gdy tylko mogłem. – Pocałował ją w usta i poczuł w jej oddechu kwaśny posmak szampana.

Jakiś mężczyzna zawołał: – Tutaj, doktorze Hoffmann! – i z odległości niespełna metra błysnął flesz aparatu fotoreportera.

Hoffmann odruchowo gwałtownie odwrócił głowę, jakby ktoś chlusnął mu w twarz kwasem. Uśmiechając się fałszywie, zapytał:

– Co tu, do licha, robi Bob Walton?

– Skąd mam wiedzieć? To ty go zaprosiłeś.

– Uhm, właśnie się od niego dowiedziałem. Ale wiesz co? Jestem pewien, że tego nie zrobiłem. Po co miałbym to robić? To on przerwał moje badania w CERN-ie. Nie widziałem go od lat...

Nagle obok niego wyrósł właściciel galerii.

– Musi być pan z żony bardzo dumny, doktorze Hoffmann – zagadnął Bertrand.

– Słucham? – Hoffmann wciąż patrzył nad głowami obecnych na byłego kolegę. – A tak. Owszem, jestem... bardzo dumny. – Skupił się na tym, żeby zapomnieć o Waltonie i wymyślić jakąś stosowną uwagę pod adresem Gabrielle. – Sprzedaliście już coś?

– Dzięki, Alex – odpowiedziała Gabrielle. – Tu nie chodzi o pieniądze, przecież wiesz.

– Wiem, że nie. Tak tylko spytałem.

– Mamy jeszcze dużo czasu – stwierdził Bertrand. Zadzwoiła jego komórka, która odegrała pierwsze takty czegoś Mozarta. Spojrzał na wiadomość ze zdziwieniem, wymamrotał – Przepraszam państwa – i odszedł pośpiesznie.

Hoffmann wciąż był oślepiiony błyskiem flesza. Gdy przeniósł wzrok na dzieła żony, ich wnętrza wydały mu się puste. Zamrugał, zastanawiając się, co by tu miłego powiedzieć.

– Fantastycznie jest zobaczyć je wszystkie razem, prawda? Człowiek ma wrażenie, że patrzy na świat inaczej. Że coś kryje się pod powierzchnią.

– A jak tam twoja głowa? – zapytała Gabrielle.

– Dobrze. Nawet o niej nie myślałem, dopóki mi nie przypomniałaś. Ten podoba mi się szczególnie. – Wskazał najbliższy sześcian. – To twój portret, prawda?

Pozowała do niego przez cały dzień – przypomniał sobie: siedziała skulona jak ofiara wybuchu Wezuwiusza w Pompejach, z kolanami podciągniętymi do piersi, głową zasłoniętą rękami, ustami otwartymi jak podczas okrzyku. Kiedy w końcu pokazała mu w domu skończony portret, był niemal tak poruszony jak na widok płodu, którego echo stanowiło dzieło.

– Był tu Leclerc – powiedziała Gabrielle. – Minąłeś się z nim.

– Nie mów mi, że odnalazł tego faceta.

– O nie, przyszedł w innym celu.

Jej ton go zaniepokoił.

– To czego chciał?

– Chciał mnie zapytać o załamanie nerwowe, które podobno przeżyłeś, gdy pracowałeś w CERN-ie.

Hoffmann nie był pewny, czy dobrze usłyszał. Gwar rozmów odbijający się od ścian przypominał mu hałas w sali komputerowej.

– Robił wywiad w CERN-ie?

– Na temat twojego załamania nerwowego – powtórzyła głośniej. – Nigdy mi o nim nie wspominałeś.

Poczuł, że brakuje mu tchu, jakby ktoś zadał mu cios w żołądek.

– Nie nazwałbym tego załamaniem nerwowym. Nie rozumiem, po co on wciąga do tego CERN.

– To jak byś to nazwał?

– Naprawdę musimy rozmawiać o tym teraz? – Jej wyraz twarzy stanowił odpowiedź, że tak. Hoffmann zaczął się zastanawiać, ile kieliszków szampana już wypija. – Dobra, niech ci będzie. Miałem depresję. Wziąłem urlop. Leczyłem się psychiatrycznie. I w końcu z tego wyszedłem.

– Chodziłeś do psychiatry? Leczyłeś się na depresję? I przez osiem lat nie wspomniałeś o tym ani słowem?

Stojąca obok para odwróciła się i spojrzała na nich.

– Robisz z igły widły – odparł z irytacją. – Jesteś śmieszna. To było w czasach, zanim się poznaliśmy, na miłość boską! – A potem dodał łagodniej: – Daj spokój, Gabby, nie psujmy tej chwili.

Przez chwilę miał wrażenie, że Gabrielle nie ustąpi. Uniosła wysoko brodę i patrzyła na niego wyzywająco, co zawsze zapowiadało awanturę. Miała szkliste, przekrwione oczy – ona także niewiele tej nocy spała, uświadomił sobie. Wtedy rozległy się uderzenia metalem o szkło.

– Panie i panowie! – zawołał Bertrand. Trzymał w ręku kieliszek szampana i stukał w niego widelcem. – Panie i panowie! – Okazało się to niezwykle skuteczne. W zatłoczonej sali szybko zapanowała cisza. Bertrand odstawił kieliszek. – Nie bójcie się, przyjaciele. Nie zamierzam wygłaszać mowy. Poza tym w przypadku artystów symbole zastępują słowa.

Trzymał coś w dłoni. Hoffmann nie widział, co to jest. Właściciel galerii podszedł do autoportretu Gabrielle – tego, na którym krzyczała bezgłośnie – oderwał czerwone kółko z taśmy, którą trzymał w ręce, i przykleił je stanowczym ruchem do podpisu. W galerii rozległ się pełen uznania szmer.

– Gabrielle – oświadczył Bertrand, zwracając się do niej z uśmiechem – pozwól, że ci pogratuluję. Jesteś już oficjalnie artystką.

Zabrzmiały oklaski i wszyscy wzniesli toast kieliszkami. Z twarzy Gabrielle zniknęło całe napięcie. Wyglądała jak odmieniona i Hoffmann skorzystał z okazji: ujął ją za nadgarstek i podniósł jej rękę nad głowę, jakby była zwycięskim pięściarzem. Znowu rozległ się szmer. Ponownie błysnął flesz, ale tym razem Hoffmann starał się uśmiechnąć z przekonaniem.

– Dobra robota, Gabby – szepnął kącikiem ust. – Zasłużyłaś na to.

Odpowiedziała radosnym uśmiechem.

– Dziękuję ci. – Podniosła kieliszek, pozdrawiając zebranych. – Dziękuję wam wszystkim. A szczególnie temu, dzięki któremu było to możliwe.

Bertrand powiedział szybko: – Poczekaj. Jeszcze nie skończyłem.

Obok autoportretu Gabrielle znajdował się łeb tygrysa syberyjskiego, który poprzedniego roku zdechł w zoo w Servion. Gabrielle kazała zamrozić ciało zwierzęcia do czasu, aż mogła prześwietlić metodą rezonansu magnetycznego odciętą głowę. Ryty na szkle były podświetlone od dołu krwistoczerwonym światłem. Bertrand przykleił kółko także na tym dziele. Zostało ono sprzedane za cztery i pół tysiąca franków.

Hoffmann zauważył szeptem: – Jeśli tak dalej pójdzie, będziesz zarabiać więcej niż ja.

– Och, Alex, nie mówmy o pieniądzach. – Widział jednak, że jest bardzo zadowolona, a kiedy Bertrand przeszedł dalej i przykleił kolejną czerwoną kropkę, tym razem na *Niewidzialnym człowieku*, głównym ekspozycie wystawy, aż klasnęła w ręce z zachwytem.

I gdyby na tym się skończyło – pomyślał potem Hoffmann z goryczą – wystawa byłaby wielkim sukcesem. Dlaczego Bertrand tego nie widział? Dlaczego nie zapanował nad chciwością? On jednak obszedł metodycznie całą galerię, zostawiając za sobą czerwone kropki – ospowate krosty, znaki choroby, zarazy, epidemii, przebijające przez białe ściany – na końskich łbach, zmumifikowanym dziecku z berlińskiego Museum für Völkerkunde, czaszce bizona, małej antylopie, dziesiątce autoportretów i wreszcie płodzie: nie ustawał, aż wszystkie dzieła zostały oznakowane jako sprzedane.

Efekt, jaki wywarło to na publiczności, był dziwny. Początkowo zebrani wiwatami przyjmowali każdą przyklejaną kropkę. Ale po chwili ich entuzjazm zaczął opadać i stopniowo w galerii zapanowało tak wyraźne skrępowanie, że Bertrand zakończył znakowanie już w prawie zupełnej

ciszy. Można by odnieść wrażenie, że są świadkami jakiegoś kawału, który na początku wszystkich bawił, ale trwał za długo i w końcu stał się okrutny. Było coś deprymującego w takiej hojności. Alex nie mógł patrzeć na Gabrielle, na której twarzy malowało się najpierw szczęście, potem zdziwienie, niezrozumienie i wreszcie podejrzliwość.

– Wygląda na to, że masz jakiegoś wielbiciela – zauważył więc z desperacją.

Ona jednak jakby go nie słyszała.

– Wszystko to kupił jeden nabywca?

– Owszem – odparł Bertrand. Cały promieniał i zacierał ręce.

Znowu rozległ się gwar rozmów. Ludzie wymieniali uwagi przyciszonymi głosami, z wyjątkiem Amerykanina, który zauważył głośno:

– Jezu, to już naprawdę jest śmieszne.

– Kim on jest, do cholery? – zapytała z niedowierzaniem Gabrielle.

– Tego nie mogę powiedzieć. – Bertrand zerknął na Hoffmanna. – Jedyne, co wolno mi zdradzić, to to, że jest „anonimowym kolekcjonerem”.

Gabrielle podążyła za jego wzrokiem i spojrzała na męża. Przełknęła ślinę, zanim się odezwała. Zapytała cicho:

– To ty?

– Oczywiście, że nie.

– Bo jeśli tak...

– Nie ja!

Drzwi, gdy je otwierano, potraçały dzwonek. Hoffmann obejrzał się przez ramię. Goście zaczęli wychodzić; w pierwszej ich fali znajdował się Walton, który zapinał marynarkę przed chłodem. Bertrand zauważył, co się dzieje, i dyskretnie dał znak kelnerkom, żeby przestały serwować drinki. Przyjęcie osiągnęło punkt kulminacyjny i nikt nie chciał wyjść na końcu. Do Gabrielle podeszły dwie kobiety, które chciały jej podziękować, i musiała udawać, że wierzy w szczerść ich gratulacji.

– Sama coś bym kupiła – powiedziała jedna – ale nie zdążyłam.

– To naprawdę niezwykle.

– Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

– Powtórzysz to wkrótce, prawda, kochanie?

– Obiecuję.

Gdy odeszły, Hoffmann zwrócił się do Bertranda:

– Na litość boską, niech pan jej przynajmniej powie, że to nie ja.

– Nie mogę powiedzieć, kto to jest, bo szczerze mówiąc, sam tego nie wiem. To proste. – Bertrand rozłożył ręce. Najwyraźniej dobrze się bawił, podobała mu się ta tajemniczość, pieniądze, konieczność zachowania dyskrecji; cały puchł z dumy w swojej drogiej czarnej jedwabnej skórze. – Dostałem od banku e-mail z wiadomością o przelewie elektronicznym na konto galerii w związku z tą wystawą. Przyznaję, że sam byłem zdziwiony wysokością kwoty. Ale gdy podsumowałem na kalkulatorze ceny wszystkich wystawionych eksponatów, wyszło mi sto dziewięćdziesiąt dwa tysiące franków. I taka właśnie suma wpłynęła na konto.

– Przelew elektroniczny? – upewnił się Hoffmann.

– Tak.

– Proszę, żebyś ją zwrócił – odezwała się Gabrielle.

– Nie chcę, żeby moją twórczość traktowano w ten sposób.

Potężny Nigeryjczyk w stroju narodowym – grubo tkanej czarno-płowej szacie do ziemi i pasującym do niej nakryciu głowy – pomachał jej dużą dłonią o różowym wnętrzu. Był to inny z protegowanych Bertranda, Nneka Osoba, który wykonywał maski plemienne z zachodnich odpadów przemysłowych w proteście przeciwko imperializmowi.

– Do widzenia, Gabrielle! – zawołał. – Świetnie ci poszło!

– Do widzenia! – odkrzyknęła, zmuszając się do uśmiechu. – Dzięki, że przyszedłeś. – Znowu zabrzmiał dzwonek przy drzwiach.

Bertrand się uśmiechnął.

– Moja droga Gabrielle, ty chyba nie rozumiesz. To wymóg prawny. Na aukcji transakcja zostaje zawarta wraz z uderzeniem młotka. Tak samo jest w galerii. Kiedy dzieło sztuki zostaje zakupione, tracisz je. Jeśli nie chcesz go sprzedać, to go nie wystawiaj.

– Zapłacę podwójnie – odezwał się z desperacją Hoffmann. – Dostajesz pięćdziesiąt procent prowizji, więc zarobiłeś prawie sto tysięcy franków, mam rację? Zapłacę ci dwieście tysięcy, jeśli oddasz Gabrielle jej prace.

– Nie rób tego, Alex – poprosiła Gabrielle.

– To niemożliwe, doktorze Hoffmann.

– Dobra, podwajam jeszcze raz. Czteryście tysięcy.

Bertrand zachwiał się w swoich jedwabnych mokasynach, a na jego gładkiej twarzy wyraźnie uwidoczniła się walka między etyką zawodową a chciwością.

– Cóż, po prostu nie wiem, co powiedzieć...

– Przestań! – zawołała Gabrielle. – Przestań, Alex! Obaj przestańcie! Nie mogę dłużej tego słuchać!

– Gabby...

Ale ona ominęła jego wyciągnięte ramiona i ruszyła w stronę drzwi, lawirując między plecami wychodzących gości. Hoffmann ruszył za nią, przepychał się przez rzędniejący tłum jak w sennym koszmarze, bo wciąż nie mógł jej dogonić. W którymś momencie dotknął już ramienia Gabrielle. Wypadł na ulicę tuż za nią i po kilku krokach wreszcie złapał ją za łokieć. Pociągnął żonę za sobą w kierunku drzwi.

– Posłuchaj, Gabby...

– Nie. – Uderzyła go wolną ręką.

– Posłuchaj! – Potrząsał nią, aż wreszcie przestała się wyrywać; był silnym mężczyzną, przyszło mu to bez wysiłku – Uspokój się. Dziękuję. A teraz wysłuchaj mnie, proszę. Dzieje się coś bardzo dziwnego. Jestem pewien, że twoje prace wykupiła ta sama osoba, która przysłała mi tamtego Darwina. Ktoś bawi się mną.

– Och, daj spokój, Alex! Nie zaczynaj znowu. To ty wszystko wykupiłeś... wiem, że tak. – Próbowała odwrócić twarz.

– Nie, posłuchaj. – Znowu nią potrząsnął. Uświadomił sobie mgliście, że jej strach budzi w nim agresję, i próbował się uspokoić. – Wierz mi. To nie ja. Darwina kupiono w taki sam sposób... przelewem internetowym. Założę się, że jeśli wrócimy do środka i poprosimy *monsieur* Bertranda, żeby podał nam numer rachunku nabywcy, okaże się, że to ten sam. Ale musisz wiedzieć, że choć rachunek ten jest na moje nazwisko, nie należy do mnie. Nic o nim nie wiem. Ale zbadam tę sprawę do końca, obiecuję ci. Dobrze? To wszystko. – Puścił ją. – To wszystko, co chciałem ci powiedzieć.

Patrzyła na niego i zaczęła powoli rozmasowywać łokieć. Rozpłakała się cicho. Dotarło wreszcie do niego, że sprawił jej ból.

– Przepraszam.

Spojrzała w niebo, przetykając łzy.

– Nie masz pojęcia, jak ważna była dla mnie ta wystawa, prawda? – zapytała.

– Oczywiście, że mam...

– I została zrujnowana. Przez ciebie.

– Gabrielle, jak możesz tak mówić?

– Taka jest prawda, Alex, bo albo ty kupiłeś wszystko w jakimś dziwnym odruchu samca alfa, sądząc, że sprawisz mi tym przyjemność, albo zrobił to ktoś inny, kto, jak twierdzisz, bawi się tobą. Tak czy owak, to twoja wina.

– Wcale nie.

– Dobra, to kim jest ten tajemniczy człowiek? Ze mną najwyraźniej nie ma nic wspólnego. Ale ty musisz mieć jakieś podejrzenia. To twój konkurent, tak? Czy klient? A może ktoś z CIA?

– Nie bądź niemądra.

– A może Hugo? Może to jeden z tych jego infantylnych żartów?

– To nie Hugo. Tego jednego jestem pewny.

– O nie, oczywiście, że nie... to nie mogłaby być sprawka twojego cudownego Hugona, prawda? – Już nie płakała. – Co się z tobą stało, Alex? Leclerc chciał wiedzieć, czy oszczędłeś z CERN-u z powodu pieniędzy, więc powiedziałam mu, że nie. Ale czy ty słyszysz samego siebie? Dwieście tysięcy franków. czterysta tysięcy franków. Sześćdziesiąt milionów dolarów za dom, którego nie potrzebujemy...

– Jeśli dobrze pamiętam, nie skarżyłaś się wcale, gdy go kupowaliśmy. Powiedziałaś, że podoba ci się pracownia.

– Chciałam ci sprawić przyjemność! Myślisz, że podoba mi się reszta? To jak mieszkać w jakiejś przeklętej ambasadzie. – Przyszła jej do głowy pewna myśl. – Ile teraz zarabiasz w ramach prowizji?

– Skończ z tym, Gabrielle.

– Nie. Powiedz mi. Chcę wiedzieć. No ile?

– Nie wiem. To zależy, jak liczyć.

– No dalej. Podaj rząd wielkości.

– W dolarach? W przybliżeniu? Naprawdę trudno powiedzieć. Miliard. Miliard dwieście.

– Miliard dolarów? W przybliżeniu?! – Przez moment ze zdumienia odebrało jej mowę. – Wiesz co? To koniec. Jeśli o mnie chodzi, chcę wydostać się z tego okropnego miasta, w którym wszystkim chodzi tylko o forszę.

Odwróciła się od niego.

– Jak to koniec? – Znowu chwycił ją za ramię, ale słabo, bez przekonania, i tym razem odwróciła się na pięcie i uderzyła go w twarz. Zrobiła to lekko – w symbolicznym geście – ale on natychmiast ją puścił. Dotychczas nic podobnego nie zdarzyło się między nimi.

– Nigdy więcej – wycodziła, mierząc w niego palcem – nie waż się mnie tknąć.

I było po wszystkim. Odeszła. Powędrowała na koniec ulicy, a potem skręciła za róg, zostawiając Hoffmanna z ręką przyciśniętą do policzka, niemogącego ogarnąć rozmiarów katastrofy, która właśnie mu się zdarzyła.

* * *

Leclerc obserwował to wszystko z zacisza samochodu. Scena ta rozegrała się przed nim jak w kinie dla zmotoryzowanych. Później patrzył, jak Hoffmann odwraca się powoli i rusza z powrotem do galerii. Jeden z dwóch ochroniarzy, którzy stali przed wejściem z rękami na piersiach, zamienił z nim kilka słów i Hoffmann wykonał zrezygnowany gest, prawdopodobnie dając mu w ten sposób znak, żeby poszedł za jego żoną. Mężczyzna się oddalił. Wtedy Hoffmann wkroczył do środka, a za nim podążył jego własny ochroniarz. Łatwo było śledzić dalszy ciąg: okno było duże, a w galerii nie został już prawie nikt. Hoffmann podszedł do właściciela, *monsieur* Bertranda, i najwyraźniej zaczął mu wymyślać. Potem wyjął swój telefon komórkowy i machnął nim tamtemu przed nosem. Bertrand wyrzucił ręce w górę, próbując zbyć natręta, a wówczas Hoffmann złapał go za kłapy marynarki i pchnął na ścianę.

– Wielki Boże, a to co znowu? – mruknął Leclerc.

Bertrand usiłował się wyrwać, podczas gdy Hoffmann trzymał go na odległość ramienia, a potem znowu pchnął w tył, tym razem mocniej. Leclerc przeklął pod nosem, otworzył drzwi wozu i powlókł się sztywno ulicą. Kolana go bolały i gdy krzywiąc się, szedł w stronę galerii, znowu pomyślał o swoim parszywym losie: że też musi zajmować się takimi sprawami, choć niebawem stuknie mu już sześćdziesiątka.

Gdy wchodził do środka, ochroniarz Hoffmanna wkroczył stanowczo pomiędzy swojego klienta i właściciela galerii. Bertrand obciągał marynarkę i obrzucał wyzwiskami Hoffmanna, który odpowiadał mu tym samym. Za nimi martwy morderca patrzył przed siebie ze swojej szklanej celi.

– Panowie, panowie – powiedział Leclerc – wystarczy już tego, bardzo proszę. – Pokazał swoją legitymację ochroniarzowi, który spojrzał na nią, potem na niego i nieznacznie przewrócił oczami. – No już. Doktorze Hoffmann, tak nie można. Nie chciałbym pana aresztować po tym, co

przeszedł pan przez cały dzień, ale zrobię to, jeśli nie będę miał wyjścia. Co się tu dzieje?

– Moja żona bardzo się zdenerwowała, a wszystko dlatego, że ten człowiek postąpił najgłupiej jak można... – wyjaśnił Hoffmann.

– Rzeczywiście – wtrącił się Bertrand – najgłupiej jak można! Sprzedałem wszystkie jej prace, i to już w pierwszym dniu wystawy, a szanowny małżonek ma za to do mnie pretensje!

– Jedyne, czego chcę – odparł Hoffmann głosem, który wydał się Leclercowi bliski hysterii – to poznać numer konta bankowego tego nabywcy.

– Powiedziałem mu, że nie ma mowy! To poufna informacja.

Leclerc zwrócił się do Hoffmanna.

– Dlaczego to dla pana takie ważne?

– Bo ktoś – wyjaśnił Hoffmann, starając się mówić spokojnie – najwyraźniej próbuje mnie zniszczyć. Uzyskałem numer konta, którym się posłużono, żeby zeszłego wieczoru przysłać mi książkę, prawdopodobnie po to, żeby mnie przestraszyć... mam go tu, w telefonie. I sądzę, że posłużono się tym samym rachunkiem, rzekomo należącym do mnie, żeby sabotować wystawę mojej żony.

– Sabotować! – prychnął Bertrand. – My nazywamy to sprzedażą!

– To nie była zwykła sprzedaż, może się mylę? Wszystko poszło od razu, w jednej chwili. Czy wcześniej zdarzyło się coś takiego?

– Och! – Bertrand machnął ręką ze zniechęceniem.

Leclerc popatrzył na nich obu. Westchnął.

– Proszę mi pokazać ten numer konta, *monsieur* Bertrand.

– Nie mogę. Dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo w przeciwnym razie aresztuję pana za utrudnianie śledztwa w sprawie kryminalnej.

– Nie odważy się pan!

Leclerc wytrzymał jego spojrzenie. Chociaż był już stary, tacy jak Bertrand nie stanowili dla niego żadnego wyzwania.

– No dobrze, jest w moim gabinecie – wymamrotał w końcu Bertrand.

– Doktorze Hoffmann... pańska komórka, jeśli mogę?

Hoffmann pokazał mu e-mail na wyświetlaczu.

– To wiadomość, którą dostałem z antykwariatu, wraz z numerem konta.

Leclerc wziął od niego telefon.

– Proszę tu zostać.

I poszedł za Bertrendem do małego biura w głębi galerii. Gabinet był zavalony starymi katalogami, ramami, narzędziami do oprawiania obrazów; pachniało w nim ostro kawą i klejem. Na porysowanym, chwiejącym się biurku stał komputer. Obok niego znajdowała się sterta listów i paragonów nabitych na szpikulec. Bertrand przejechał myszką po ekranie komputera i kliknął.

– To e-mail z banku. – Wydymając usta, ustąpił inspektorowi miejsca. – A przy okazji, nie traktuję poważnie pańskich gróźb o aresztowaniu. Współpracuję z panem jako dobry obywatel szwajcarski.

– Odnoszę to, *monsieur* – odparł Leclerc. – Dziękuję panu.

Usiadł przed komputerem i spojrzał uważnie na ekran. Przysunął do niego komórkę Hoffmanna i starannie porównał oba rachunki. Stanowiły taką samą kombinację liter i cyfr. Właścicielem konta był niejaki A.J. Hoffmann. Wyjął notes i przepisał do niego ten numer.

– Poza tą nie otrzymał pan żadnej innej wiadomości?

– Nie.

Po powrocie do sali wystawowej oddał Hoffmannowi telefon.

– Miał pan rację. Numery kont są identyczne. Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z napaścią na pana.

– Och, te sprawy są z sobą powiązane – odparł Hoffmann. – Próbowałem to panu powiedzieć już rano. Jezu, tacy jak pan nie przetrwaliby pięciu minut w mojej branży. Nie przeszliby nawet przez pieprzone drzwi! I po cholere rozpytuje pan o moją pracę w CERN-ie? Powinien pan szukać tego faceta, a nie robić wywiad na mój temat!

Twarz miał wymizerowaną, oczy zaczerwienione i podpuchnięte, jakby je tarł. Z jednodniowym zarostem wyglądał jak zbieg.

– Przekażę ten numer konta do naszego działu finansowego i poproszę, żeby go sprawdzili – łagodnie powiedział Leclerc. – Rachunki bankowe to przynajmniej coś, na czym my, Szwajcarzy, dobrze się znamy, a podszywanie się pod kogoś jest przestępstwem. Powiadomię pana, jeśli dowiem się czegoś w tej sprawie. A tymczasem radzę pojechać do domu, umówić się z lekarzem i trochę się przespać. – „I dogadać się z żoną”, chciał dodać, ale uznał, że lepiej się nie wtrącać.

10

...instynkt przetrwania sam w sobie jest czymś korzystnym dla danego gatunku, ale z tego co można sądzić, nigdy nie służy innym.

Karol Darwin, *O pochodzeniu gatunków* (1859)

Hoffmann próbował się do niej dodzwonić z mercedesa, ale zgłaszała się tylko jej poczta głosowa. Słyszając znajomy energiczny głos, poczuł, że ściska go w gardle: „Cześć, tu Gabby, nie waż się rozłączyć bez zostawienia wiadomości”.

Miał okropne przeczucie, że stracił ją nieodwołalnie. Nawet gdyby się pogodzili, osoba, którą była do tego dnia, już nie istniała. Miał wrażenie, jakby słuchał nagranych głosu kogoś, kto niedawno zmarł.

Rozległ się sygnał nagrania. Po dłuższej chwili, która musiała dziwnie brzmieć, gdy Gabrielle ją potem odsłuchiwała, powiedział wreszcie: – Zadzwoń do mnie, dobrze? Musimy porozmawiać. – Nie przychodziło mu do głowy, co jeszcze mógłby dodać: – No, dobra. To tyle. Pa.

Rozłączył się i przez chwilę patrzył na telefon, ważąc go w dłoni: pragnął, żeby zadzwonił, zastanawiał się, czy nie powinien był powiedzieć czegoś innego albo czy mógł do niej dotrzeć w jakiś inny sposób. Pochylił się w stronę ochroniarza.

– Czy twój kolega jest z moją żoną?

Paccard, który patrzył przed siebie na drogę, odpowiedział przez ramię:

– Nie, *monsieur*. Gdy doszedł do końca ulicy, już jej nie było.

Hoffmann jęknął.

– Czy nikt w tym przeklętym mieście nie potrafi wykonać swojej roboty jak należy? – Rzucił się na oparcie tylnego siedzenia, splótł ręce przed sobą i popatrzył przez szybę. Jednego był pewien: nie wykupił prac Gabrielle. Nie było takiej możliwości. Ale wiedział, że trudno mu będzie przekonać ją o tym. Usłyszał w głowie jej głos: „Miliard dolarów? W przybliżeniu? Wiesz co? To koniec”.

Za spiżowymi wodami Renu widział dzielnicę finansjery – BNP Paribas, Goldman Sachs, Barclays Private Wealth... Rozciągała się na północnym brzegu szerokiej rzeki i części znajdującej się pośrodku wyspy. W Genewie kontrolowano biliony dolarów w papierach wartościowych, z czego na Hoffmann Investment Technologies przypadał zaledwie procent;

z tego procentu jego osobisty udział wynosił niespełna jedną dziesiątą. Patrząc na to z tej perspektywy, pomyślał: dlaczego miliard tak ją oburzył? Dolary, euro, franki – to były jednostki, w których mierzył sukces albo porażkę swojego eksperymentu, tak jak w CERN-ie posługiwał się w tym celu teraelektronowoltami, nanosekundami i mikrodżulami. Musiał jednak przyznać, że między jednym a drugim istniała zasadnicza różnica; był to problem, z którym nigdy w pełni się nie zmierzył ani którego nie rozwiązał. Za nanosekundy i mikrodzule nic nie dało się kupić, podczas gdy pieniądze stanowiły toksyczny produkt uboczny jego badań. Czasami miał wrażenie, że zatruwają go stopniowo i niszczą, jak Marię Skłodowską-Curie zniszczyło promieniowanie radioaktywne.

Początkowo nie zwracał uwagi na swoje bogactwo, inwestował zgromadzone środki w firmę albo oddawał je w depozyt bankowy. Ale nie podobała mu się myśl, że mógłby stać się takim ekscentrykiem jak Etienne Mussard, który popadł w mizantropię pod wpływem własnego majątku. Od jakiegoś czasu zaczął więc naśladować Quarry'ego i próbował wydawać pieniądze. To jednak doprowadziło do kupna drogiej rezydencji w Cologny, pełnej kosztownych książek i antyków, których wcale nie potrzebował, a które wymagały ochrony na różnych poziomach: był to rodzaj nagrobnej piramidy faraona, tylko że dla człowieka żyjącego. Oczywiście, zawsze mógł ją oddać – przynajmniej Gabrielle by to zaaprobowała – ale przecież nawet filantropia może być demoralizująca: odpowiedzialne rozdzielanie setek milionów dolarów to praca na pełny etat. Od czasu do czasu fantazjował o tym, że nadwyżki finansowe zamieni na papierowe pieniądze i będzie je palił na okrągło przez całą dobę, tak jak w rafinerii ropy spala się nadmiar gazu – i niebieskożółte płomienie rozświetlą nocne genewskie niebo.

Mercedes tymczasem wjechał na most.

Nie chciał nawet myśleć o tym, że Gabrielle idzie ulicami sama. Niepokoiła go jej impulsywność. Gdy wpadała w gniew, była gotowa na wszystko. Mogła zniknąć na kilka dni, polecieć do matki do Anglii, nabić sobie do głowy różnych bzdur. „Wiesz co? To koniec”. Co chciała przez to powiedzieć? Z czym koniec? Z wystawą? Jej karierą artystyczną? Ich rozmową? Małżeństwem? Znowu ogarnęła go panika. Jego życie bez niej byłoby puste; nie do zniesienia. Oparł czoło o zimną szybę i przez jedną okropną chwilę, gdy tak patrzył w ciemną, mętłą wodę, wyobraził sobie, że

wciąga go nicość, tak jak pasażera wysysa przez wyrwę w kadłubie uszkodzonego samolotu mile nad ziemią.

Skręcili w Quai du Mont-Blanc. Miasto, przycupnięte wokół ciemnego jeziora, wydawało się nędzne i ponure, wykute z tego samego kamienia co odległa Jura. Nie miało w sobie nic z prostackiego, stalowo-szklanego, zwierzęcego wręcz rozmachu Manhattanu czy londyńskiego City: ich drapacze chmur mogą w przyszłości wznosić się i walić, przeżywać lata prosperity i depresji, a przebiegła Genewa, z opuszczoną głową, będzie trwać i trwać. Wartości te ucieleśniał w cegle i kamieniu hotel Beau-Rivage, ładnie położony pośrodku szerokiego bulwaru z trzema szpalerami drzew. Nic ekscytującego nie zdarzyło się tu od 1898 roku, kiedy cesarzowa Austro-Węgier, opuszczając hotel po lunchu, została zakłuta na śmierć przez włoskiego anarchistę. Hoffmanna zawsze intrygował jeden fakt związany z tym morderstwem: Elżbieta nie wiedziała o swojej ranie, dopóki nie zdjęto jej gorsetu, a tymczasem doznała krwotoku wewnętrznego. W Genewie nawet zabójstw dokonywano dyskretnie.

Mercedes zatrzymał się po przeciwnej stronie ulicy i Paccard, podnosząc władczy gestem rękę, aby zatrzymać inne samochody, odeskortował Hoffmanna przez przejście dla pieszych, a potem wszedł wraz z nim po schodach i wkroczył do okazałego holu w stylu pseudohabsburskim. Jeśli konsjerż przeraził się na widok Hoffmanna, nie dał tego po sobie poznać i z uśmiechem na twarzy przejął go od Paccarda, aby następnie zaprowadzić *le cher docteur* schodami do sali jadalnej.

Za wysokimi drzwiami panowała atmosfera jak w dziewiętnastowiecznym salonie: obrazy, antyki, połączane krzesła, złote podwieszane zasłony; cesarzowa Elżbieta czułaby się tu jak w domu. Quarry zarezerwował długi stół przy francuskim oknie i siedział zwrócony plecami do jeziora, zerkając na wejście. Za kołnierzykiem miał zatkniętą serwetkę, jak w klubie dla dżentelmenów, ale gdy pojawił się Hoffmann, szybko ją zdjął i rzucił na krzesło. Potem wyszedł wspólnikowi naprzeciw i przywitał się z nim w połowie sali.

– Profesorze – powiedział głośno, żeby inni słyszeli, a potem przyciszonym głosem, przysunąwszy się do niego, zapytał: – Gdzie się, do jasnej cholery, podziewałeś?

Hoffmann już miał odpowiedzieć, ale Quarry nie słuchał. Był podekscytowany i oczy mu błyszczały, bo najwyraźniej finalizował przedsięwzięcie.

– Dobra, nieważne. To nie ma teraz znaczenia. Najważniejsze, że chyba w to wejda... a przynajmniej większość... i przecucie mi mówi, że uzyskamy sumę bliższą miliarda niż siedmiuset pięćdziesięciu milionom. Więc jedyne, czego od ciebie teraz chcę, maestro, to sześćdziesięciminutowe wystąpienie, które uspokoi ich co do technicznego aspektu sprawy. Z jak najmniejszą dozą agresji, jeśli wolno prosić. – Wskazał w stronę stołu. – Chodź i przysiądź się do nas. – Straciłeś *grenouille de Vallorbe*, ale *filet mignon de veau* powinien być boski.

Hoffmann jednak stał w miejscu. Zapytał podejrzliwie:

– Nie kupiłeś właśnie wszystkich prac Gabrielle?

– Co takiego? – Quarry zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na niego ze zdziwieniem spod zmrużonych powiek.

– Ktoś wykupił całą ekspozycję, posługując się rachunkiem założonym na moje nazwisko. Gabrielle pomyślała, że to ty.

– Nawet nie widziałem tych prac! I dlaczego miałbym korzystać z twojego rachunku? Przede wszystkim to wbrew prawu. – Zerknął przez ramię na klientów, a potem znowu spojrzał na Hoffmanna. Wyglądał na kompletnie zdezorientowanego. – Wiesz co? Możemy pogadać o tym później?

– Na pewno tego nie zrobiłeś? Nawet dla żartu? Powiedz, że tak.

– To nie w moim stylu, stary. Przykro mi.

– Hm, tak właśnie myślałem. – Ogarnął pobieżnym spojrzeniem salę: klientów, kelnerów, dwa wyjścia, wysokie okna i rozciągający się za nimi taras. – Ktoś chce mnie dopaść. I zniszczyć mnie krok po kroku. To już zaczyna mnie wkurzać.

– Właśnie widzę, Alex. A jak twoja głowa?

Hoffmann przytknął rękę do rany i przesunął palcami po twardych, obcych wypukłościach w miejscu, gdzie została zaszyta. Uświadomił sobie, że czuje w niej pulsujący ból.

– Znowu zaczęła boleć.

– Dobra – odpowiedział powoli Quarry. W innych okolicznościach Hoffmanna rozbawiłaby typowo angielska rezerwa wspólnika w obliczu potencjalnej klapy. – To co chcesz mi powiedzieć? Może powinieneś pojechać do szpitala?

– Nie. Tylko usiądę.

– I może coś zjesz? – podsunął Quarry z nadzieją. – Nic nie jadłeś przez cały dzień, prawda? Nic dziwnego, że źle się czujesz. – Wziął Hoffmanna

pod ramię i zaprowadził go do stołu. – Usiądź naprzeciwko mnie, żebym miał cię na oku, a potem może wszyscy zamienimy się miejscami. Nawiasem mówiąc, dobre wieści z Wall Street – dodał po cichu. – Wygląda na to, że Dow pójdzie w dół na otwarciu.

Kelner tymczasem podsunął mu krzesło między paryskim prawnikiem, Francois de Gombart-Tonnelle'em, a Etienne'em Mussardem. Quarry siedział między ich towarzyszami,

Elmirą Gulzhan a Clarisse Mussard. Chińczycy, pozostawieni samym sobie, zajmowali jeden koniec stołu, a amerykańscy bankowcy, Klein i Easterbrook – drugi. Pomiędzy nimi usadowili się Herxheimer, Mould, Łukasiński oraz różni prawnicy i doradcy, którzy emanowali naturalnym zadowoleniem ludzi, liczących sobie honorarium od godziny i jednocześnie zaproszonych na darmowy posiłek. Kelner strzepnął grubą lnianą serwetkę i położył ją Hoffmannowi na kolanach. *Sommelier* dał mu do wyboru czerwone albo białe wino – Louis Jadot Montrachet Grand Cru z 2006 roku albo Latour z 1995 – ale on podziękował za jedno i drugie. Zamiast tego poprosił o wodę niegazowaną.

De Gombart-Tonnelle zagaił:

– Właśnie rozmawialiśmy o stawkach podatkowych, Alex. – Oderwał małej kawałek bułki długimi palcami i włożył go do ust. – Mówiliśmy, że Europa daleko wyprzedza dawny Związek Radziecki. Francja: czterdzieści procent, Niemcy: czterdzieści pięć, Hiszpania: czterdzieści siedem, Wielka Brytania: pięćdziesiąt...

– Pięćdziesiąt procent! – wtrącił się Quarry. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, jestem patriotą jak każdy, ale czy naprawdę chcę się dzielić fifty-fifty z rządem Jej Królewskiej Mości? Chyba nie.

– Nie ma już demokracji – zauważyła Elmira Gulzhan. – Państwo sprawuje taką kontrolę jak nigdy dotąd. Wszystkie swobody są ograniczane i wygląda na to, że nikt się tym nie przejmuje. To mi się nie podoba w tym nowym stuleciu.

De Gombart-Tonnelle tymczasem ciągnął swoje: – ...nawet w Genewie mamy czterdzieści cztery procent.

Quarry się uśmiechnął, jakby usłyszał pytanie zadane przez dziecko.

– Teoretycznie owszem, czterdzieści cztery. Ale jeśli wpływy pochodzą z dywidend, a twój biznes jest zarejestrowany za granicą, to te dywidendy są w czterech piątych zwolnione od podatku. Wówczas płacisz czterdzieści

cztery procent od jednej piątej. Czyli tak naprawdę kosztuje cię to osiem koma osiem procent. Dobrze mówię, Amschel?

Herxheimer, który mieszkał w Zermatt, ale za sprawą magicznej teleportacji pracował w Guernsey, potwierdził.

– Osiem koma osiem – powtórzył Mould. Wyglądał, jakby zrobiło mu się niedobrze. – Nieźle, całkiem nieźle.

– Przenoszę się do Genewy! – zawołał z końca stołu Easterbrook.

– Uhm, ale spróbujcie coś takiego zasugerować Wujowi Samowi – włączył się Klein. – Urząd skarbowy wytropi was na drugim końcu świata, jeśli zachowacie amerykański paszport. A próbowaliście kiedyś zrzec się amerykańskiego obywatelstwa? To niewykonalne. To jak być radzieckim Żydem, próbującym wyemigrować do Izraela w latach siedemdziesiątych.

– Tak jak mówię – odezwała się znowu Elmira Gulzhan – żadnej wolności. Państwo zabierze nam wszystko, a jeżeli ośmielimy się sprzeciwić, zostaniemy aresztowani za brak poprawności politycznej.

Hoffmann wbił wzrok w obrus, nie włączając się do rozmowy. Po raz kolejny uzmysłowił sobie, dlaczego nie lubi bogaczy: z powodu tego ich ciągłego uzalania się nad sobą. Prześladowania były dla nich stałym tematem, jak dla wszystkich innych sport czy pogoda. Budzili w nim pogardę.

– Gardzę wami – powiedział nagle, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, tak byli zajęci oburzającą kwestią progów podatkowych i nieodłącznych nadużyć wśród podwładnych. Wtedy pomyślał: może stałem się jednym z nich i stąd u mnie ta mania prześladowcza? Przyjrzał się pod stołem swoim dłoniom, a potem ich wierzchom, jakby spodziewał się, że zobaczy, jak porastają sierścią.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wkroczyło przez nie ośmiu kelnerów w szeregu, z których każdy niósł po dwa talerze ze srebrnymi pokrywami. Stanęli między przydzieloną sobie dwójką klientów, postawili przed nimi talerze, ujęli bliźniacze pokrywy dłońmi w białych rękawiczkach i na znak *maitre d'hotel* je podnieśli. Jako główne danie podano cielęcinę z morelami i szparagami, zaserwowano ją wszystkim oprócz Elmiry Gulzhan, która dostała grillowaną rybę, i Etienne'a Mussarda, który zażyczył sobie hamburgera i frytek.

– Nie jadam cielęciny – powiedziała Elmira, konfidentycznie nachylając się przez stół w stronę Hoffmanna i pokazując mu przez chwilę swoje jasnobrązowe piersi. – Biedne cielątko tak cierpi.

– Och, a ja zawsze wolę zjeść coś, co cierpiało – pogodnie zauważył na to Quarry, który znowu zatknął sobie serwetkę za kołnierzyk i dzierzył w dłoniach nóż i widelec. – Myślę, że strach wyzwala jakiś szczególnie smaczny składnik chemiczny, który przenika z systemu nerwowego do mięsa. Kotlety cielęce, homar Thermidor, *pâté de foie gras*. im gorszy koniec, tym lepiej. Taka jest moja filozofia: bez cierpienia nie ma przyjemności.

Elmira machnęła w jego stronę końcem serwetki.

– Hugo, jesteś podły. Prawda, Alex, że on jest zepsuty do szpiku kości?

– Jest – przyznał Hoffmann. Przesunął widelcem jedzenie po talerzu. Nie miał apetytu. Nad ramieniem Quarry’ego widział Jet d’Eau, sondującą zachmurzone niebo po przeciwnej stronie jeziora niczym wodny reflektor.

Łukasiński z drugiego końca stołu zadał głośno jakieś pytanie techniczne dotyczące nowego funduszu i Quarry odłożył widelec, żeby na nie odpowiedzieć. Wszystkie zainwestowane pieniądze zostaną zablokowane na rok; potem będzie można je wypłacać cztery razy rocznie: 31 maja, 31 sierpnia, 30 listopada i 28 lutego, uprzedzając o takim zamiarze z czterdziestopięciodniowym wyprzedzeniem. Struktura funduszu nie ulegnie zmianie: inwestorzy będą stanowić część spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, zarejestrowanej ze względów podatkowych na Kajmanach, która powierzy Hoffmann Investment Technologies zarządzanie jej kapitałem.

– Do kiedy musimy się zdeklarować? – zapytał Herxheimer.

– Zamierzamy dokonać ponownie twardego zamknięcia funduszu pod koniec miesiąca – odparł Quarry.

– Czyli za trzy tygodnie?

– Zgadza się.

Nagle atmosfera wokół stołu stała się poważna. Poszczególne rozmowy ucichły. Wszyscy zaczęli słuchać z uwagą.

– Ja mogę odpowiedzieć już teraz – oświadczył Easterbrook. Machnął widelcem w kierunku Hoffmanna. – Wiesz, co w tobie lubię, Hoffmann?

– Nie, Bill. Co takiego?

– Nie gadasz jak najęty. Pozwalasz mówić liczbom. Podjąłem decyzję już w momencie, gdy tamten samolot schodził do lądowania. Trzeba będzie przebrnąć przez wszystkie formalności i tak dalej, ale zamierzam zaproponować, żeby AmCor podwoił stawkę.

Quarry szybko zerknął na Hoffmanna z naprzeciwka. Jego niebieskie oczy się rozszerzyły. Czubkiem języka zwilżył usta.

– To miliard dolarów, Bill – zauważył cicho.

– Wiem, że miliard, Hugo. Kiedyś to była kupa forsy. Pozostali parsknęli śmiechem. Mieli zapamiętać tę chwilę.

To będzie zabawna anegdota, do opowiadania na plażach Antibes albo Palm Beach w nadchodzących latach: tamtego dnia Bill Easterbrook z AmCor wyłożył podczas lunchu miliard dolarów i powiedział, że kiedyś to była kupa forsy. Mina Easterbrooka świadczyła, że wiedział, co sobie myśla; dlatego właśnie tak się zachował.

– Bill, to bardzo hojny gest z twojej strony – odparł Quarry ochryple. – Alex i ja jesteśmy pod wrażeniem. – Zerknął na drugą stronę stołu.

– Pod wrażeniem – powtórzył Hoffmann.

– Winter Bay też w to wchodzi – oznajmił Klein. – Nie mogę powiedzieć, z jakim kapitałem... nie mam takich pełnomocnictw jak Bill... ale też będzie to znacząca suma.

– Ja tak samo – dorzucił Łukasiński.

– A ja porozmawiam z ojcem – włączyła się Elmira – i zrobi, co mu powiem.

– Czy mam rozumieć, że wszyscy zamierzacie zainwestować? – zapytał Quarry. Wokół stołu rozległy się twierdzące pomruki. – Cóż, brzmi to obiecująco. A mogę zadać to pytanie w innej formie... czy ktoś nie zamierza zwiększyć swoich inwestycji? – Obecni spojrzeli na siebie; kilku wzruszyło ramionami. – Nawet ty, Etienne?

Mussard niechętnie uniósł głowę znad hamburgera.

– Tak, tak, owszem, czemu nie? Ale nie rozmawiajmy o tym w miejscu publicznym, dobrze? Wolę załatwiać takie sprawy w tradycyjny szwajcarski sposób.

– To znaczy w kompletnym stroju, przy zgaszonym świetle? – Quarry wstał jakby na fali śmiechów. – Przyjaciele, wiem, że jeszcze nie skończyliście jeść, ale jeśli kiedykolwiek jest pora, aby wznieść spontanicznie toast w stylu rosyjskim... wybacz mi, Mieczysław. to chyba właśnie teraz. – Odchrząknął. Wydawało się, że jest bliski łez. – Drodzy goście, czujemy się zaszczytzeni waszą obecnością, waszą przyjaźnią i waszym zaufaniem. Naprawdę wierzę, że stoimy w obliczu narodzin nowej siły w globalnym zarządzaniu papierami wartościowymi, produktu powstałego wskutek połączenia najnowszej technologii z agresywnym

inwestowaniem... albo, jeśli wolicie, unii Boga z mamoną. – Znowu rozległy się śmiechy. – Powinniśmy teraz wstać i z tej szczególnej okazji wznieść toast za geniusza, który to wszystko umożliwił... nie, nie, nie mnie. – Spojrzał z promiennym uśmiechem na Hoffmanna. – Za ojca VIXAL-a cztery, Alexa!

Szurając nogami, powtarzając: – Za Alexa! – i stukając się kieliszkami, inwestorzy wstali i wypili za zdrowie Hoffmanna. Spoglądali na niego z sympatią – nawet Mussard wykrzywił usta w uśmiechu – i nawet po tym, jak ponownie usiedli, kiwali do niego głowami i uśmiechali się, aż w końcu z niesmakiem uświadomił sobie, że oczekują od niego przemówienia.

– O nie – powiedział.

Quarry ponaglił go cicho:

– Och, Alex, tylko kilka słów, a potem będziesz miał spokój na kolejnych osiem lat.

– Naprawdę nie mogę.

Ale jego odmowę przyjęto takim chóralnym: „Nie!” i „Jaka szkoda!”, że Hoffmann wbrew własnej woli wstał. Serwetka zsunęła mu się z kolan i upadła na podłogę. Oparł jedną rękę na stole, żeby odzyskać równowagę, i usiłował wymyślić, co powiedzieć. Z roztargnieniem spojrzał na widok za oknem – który, ponieważ teraz stał, rozszerzył się i obejmował nie tylko przeciwległy brzeg, strzelającą w górę fontannę i atramentowe wody jeziora, ale także promenadę, na której dźgnięto cesarzową, tuż pod hotelem. Quai du Mont-Blanc w tym punkcie jest szczególnie szeroka. Tworzy coś w rodzaju małego skweru z lipami, ławkami, małymi przystrzyżonymi trawnikami, wymyślnymi latarniami ulicznymi w stylu belle époque i ciemnozieloną roślinnością. Półkoliste nabrzeże z kamienną balustradą schodzi nad wodę, prowadząc na molo i przystań promową. W tamto popołudnie po bilety na prom stało w kolejce do metalowego kiosku kilkanaścioro ludzi. Młoda kobieta w czerwonej czapce bejsbolówce jeździła na rolkach. Dwaj mężczyźni w dżinsach spacerowali z dużym czarnym pudłem. W końcu wzrok Hoffmanna spoczął na chudej postaci w brązowym skórzanym płaszczu, która stała pod jedną z jasnozielonych lip. Facet miał wymizerowaną, bardzo bladą twarz, jakby właśnie zwymiotował albo zemdlał, a jego oczodoły kryły się w cieniu wypukłego czoła, z zaczesanymi do tyłu siwymi włosami, które były spięte w cienki kucyk. Patrzył prosto w okno, przez które spoglądał Hoffmann.

Hoffmann stęzał. Przez długą chwilę nie mógł się ruszyć. Potem odruchowo zrobił krok do tyłu, wpadł na swoje krzesło i przewrócił je. Quarry, który patrzył na niego z niepokojem, powiedział:

– O Boże, zaraz zemdlejesz. – Już miał wstać, ale Hoffmann podniósł rękę, żeby go powstrzymać. Cofnął się o kolejny krok i zaplątał między nogi przewróconego krzesła. Potknął się i o mało nie upadł, ale wtedy świadkowie tej sceny odnieśli wrażenie, że wyrwał się spod jakiegoś uroku, jaki na niego rzucono, bo nagle kopnięciem usunął krzesło z drogi, odwrócił się i wybiegł z sali.

Hoffmann był ledwie świadomy zdumionych okrzyków, które rozległy się za nim; nie słyszał też, że Quarry go woła. Przebiegł lustrzanym korytarzem i szerokimi schodami, chwytając się na zakrętach barierki. Wreszcie przeskoczył kilka ostatnich stopni, ominął swojego ochroniarza – który rozmawiał z konsjerżem – i wypadł na promenadę.

11

...najbardziej zacięta walka [o przetrwanie] niemal zawsze toczy się między przedstawicielami tego samego gatunku, gdyż występują oni w tych samych środowiskach, tym samym się żywią i są narażeni na te same niebezpieczeństwa.

Karol Darwin, *O pochodzeniu gatunków* (1859)

Na chodniku po drugiej stronie alei nie było nikogo. Hoffmann zatrzymał się między rzędami bagaży należących do gości hotelowych, spojrzął w prawo, w lewo i przeklął. Odźwierny zapytał go, czy życzy sobie taksówkę. Hoffmann zignorował go, przeszedł przed frontem hotelu i stanął na rogu ulicy. Przed sobą zobaczył szyld z napisem HSBC Private Bank, po lewej stronie – biegnącą równoległe do ściany Beau-Rivage, jednokierunkową uliczkę, Rue Docteur-Alfred-Vincent. Z braku innego pomysłu ruszył nią i przebiegł z pięćdziesiąt metrów, mijając rusztowanie, szereg zaparkowanych motocykli i mały kościół. Na końcu znajdowało się skrzyżowanie. Hoffmann przystanął znowu.

Przecnicę dalej przez ulicę przechodziła postać w brązowym płaszczu. Znalazszy się po drugiej stronie, mężczyzna przystanął i spojrzął przez ramię na Hoffmanna. To był on, bez wątplenia. W tej chwili między nimi przejechał biały van i facet, utykając, zniknął w bocznej uliczce.

Hoffmann puścił się za nim biegiem. Święte oburzenie dodało mu energii, więc sadził długimi krokami. Dotarł do miejsca, gdzie ostatni raz widział mężczyznę. Była to kolejna jednokierunkowa uliczka; nieznajomy znowu zniknął. Hoffmann pobiegł dalej do następnego skrzyżowania. Ulice były tu wąskie, ciche, z niewielkim ruchem, przy krawężnikach stały zaparkowane samochody. Gdzie tylko spojrzął, widział małe prywatne zakłady usługowe i sklepy – fryzjera, aptekę, bar – i ludzi załatwiających sprawunki w przerwie na lunch. Sfrustrowany, odwrócił się na pięcie, skręcił w prawo i pobiegł dalej, potem znowu skręcił w prawo, przemierzając labirynt wąskich, jednokierunkowych ulic; nie chciał się poddać, ale ogarniała go coraz większa pewność, że zgubił faceta. Okolica się zmieniła. Początkowo prawie tego nie zauważył. Budynki były nędzniejsze, czasami opuszczone, pokryte graffiti; a potem znalazł się jakby w innym mieście. Czarnoskóra nastolatka w obcisłym swetrze i białej lateksowej minispódnicy zawołała do niego z przeciwnej strony ulicy.

Stała przed sklepem z czerwonym neonem, głoszącym VIDEO CLUB XXX. Dalej po chodniku krążyły trzy kolejne prostytutki, co do tego nie miał już wątpliwości, wszystkie czarnoskóre; ich alfonsi palili papierosy w drzwiach albo obserwowali kobiety stojące na rogu: młodzi, niscy, szczupli mężczyźni o oliwkowej skórze i krótko ostrzyżonych czarnych włosach – pochodzili z północnej Afryki lub może z Albanii.

Hoffmann zwolnił kroku i próbował się zorientować, gdzie jest. Uświadomił sobie, że musiał dotrzeć prawie do dworca kolejowego Cornavin i dzielnicy czerwonych latarni. W końcu zatrzymał się przed zabitym deskami nocnym klubem, oklejonym obłążącymi afiszami: Le Black Kat (XXX, FILMY, DZIEWCZYNY, SEKS). Skrzywiony, czując ostry ból w boku, pochylił się nad rynsztokiem i próbował odzyskać oddech. Z witryny niespełna trzy metry dalej przyglądała mu się skośnooka prostytutka. Miała na sobie czarny gorset i pończochy, siedziała po turecku na czerwonym fotelu obitym adamaszkiem. Rozłożyła nogi, uśmiechnęła się i skinęła na niego, ale nagle jakiś niewidzialny mechanizm sprawił, że scenę tę zasłoniła kurtyna.

Hoffmann się wyprostował, świadom, że jest obserwowany przez dziewczyny i ich sutenerów. Jakiś mężczyzna o szczurzej twarzy, trochę starszy od pozostałych, z dziobami po ospie, patrzył na niego i mówił coś do telefonu komórkowego. Hoffmann zawrócił i ruszył tą samą drogą, którą przyszedł; jednocześnie lustrował wzrokiem uliczki i podwórza po obu stronach, na wypadek gdyby mężczyzna próbował się gdzieś skryć. Minął sex-shop, Je Vous Aime, obok którego przechodził wcześniej. Na wystawie znajdował się, wyłożony jakby bez przekonania, towar, który oferowano w środku: wibratory, peruki, erotyczna bielizna. Do tablicy przypięto czarne majtki bez kroku; wyglądały jak zdechły nietoperz. Drzwi do sklepu były otwarte, ale wisiała w nich zasłona z różnokolorowych plastikowych pasków, która nie pozwalała zajrzeć do środka. Przypomniały mu się kajdanki i knebel, które włamywacz porzucił w domu. Leclerc mówił, że mogą pochodzić właśnie z takiego sklepu.

Nagle komórka zasygnalizowała nadejście esemesa: „Rue de Berne 91 pokój 68”.

Patrzył przez kilka sekund na wiadomość. Właśnie minął Rue de Berne, czyż nie? Odwrócił się i rzeczywiście zobaczył za sobą tę ulicę, na tyle blisko, że mógł przeczytać jej nazwę na niebieskiej tabliczce. Jeszcze raz spojrzął na esemes. Nadawca nieznany; numer, z którego wysłano

wiadomość, był niedostępny. Obejrzał się, aby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. Plastikowe paski poruszyły się i rozdzieliły. Wyszedł z za nich otyły, łysy mężczyzna w szelkach na brudnym podkoszulku.

– *Que voulez-vous, monsieur?*

– *Rien.*

Hoffmann wrócił na Rue de Berne. Była długa i nędzna, ale przynajmniej panował na niej większy ruch – miała dwa pasy jezdni i trakcję tramwajową – dzięki czemu poczuł się bezpieczniej. Przy skrzyżowaniu znajdował się sklep owocowo-warzywny ze straganem na zewnątrz, a obok mieściły się smętna kafejka z kilkoma pustymi aluminiowymi krzesłami i stolikami wystawionymi na chodnik i kiosk, reklamujący się: „Karty telefoniczne, kasety wideo X, DVD, rewie X USA”. Sprawdził numery domów przy ulicy. Rosły w lewo od niego. Ruszył w tamtą stronę, odliczając domy, i w ciągu trzydziestu sekund przeniósł się z Europy, z kręgu cywilizacji północnej, na południe, w region śródziemnomorski: restauracje libańskie i marokańskie, zawijasy alfabetu arabskiego na frontach sklepów, arabska muzyka grzmiąca z małych głośników, zapach tłustych gorących kebabów, od którego zbierało mu się na mdłości; tylko niemal maniacki brak śmieci świadczył, że to wciąż Szwajcaria.

Odnalazł numer 91 po północnej stronie Rue de Berne, naprzeciwko sklepu ze strojami afrykańskimi – był to zrujnowany siedmiopiętrowy budynek, może nawet stuletni, z łuszczącymi się żółtymi sztukateriami i oknami o metalowych zielonych roletach. Miał szerokość czterech okien, a na bocznej ścianie, pionowo, niemal na całej wysokości, biegł neonowy szyld: HOTEL DIODATI. Rolety były przeważnie opuszczone, kilka jednak do połowy uniesiono i przypominały opadające powieki, a wewnątrz kryły się za szarawobiałą kataraktą grubych firanek w kwiatowy wzór. Na poziomie ulicy znajdowały się wiekowe, ciężkie drewniane drzwi, które absurdalnie przywiodły Hoffmannowi na myśl Wenecję; z pewnością były starsze niż cały budynek i ozdobiono je pracowicie wyciętymi znakami, przypominającymi symbole masonskie. Gdy tak na nie patrzył, w pewnej chwili otworzyły się do środka i z ciemnego wnętrza wyłonił się mężczyzna w dżinsach i adidasach, z kapturem na głowie. Nie można było dojrzeć jego twarzy. Wsadził ręce do kieszeni, zgarbił się i odszedł ulicą. Minutę albo nieco później drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem stanęła w nich kobieta, młoda i szczupła, z puszystymi włosami ufarbowanymi na

pomarańczowo, w czarno-białej kraciatej spódnicy. Na ramieniu miała torebkę. Przystanąła na progu, zajrzała do torebki, wyjęła z niej okulary przeciwsłoneczne, założyła je, a potem ruszyła w przeciwną stronę niż tamten mężczyzna.

Nie było konkretnego momentu, w którym Hoffmann podjąłby stanowczą decyzję, żeby wejść do środka. Patrzył przez chwilę na drzwi, a potem przeszedł przez ulicę i stanął przed nimi. W końcu je popchnął. W środku zalaływało stęchlizną i woń tę podkreślało, zamiast maskować, zapalone gdzieś kadzidełko. Za drzwiami znajdowała się mała recepcja z kontuarem, opuszczonym teraz, i salonik z czarno-czerwoną kanapą na drewnianych nogach i pasującymi do niej fotelami. W mroku widać było podświetlone małe akwarium, jednak bez rybek.

Hoffmann wszedł za próg. Pomyślał, że jeśli ktoś go zatrzyma, powie, że szuka pokoju; miał w kieszeni pieniądze, w razie czego mógł za niego zapłacić. Pewnie wynajmowali pokoje na godziny. Ciężkie drzwi zamknęły się za nim, tłumiąc wszelkie dźwięki z ulicy. Ktoś kręcił się na górze, słysząc było muzykę; basy wprawiały w drżenie cienkie przepierzenia. Przeszedł przez pustą recepcję, po podłodze wyłożonej zwijającym się linoleum, i ruszył wąskim korytarzykiem do małej windy. Wcisnął guzik, aby ją ściągnąć, i drzwi rozsunęły się błyskawicznie, jakby już na niego czekała.

Winda była naprawdę mała, tylko na dwie osoby, wyłożona porysowanym szarym metalem jak szafa na akta, i kiedy drzwi się zamknęły, Hoffmann niemal doznał ataku klaustrofobii. Przyciski wskazywały, że ma do wyboru siedem pięter. Wcisnął szóste. Niewidoczny silnik jęknął, winda zadrżała i bardzo powoli zaczęła się wznosić. Hoffmann nie tyle się bał, ile miał poczucie nierzeczywistości, jakby powrócił do niego sen z dzieciństwa, którego dobrze nie pamiętał i z którego mógł się obudzić tylko w jeden sposób: znajdując wyjście.

Miał wrażenie, że winda jedzie bardzo długo. Ciekaw był, co go może czekać na górze. Kiedy wreszcie się zatrzymała, podniósł ręce w obronnym geście. Drzwi otworzyły się z klekotem na szóstym piętrze.

Na korytarzu nie było nikogo. Początkowo nie był pewien, czy ma wysiąść, ale gdy drzwi zaczęły się zamykać, wysunął nogę, aby nie zostać uwięzionym w niej ponownie. Drzwi się rozsunęły i wyszedł ostrożnie na korytarz. Było tam ciemniej niż na dole, w recepcji. Jego wzrok musiał się do tego przyzwyczaić. Ściany były gołe. Unosił się tu taki sam stęchły,

wręcz ohydny zapach, jakby oddychano tym powietrzem tysiące razy i go nie wypuszczano, nigdy nie otwierano okien ani drzwi. Było gorąco. Naprzeciwko zobaczył dwoje drzwi; w korytarzu, który rozchodził się w obie strony, znajdowały się następne. Numer 68, złożony po amatorsku z pojedynczych kolorowych plastikowych cyfr, z rodzaju tych, które sprzedaje się w sklepach z zabawkami, musiał znajdować się po prawej. Rozległ się szczeł windy, która ruszyła w dół za jego plecami, i Hoffmann aż podskoczył. Słuchał, jak winda zjeżdża na parter. Kiedy się wreszcie zatrzymała, zapanowała cisza.

Zrobił kilka kroków na prawo i powoli wyjrzał za róg korytarza. Pokój 68 znajdował się na samym końcu, drzwi do niego były zamknięte. Skądś niedaleko dobiegał rytmiczny szczeł; Hoffmann początkowo myślał, że to odgłos piłowania, ale prawie natychmiast zdał sobie sprawę, że to skrzypienie sprężyn w łóżku. Rozległo się głucho uderzenie. Mężczyzna stęknął, jakby z bólu.

Wyjął telefon komórkowy; zamierzał zadzwonić na policję. Ale, o dziwo, jak na centrum Genewy, nie było zasięgu. Schował więc komórkę z powrotem do kieszeni i nieufnie podszedł na koniec korytarza. Jego wzrok znajdował się na tym samym poziomie co wypukły mętny wizjer w drzwiach. Zaczął nasłuchiwać. Nic jednak nie usłyszał. Zastukał do drzwi, a potem przyłożył ucho do drewna i znowu przez chwilę nasłuchiwał. Nic: nawet sprężyny w łóżku u sąsiada przestały skrzypieć.

Ostrożnie przekręcił czarną plastikową gałkę. Drzwi nie ustąpiły. Ale tkwił w nich tylko pojedynczy zamek yale i widać było, że węgar jest zbutwiały; Hoffmann wbił więc paznokiec w gąbczaste drewno i wyrwał klin złożony z pomarańczowych drzazg wielkości zapalek. Cofnął się o krok, obejrzał przez ramię, a potem naparł na drzwi ramieniem. Lekko się poddały. Znowu więc zrobił kilka kroków w tył i natarł na nie drugi raz. Tym razem rozległ się trzask i drzwi odchyliły się na parę centymetrów. Wsadził w szparę palce obu dłoni i pchnął. Drewno pękło i drzwi się otworzyły.

W środku panował mrok, tylko spod rolety, której nie opuszczono do końca, wpadało szare światło dzienne w postaci cienkiego pasma. Przeszedł skrajem dywanu, obmacał ścianę przez firankę, znalazł przycisk unoszący roletę, wcisnął go i roleta z hałasem ruszyła w górę. Okno wychodziło na schody ewakuacyjne i tył szeregu budynków stojących w odległości pięćdziesięciu metrów, które były oddzielone od hotelu ceglanym murem

i podwórkiem z kubłami na śmieci, zagraconym i porośniętym chwastami. W słabym świetle Hoffmann rozejrzał się po pokoju; stało tam niepościelone łóżko na kółkach, z szarą narzutą, opadającą na czerwono-czarny dywan, mała komoda, na której leżał plecak, drewniany fotel z porysowanym brązowym skórzanym siedziskiem. Kaloryfer pod oknem był tak gorący, że aż parzył. W powietrzu unosiła się zastarzała woń dymu papierosowego, męskiego potu i taniego mydła. Tapeta wokół kinkietów na ścianach zbrązowiała od ciepła wydzielanego przez gołe żarówki. W ciasnej łazience znajdowała się mała wanna z jasną plastikową zasłoną, umywalka z zielonkawoczarnymi zaciekami w miejscach, gdzie z kranu kapała woda, i sedes z podobnymi śladami; na drewnianej półce stała szklanka ze szczoteczką do zębów i niebieską plastikową maszynką do golenia jednorazowego użytku.

Hoffmann wrócił do pokoju. Zaniósł plecak na łóżko, otworzył i wysypał jego zawartość. Były w nim głównie brudne ubrania – koszula w kratę, T-shirty, bielizna, skarpety – ale wśród nich znajdował się stary aparat fotograficzny Zeiss z potężnym obiektywem oraz laptop, jeszcze ciepły w dotyku, w trybie hibernacji.

Położył laptopa na łóżku i podszedł do drzwi. Framuga rozszczepiła się wokół zamka, ale nie została wyrwana, więc udało mu się włożyć wyłamany zamek na miejsce i zamknąć drzwi. Otworzyłyby się znowu, gdyby ktoś pchnął je z drugiej strony, ale z daleka wyglądały na nienaruszone. Za nimi zauważył parę wysokich butów. Ujął je w dwa palce i przyjrzał się im. Identyczne widział przed swoim domem w noc włamania. Odstawił je na poprzednie miejsce, podszedł do łóżka, usiadł na jego brzegu i otworzył laptopa. Wtedy z wnętrza budynku dobiegł szczęk. Winda znowu ruszyła.

Hoffmann odstawił komputer i słuchał jej łomotu podczas długiej jazdy w górę. W końcu stanęła i rozległ się klekot otwieranych niedaleko drzwi. Hoffmann przeszedł szybko przez pokój i przytknął oko do wizjera w chwili, gdy mężczyzna wyszedł z za rogu. W jednej ręce niósł białą plastikową siatkę, a drugą szukał czegoś w kieszeni. Doszedł do drzwi i wyjął klucz. Soczewka wizjera tak zniekształcała obraz, że jego pociągła twarz wydawała się jeszcze bardziej trupia, i Hoffmannowi włosy zjeżyły się na głowie.

Cofnął się, obrzucił szybkim spojrzeniem pokój i umknął do łazienki. Chwilę później usłyszał, że mężczyzna wsunął klucz do zamka, a następnie

mruknął ze zdziwieniem, gdy drzwi od razu się otworzyły. W półmroku, przez szparę między drzwiami a futryną, Hoffmann widział wyraźnie środek pokoju. Wstrzymał oddech. Przez chwilę nic się nie działo. Zaczął się modlić, żeby mężczyzna się odwrócił i zjechał do recepcji, żeby zgłosić włamanie. Ale zaraz potem w polu widzenia zobaczył cień, który przesunął się w kierunku okna. Hoffmann już miał rzucić się w jego stronę, gdy mężczyzna nagle z zaskakującą szybkością wykonał obrót i kopnął w drzwi łazienki.

W tym, jak przykucnął, na rozstawionych nogach, z długim ostrzem na wysokości twarzy, było coś ze skorpiona. Był wyższy, niż Hoffmann zapamiętał, i w skórzanym płaszczu wydawał się barczysty. Nie dałoby się go wyminąć. Przez kilka długich sekund patrzyli na siebie wzajemnie, a potem mężczyzna odezwał się zaskakująco spokojnym i kulturalnym głosem:

– *Zurück. In die Badewanne.*

Wskazał nożem wannę i Hoffmann pokręcił głową, bo nie zrozumiał.

– *In die Badewanne* – powtórzył mężczyzna zachęcająco; najpierw wskazał nożem na Hoffmanna, a potem na wannę. Po kolejnej ciągnącej się w nieskończoność pauzie Hoffmann wbrew woli zrobił, co mu kazano. Odsunął zasłonę i wszedł chwiejnie do wanny, a jego mokasyne upadły ciężko na tandetny plastik. Mężczyzna wkroczył do małego pomieszczenia. Było tak ciasne, że zajął niemal je całe. Włączył światło. Nad umywalką zapaliła się świetlówka. Zamknął drzwi i polecił: – *Ausziehen* – i tym razem dodał na wszelki wypadek: – Rozbieraj się.

W swoim długim skórzanym płaszczu wyglądał jak rzeźnik.

– *Nein* – sprzeciwił się Hoffmann. Pokręcił głową i uniósł ręce wierzchem do góry jakby w apelu o rozsądek. – Nie. Nie ma mowy.

Mężczyzna rzucił jakieś niezrozumiałe przekleństwo i machnął nożem, którego ostrze przecięło powietrze tak blisko Hoffmanna, że ten wcisnął się w kąt pod prysznicem. Przód jego płaszcza przeciwdeszczowego został rozcięty i dolna część opadła mu do kolan. Przez moment Hoffmann pomyślał, że to jego ciało, i rzucił szybko:

– *Ja, ja, już dobrze. Zrobię to.*

Cała ta scena była tak dziwaczna, jakby rozgrywała się w świecie nierzeczywistym i nie miała z nim nic wspólnego. Pospiesznie ściągnął płaszcz najpierw z lewego, potem z prawego ramienia. Miał za mało

miejsca, żeby wydobyć ręce z rękawów, i przez chwilę szarpał się z nimi tak, jakby próbował zdjąć kaftan bezpieczeństwa.

Jednocześnie zastanawiał się gorączkowo, co powiedzieć, żeby nawiązać kontakt z napastnikiem, przenieść konflikt na inny, bezpieczniejszy grunt. Zapytał: – Jesteś Niemcem? – a kiedy mężczyzna nie odpowiedział, spróbował przypomnieć sobie tych kilka zwrotów po niemiecku, których nauczył się w CERN-ie:

– *Sie sind Deutscher?*

Nie uzyskał jednak odpowiedzi.

W końcu zdjął przecięty płaszcz. Upuścił go do stóp. Zdjął marynarkę i wyciągnął ją w stronę agresora, który gestem dał mu znak, żeby rzucił na podłogę. Zaczął rozpinać koszulę. Pomyślał, że rozbierze się do naga, jeśli będzie to konieczne, ale jeżeli mężczyzna będzie próbował go związać, podejmie walkę – tak, będzie się bronił. Raczej umrze, niż podda się bez walki.

– Po co to robisz? – zapytał.

Mężczyzna zmarszczył czoło, jak zdziwione dziecko, i odparł po angielsku:

– Bo mi pozwoliłeś.

Hoffmann popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Wcale ci nie pozwoliłem.

Znowu nastąpiło machnięcie nożem.

– No dalej.

– Posłuchaj, to nie ma sensu...

Hoffmann rozpiął już koszulę i opuścił ją, tak że opadła na marynarkę. Myślał intensywnie, kalkulując ryzyko i szanse. Ujął T-shirt u dołu i zdjął go przez głowę, a kiedy zza niego wyjrzał i zobaczył głodny wzrok napastnika, poczuł ciarki na całym ciele. Dostrzegł jednak słabość, a słabość stwarzała szansę. Zmusił się, żeby zwinąć koszulkę i podać ją tamtemu.

– Masz – powiedział, a kiedy mężczyzna sięgnął po nią, rozstawił stopy na dnie wanny i zebrał siły. Pochylił się do przodu zachęcająco: – Masz, proszę – a potem zaatakował.

Spadł na napastnika z takim impetem, że go przewrócił, wytrącając mu nóż z ręki, i obaj upadli na podłogę tak spleceni z sobą, że jeden nie mógł zadać drugiemu ciosu. Hoffmann pragnął jedynie uciec z tego ciasnego pomieszczenia, które wywoływało w nim klaustrofobię. Usiłował wstać,

jedną ręką chwycił się więc umywalki, a drugą złapał kabel z włącznikiem światła, ale stracił równowagę i puścił jedno i drugie. W pomieszczeniu zapanowały ciemności i Hoffmann poczuł, że coś ciągnie go w dół za kostkę. Kopnął w to obcasem buta drugiej nogi, a następnie przydepnął i mężczyzna zawył z bólu. Macając ręką w poszukiwaniu gałki u drzwi, wciąż deptał nogą po podłodze. Nastąpił na kość – miał nadzieję, że na czaszkę z kucykiem. Kopać leżącego – pomyślał z wściekłością – kopać, kopać, kopać. Jego ofiara jęczała i kulila się na podłodze. Kiedy napastnik przestał stanowić zagrożenie, Hoffmann otworzył drzwi łazienki i powłókł się do pokoju.

Usiadł ciężko na drewnianym fotelu. Opuścił głowę między kolana i natychmiast zwymiotował. Mimo panującego w pokoju ciepła drżał z zimna. Musiał odzyskać ubranie. Wrócił ostrożnie pod łazienkę i pchnął drzwi. Ze środka dobiegło szuranie. Mężczyzna czołgał się w stronę muszli klozetowej. Blokował drzwi. Hoffmann pchnął je gwałtownie, a wtedy tamten jęknął i usunął się na bok. Hoffmann przeszedł nad nim, wziął swoje rzeczy i zabrał nóż. Wrócił do pokoju i ubrał się szybko. Pozwoliłeś mi – pomyślał z furją – co to miało znaczyć, jak to „pозwoliłeś”? Sprawdzał, czy telefon komórkowy działa, ale wciąż nie było zasięgu.

Mężczyzna w łazience przechylił głowę nad sedesem. Uniósł ją, gdy Hoffmann wrócił i, wskazując nóż, spojrzał na niego bez litości.

– Jak się nazywasz?

Mężczyzna odwrócił twarz i splunął krwią. Hoffmann ze znużeniem podszedł bliżej, przysiadł na piętach i przyjrzał mu się z odległości pół metra. Facet miał około sześćdziesiątki, chociaż z powodu krwi trudno było stwierdzić to na pewno; nad jego okiem widniało rozcięcie. Przewyciężając odrazę, Hoffmann przełożył nóż do lewej ręki, pochylił się do przodu i rozchylił skórzany płaszcz tamtego. Mężczyzna uniósł ręce i pozwolił mu się obszukać. Hoffmann znalazł wewnętrzną kieszeń, a w niej portfel, z którego wyjął ciemnoczerwony paszport Unii Europejskiej. Otworzył go. Fotografia nie nosiła śladów podobieństwa. Dokument należał do Johannesesa Karpa, urodzonego 14 kwietnia 1952 roku w Offenbach nad Menem.

– Poważnie? Mówisz, że przyjechałeś z Niemiec, bo cię tu zaprosiłem?
– zapytał Hoffmann.

– *Ja.*

Hoffmann się odsunął.

– Jesteś świrem.

– Nie, popaprańcu, to ty jesteś świrem – odparł Niemiec, odzyskując na chwilę dawnego ducha. – Dałeś mi kody dostępu. – Z kącika jego ust wydobyła się krwawa piana. Wypluł ząb na rękę i przyjrzał mu się.

– *Ein verrückter Mann!*

Słabo wskazał głową w stronę pokoju.

– Komputer.

Hoffmann wstał. Wskazał na Karpa nożem.

– Nie ruszaj się, dobra?

Wrócił do pokoju, usiadł w fotelu i otworzył laptopa. Ekran natychmiast się rozświecił i pojawiła się na nim twarz Hoffmanna. Zdjęcie było kiepskiej jakości – sądząc z ujęcia, zrobiono je z ukrycia i powiększono. Hoffmann patrzył w stronę aparatu z obojętną miną, niczego nieświadomy. Tak je wykadrowano, że nie wiadomo było, gdzie zostało wykonane.

Po kilku uderzeniach w klawisze wszedł do zawartości twardego dysku. Nazwy wszystkich programów były po niemiecku. Kliknął w listę ostatnio przeglądanych dokumentów. Jako ostatni otwierano, tuż po szóstej poprzedniego wieczoru, folder pod nazwą *Der Rotenburg Cannibal*. Zawierał szereg dokumentów w Adobe, z wycinkami prasowymi o jakimś Arminie Meiwesie, techniku komputerowym, „kanibalu internetowym”, który poznał w sieci swoją niczego nieświadomą ofiarę, odurzył ją i zjadł, a obecnie odsiadywał w Niemczech dożywocie za zabójstwo. W kolejnym folderze znajdowały się rozdziały książki pod tytułem *Der Metzgermeister* – *Mistrz masarski*, czy tak? – była to najwyraźniej powieść fantasy stanowiąca niepodzielony na akapity strumień świadomości, z którego Hoffmann niewiele rozumiał. Potem był folder zatytułowany *Das Opfer*, czyli *Ofiara*, jak wiedział. Ten przynajmniej zawierał teksty po angielsku, które wyglądały jak wydruk internetowego czatu – był to dialog, jak zorientował się po chwili, między jednym uczestnikiem, który fantazjował o popełnieniu morderstwa, a drugim, który snuł wizje śmierci. W postach tego ostatniego było coś znajomego, Hoffmann miał wrażenie, że rozpoznaje poszczególne wyrażenia, sekwencje snów, które kiedyś spowijały jego umysł jak zakurzone pajęczyny, dopóki się z nich nie wyzwolił albo sądził, że mu się to udało.

Teraz zlewały się przed nim w mroczne odbicie i był tak zaabsorbowany tym, co widział na ekranie komputera, że niemal cudem, za sprawą jakiejś nieznaczącej zmiany światła czy ruchu powietrza, uniósł

głowę, gdy zobaczył przed sobą błysk stali. Odsunął szybko głowę i ostrze ledwo minęło jego oko – sześciocalowe ostrze noża sprężynowego; mężczyzna musiał go ukryć w kieszeni płaszcza. Niemiec próbował go kopnąć i trafił w dolną część klatki piersiowej, a potem znowu rzucił się na niego z nożem i go dosięgnął. Hoffmann krzyknął z bólu i zaskoczenia, padając w tył na fotel, i nagle Karp usiadł mu okrakiem na piersi. W słabym świetle znowu błysnął nóż. Jakimś cudem, raczej pod wpływem odruchu niż świadomego działania, lewą, słabszą ręką chwycił mężczyznę za nadgarstek. Nóż przez moment drżał tuż przed jego twarzą.

– *Es ist, was Sie sich wünschen* – szepnął Karp uspokajająco. „Tego właśnie chciałeś”. Ostrze drasnęło Hoffmanna. Skrzywił się z wysiłku, odsuwając od siebie nóż, zyskując milimetry, aż w końcu ramię napastnika odchyliło się do tyłu i upojony własną siłą, Hoffmann rzucił go na metalową ramę łóżka. Przesunęło się ono na kółkach, uderzyło o ścianę i zatrzymało się pod nią. Hoffmann lewą ręką wciąż ścisnął nadgarstek przeciwnika, a prawą trzymał go za twarz, wbijając mu nasadę dłoni w gardło, a palce w oczodoły. Karp zawył z bólu i wolną ręką oderwał palce Hoffmanna. Ten w odpowiedzi zacisnął dłoń na jego tchawicy, tłumiąc wszystkie dobywające się z gardła dźwięki. Leżał teraz na Niemcu i mógł włożyć w ten uścisk całą swoją siłę, cały strach i wściekłość, przyciskając przeciwnika do łóżka. Czuł zwierzęcy zapach skórzanego płaszcza i mdlący odór potu mężczyzny, a także drapanie jego świeżego zarostu na szyi. Pod wpływem adrenaliny zupełnie stracił poczucie czasu, ale miał wrażenie, że dopiero po kilku sekundach palce mężczyzny powoli się rozwarły i nóż upadł na dywan. Ciało pod nim zwiotczało i kiedy zwolnił uścisk, przetoczyło się na bok.

Uświadomił sobie, że ktoś wali w ścianę; męski głos z wyraźnym francuskim akcentem głośno pytał, co się tam, do diabła, dzieje. Hoffmann wstał, zamknął drzwi do pokoju i na wszelki wypadek zaciągnął pod niego fotel, którego oparcie wetknął pod gałkę. Ten ruch natychmiast wywołał dotkliwy ból w różnych częściach jego nadwerężonego ciała – głowie, knykciach, palcach, a zwłaszcza dolnej części klatki piersiowej, czy nawet palców stóp, którymi kopał głowę mężczyzny. Obmacał czaszkę i poczuł, że włosy ma zlepione krwią. Rana na głowie musiała otworzyć się podczas walki. Dłonie miał pokaleczone, jakby przedzierał się przez kolczaste zarośla. Polizał obtarte knykcie, rejestrując słonawy, metaliczny smak krwi. Walenie w ścianę ustało.

Cały drżał; znowu ogarnęły go mdłości. Poszedł do łazienki i zwymiotował do klozetu. Umywalka wisiała oderwana od ściany, ale kurki działały. Ochlapał twarz zimną wodą i wrócił do pokoju.

Niemiec leżał na podłodze. Nie ruszał się. Jego otwarte oczy spoglądały w dal nad ramieniem Hoffmanna z dziwnym, pełnym nadziei wyrazem, jakby szukały na przyjęciu gościa, który nigdy nie przyjdzie. Hoffmann przykląkł przy nim, ujął jego nadgarstek i sprawdził puls. Klepnął mężczyznę po twarzy. Potem nim potrząsnął, jakby mógł pobudzić go do życia.

– No już – szepnął. – Jeszcze tego mi potrzeba.

Jednakże głowa mężczyzny opadła jak ptasi łepiek na skrzyconej szyi.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Ktoś zawołał:

– *Ça va?! Qu'est-ce qui se passe?!* – Był to ten sam głos z francuskim akcentem, który interweniował poprzednio. Sąsiad kilka razy próbował przekręcić gałkę, a potem znowu zapukał. Wykrzyknął głośniejszym i bardziej natarczywie: – *Allez! Laissez-moi rentrer!*

Hoffmann wstał mimo bólu. Gałka poruszyła się znowu i ten, kto stał pod drzwiami, naparł na nie. Fotel przesunął się trochę, ale nie ustępował. Próby wyważenia drzwi ustały. Hoffmann czekał na dalszy ciąg, ale na tym się skończyło. Podeszedł cicho do wizjera i przytknął do niego oko. Korytarz był pusty.

I znowu obudził się w nim zwierzęcy strach, zimny i wyrachowany, który owładnął całym jego jestestwem, nakazując mu robić rzeczy, które godzinę później miał przypomnieć sobie z niedowierzaniem. Wziął buty nieżyjącego Niemca, szybko rozwiązał sznurowadła, wyciągnął je i powiązał, tworząc sznur długości metra. Chwycił jeden z kinkietów, ale był on zbyt słabo umocowany. Pręt z zasłoną od prysznicza przy podobnej próbie odpadł od ściany z kawałkiem różowego tynku. W końcu Hoffmann zdecydował się na gałkę u drzwi łazienki. Zaciągnął pod nią zwłoki Niemca i oparł o drzwi. Zawiązał pętlę na końcu sznurowadeł, założył ją Karpowi na szyję i zarzucił sznur na gałkę. Podciągnięcie sznura jedną ręką i uniesienie ciała za pachę drugą wymagało pewnego wysiłku, ale w końcu udało mu się zaaranżować wszystko tak, żeby scena wyglądała przynajmniej na pozór wiarygodnie. Potem owinął linę wokół gałki i zawiązał.

Gdy schował rzeczy Niemca z powrotem do plecaka i doprowadził łóżko do porządku, pokój, mimo tego, co w nim zaszło, wyglądał dziwnie

niewinnie. Wsadził telefon Karpa do kieszeni, zamknął laptopa i zaniósł go do okna. Rozchylił firanki. Okno otworzyło się bez trudu, najwyraźniej często go używano. Na schodach ewakuacyjnych, wśród koronki gołębich odchodów, leżało mnóstwo mokrych niedopałków papierosowych, a także sporo puszek po piwie. Hoffmann wyszedł przez okno na metalowy podest, sięgnął ręką za futrynę okienną i nacisnął znajdujący się tam guzik. Roleta się opuściła.

Miał do pokonania długą drogę, sześć pięter, i z każdym krokiem powodującym szczepek metalu Hoffmann był świadom, jak bardzo musi rzucać się w oczy – mógł go zobaczyć ktokolwiek z budynków naprzeciwko albo ktoś, kto akurat podszedł do okna w którymś pokoju hotelowym. Ale, ku jego uldze, większość okien, które mijał, była zasłonięta roletami, a w innych, za zwojami muślinu, nie pojawiały się żadne upiorne twarze. Po południu w hotelu Diodati panował spokój. Hoffmann schodził z hałasem, myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej oddalić się od porzuconych w pokoju zwłok.

Ze swojego punktu na górze widział, że schody ewakuacyjne prowadzą na małe betonowe patio. Podjęto pewne próby, żeby przekształcić je w coś w rodzaju ogródka. Stały tam drewniane meble ogrodowe i dwa wyblakłe zielone parasole z reklamą piwa. Uznał, że najlepiej będzie wydostać się na ulicę przez hotel, ale kiedy dotarł na parter i zobaczył przesuwane szklane drzwi prowadzące do recepcji, pod wpływem zwierzęcego strachu, który nadal nim kierował, zmienił zamiar: nie mógł ryzykować, że natknie się na mężczyznę z sąsiedniego pokoju. Przysunął jedno z ogrodowych krzeseł pod tylną ścianę i wszedł na nie.

Za murem zobaczył podwórko, które znajdowało się dwa metry niżej – gęstwinę wątych miejskich chwastów porastających zardzewiałe sprzęty używane w gastronomii i starą ramę od roweru; a także, po przeciwnej stronie, wielkie pojemniki na śmieci. Podwórko najwyraźniej należało do jakiejś restauracji. Hoffmann widział kucharzy w białych czapach, którzy kręcili się po kuchni, słyszał ich pokrzykiwania i brzęk garnków. Położył laptopa na szczycie muru, podciągnął się na rękach i usiadł na nim okrakiem. Wziął komputer, przerzucił nogi na drugą stronę i zeskoczył, lądując ciężko w kępie parzących pokrzyw. Przeklął pod nosem. Spomiędzy pojemników na śmieci wyszedł chłopak, żeby zobaczyć, co się dzieje. Niósł pusty kubek na odpadki i palił papierosa – wyglądał na Araba, był starannie

ogolony, mógł mieć pod dwudziestkę. Popatrzył na Hoffmanna ze zdziwieniem.

– *Où est la rue?* – zapytał nieśmiało Hoffmann.

Postukał znacząco w komputer, jakby to w jakiś sposób tłumaczyło jego obecność w tym miejscu.

Chłopak spojrział na niego i ściągnął brwi, a potem powoli wyjął z ust papierosa i wskazał przez ramię.

– *Merci.* – Hoffmann pospiesznie ruszył wąską alejką, przeszedł przez drewnianą bramę i znalazł się na ulicy.

* * *

Gabrielle Hoffmann przez ponad godzinę krążyła nerwowo po Parc des Bastions; odtwarzała w myślach rozmowę z Alexem na chodniku przed galerią i wymyślała cenniejsze odpowiedzi, aż wreszcie, podczas trzeciego czy czwartego okrążenia, uświadomiła sobie, że mamrocze do siebie jak stara wariatka i że przechodnie patrzą na nią ze zdziwieniem; wtedy przywołała taksówkę i pojechała do domu. Na podjeździe stał policyjny wóz patrolowy z dwoma żandarmami w środku. Za bramą, przed domem, okropny ochroniarz i kierowca, którego Alex kazał jej przysłać, właśnie rozmawiał przez telefon. Na jej widok rozłączył się i spojrział na nią z przyganą. Ze swoją krótko ostrzyżoną dużą głową i potężną kwadratową sylwetką wyglądał jak nieprzyjazny Budda.

Zapytała go:

– Wciąż masz do dyspozycji samochód, Camille?

– Tak, *madame.*

– I zawieziesz mnie, gdzie zechcę?

– Oczywiście.

– To sprowadź wóz, dobrze? Jedziemy na lotnisko.

Poszła do sypialni i zaczęła wrzucać ubrania do walizki, wciąż obsesyjnie analizując scenę swojego ponizenia w galerii. Jak mógł jej coś takiego zrobić? Nie wątpiła bowiem, że to Alex dokonał sabotażu jej wystawy, choć była skłonna przyznać, że nie wynikało to ze złych zamiarów. Nie, ale najbardziej wkurzające było właśnie to, że w jego wypaczonym, chorym rozumieniu miał to być romantyczny gest. Kiedyś, przed rokiem albo dwoma laty, gdy byli na urlopie w południowej Francji i siedzieli w jakiejś śmiesznie drogiej restauracji serwującej owoce morza

w Saint-Tropez, zauważyła niezobowiązująco, że to okrucieństwo trzymać homary w zbiorniku, żeby potem ugotować je żywcem; wtedy on, zanim się zorientowała, wykupił je wszystkie za podwójną cenę z karty i kazał wrzucić z powrotem do zatoki. Poruszenie, jakie nastąpiło, gdy wpadały do wody i rozpierzchały się w niej – to było nawet zabawne, choć, oczywiście, Alex zupełnie nie miał tej świadomości. Otworzyła następną walizkę i wrzuciła do niej parę butów. Ale tego ostatniego popisu nie mogła mu zapomnieć. Wiedziała, że będzie musiało upłynąć kilka dni, zanim ochłonie.

Poszła do łazienki i zatrzymała się w niej, patrząc z nagłą konsternacją na kosmetyki i perfumy, które stały na szklanych półkach. Uzmysłowała sobie, że nie ma pojęcia, ile ich zabrać, bo nie wiedziała, jak długo jej nie będzie ani dokąd się wybiera. Spojrzała na siebie w lustrze i na swój okropny strój, który wybierała przez wiele godzin, żeby upamiętnić początek swojej kariery artystycznej, i nagle się rozpłakała – nie tyle z żalu nad sobą, bo tego nie lubiła, ile ze strachu. Tylko niech nie będzie chory, pomyślała. Drogi Boże, nie odbieraj mi go w taki sposób. Jednocześnie cały czas nadal obojętnie przyglądała się swojej twarzy. To zdumiewające, jak płacz może szpeciść; to jak mazanie po portrecie. Po chwili włożyła rękę do kieszeni żakietu, żeby wyjąć chusteczkę, i poczuła ostre brzegi wizytówki.

Prof. Robert WALTON

Dyrektor Ośrodka Przetwarzania Danych

CERN – Europejski Ośrodek Badań Jądrowych

1211 Genewa 23, Szwajcaria

12

...odmiany to gatunki w procesie powstawania czy też, jak je nazywam, zaczątki gatunków.

Karol Darwin, *O pochodzeniu gatunków* (1859)

Było już dobrze po trzeciej, gdy Hugo Quarry wrócił do biura. Nagrał kilka wiadomości na pocztę głosową Hoffmanna, ale bez skutku, i czuł lekki niepokój. Nie wiedział, gdzie podział się jego wspólnik; tak zwany ochroniarz Hoffmanna gawędził sobie z dziewczyną z recepcji, zupełnie nieświadomy, że jego podopieczny opuścił hotel. Quarry od razu wywalił go z pracy.

Jednakże Anglik był w dobrym humorze. Liczył, że uda im się podwoić pierwotną kwotę planowanych inwestycji – dwa miliardy dolarów – co oznaczało dodatkowe czterdzieści milionów prowizji rocznie za zarządzanie kapitałem. Wypił kilka kieliszków naprawdę znakomitego wina. W drodze powrotnej z restauracji uczcił to, telefonując do firmy Benetti i zamawiając lądowisko dla helikopterów na tylnym pokładzie swojego nowego jachtu.

Tak się uśmiechał, że skaner twarzy nie znalazł odpowiednika jego rysów w swojej bazie danych; żeby więc pokonać bramkę, musiał spoważnieć. Przeszedł pod bezosobowymi, choć czujnymi oczami kamer w holu, wesoło zawołał do windy: – Piąteczka! – i nucił pod nosem podczas jazdy w górę szklanym cylindrem. Była to stara szkolna piosenka, a przynajmniej to, co z niej zapamiętał – *sonent voces omnium*, tum-ti, tum-ti, tum-ti-tum – a gdy drzwi windy się otworzyły, dotknął palcami wyimaginowanego kapelusza, pozdrawiając marszczących brwi współpasażerów, nudnych gości z DigiSyst, EcoTec czy jak, do cholery, nazywały się te firmy. Nie przestał się uśmiechać, nawet gdy szklane drzwi Hoffmann Investment Technologies się rozsunęły i ujrzał za nimi inspektora Jeana-Philippe’a Leclerca z wydziału policji genewskiej, który czekał na niego w recepcji. Zerknął na legitymację swojego gościa, a potem spojrzął na niechlujną postać przed sobą. Za dziesięć minut miało nastąpić otwarcie rynków amerykańskich. Tylko tego było mu jeszcze potrzeba.

– Czy moglibyśmy przełożyć to spotkanie na inny termin, panie inspektorze? Bo dziś naprawdę ledwie trzymam się na nogach.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, *monsieur*. Zamierzałem zamienić słówko z doktorem Hoffmannem, ale ponieważ go nie ma, chciałbym porozmawiać z panem o kilku sprawach. Obiecuję, że potrwa to nie dłużej niż dziesięć minut.

Facet stanął na rozstawionym stopach w taki sposób, że Quarry dłużej nie oponował.

– Oczywiście – odparł i przywołał na twarz swój firmowy uśmiech – nie musi się pan spieszyć. Zapraszam do mojego gabinetu.

Wyciągnął rękę i dał policjantowi znak, żeby szedł przodem.

– Cały czas w prawo, aż do końca. – Miał wrażenie, że uśmiecha się nieprzerwanie od piętnastu godzin. Aż bolała go z tego zadowolenia twarz. Gdy tylko Leclerc się odwrócił, pozwolił sobie na grymas.

Leclerc minął niespiesznie dział transakcji, przyglądając mu się z zaciekawieniem. Wielka otwarta sala z dużymi ekranami i zegarami wskazującymi strefy czasowe – tego się spodziewał w firmie prowadzącej działalność finansową; widział coś takiego w telewizji. Ale zdziwił się na widok pracowników – młodych, co do jednego, bez krawatów, nie mówiąc już o garniturach – a także panującą wśród nich ciszą; wszyscy siedzieli przy biurkach, a skupienie było wręcz namacalne. To miejsce przypominało mu salę egzaminacyjną w męskim college’u. A może raczej seminarium duchowne: tak, wyznawców mamony. Ta wizja go rozbawiła. Na kilku ekranach zauważył hasło, czerwone na białym polu, jak w dawnym Związku Radzieckim:

FIRMA PRZYSZŁOŚCI NIE BĘDZIE POTRZEBOWAŁA
PAPIERU.

FIRMA PRZYSZŁOŚCI NIE BĘDZIE POTRZEBOWAŁA
SPRZĘTU.

FIRMA PRZYSZŁOŚCI BĘDZIE WYŁĄCZNIE CYFROWA.

FIRMA PRZYSZŁOŚCI WŁAŚNIE NASTAŁA.

– Czym mogę pana poczęstować, inspektorze? – zapytał Quarry znowu z uśmiechem. – Herbatą, kawą, wodą?

– Może poproszę o herbatę, skoro rozmawiam z Anglikiem. Dziękuję.

– Poproszę dwie herbaty, Amber, kotku. I angielskie śniadanie.

– Było do ciebie bardzo dużo telefonów, Hugo – odparła asystentka.

– Tak, założę się, że tak. – Otworzył drzwi gabinetu i stanął z boku, żeby przepuścić Leclerca, a potem podszedł prosto do swojego biurka. – Proszę usiąść, inspektorze, dobrze? Przepraszam na chwilę. Zaraz wrócę. – Zerknął na ekran terminalu. Notowania na rynkach europejskich leciały w dół. DAX spadł o jeden procent, CAC – o dwa, FTSE – o półtora. Euro straciło centa w stosunku do dolara. Nie miał czasu sprawdzić wszystkich pozycji firmy, ale według licznika zysków/strat VIXAL 4 zarobił tego dnia już sześćdziesiąt osiem milionów dolarów. Jednakże było w tym wszystkim coś, co go niepokoiło – mimo że miał dobry nastrój. Czuł, że zbliża się burza.

– Super. Wspaniale. – Z pogodną miną usiadł za biurkiem. – To co? Złapaliście już tego maniaka?

– Jeszcze nie. Pracuje pan z doktorem Hoffmannem od ośmiu lat, jak rozumiem.

– Tak, zgadza się. Założyliśmy tę firmę w dwa tysiące drugim roku.

Leclerc wyjął notes i długopis. Podniósł jedno i drugie.

– Nie ma pan nic przeciwko, że będę...?

– Nie, choć Alex by miał.

– Słucham?

– Nie wolno tu używać opartych na węglu systemów utrwalania danych... czyli notesów ani gazet, mówiąc laickim językiem. Firma ma być całkowicie cyfrowa. Ale Alex nas nie widzi, więc proszę się nie martwić. Niech się pan nie krępuje.

– Brzmi to trochę ekscentrycznie – zauważył ostrożnie Leclerc.

– Łagodnie powiedziane. Ktoś inny nazwałby to cholerną szajbą. Ale cóż. Taki jest Alex. To geniusz, a oni patrzą na świat inaczej niż my. Przez znaczną część życia tłumaczę jego zachowanie zwykłym śmiertelnikom. Podążam przed nim, jak Jan Chrzciciel. Albo za nim.

Pomyślał o lunchu w Beau-Rivage, kiedy to dwukrotnie musiał usprawiedliwiać Hoffmanna przed innymi Ziemianami – pierwszy raz, gdy wspólnik spóźnił się przez pół godziny („Bardzo prosi o wybaczenie, pracuje nad bardzo skomplikowanym teorematem”), a drugi, gdy nagle odszedł od stołu w trakcie posiłku („Cóż, tak to jest z Alexem, proszę państwa... chyba doznał kolejnego olśnienia”). Ale zebrani, choć przewracali oczami i mruzcili z niezadowoleniem, skłonni byli mu wybaczyć. Pod koniec dnia Alex mógłby siedzieć nago na dachu, dyndając

nogami i grać przy tym na ukulele, jeśli tylko zagwarantuje im osiemdziesiąttrzyprocentowy zwrot kapitału.

– Może mi pan opowiedzieć, jak się poznaliście? – zapytał Leclerc.

– Poznaliśmy się, gdy zaczęliśmy z sobą pracować.

– A jak do tego doszło?

– Co, chce pan usłyszeć historię naszego romansu? – Quarry splótł ręce za głową i odchylił się na oparcie fotela, w swojej ulubionej pozycji, z nogami na biurku. Zawsze chętnie opowiadał tę historię, robił to już sto czy nawet tysiąc razy, ubarwiając ją tak, że stała się firmową legendą, w stylu: kiedy Sears poznał Roebucka, Rolls – Royce’a, a Quarry – Hoffmanna. – To było około Bożego Narodzenia w dwa tysiące pierwszym roku. Mieszkałem wtedy w Londynie i pracowałem dla dużego amerykańskiego banku. Czekałem na okazję, żeby założyć własny fundusz. Wiedziałem, że zdobędę pieniądze... miałem kontakty, to nie był problem... ale brakowało mi długoterminowego planu działania. W tym biznesie trzeba mieć strategię... wie pan, że przeciętnie fundusz hedgingowy funkcjonuje trzy lata?

– Nie, nie wiedziałem – odparł uprzejmie Leclerc.

– Taka jest prawda. Tyle wynosi długość życia chomika. W każdym razie facet w naszym genewskim biurze wspomniał o pewnym maniaku komputerowym z CERN-u, o którym słyszał, że podobno miał ciekawe idee algorytmiczne. Myśleliśmy o tym, żeby zatrudnić go jako kwanta, ale on nie był zainteresowany... nie chciał się z nami spotkać, nie chciał nic wiedzieć... najwyraźniej czubek, totalny odludek. Śmieliśmy się z tego... ci kwanci! No bo co mogliśmy zrobić? Ale coś mnie w tym człowieku zaintrygowało, sam nie wiem... po prostu miałem przecucie. A że akurat zamierzałem wybrać się w zimie na narty, pomyślałem, że się z nim spotkam...

* * *

Postanowił skontaktować się z nim w sylwestra; pomyślał, że nawet odludek może potrzebować towarzystwa w taki dzień. Zostawił więc Sally i dzieciaki w chacie w Chamonix – którą wynajęli razem z Bakerami, swoimi okropnymi sąsiadami z Wimbledonu – i nie zważając na ich wymówki, pojechał sam do Genewy, zadowolony, że ma pretekst, aby się wyrwać. Zaśnieżone góry lśniły błękitem w blasku księżyca, który zbliżał

się do pełni, drogi były puste. Samochód z wypożyczalni nie miał na wyposażeniu nawigacji satelitarnej, nie w tamtych czasach, i w pobliżu lotniska genewskiego Hugo musiał zjechać z drogi, żeby spojrzeć na mapę Hertza. Saint-Genis-Pouilly leżało przed nim, za CERN-em, na żyznej równinie, która była pokryta szronem – małe francuskie miasteczko, kafejka przy brukowanym rynku, szeregi schludnych domków o czerwonych dachach i wreszcie kilka zbudowanych w ostatnich latach nowoczesnych bloków mieszkalnych z betonu, w kolorze ochry, z balkonami, na których znajdowały się dzwonki wietrzne, składane metalowe krzesła i puste o tej porze roku skrzynki na kwiaty. Quarry długo naciskał dzwonek przy drzwiach należącego do Hoffmanna mieszkania, ale bez skutku, choć pod drzwiami widać było wąskie pasmo światła i czuł, że w środku ktoś jest. W końcu na korytarz wyszedł sąsiad i powiedział mu, że *tout le monde par le CERN* jest na przyjęciu w domu przy stadionie sportowym. Quarry po drodze zatrzymał się przy barze, kupił butelkę koniaku i objechał ciemne już uliczki, aż trafił pod wskazany adres.

Choć od tego czasu minęło już przeszło osiem lat, wciąż pamiętał swoje podniecenie, gdy samochód zamknął się z wesołym elektronicznym kliknięciem, a on sam ruszył chodnikiem w stronę kolorowych bożonarodzeniowych świateł i dudniącej muzyki. W to samo miejsce zmierzali także inni, pojedynczo albo w parach, i Quarry poczuł, że to będzie to: że w tym smętnym europejskim miasteczku, nad którym świecą wesoło gwiazdy, zdarzy się coś niezwykłego. W drzwiach domu stali gospodarze, którzy witali gości – byli to Bob i Maggie Waltonowie, para Anglików, starszych niż ci, których gościli, oboje dość sztywni i drętwi. Popatrzyli na niego ze zdziwieniem i zdziwili się jeszcze bardziej, kiedy im powiedział, że jest przyjacielem Alexa Hoffmanna; odniósł wrażenie, że widzieli kogoś takiego po raz pierwszy. Walton nie chciał przyjąć od niego koniaku, jakby to miała być łapówka: – Zabierze ją pan, gdy będzie wychodził. Nie było to zbyt eleganckie, ale prawdę mówiąc, psuł im przyjęcie; w swojej drogiej kurtce narciarskiej musiał wyglądać nie na miejscu pośród tych wszystkich naukowców z budżetówki.

Zapytał, gdzie może znaleźć Hoffmanna, na co Walton, patrząc na niego przenikliwie, odparł, że może się myli, ale Quarry powinien go rozpoznać, skoro jest jego przyjacielem.

– I co? Rozpoznał go pan? – zapytał Leclerc.

– O tak. Amerykanina zawsze da się rozpoznać, nie sądzi pan? Stał sam pośrodku pokoju, jakby nie uczestniczył w odbywającej się wokół niego zabawie... był przystojny, wyróżniał się z tłumu... ale zupełnie nie zwracał uwagi na innych ludzi. Miał nieobecny wyraz twarzy, jakby przebywał gdzie indziej. Nie nieprzyjemny, rozumie pan... tylko nieobecny. Zdążyłem się już do tego przyzwyczaić.

– I wtedy rozmawiał pan z nim po raz pierwszy?

– Tak.

– Co pan powiedział?

– Chyba: „Doktorze Hoffmann”.

Pokazał mu butelkę koniaku i zaproponował, że pójdzie po kieliszki, ale Hoffmann odrzekł, że nie pije, na co Quarry zauważył: – *To po co pan przyszedł na sylwestra? Wtedy tamten wyjaśnił, że kilku bardzo miłych, ale nadopiekuńczych kolegów uznało, iż nie powinien być sam tego szczególnego wieczoru. Ale byli w błędzie, stwierdził – bo lubił samotność. I mówiąc to, przeszedł do innego pokoju, więc Quarry po chwili wahania ruszył za nim. Miał przedsmak legendarnego uroku Hoffmanna. Poczł się wkurzony.*

– *Przebyłem sześćdziesiąt mil, żeby się z panem spotkać* – rzucił za nim.

– *Zostawiłem żonę i dzieci, które płakały za mną w górskiej chacie, jechałem przez lód i śnieg, aby się tu dostać. Może pan przynajmniej chwilę ze mną porozmawiać.*

– *Dlaczego tak się pan mną interesuje?*

– *Bo z tego co wiem, pracuje pan nad bardzo interesującym programem.*

Rozmawiał z panem mój kolega z AmCor.

– *Uhm i powiedziałem mu, że nie jestem zainteresowany pracą w banku.*

– *Tak jak ja.*

Wtedy po raz pierwszy Hoffmann spojrzł na niego z jakimkolwiek zainteresowaniem.

– *A czym chce się pan zajmować?*

– *Chcę założyć fundusz hedgingowy.*

– *Co to jest fundusz hedgingowy?*

Siedząc naprzeciwko Leclerca, Quarry odrzucił głowę w tył i parsknął śmiechem. Doszli do tego, że mieli w depozycie dziesięć miliardów dolarów – a wkrótce dwanaście miliardów, a jeszcze osiem lat wcześniej Hoffmann nie wiedział, co to jest fundusz hedgingowy! I chociaż gwarne, tłoczne przyjęcie sylwestrowe nie było najlepszym miejscem na tego

rodzaju wyjaśnienia, Quarry nie miał wyjścia. Wykrzyczał Hoffmannowi do ucha definicję.

– *To sposób maksymalizowania zysku z jednoczesnym minimalizowaniem ryzyka! Potrzeba do tego wyższej matematyki. Komputerów.*

Hoffmann pokiwał głową.

– *Rozumiem. Proszę mówić dalej.*

– *Dobrze.* – Quarry rozejrzał się wokół siebie w poszukiwaniu inspiracji. – *Dobrze, widzi pan tę dziewczynę, w tamtej grupie, z krótkimi ciemnymi włosami, która wciąż na pana zerka?* – Quarry wskazał butelką koniaku i uśmiechnął się pod nosem. – *Dobra, powiedzmy tak: sądzę, że ma ona na sobie czarne majtki... wygląda mi na taką, co nosi czarne majtki... i mam co do tego taką pewność, takie przekonanie, że gotów jestem postawić na to milion dolarów. Problem w tym, że jeśli się mylę, stracę wszystko. Stawiam więc także na to, że dziewczyna ma na sobie majtki, które nie są czarne... tylko jakiegoś innego koloru z całej palety barw. i powiedzmy, że stawiam na to dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów: to reszta rynku; na tym polega moje zabezpieczenie. To prosty przykład, wiem, pod każdym względem, ale proszę wysłuchać mnie do końca. I teraz, jeśli mam rację, zyskuję pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a jeśli się mylę, stracę tylko pięćdziesiąt tysięcy, bo jestem zabezpieczony. A ponieważ dziewięćdziesiąt procent mojego miliona dolarów nie znajduje się w obrocie... nie muszę go wykazywać, jedyne ryzyko wiąże się ze spreadem... mogę założyć się o to samo także z innymi ludźmi. Albo mogę postawić na coś zupełnie innego. I cała zabawa polega na tym, że nie muszę mieć racji za każdym razem... jeśli uda mi się odgadnąć kolor majtek w pięćdziesięciu pięciu przypadkach na sto, zostanę bardzo bogatym człowiekiem. Ona naprawdę wciąż na pana spogląda.*

Dziewczyna zawołała z drugiego końca pokoju:

– *Czy mówicie o mnie?!*

Nie czekając na odpowiedź, odłączyła się od swoich znajomych i podeszła do nich z uśmiechem.

– *Gabby* – przedstawiła się, podając Hoffmannowi rękę.

– *Alex.*

– *A ja jestem Hugo.*

– *Tak, wyglądasz jak Hugo.*

Jej obecność irytowała Quarry'ego, nie tylko dlatego że dziewczyna widziała wyłącznie Hoffmanna, a jego jakby w ogóle nie dostrzegała. Był dopiero w połowie swojego wywodu i dla niego Gabby miała być tylko ilustracją, a nie uczestniczką rozmowy.

– *Właśnie założyliśmy się o to* – wyjaśnił słodko – *jakiego koloru masz majtki.*

Quarry popełnił w życiu niejedno faux pas, ale to była jedna z jego największych gaf, przyznawał to sam.

– I od tej chwili mnie znienawidziła.

Leclerc się uśmiechnął i coś zanotował.

– Ale tamtej nocy nawiązał pan znajomość z doktorem Hoffmannem?

– O tak. Kiedy teraz na to patrzę, powiedziałbym, że on czekał na kogoś takiego jak ja, a ja czekałem na kogoś takiego jak on.

O północy goście wyszli do ogrodu, zapalili małe świece – wie pan, te małe, typu *tealight* – i umieścili je w papierowych balonach. Dziesiątki takich lampionów wzniosło się w powietrze i szybko uleciało w górę. Wyglądały jak żółte księżycy. Ktoś zawołał: – Pomyślcie życzenie! –

i Quarry, Hoffmann oraz Gabrielle stali razem w milczeniu, z twarzami zwróconymi w górę, wypuszczając z ust obłoczki pary, aż lampiony stały się małe jak gwiazdy na niebie i zniknęły. Później Quarry zaproponował, że odwiezie Hoffmanna do domu, a Gabrielle, ku jego zniecierpliwieniu, zabrała się z nimi i siedząc na tylnym siedzeniu, sama z siebie opowiedziała im historię swojego życia – że skończyła studia artystyczne z językiem francuskim na jakiejś północnej uczelni, o której Quarry nigdy nie słyszał, uzyskała magisterium w Royal College of Art, ukończyła kurs dla sekretarek, pracowała tymczasowo w różnych miejscach, była zatrudniona w ONZ. Ale nawet ona zamilkła, gdy weszli do mieszkania Hoffmanna.

Początkowo nie chciał zaprosić ich do siebie, ale Quarry udał, że musi skorzystać z toalety – naprawdę, to było jak próba pozbycia się dziewczyny pod koniec nieudanego wieczoru – więc Hoffmann w końcu zaprowadził ich pod drzwi, za którymi ukazało się istne wiwarium; panował tam hałas i tropikalny upał: wszędzie stały pracujące płyty główne, ich czerwone i zielone oczy mrugały spod kanapy, zza stołu, z regału, pęki czarnych kabli pięły się po ścianach jak dzikie wino. Quarry'emu przypomniawszy się historia, którą czytał tuż przed Bożym Narodzeniem: o facecie z Maidenhead trzymającym krokodyla w garażu. W kącie stał terminal

Bloomberga dla prywatnych inwestorów. Po wyjściu z toalety Quarry zajął się komputerami – komputery zajmowały połowę łóżka.

Gdy wrócił do salonu, zobaczył, że Gabrielle usadowiła się na kanapie i zrzuciła pantofle.

– *O co tu chodzi, Alex?* – zapytał. – *To mieszkanie wygląda jak centrum kontroli lotów.*

Początkowo Alex nie chciał o tym rozmawiać, ale potem, stopniowo, zaczął się otwierać. Celem jego badań, wyznał w końcu, jest opracowanie autonomicznego samouczącego się programu – stworzenie algorytmu, który, gdy wyznaczy mu się zadanie, będzie pracował samodzielnie i uczył się z prędkością przekraczającą możliwości człowieka. Hoffmann zamierzał odejść z CERN-u, aby prowadzić prace niezależnie, co oznaczało, że nie będzie miał już dostępu do wyników badań uzyskiwanych za pośrednictwem Wielkiego Zderzacza Elektronowo-Pozytronowego. Dlatego od pół roku wykorzystywał strumienie danych z rynków finansowych. Quarry stwierdził, że to kosztowna impreza. Hoffmann przyznał, że tak, choć najwięcej kosztowały nie mikroprocesory – uratował wiele z przeznaczonych już na szmelc – ani abonament za usługi internetowe Bloomberga, ale sam prąd; płacił dwa tysiące funtów tygodniowo, aby dysponować odpowiednią mocą; dwukrotnie spowodował awarię prądu w okolicy. Inny problem stanowiło, oczywiście, samo pasmo.

– *Mógłbym ci pomóc, jeśli chodzi o koszty* – zaproponował Quarry ostrożnie.

– *Nie ma potrzeby. Algorytm się samofinansuje.*

Quarry z trudem ukrył podniecenie.

– *Naprawdę? Nieźle pomyślane. Jak to?*

– *Zwyczajnie. Dzięki kilku ekstrapolacjom na podstawie analizy formacji.* – Hoffmann wskazał ekran komputera.

– *To akcje, które program typuje od pierwszego grudnia, bazując na analizie cen w ciągu ostatnich pięciu lat. Potem już tylko wysyłam e-mail do brokera z poleceniem kupna albo sprzedaży.*

Quarry przyjrzał się dokonanym transakcjom. Były sensowne, nawet jeśli przynosiły niewielki zysk.

– *A można by mieć z tego więcej niż tylko zwrot kosztów? Jakiś zysk?*

– *Uhm, teoretycznie tak, ale wymagałoby to większych inwestycji.*

– *Da się zrobić.*

– *Wiesz co? Nie interesuje mnie robienie pieniędzy. Bez obrazy, ale nie widzę w tym sensu.*

Quarry nie wierzył własnym uszom: facet nie widział sensu w robieniu pieniędzy!

Hoffmann nie zaproponował mu nic do picia, nawet nie poprosił, żeby usiadł – choć i tak nie bardzo było gdzie, bo Gabrielle zajęła jedyne wolne miejsce. Quarry wciąż stał i pocił się w swojej kurtce narciarskiej.

– *Ale przecież gdybyś zarabiał pieniądze – zauważył – mógłbyś przeznaczyć je na dalsze badania. Zajmowałbyś się tym, co dotychczas, tylko na znacznie większą skalę. Stary, nie chcę być niegrzeczny, ale rozejrzyj się wokół. Potrzebujesz więcej miejsca, lepszego, niezawodnego sprzętu, światłowodów.*

– *I odkurzacza?* – podsunęła Gabrielle.

– *Ona ma rację... odkurzacz by nie zaszkodził. Posłuchaj, Alex... to moja wizytówka. Będę w okolicy jeszcze przez następny tydzień albo dłużej. Może się spotkamy i pogadamy o tym?*

Hoffmann wziął wizytówkę i schował ją do kieszeni, nawet na nią nie spojrzawszy.

Przy drzwiach Quarry pochylił się i szepnął do Gabrielle:

– *Chcesz się ze mną zabrać? Wracam do Chamonix. Mogę cię podrzucić do miasteczka.*

– *Dziękuję, poradzę sobie.* – Posłała mu drżący uśmiech. – *Pomyślałam, że zostanę jeszcze trochę i pomogę wam rozstrzygnąć zakład.*

– *Proszę bardzo, kotku, ale zajrzałaś do sypialni? Życzę ci powodzenia.*

* * *

Quarry sam wyłożył kapitał inwestycyjny, za całą swoją roczną premię przeniósł Hoffmanna i jego sprzęt komputerowy do biura w Genewie: potrzebował miejsca, do którego mógłby zapraszać ewentualnych klientów i robić na nich wrażenie hardware'em. Żona była niezadowolona. Dlaczego nie mógł założyć firmy w Londynie? Przecież rozmawiali już o tym. Czy nie mówił jej zawsze, że City to światowa stolica funduszy hedgingowych? Ale Genewa była dla niego elementem atrakcji: oferowała nie tylko niższą stawkę podatkową, ale także możliwość stopniowego odchodzenia od żony. Nigdy nie miał zamiaru sprowadzać rodziny do Szwajcarii – choć nie mówił im tego, nawet sam przed sobą się do tego nie przyznawał. Ale

prawda była taka, że domowe pielesze to nie były akcje, które pasowały do jego portfela. Był już nimi znudzony. Nadeszła pora, żeby je sprzedać i ruszyć dalej.

Postanowił, że przyjmą nazwę Hoffmann Investment Technologies w hołdzie dla legendarnego funduszu hedgingowego Jima Simonsa, Renaissance Technologies, na Long Island, ojca wszystkich algorytmicznych funduszy hedgingowych. Hoffmann ostro się temu sprzeciwiał – Quarry po raz pierwszy zetknął się z takim obsesyjnym pragnieniem zachowania anonimowości – ale nie odpuścił: od początku wiedział, że matematyczny geniusz współnika i otaczająca go aura tajemnicy, jak w przypadku Jima Simonsa, pomogą im sprzedać produkt. AmCor zgodził się pełnić funkcję ich głównego brokera i pozwolił Quarry’emu zabrać z sobą kilku dawnych klientów w zamian za zmniejszenie prowizji z tytułu zarządzania kapitałem i dziesięć procent akcji. Potem Quarry ruszył w trasę, na spotkania z inwestorami; jeździł od miasta do miasta po całych Stanach Zjednoczonych i Europie, ciągnąc swoją walizkę na kółkach przez pięćdziesiąt lotnisk. Uwielbiał ten etap – uwielbiał wcielać się w handlowca, podróżować samotnie, wchodzić spokojnie do klimatyzowanych sal konferencyjnych w dziwnych hotelach z widokiem na rozpaloną autostradę i czarować sceptycznych słuchaczy. Miał swoją metodę: pokazywał im testowane niezależnie efekty pracy algorytmu Hoffmanna i prognozy przyszłych zysków, od których ciekła ślina, a potem informował, że fundusz jest już zamknięty: z uprzejmości wypełnił swój obowiązek i wyłożył sprawę, ale cóż, nie potrzebują już więcej kapitału, bardzo mu przykro. Później inwestorzy sami odszukiwali go w hotelowym barze; tak było za każdym razem.

Quarry zatrudnił faceta z BNP Paribas do prowadzenia back office’u, recepcjonistkę, sekretarkę i brokera francuskich papierów dłużnych z AmCor, który miał jakieś problemy z nadzorem finansowym i musiał szybko wyjechać z Londynu. Jeśli chodzi o stronę techniczną, Hoffmann zwerbował jako kwantów astrofizyka z CERN-u i profesora matematyki, Polaka. Przez całe lato prowadzili symulacje i w październiku 2002 roku wystartowali w realu z kapitałem wysokości stu siedmiu milionów dolarów. Osiągnęli zyski już w pierwszym miesiącu i od tej pory tak już było.

Quarry przerwał opowieść, bo Leclerc nie nadązał notować tego wszystkiego swoim tanim długopisem.

A jeśli chodzi o inne pytania: nie, nie wie, kiedy dokładnie Gabrielle zamieszkała z Hoffmannem: on i Alex nigdy nie byli z sobą zbyt blisko; zresztą w tamtym pierwszym roku dużo podróżował. Nie, nie pojechał na ich ślub; była to jedna z tych solipsystycznych uroczystości o zachodzie słońca gdzieś nad Pacyfikiem, w obecności dwóch pracowników hotelowych w charakterze świadków, bez udziału bliskich i przyjaciół. I nie, nigdy nie słyszał, żeby Hoffmann przeżył załamanie nerwowe, gdy pracował w CERN-ie. Choć domyślał się tego: kiedy tamtej pierwszej nocy poszedł do łazienki w jego mieszkaniu, zajrzał jak każdy do apteczki i znalazł całą baterię środków antydepresyjnych – mirtazapinę, lit, fluwoksaminę – nie pamiętał ich wszystkich, ale sprawa wyglądała na poważną.

– To nie odwiódło pana od zamiaru, żeby wejść z nim w spółkę?

– Co takiego? Że niby nie był „normalny”? Dobry Boże, ależ skąd! Żeby zacytować Billa Clintona... niekoniecznie krynicy mądrości na każdą okazję, to pewne, ale w tym przypadku miał rację: „Normalność jest przereklamowana: większość normalnych ludzi to dupki”.

– I nie wie pan, gdzie jest w tej chwili doktor Hoffmann?

– Nie, nie wiem.

– Kiedy widział go pan ostatnio?

– Podczas lunchu. W Beau-Rivage.

– I wyszedł bez wyjaśnienia?

– Taki jest Alex.

– Sprawiał wrażenie wzburzonego?

– Nieszczególnie. – Quarry zdjął nogi z biurka i połączył się z asystentką przez interkom. – Czy Alex już wrócił?

– Nie, Hugo. Przykro mi. Ale akurat zadzwonił Gana. W jego gabinecie czekają na ciebie członkowie komitetu do spraw ryzyka. Pilnie poszukują Alexa. Jest jakiś problem.

– Zdziwiasz mnie. O co chodzi?

– Gana prosił, abym ci przekazała, że VIXAL podnosił deltę zabezpieczenia. Powiedział, że będziesz wiedział, co to znaczy.

– Dobra, dzięki. Powiadom ich, że zaraz przyjdę. – Quarry zwolnił przycisk i spojrzął w zamyśleniu na interkom. – Obawiam się, że będę musiał pana opuścić. – Po raz pierwszy poczuł, że ze strachu skręca go w żołądku. Zerknął przez biurko na Leclerca, którzy przyglądał mu się

z uwagą, i nagle uświadomił sobie, że za dużo powiedział; gliniarz nie tyle zajmował się sprawą włamania, ile badał przeszłość Hoffmanna.

– Czy to ważne? – Leclerc ruchem głowy wskazał interkom. – Delta zabezpieczenia.

– Raczej tak. Wybacz mi pan? Moja asystentka odprowadzi pana do wyjścia.

Opuścił pospiesznie gabinet, nawet nie podając inspektorowi ręki, i chwilę później Leclerc szedł już przez dział transakcji za piękną rudowłosą asystentką w obcisłym sweterku. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby chciała jak najszybciej się go pozbyć, więc w sposób naturalny zwolnił kroku. Zauważył, że atmosfera w firmie się zmieniła. Pracownicy z wyraźnym niepokojem gromadzili się w trzy-, czteroosobowych grupkach wokół ekranów; jeden z nich siedział przy biurku i klikał myszką, podczas gdy pozostali zaglądali mu przez ramię; co pewien czas któryś wskazywał jakiś wykres albo kolumnę liczb. I pomieszczenie to już nie kojarzyło się Leclercowi z seminarium duchownym, teraz bardziej przypominało konsylium lekarskie przy łóżku pacjenta w poważnym stanie, z dziwnymi objawami. Na jednym z wielkich ekranów telewizyjnych sieć informacyjna relacjonowała katastrofę samolotu. Przed telewizorem stał mężczyzna w ciemnym garniturze i krawacie. Był zajęty wysyłaniem esemesa z telefonu komórkowego i Leclerc rozpoznał go dopiero po chwili.

– Genoud – mruknął do siebie, a potem powiedział głośniej, podchodząc do niego: – Maurice Genoud! – na co ten podniósł głowę znad wyświetlacza i – czy Leclerca poniosła wyobraźnia, czy rzeczywiście twarz dawnego kolegi stężała nieznacznie na widok upiora z dawnych czasów?

– Jean-Philippe – odparł ostrożnie szef ochrony.

Uścisnęli sobie ręce.

– Maurice Genoud. Przytyło ci się. – Leclerc zwrócił się do asystentki Quarry’ego. – Proszę nam wybaczyć, *mademoiselle*. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Ty mnie odprowadzisz do wyjścia, prawda, Maurice? Niech ci się przyjrzę, stary. Widzę, że dobrze ci się powodzi w cywilu.

Genoud nigdy nie należał do tych, którzy często się uśmiechają; teraz też niepotrzebnie się wysila, pomyślał Leclerc.

– A ty? Słyszałem, że przechodzisz na emeryturę, Jean-Philippe?

– W przyszłym roku. Już nie mogę się doczekać. Powiedz mi, co oni tu, do licha, robią? – Wskazał salę. – Pewnie się na tym znasz. Jestem już za stary, żeby zaprzętać sobie tym głowę – wyjaśnił Leclerc.

– Ja też się nie znam. Płacą mi za to, żebym zapewniał im ochronę.

– Kiepsko ci idzie! – Leclerc klepnął go w ramię. Genoud się zachmurzył. – Tylko żartowałem. Ale poważnie, co myślisz o tej sprawie? Dziwne, nie sądzisz? Tyle zabezpieczeń, a jakiś zupełnie obcy człowiek przychodzi z ulicy i napada właściciela. A przy okazji, to ty je instalowałeś?

Genoud zwilżył usta, zanim odpowiedział, i Leclerc pomyślał: facet chce zyskać na czasie; kiedyś robił tak samo przy Boulevard Carl-Vogt, gdy usiłował wymyślić jakąś historyjkę. Nie ufał młodszemu koledze od czasu, gdy ten był nowicjuszem pod jego skrzydłami. Według niego nie było takiej rzeczy, do której Genoud by się nie posunął – zasady, której by nie złamał, umowy, której by nie zerwał, nadużycia, na które nie przymknąłby oka – jeśli tylko mógł na tym zarobić w granicach prawa.

– Tak, ja je instalowałem. I co z tego? – odparł Genoud.

– Nie musisz się od razu tak jezyć. Nie mam do ciebie pretensji. Obaj wiemy, że możemy oferować komuś najlepsze zabezpieczenia, ale jeśli on zapomni je włączyć, to na nic wszelkie nasze wysiłki.

– Fakt. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wróć do pracy. To nie sektor publiczny, rozumiem... nie mogę stać tu sobie i gawędzić.

– Gawędząc, można się wiele dowiedzieć.

Ruszyli w stronę recepcji. Leclerc zapytał konfidencjonalnie:

– To jaki on jest, ten Hoffmann?

– Prawie go nie znam.

– Ma jakichś wrogów?

– Sam go zapytaj.

– Więc nie słyszałeś o kimś, kto by go nie lubił? Kogo by zwolnił?

Genoud nawet nie udawał, że się nad tym zastanawia.

– Nie. Korzystaj z życia na emeryturze, Jean-Philippe. Zasłużyłeś na to.

13

Wyginiecie gatunków czy całych ich grup, które odegrało tak doniosłą rolę w historii świata organicznego, niemal zawsze dokonuje się na zasadzie selekcji naturalnej; gdyż starsze formy są wypierane przez nowe, lepsze.

Karol Darwin, *O pochodzeniu gatunków* (1859)

Komitet do spraw ryzyka Hoffmann Investment Technologies zebrał się na drugą naradę tego dnia o szesnastej dwadzieścia pięć czasu środkowoeuropejskiego, pięćdziesiąt pięć minut po otwarciu rynków amerykańskich. Obecni na niej byli: Hugo Quarry, dyrektor generalny; Lin Ju-Long, dyrektor finansowy; Pieter van der Zyl, dyrektor do spraw operacyjnych; i sam Ganapathi Rajamani, menedżer ryzyka, który protokołował. Spotkanie odbywało się w jego gabinecie.

Rajamani siedział za biurkiem jak dyrektor szkoły. Zgodnie z warunkami umowy o pracę nie otrzymywał rocznej premii od zysków. Dzięki temu miał zachować obiektywizm, ale zdaniem Quarry'ego przez to tylko stał się licencjonowanym zarozumiałcem, który nie mógł patrzeć spokojnie, jak firma osiąga duże zyski. Holender i Chińczyk zajmowali jedyne dwa krzesła. Quarry rozłożył się na kanapie. Przez rozsunięte żaluzje widział, że Amber prowadzi Leclerca w stronę recepcji.

W pierwszym punkcie zebrania odnotowano niewyjaśnioną nieobecność doktora Alexandra Hoffmanna, prezesa firmy – a to, że Rajamani zażądał, by odnotować w protokole owo zaniedbanie obowiązku, było w odczuciu Quarry'ego zapowiedzią, że główny zarozumiałec zamierza grać ostro. Rzeczywiście, wydawało się, że z wyraźnym zadowoleniem przedstawia zagrożenia związane z obecną sytuacją firmy. Oznajmił, że od czasu ostatniego zebrania komitetu przed czterema godzinami poziom ryzyka niebezpiecznie wzrósł. Wszystkie ostrzegawcze lampki na tablicy sterowania błyskają na czerwono. Należy bezzwłocznie podjąć decyzje.

Zaczął odczytywać dane z komputera. VIXAL prawie całkowicie zlikwidował zajmowaną od dawna przez firmę pozycję długą w kontraktach terminowych na S&P 500, główne zabezpieczenie portfela w przypadku wzrostu na rynku, w efekcie czego zostali z mnóstwem pozycji krótkich. Był również w trakcie pozbywania się wszystkich – „powtarzam: wszystkich” – pozycji długich w osiemdziesięciu, czy coś koło tego,

odpowiadających sobie parach akcji: zaledwie w ciągu kilku ostatnich minut zostały zlikwidowane resztki długiej pozycji w Deloitte, o wartości siedemdziesięciu milionów dolarów, która miała stanowić zabezpieczenie krótkiej pozycji w akcjach jej konkurenta – Accenture. I, co chyba najbardziej niepokojące z tego wszystkiego, choć pozycje długie są jedna po drugiej zamykane, to nie nastąpiło analogiczne posunięcie w odkupywaniu akcji sprzedanych wcześniej na krótko.

– Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałem – podsumował Rajamani. – Prawda jest taka, że współczynnik delta funduszu już nie istnieje.

Quarry zachował pokerową twarz, ale nawet on był przestraszony. Zawsze wierzył niezachwianie w VIXAL, ale przecież to miał być fundusz hedgingowy – czyli, jak wynika z nazwy, zabezpieczony. Jeśli zrezygnuje się z zabezpieczeń – tych wszystkich zawiłych formuł matematycznych, które powodują zmniejszenie ryzyka – to można równie dobrze wziąć rodzinne srebra i postawić je wszystkie na wyścigach w Newmarket. Owszem, zabezpieczenia ograniczają zysk, ale również wyznaczają granicę straty. I biorąc pod uwagę, że nie ma takiego funduszu na świecie, który co jakiś czas nie przechodziłby przez trudny okres, to gdyby nie te zabezpieczenia, jedna zła passa mogłaby człowieka wykończyć. Spocił się na samą myśl o tym. Poczul w ustach żółć; przypomniał mu się *filet mignon de veau*, który zjadł na lunch. Przyłożył wierzch dłoni do czoła. Dosłownie biją na mnie zimne poty, pomyślał.

Rajamani ciągnął brutalnie:

– Nie dość, że zamknęliśmy długą pozycję w kontraktach S&P pięćset, to jeszcze otwieramy w nich pozycję krótką. Zwiększyliśmy także naszą pozycję długą w kontraktach na VIX do jakiegoś miliarda dolarów. I skupujemy opcje out-of-the-money typu put, których niskie ceny zakładają takie spadki na giełdzie... że mamy na pocieszenie tylko jedno: przynajmniej kupujemy je za centy. Poza tym...

Quarry podniósł rękę.

– Dobrze, Gana. Dzięki. Rozumiemy. – Musiał szybko objąć przewodnictwo zebrania, zanim przerodzi się ono w bunt. Miał świadomość, że patrzą na nich z działu transakcji. Wszyscy wiedzieli, że zabezpieczenia zniknęły. Zaniepokojone twarze raz po raz wychylały się zza sześćoekranowych terminali jak cele na strzelnicy.

– Opuszczę żaluzje – odezwał się van der Zyl i już miał się podnieść.

Quarry powiedział ostro:

– Nie, na miłość boską, zostaw je w spokoju, Pier, bo inaczej pomyślą, że planujemy tu zbiorowe samobójstwo! Panowie, chciałbym zobaczyć na waszych twarzach uśmiechy, jeśli nie macie nic przeciwko temu... wszyscy się uśmiechamy, to polecenie. Ty także, Gana. Pokażmy naszym ludziom, że dowództwo nie traci zimnej krwi.

Położył nogi na stoliku do kawy i z udawaną nonszalancją splótł dłonie za głową, wbijając jednak paznokcie w skórę tak mocno, że wgniecenia wyglądały do końca dnia jak szramy. Spojrzał na prywatne zdjęcia, które Rajamani przyniósł z domu, żeby zneutralizować surowość skandynawskiego wystroju gabinetu: grupa gości weselnych wieczorem w jakimś ogrodzie w Delhi, pośrodku wystrojeni państwo młodzi uśmiechający się euforycznie; Rajamani jako świeżo upieczony absolwent Cambridge przed budynkiem uczelnianego senatu; dwójka małych dzieci w szkolnych mundurkach, chłopiec i dziewczynka, patrzący poważnie w obiektyw aparatu.

– W porządku, Gana, co więc radzisz?

– Można zrobić tylko jedno: ominąć VIXAL i ponownie wprowadzić zabezpieczenia.

– Chcesz ominąć algorytm, nawet nie konsultując się z Alexem? – zapytał Ju-Long.

– Skonsultowałbym się z nim, gdybym mógł go odnaleźć – odciął się Rajamani. – Ale nie odbiera telefonu.

– Myślałem, że był z tobą na lunchu, Hugo – zauważył van der Zyl.

– Bo był. Ale w połowie nagle wyszedł.

– Dokąd?

– Pan Bóg jeden wie. Ulotnił się bez słowa.

– To już naprawdę oburzająca nieodpowiedzialność. Przykro mi. Wiedział, że mamy problem. Wiedział, że po południu umówiliśmy się na spotkanie – stwierdził Rajamani.

Zapadła cisza.

– Moim zdaniem – włączył się Ju-Long – Alex przeżywa jakieś załamanie. Ale mówię to tylko między nami.

– Zamknij się, LJ! – nakazał Quarry.

– Ale tak jest, Hugo – wtrącił van der Zyl.

– Ty też lepiej milcz.

– Dobrze, już dobrze – wycofał się szybko Holender.

– Mam to zaprotokołować? – zapytał Rajamani.

– Nie, do cholery! – Quarry wskazał elegancko obutą stopą terminal komputerowy Rajamaniego. – A teraz posłuchaj mnie uważnie, Gana: jeśli w tym protokole pojawi się jakaś wzmianka o niepoczytalności Alexa, to firma będzie skończona, i to ty poniesiesz za to odpowiedzialność przed kolegami, którzy w tej chwili obserwują każdy nasz ruch, a także przed wszystkimi naszymi inwestorami, którzy dzięki Alexowi zarobili kupę forsy i nigdy ci tego nie wybaczą. Rozumiesz, co mówię? Pozwólcie, że podsumuję sytuację w kilku słowach: nie ma Alexa, nie ma firmy.

Rajamani wytrzymał jego wzrok. Potem ściągnął brwi i zabrał ręce znad klawiatury.

– No dobra – podjął Quarry. – Ponieważ nie ma Alexa, spróbujmy spojrzeć na to z innej strony. Co by na to powiedzieli brokerzy, gdybyśmy nie zawiesili VIXAL-a, ale przywrócili deltę?

– Po tym, co zdarzyło się z Lehman Brothers – odparł Ju-Long – są wyczuleni na sprawy zabezpieczeń. Z całą pewnością nie pozwolą nam grać bez asekuracji, bo to wbrew umowie.

– To kiedy będziemy musieli pokazać im pieniądze?

– Według mnie powinniśmy ustanowić nowe zabezpieczenia na określonym poziomie jutro, przed końcem dnia.

– A ile twoim zdaniem od nas zażądadają?

– Nie wiem. – Ju-Long pokręcił swoją kształtną głową, jakby się zastanawiał. – Może z pół miliarda.

– Pół miliarda wszyscy razem?

– Nie, pół miliarda każdy z nich.

Quarry na chwilę przymknął oczy. Pięciu głównych brokerów: Goldman, Morgan Stanley, Citi, AmCor, Credit Suisse; trzeba by zdeponować u nich po pół miliarda dolarów, czyli razem dwa i pół miliarda. Nie fałszywki, nie skrypty dłużne ani obligacje długoterminowe, ale żywą gotówkę, którą trzeba by im przelać jutro do czwartej po południu. Nie żeby Hoffmann Investment Technologies nie miały takich pieniędzy. Obracali najwyżej dwudziestoma pięcioma procentami gotówki powierzonej im przez inwestorów; reszty nie musieli pokazywać. Gdy sprawdzał to ostatnim razem, mieli co najmniej cztery miliardy dolarów w samych amerykańskich bonach skarbowych. Mogli czerpać z tych zasobów w razie potrzeby. Ale mój Boże... byłby to duży cios dla ich rezerw; wielki krok w stronę przepaści...

Rajamani wyrwał go z zamyślenia.

– Przykro mi, ale to szaleństwo, Hugo. Poziom ryzyka wykracza daleko poza warunki określone w naszym prospekcie. Jeśli notowania na rynkach pójdą ostro w górę, staniemy w obliczu miliardowych strat. Możemy nawet zbankrutować. Klienci pozwą nas do sądu.

Ju-Long dodał:

– Nawet jeśli nie wycofamy się z gry, nie byłoby dobrze... nie sądzicie?... gdybyśmy musieli zawiadomić zarząd funduszu o podniesieniu poziomu ryzyka akurat w czasie, gdy namawiamy indywidualnych inwestorów do wyłożenia kolejnego miliarda dolarów na VIXAL cztery.

– Od razu by się wycofali – stwierdził van der Zyl złowróźnie. – Wszyscy co do jednego.

Quarry nie mógł dłużej usiedzieć spokojnie. Zerwał się z kanapy i zaczął krążyć po gabinecie, ale miał za mało miejsca. Że też to musiało się zdarzyć akurat teraz! Był taki bliski zdobycia dwóch miliardów! To niesprawiedliwe! Zacisnął dłonie w pięści i spojrzał z krzywym uśmiechem w niebo. Ponieważ nie mógł dłużej znieść pełnej wyższości miny Rajamaniego, odwrócił się plecami do kolegów i oparł dłońmi o szklaną ścianę. Popatrzył na dział transakcji, nie zważając na to, czy ktoś mu się przygląda, czy nie. Przez moment próbował sobie wyobrazić, jak by to było stać na czele funduszu inwestycyjnego podlegającego działaniu światowych rynków bez żadnego zabezpieczenia, bez kontroli: oceanu akcji i obligacji o wartości siedmiuset bilionów dolarów, walut i derywatywów, których ceny nieustannie rosną i opadają w stosunku do siebie wzajemnie, unoszone przez prądy, fale i wiry, których nie można przeniknąć. To jakby próbować przepłynąć północny Atlantyk na pokrywie śmietnika z drewnianą łyżką zamiast wiosła. No i było jego drugie ja – to postrzegające samo życie jako grę, którą prędzej czy później trzeba przegrać; stawiające dziesięć tysięcy dolców na to, która mucha jako pierwsza odleci ze stołu w barze, tylko po to, aby poczuć emocje – ta część jego osobowości kiedyś byłaby tym podekscytowana. Teraz jednak chciał trzymać się tego, co miał. Podobało mu się, że jest bogatym współwłaścicielem funduszu hedgingowego, przedstawicielem elity, odpowiednikiem Brigade of Guards w dziedzinie finansów. Plasował się na sto siedemdziesiątym siódmym miejscu listy najbogatszych ludzi świata według ostatniego rankingu „Sunday Timesa”; nawet zamieścili jego zdjęcie na mostku kapitańskim Riva 115 („Hugo Quarry wiedzie godne pozazdroszczenia kawalerskie życie nad Jeziorem

Genewskim – bo dlaczego nie, jako szef jednego z najlepiej prosperujących funduszy hedgingowych w Europie?”). Czy naprawdę chciał zaryzykować to wszystko tylko dlatego, że jakiś przeklęty algorytm postanowił zignorować podstawowe zasady inwestowania? Inna sprawa, że znalazł się na liście najbogatszych ludzi świata właśnie dzięki temu przekłętemu algorytmowi. Jęknął. To beznadzieja. A gdzie jest Hoffmann?

Odwrócił się i zapytał:

– Naprawdę musimy porozmawiać z Alexem, zanim zawiesimy VIXAL. Bo kiedy ostatni raz któryś z nas dokonał jakiejś transakcji?

– Z całym szacunkiem, Hugo – odparł Rajamani – ale nie o to chodzi.

– Oczywiście, że o to. O to i tylko o to. To algorytmiczny fundusz hedgingowy. Mamy za mało ludzi, żeby obracać dziesięcioma miliardami w papierach wartościowych. Potrzebujemy co najmniej dwudziestu wybitnych specjalistów o stalowych nerwach, którzy dobrze znają rynki, a mamy jedynie kwantów z łupieżem we włosach, którzy nie potrafią nawiązać kontaktu wzrokowego.

– Prawda jest taka – odezwał się van der Zyl – że trzeba było o tym pomyśleć wcześniej. – Głos Holendra, przesycony kawą i papierosami, miał niski, ponury ton. – Ale to nie znaczy, że rano... Powinniśmy byli to zrobić tydzień albo miesiąc temu. VIXAL działa z wielkim powodzeniem od tak dawna, że przewróciło nam się w głowach. Nie wdrożyliśmy odpowiednich procedur, na wypadek gdyby nawalił.

Quarry w głębi duszy wiedział, że to prawda. Zawierzył technice i stracił czujność. Był jak leniwy kierowca, który zdaje się wyłącznie na nawigację satelitarną i czujniki parkowania podczas jazdy po mieście. Mimo to, ponieważ nie mógł sobie wyobrazić świata bez VIXAL-a, mimowolnie stanął w jego obronie:

– Mogę zwrócić uwagę, że na razie nie nawalił? Kiedy sprawdzałem to ostatnim razem, zarobiliśmy od rana sześćdziesiąt osiem milionów. Co teraz mówi licznik zysków/strat, Gana?

Rajamani spojrział na ekran.

– Mamy już na koncie siedemdziesiąt siedem – przyznał.

– Cóż, dziękuję ci. To jest według was nawalanka, tak? System, który zarobił dziewięć milionów dolarów w tym czasie, gdy przenosiłem swój tyłek z jednego gabinetu do drugiego?

– Owszem – odparł cierpliwie Rajamani – ale to czysto teoretyczny zysk, który może zniknąć w jednej chwili, jeśli rynek się odbije.

- Czyżby rynek się odbijał?
- Nie, przyznaję, że w tym momencie Dow spada.
- Cóż, więc mamy dylemat, panowie. Zgadza się wszyscy, że fundusz powinien być zabezpieczony, ale jednocześnie musimy mieć świadomość, że VIXAL okazał się lepszym znawcą rynku niż my.
- Och, daj spokój, Hugo! Najwyraźniej coś jest z nim nie tak! VIXAL ma uwzględniać określone parametry ryzyka, dlatego źle działa.
- Nie zgadzam się z tobą. Nie mylił się co do Vista Airways, prawda? To było naprawdę niesamowite.
- Czysty przypadek. Nawet Alex to przyznał. – Rajamani zwrócił się do Ju-Longa i van der Zyla. – No, chłopaki, poprzyjcie mnie. Żeby uzasadnić te pozycje, cały świat musiałby stanąć w płomieniach.
- Ju-Long podniósł rękę jak uczeń w szkole.
- Skoro już o tym mowa, Hugo, mógłbym zapytać o notowania Vista Airways? Czy ktoś oglądał ostatnie wiadomości?
- Quarry usiadł ciężko na kanapie.
- Nie, ja nie oglądałem. Byłem zajęty. Dlaczego pytasz? Co mówią?
- Że katastrofa nie była wynikiem usterki technicznej, ale zamachu terrorystycznego.
- Dobra. No i?
- Zdaje się, że gdy samolot był jeszcze w powietrzu, na stronie internetowej dżihadystów pojawiło się ostrzeżenie. Oczywiście, wszyscy są wściekli, że wywiad je przeoczył. To było o dziewiątej rano.
- Przykro mi, LJ. Ale trochę za tobą nie nadążam. Co to ma z nami wspólnego?
- Tylko to, że dokładnie o dziewiątej zaczęliśmy sprzedawać na krótko akcje Vista Airways.
- Quarry zareagował dopiero po chwili.
- Chcesz powiedzieć, że monitorujemy strony dżihadystów?
- Na to by wyglądało.
- Włączył się van der Zyl:
- To byłoby nawet logiczne. VIXAL jest przecież zaprogramowany tak, żeby wyszukiwał w sieci terminologię związaną ze strachem i obserwował korelacje rynkowe. Gdzie indziej miałby szukać?
- Ale to byłby skok jakościowy, no nie? – zapytał Quarry. – Znaleźć ostrzeżenie, wyciągnąć wniosek, zainicjować transakcję?

– Nie wiem. Trzeba by zapytać Alexa. Ale to samouczący się algorytm. Teoretycznie cały czas się rozwija.

– W takim razie szkoda, że nie rozwinął się na tyle, by ostrzec linię lotniczą – odparł na to Rajamani.

– Och, daj spokój – westchnął Quarry – przestań być tak cholernie święty. To maszyna do robienia pieniędzy, a nie pieprzony ONZ-owski ambasador dobrej woli. – Odchylił głowę na oparcie kanapy i spojrzał w sufit rozgorączkowanym wzrokiem, próbując ogarnąć implikacje tego, co się działo. – Wielkie nieba. Nie wiem, co mam o tym myśleć.

– Oczywiście, to może być przypadek. Jak powiedział dziś rano Alex, nabycie akcji linii lotniczych było tylko jednym elementem całej strategii krótkiej sprzedaży – zauważył Ju-Long.

– Owszem, ale jeśli nawet, to jedyna pozycja, którą sprzedaliśmy i na której zarobiliśmy. Innych nie zamykamy. Co nasuwa pytanie: dlaczego tego nie robimy? – Poczuł, że po plecach przebiega mu dreszcz. – Ciekawe, co on sobie myśli? Na co czeka?

– On nie myśli – stwierdził Rajamani ze zniecierpliwieniem. – To algorytm, Hugo... narzędzie. Równie żywe jak klucz francuski czy lewarek samochodowy.

I na tym właśnie polega problem: to narzędzie stało się zawodne i nie możemy dłużej na nim polegać. A czas ucieka i muszę oficjalnie zwrócić się do komitetu o zgodę na zawieszenie VIXAL-a i natychmiastowe zabezpieczenie funduszu.

Quarry spojrzał na pozostałych. Był wyczulony na niuanse i zauważył, że nastroje nieznacznie się zmieniły. Ju-Long patrzył biernie przed siebie, van der Zyl oglądał nitkę przy rękawie marynarki. Obaj wydawali się zakłopotani. Przyzwoici ludzie, pomyślał, bystrzy, ale słabi. I lubią dostawać premię. Rajamaniemu łatwo było domagać się zawieszenia VIXAL-a; nic go to nie kosztowało. Każdy z nich natomiast dostał w zeszłym roku dodatkowo cztery miliony. Quarry skalkulował za i przeciw. Z ich strony nie będzie kłopotów. Co zaś do Hoffmanna, nie interesował się pracownikami firmy z wyjątkiem kwantów; poprze więc każdego decyzję.

– Gana – odezwał się uprzejmie – przykro mi, ale obawiam się, że będziemy musieli cię zwolnić.

– Słucham? – Rajamani spojrzał na niego, marszcząc czoło. Próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego żalony, nerwowy grymas. Usiłował

obrócić całą sprawę w żart. – Nie wygłupiaj się, Hugo...

– Jeśli cię to pocieszy, miałem zamiar ci podziękować za pracę w przyszłym tygodniu, niezależnie od okoliczności. Ale myślę, że to lepszy moment. Zaprotokołuj: „Po krótkiej dyskusji Gana Rajamani zgodził się ustąpić ze stanowiska menedżera ryzyka ze skutkiem natychmiastowym. Hugo Quarry podziękował mu za wszystko, co zrobił dla firmy”... Choć moim zdaniem to wszystko pieprzenie. A teraz opróżnij swoje biurko, jedź do domu i poświęć trochę czasu swoim przemiłym dzieciakom. A o pieniądze się nie martw. z wielką radością wypłacę ci roczne pobory, żeby tylko więcej cię nie oglądać.

Rajamani tymczasem dochodził do siebie; Quarry później musiał mu przyznać, że przynajmniej wykazał się charakterem.

– Wyjaśnijmy sobie coś – powiedział Hindus. – Zwalniasz mnie za to, że wykonuję swoje obowiązki?

– Częściowo tak, ale głównie dlatego, że jesteś przy tym jak wrzód na dupie.

Rajamani odparł z pewną godnością:

– Dziękuję ci. Zapamiętam sobie te słowa. – Zwrócił się do kolegów. – Piet? LJ? Zabierzecie głos w tej sprawie? – Żaden z nich jednak się nie poruszył. Rajamani dodał z lekką desperacją: – Myślałem, że się rozumiemy...

Quarry wstał i odłączył kabel zasilania od komputera Rajamaniego. Urządzenie stęknęło i wyłączyło się.

– Nie kopiuj żadnych dokumentów. system nas powiadomi, jeśli to zrobisz. Gdy będziesz wychodził, oddaj telefon komórkowy mojej asystentce. Nie rozmawiaj z żadnym z pracowników. Opuść firmę w ciągu piętnastu minut. Pakiet rekompensacyjny otrzymasz tylko wtedy, gdy zastosujesz się do klauzuli poufności. Rozumiesz? Naprawdę wolałbym nie wzywać ochrony... to zawsze wygląda okropnie. Panowie – zwrócił się do pozostałych – zostawimy go samego, żeby się spakował?

Rajamani zawołał za nim:

– Gdy ta sprawa się wyda, firma będzie skończona... już ja się o to postaram!

– Nie mam co do tego wątpliwości.

– Mówiłeś, że VIXAL wyniesie nas na szczyt i właśnie to robi...

Quarry objął jednym ramieniem Ju-Longa, a drugim van der Zyla i wyprowadził ich z gabinetu. Nie oglądając się, zamknął za sobą drzwi.

Wiedział, że ta scena rozegrała się na oczach wszystkich kwantów, ale nic nie mógł na to poradzić. Zrobiło mu się różniej na duszy; zawsze czuł się lepiej, gdy kogoś wywalał; to było jak katharsis. Uśmiechnął się do asystentki Rajamaniego; ładna dziewczyna, ona też niestety będzie musiała odejść. Quarry miał do tego pogańskie podejście: zawsze lepiej pochować służących ze zmarłym panem, bo może ich potrzebować na tamtym świecie.

– Przykro mi, że do tego doszło – powiedział do Ju-Longa i van der Zyla – ale albo będziemy innowatorami w tej branży, albo nikim, mam rację? A obawiam się, że Gana to facet, który w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku zjawiliby się na nabrzeżu i powiedział Kolumbowi, że nie może wypłynąć w rejs z powodu zbyt dużego współczynnika ryzyka.

– Był odpowiedzialny za ryzyko. Pozbyłeś się go, Hugo, ale to nie rozwiązuje problemu – zauważył bardziej szorstko, niż Quarry się tego spodziewał, Ju-Long.

– Zdaję sobie z tego sprawę. – Położył mu rękę na ramieniu i spojrzał w jego ciemne oczy. – Wiem, że się z nim przyjaźniłeś. Ale nie zapominaj, że firma wzbogaciła się o jakieś osiemdziesiąt milionów dolarów od chwili, gdy rano przyszedliśmy do pracy. – Wskazał dział transakcji; wszyscy kwanci wrócili na swoje miejsca i można by pomyśleć, że nic niezwykłego się nie dzieje. – Maszyna działa i szczerze mówiąc, myślę, że powinniśmy jej zaufać, dopóki Alex nie zdecyduje inaczej. Musimy założyć, że VIXAL dostrzega w bieżących wydarzeniach sens, którego my nie widzimy. No dalej, panowie... ludzie na was patrzą.

Ruszyli wzdłuż działu transakcji. Quarry szedł na czele; chciał odciągnąć ich od miejsca mordy na Rajamanim. Idąc, ponownie zadzwonił do Hoffmanna na jego telefon komórkowy; ale znowu został od razu przełączony na pocztę głosową. Tym razem nie zadał sobie nawet trudu, żeby zostawić wiadomość.

– Wiesz, tak właśnie sobie pomyślałem... – zaczął van der Zyl.

– Co sobie pomyślałeś, Piet?

– Że VIXAL najwyraźniej przewiduje ogólne załamanie rynku.

– Co ty powiesz...

Ale van der Zyl nie zauważył jego sarkazmu.

– Tak, bo jeśli spojrzysz na akcje, które wytypowałem do krótkiej sprzedaży... co je łączy? To kurorty i kasyna, firmy konsultingowe,

żywność i artykuły gospodarstwa domowego... wszystkie branże. Nie należą do jednego sektora.

– Potem idą na krótko akcje indeksu S&P pięćset – zauważył Ju-Long – i opcje typu put out-of-the-money.

– No i indeks strachu – dodał van der Zyl. – Miliard dolarów w opcjach na indeks strachu... Rany boskie!

To rzeczywiście kupa forsy, pomyślał Quarry. Zatrzymał się gwałtownie. A nawet więcej. Aż do tej chwili, w potoku danych, który go zalał, nie zwrócił uwagi na wielkość tej pozycji. Podszedł do wolnego terminalu, pochylił się nad klawiaturą i szybko wszedł w notowania VIX-a. Ju-Long i van der Zyl dołączyli do niego. Wykres pokazywał nieznaczne wahania wartości indeksu w ciągu minionych dwóch dni – obrazująca to linia opadała i wznosiła się w wąskim paśmie. Jednakże w ostatnich dziewięćdziesięciu minutach jego wartość zaczęła gwałtownie rosnać; z około dwudziestu czterech punktów na otwarciu giełdy amerykańskiej osiągnęła już prawie dwadzieścia siedem. Było jeszcze za wcześnie, aby orzec, czy oznacza to gwałtowną eskalację poziomu strachu na samym rynku. A nawet jeśli nie, to z miliardem dolarów w opcjach mieli przed sobą niemal stumilionowy zysk. Quarry znowu poczuł, że wzdłuż kręgosłupa przebiegają mu ciarki.

Nacisnął guzik i włączył przekaz na żywo z parkietu giełdy w Chicago, gdzie handlowano kontraktami na indeks S&P 500. Subskrybowali tę usługę. Dzięki niej mieli poczucie bezpośredniego uczestnictwa w grze giełdowej; suche liczby go nie dawały.

– „Proszę państwa – mówił głos z amerykańskim akcentem – jedyne kupno, jakie widzę, jest po dziewięć dwadzieścia sześć i niżej, jest klient Goldmana oferujący po pięćdziesiąt jeden nawet dwieście pięćdziesiąt sztuk. Poza tym, proszę państwa, każde zlecenie, które widzę, to sprzedaż. Mam Merrill Lynch, duża sprzedaż. Mam Pru Bache, duża sprzedaż, panowie, od pięćdziesięciu dziewięciu do pięćdziesięciu trzech. Potem widzieliśmy duże zlecenia po stronie podaży ze strony Swiss Bank i Smith...

Quarry wyłączył transmisję.

– LJ – powiedział – może zaczniesz likwidować te dwa i pół miliarda w bonach skarbowych, na wypadek gdybyśmy musieli jutro pokazać gotówkę...

– Jasne, Hugo. – Spojrzał Quarry’emu w oczy. Odnotował wzrost wartości VIX-a, tak samo jak van der Zyl, i wiedział, co to oznacza.

– Powinniśmy kontaktować się ze sobą przynajmniej co pół godziny – stwierdził Quarry.

– A Alex? – zapytał Ju-Long. – Dobrze by było, gdyby to zobaczył. Może coś by z tego zrozumiał.

– Znam Alexa. Niebawem się pojawi, spokojna głowa. Potem trzech mężczyźni rozeszli się każdy w swoją stronę – jak konspiratorzy, pomyślał Quarry.

Przetrwa tylko paranoik.

Andrew S. Grove, prezes i dyrektor generalny Intel Corporation

Hoffmannowi udało się złapać taksówkę na Rue de Lausanne, przecnicę od hotelu Diodati. Taksówkarz wyraźnie zapamiętał ten kurs, a to z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, że zmierzał wówczas w stronę Avenue de France, a Hoffmann chciał jechać w przeciwnym kierunku – poprosił, żeby go zawieźć na przedmieścia, do Vernier, w pobliże tamtejszego parku – co oznaczało konieczność zawrócenia w sposób nieprzepisowy, i to przecinając kilka pasów ruchu. Po drugie dlatego, że pasażer wydawał się bardzo zdenerwowany i roztargniony. Kiedy mijali wóz policyjny, jadący w przeciwną stronę, zsunął się na siedzeniu i podniósł rękę do twarzy, żeby ją zasłonić. Kierowca obserwował go w lusterku. Facet kurczowo ścisnął w rękach laptopa. Raz zadzwonił jego telefon, ale nie odebrał; później go wyłączył.

Flagi na budynkach rządowych łopotały w porywach wiatru; temperatura była o połowę niższa w stosunku do tego, co na tę porę roku prognozowały przewodniki turystyczne. Zanosilo się na deszcz. Ludzie opuścili chodniki i powiadali do samochodów, co nasiliło jeszcze popołudniowy ruch na drogach. Dlatego taksówka zajechała do centrum Vernier dopiero po czwartej. Wtedy Hoffmann pochylił się nagle do przodu i zażądał: – Proszę mnie tu wysadzić.

Wręczył kierowcy banknot studolarowy i wysiadł, nie czekając na resztę; to był trzeci powód, dla którego taksiarz go zapamiętał.

Vernier leży na pagórkowatym obszarze na prawym brzegu Renu. Pokolenie wcześniej była to oddzielna wieś, potem miasto rozprzestrzeniło się za rzekę i ją wchłonęło. Teraz bloki mieszkalne stoją tak blisko lotniska, że ich mieszkańcy mogą przeczytać nazwy linii na schodzących do lądowania samolotach. W centrum są jednak rejony, które zachowały charakter tradycyjnej szwajcarskiej wioski, ze spadzistymi dachami i zielonymi drewnianymi okiennicami, i właśnie to Hoffmann zapamiętał sprzed dziewięciu lat. Kojarzyły mu się one z melancholijnymi jesiennymi popołudniami, kiedy włączały się latarnie uliczne i dzieci wychodziły ze szkoły. Skręcił za róg i odnalazł okrągłą drewnianą ławkę, na której

siadywał, gdy przychodził za wcześnie na sesję. Otaczała złowrogo wyglądające stare drzewo o gęstej koronie. Zobaczywszy je ponownie, nie odważył się do niego podejść; wolał trzymać się z drugiej strony placu. Niewiele się tu zmieniło: pralnia, sklep rowerowy, obskurna kawiarenka, w której spotykali się starsi panowie, *maison d'artisanat communal* o wyglądzie kaplicy. Obok niego znajdował się wolno stojący budynek, w którym podobno go leczono. Kiedyś mieścił się w nim sklep, chyba owocowo-warzywny, albo kwaciarnia – w każdym razie coś użytecznego; właściciele mieszkali na piętrze. Teraz w miejscu dawnej wystawy na parterze znajdowała się wielka szyba z mlecznego szkła, za którą mógł kryć się gabinet dentystyczny. Od ośmiu lat zmieniło się tylko to, że na wejście skierowana była kamera wideo; to nowość, pomyślał.

Hoffmannowi drżały ręce, gdy przyciskał guzik. Czy starczy mu sił, żeby przejść przez to wszystko od nowa? Za pierwszym razem nie wiedział, czego się spodziewać; teraz będzie pozbawiony zbawczego pancerza, jaką jest nieświadomość.

– Dzień dobry – odezwał się głos młodego mężczyzny.

Hoffmann podał swoje nazwisko.

– Byłem kiedyś pacjentem doktor Polidori. Moja sekretarka miała umówić mnie na jutro.

– Obawiam się, że doktor Polidori w piątki zajmuje się pacjentami ze szpitala.

– Nie mogę czekać do jutra. Muszę zobaczyć się z nią dzisiaj.

– Nie zostanie pan przyjęty, jeśli nie umówił się pan wcześniej na wizytę.

– Proszę ją zawiadomić, że przyjechałem. I powiedzieć, że sprawa jest pilna.

– Niech pan powtórzy swoje nazwisko.

– Hoffmann.

– Proszę poczekać.

W domofonie zapadła cisza. Hoffmann zerknął na kamerę i odruchowo podniósł ręce, żeby zasłonić przed nią głowę. Rana nie kleiła się już od krwi, ale była pokryta czymś, co się kruszyło; obejrzał swoje palce i zobaczył, że przywarła do nich jakby sproszkowana rdza.

– Proszę wejść. – Rozległ się brzęczyk i drzwi się odemknęły – na tak krótką chwilę, że Hoffmann nie zdążył ich otworzyć i musiał spróbować ponownie. W środku było wygodniej niż kiedyś – zobaczył kanapę i dwa

głębokie fotele, dywanik w uspokajających pastelowych kolorach, sztuczne rośliny doniczkowe, a za głową recepcjonisty wielkie zdjęcie przedstawiające leśną polanę z promieniami słońca, przebijającymi przez gałęzie drzew. Obok wisiał dyplom doktor Jeanne Polidori, psychiatry i psychoterapeutki, uzyskany na Uniwersytecie Genewskim. Młody mężczyzna za kontuarem przyjrzał się Hoffmannowi uważnie:

– Zapraszam na górę. Drzwi na wprost.

– Uhm – odparł Hoffmann. – Pamiętam.

Znajome trzeszczenie schodów przywołało dawne wspomnienia. Wtedy czasami trudno mu było zawlec się na górę; w najgorsze dni czuł się jak ktoś, kto bez tlenu usiłuje wspiąć się na Mount Everest. Słowo „depresja” nie oddawało tego stanu; lepsze było „pochówek” – złożenie w ziemnym betonowym grobowcu o grubych ścianach, przez które nie dociera światło ani dźwięk. Teraz zdał sobie sprawę, że nie przeżyje tego ponownie. Raczej się zabije.

Była w swoim gabinecie, siedziała przed komputerem i gdy wszedł, wstała. Była w tym samym wieku co on, i kiedyś musiała być atrakcyjna, ale miała wąską szramę, biegnącą od lewego ucha przez policzek aż do gardła. Z powodu utraty mięśnia i tkanki jej twarz była niesymetryczna, jakby po wylewie. Zwykle kobieta nosiła na szyi szal, ale tego dnia go nie miała. Kiedyś w swój bezpośredni sposób od razu ją o to zapytał: – Co, do licha, stało się pani w twarz?

Powiedziała mu, że przed laty zaatakował ją pacjent, któremu Bóg kazał ją zabić. Człowiek ten potem w pełni wrócił do zdrowia. Od tamtej pory trzymała jednak w biurku pieprz w sprayu; otworzyła szufladę i pokazała mu go – czarną puszkę z małą dyszą.

Teraz nie traciła czasu na przywitanie.

– Doktorze Hoffmann, przykro mi, ale powiedziałam przez telefon pańskiej asystentce, że nie mogę pana przyjąć bez skierowania ze szpitala.

– Nie chcę się u pani leczyć. – Otworzył laptopa. – Chcę tylko, żeby pani coś zobaczyła. Czy chociaż to może pani dla mnie zrobić?

– Zależy, co to jest. – Przyjrzała mu się uważniej. – Co stało się panu w głowę?

– Mieliśmy włamanie do domu. Facet zaatakował mnie od tyłu.

– Był pan z tym u lekarza?

Hoffmann skłonił głowę i pokazał jej szwy.

– Kiedy to się stało?

- Zeszłej nocy. To znaczy, dziś rano.
- Pojechał pan do Szpitala Uniwersyteckiego?
- Tak.
- Dali panu wyniki rezonansu magnetycznego?

Skinął głową.

– Zauważyli w mózgu białe plamki. Mogą być skutkiem uderzenia albo czegoś innego... początku jakiejś choroby.

– Doktorze Hoffmann – odezwała się łagodniej – mam wrażenie, że jednak chce pan, abym się panem zajęła.

– Nie, nie. – Postawił przed nią laptopa. – Chciałbym tylko usłyszeć pani opinię na ten temat.

Popatrzyła na niego powątpiewająco, a potem sięgnęła po okulary. Wciąż nosiła je na łańcuszku wokół szyi. Włożyła je i spojrzała na ekran. Hoffmann obserwował jej minę, gdy przewijała dokument. Brzydka blizna w jakiś sposób podkreślała urodę reszty jej twarzy – to także pamiętał. W dniu, w którym to zauważył, zaczął dochodzić do siebie.

– Hm – zaczęła, wzruszając ramionami – to najwyraźniej dialog między dwoma mężczyznami, z których jeden fantazjuje o zabijaniu, a drugi – o umieraniu i o związanych z tym doznaniach. Trochę napuszone, niezręczne: powiedziałabym, że to czat internetowy, na jakimś forum... coś takiego. Ten, który fantazjuje o zabijaniu, niezbyt dobrze wysławia się po angielsku, natomiast ewentualna ofiara – przeciwnie. – Zerknęła na niego znad okularów. – Ale chyba nie mówię niczego, do czego sam pan by nie doszedł.

– Czy coś takiego jest normalne?

– Oczywiście, i to z każdym dniem coraz bardziej. To kolejny mroczny aspekt internetu, z którym mamy obecnie do czynienia. Globalna sieć łączy z sobą ludzi, którzy jeszcze przed kilkoma laty na szczęście nie mieliby okazji się poznać... którzy może by nawet nie wiedzieli, że mają takie niebezpieczne skłonności... i skutki tego mogą być zgubne. Kilka razy policja konsultowała się ze mną w takich sprawach. Są strony, na których zachęca się do zbiorowych samobójstw, zwłaszcza wśród młodych ludzi. Są, oczywiście, także strony dla pedofilów. Kanibali...

Hoffmann usiadł i ujął w dłoń głowę.

– Ten człowiek, który fantazjuje o śmierci... to ja, prawda?

– Cóż, pan wie to lepiej ode mnie. Pamięta pan, żeby to pisał?

– Nie, nie pamiętam. A jednak mam wrażenie, że niektóre z tych myśli są moje... podobnie jak sny, z czasów, gdy byłem chory. Nie pamiętam też, żebym robił i inne rzeczy, a wiele wskazuje, że owszem, robiłem. – Spojrzał na nią. – Czy to możliwe, że mam z głową jakiś problem, który jest tego przyczyną, jak pani myśli? I sprawia, że robię pewne rzeczy, dziwne rzeczy, których potem nie pamiętam?

– Możliwe. – Odsunęła laptopa na bok i zwróciła się w stronę ekranu własnego komputera. Napisała coś na klawiaturze i kilka razy kliknęła myszką. – Widzę, że w listopadzie dwa tysiące pierwszego roku odwołał pan wizytę u mnie, bez wyjaśnienia. Dlatego pan to zrobił?

– Bo byłem już wyleczony.

– Nie sądzi pan, że ja o tym decyduję, nie pan?

– Nie, wcale nie. Nie jestem dzieckiem. Wiem, kiedy dobrze się czuję. Jestem zdrowy od kilku lat. Ożeniłem się. Założyłem własną firmę. Wszystko szło dobrze. Dopóki to się nie zaczęło.

– Może pan czuć się dobrze, ale obawiam się, że poważniejsze stany depresyjne, takie jak pan miał, mają tendencję do nawracania. – Przewinęła historię jego choroby, kręcąc głową. – Widzę, że od ostatniej pańskiej wizyty u mnie upłynęło osiem lat. Będzie pan musiał mi przypomnieć, co dokładnie wywołało chorobę.

Hoffmann zepchnął to w zakamarki pamięci tak dawno, że teraz z trudem sobie przypomniął.

– Napotkałem poważne trudności z moimi pracami badawczymi w CERN-ie. Wszczęto wewnętrzne dochodzenie, które było bardzo stresujące. W końcu zawieszono projekt, nad którym pracowałem.

– Co to był za projekt?

– Myśląca maszyna... to znaczy sztuczna inteligencja.

– Czy ostatnio przeżywał pan podobny stres?

– W pewnym sensie – przyznał.

– Jakie objawy depresji pan miał?

– Żadnych. Dlatego to takie dziwne.

– Apatia? Bezsensowność?

– Nie.

– Impotencja?

Pomyślał o Gabrielle. Gdzie ona teraz może być? – pomyślał. Odpowiedział cicho:

– Nie.

– A myśli samobójcze, które kiedyś pana nawiedzały? To były bardzo żywe, szczegółowe wizje... powróciły?

– Nie.

– A ten człowiek, który pana zaatakował... mam rozumieć, że to drugi uczestnik internetowego czatu?

Hoffmann skinął głową.

– Gdzie jest teraz?

– Wolałbym o tym nie mówić.

– Doktorze Hoffmann, gdzie on jest? – Ponieważ wciąż nie odpowiadał, poprosiła: – Proszę mi pokazać ręce.

Wstał niechętnie i podszedł do biurka. Wyciągnął dłonie. Znowu poczuł się jak dziecko, które musi pokazać, że umyło ręce, zanim zasiądzie do obiadu. Przyjrzała się jego pokaleczonej skórze, nie dotykając jej, a potem zlustrowała go całego uważnie.

– Wdał się pan w jakąś bójkę?

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– To była samoobrona.

– Jeśli tak, to w porządku. Może pan już usiąść.

Zrobił, co mu poleciła.

– Moim zdaniem – powiedziała lekarka – powinien pan jak najszybciej udać się do specjalisty. Pewne choroby... schizofrenia, mania prześladowcza... mogą powodować, że cierpiący na nie zachowuje się zupełnie nie w swoim stylu i potem w ogóle tego nie pamięta. Tak nie musi być w pańskim przypadku, ale lepiej nie ryzykować, prawda? Zwłaszcza że wyniki rezonansu magnetycznego mózgu wykazują pewne nieprawidłowości.

– Może nie.

– Chciałabym więc, żeby zszedł pan teraz do recepcji, podczas gdy ja porozmawiam z kolegą. Może zadzwoni pan do żony i powiadomi ją, gdzie jest. Zgoda?

– Uhm, jasne.

Czekał, żeby go odprowadziła, ale ona czujnie pozostała za biurkiem. W końcu więc wstał i wziął laptopa.

– Dziękuję – powiedział. – Będę czekał w recepcji.

Odwrócił się przy drzwiach. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Patrzy pani na moje dane, prawda?

– Owszem.

- Są w komputerze?
 - Tak. Zawsze były. Dlaczego pan pyta?
 - Co dokładnie zawierają?
 - Moje notatki na temat pańskiego przypadku. Przebieg leczenia... lekarstwa, które panu przepisałam, sesje psychoterapeutyczne i tak dalej.
 - Nagrywa pani sesje z pacjentami?
- Zawahała się.
- Niekiedy tak.
 - Moje też?
- Znowu wahanie.
- Tak.
 - I co się potem z tym dzieje?
 - Mój asystent je spisuje.
 - I trzyma pani te zapisy w komputerze.
 - Tak.
 - Mogę zobaczyć? – Znalazł się przy jej biurku w kilku susach.
 - Nie. To wykluczone.

Szybko położyła dłoń na myszce, żeby zamknąć dokument, ale on złapał ją za nadgarstek.

– Proszę, niech mi pani pozwoli zajrzeć do własnej dokumentacji!

Musiał niemal wyrwać jej myszkę. Lekarka sięgnęła ręką do szuflady, w której trzymała spray z pieprzem. On jednak zablokował ją kolanem.

– Nie zamierzam zrobić pani nic złego – oznajmił. – Niech mi pani da minutę na przejrzanie tych plików, a potem sobie pójdę.

Poczuł się podle, gdy zobaczył w jej oczach lęk, ale nie ustąpił i po kilku sekundach się poddał. Odsunęła fotel i wstała, a wtedy on zajął jej miejsce przed komputerem. Lekarka wycofała się na bezpieczną odległość i obserwowała go spod drzwi, otulając się szczelniej swetrem, jakby zrobiło jej się zimno.

– Skąd wziął pan tego laptopa? – zapytała.

On jednak nie słuchał. Zestawił z sobą dwa okna, najpierw przewinął jedno z nich, potem drugie. Miał wrażenie, jakby oglądał się w dwóch ciemnych lustrach. Tekst w obu był identyczny. Wszystko, co opowiadał lekarce przed dziewięcioma laty, zostało pocięte, posklejane i wstawione na stronę internetową, na której przeczytał to Niemiec.

Nie podnosząc głowy, zapytał:

– Czy komputer jest podłączony do sieci? – A potem sam zobaczył, że tak. Wszedł do zawartości dysku. Nie musiał długo szukać, aby znaleźć intruza – dziwne pliki typu, którego do tej pory nie znał. Było ich cztery:

u ||2Sq. 50†

/s |■. †

5-r-qpj .0†

r L0σε|| .o

– Ktoś włamał się do pani systemu – oświadczył. – Ukradł moje dane. – Spojrzał w stronę, gdzie stała lekarka. Gabinet był pusty, a drzwi otwarte. Usłyszał skądś głosy. Odniósł wrażenie, że doktor Polidori rozmawia z kimś przez telefon. Chwycił laptopa i zbiegł po wyłożonych dywanem schodach. Recepcjonista wyszedł zza kontuaru i próbował zastąpić mu drogę, ale Hoffmann bez trudu go odepchnął.

Gdy wybiegł na zewnątrz, uderzyła go panująca tam normalność – starsi mężczyźni pijący kawę, matka pchająca wózek z dzieckiem, *au pair* zbierająca pranie ze sznura. Zwrócił się w lewo i odszedł szybko ulicą, mijając szare domy z okiennicami i wyjściem prosto na chodnik, już zamkniętą ciastkarnię, podmiejskie żywopłoty i praktyczne małe samochody. Nie wiedział, dokąd zmierza. Zazwyczaj kiedy ćwiczył – szedł, uprawiał jogging, biegł – łatwiej było mu skupić myśli, to stymulowało jego umysł. Ale nie w tym przypadku. Tym razem miał w głowie zamęt. Zaczął schodzić po stoku. Po swojej lewej stronie miał ogródki działkowe, a potem, o dziwo, otwarte pola; przed nim, w dole, ukazała się wielka fabryka z dużym parkingiem, bloki mieszkalne i wreszcie, w oddali, góry, a nad nim półkula nieba z flotyllą szarych chmur, sunących niczym okręty wojenne na defiladzie.

Po jakimś czasie na chodniku wyrosła betonowa ściana estakady, którą przebiegała hałaśliwa autostrada. Po lewej stronie zobaczył ścieżkę, która zaprowadziła go przez kępę drzew nad brzeg rzeki. Ren płynął w tym punkcie szeroko i wolno, liczył od brzegu do brzegu ze dwieście metrów; jego wody były zielonobłękitne, mętne, po pokonaniu szerokiego zakrętu rozlewały się na otwartej przestrzeni, z terenem leśnym wznoszącym się

ostro po przeciwnej stronie. Brzegi spinał tu most dla pieszych, Passerelle de Chèvres. Hoffmann go rozpoznał. Przejeżdżał kiedyś obok niego i widział dzieci skaczące latem do wody, żeby się ochłodzić. Ten sielski obrazek kontrastował z głośnym ruchem na autostradzie i gdy Hoffmann dotarł do środkowego przęsła, odniósł wrażenie, że znalazł się daleko od normalnego życia: że trudno mu będzie do niego wrócić. Zatrzymał się pośrodku mostu i podszedł do stalowej barierki. Wystarczyłoby zaledwie kilka sekund i mógłby rzucić się pięć–sześć metrów w dół, wpaść do wolno płynącej wody, a potem dać się jej unieść. Zrozumiał, dlaczego Szwajcaria jest światową stolicą wspomaganych samobójstw – cały kraj był tak zorganizowany, jakby wręcz zachęcał ludzi, aby znikali dyskretnie, na osobności, powodując jak najmniej kłopotów.

Jego też to kusilo. Nie miał złudzeń; w pokoju hotelowym znajdzie się mnóstwo dowodów w postaci DNA i odcisków palców, które powiążą go z zabójstwem Niemca; to, że zostanie aresztowany, było jedynie kwestią czasu, niezależnie od tego, co się zdarzy. Wyobraził sobie, co go czeka – długi szereg policjantów, prawników, dziennikarzy, błyskające flesze aparatów fotograficznych, kolejne miesiące składające się na przyszłość. Pomyślał o Quarrym, o Gabrielle – zwłaszcza o Gabrielle.

Ale przecież nie jestem obłąkany, pomyślał. Może zabiłem człowieka, ale nie jestem obłąkany. Albo padłem ofiarą misternego spisku, który ma na celu wmówienie mi, że oszalałem, albo ktoś próbuje mnie wrobić, osaczyć i szantażować, zniszczyć. Zadał sobie pytanie, czy wierzy, że policja – choćby ten pedantyczny, należący już do poprzedniej epoki Leclerc – dotrze do sedna tej diabelnie wyrefinowanej intrygi szybciej niż on? Odpowiedź nasuwała się sama.

Wyjął z kieszeni komórkę Niemca. Wpadła do wody z cichym ledwie pluskiem, zostawiając po sobie przez krótką chwilę białą bliznę na mętnej powierzchni rzeki.

Na drugim brzegu obserwowały go dzieci stojące przy barierce obok swoich rowerów. Oddalił się od barierki i przeszedł przez most do końca, mijając je z laptopem pod pachą. Spodziewał się, że go zawołają, ale pozostały poważne i milczące. Pomyślał wtedy, że coś w jego wyglądzie budzi ich lęk.

* * *

Gabrielle nigdy nie była w CERN-ie i ośrodek natychmiast przypomniał jej stary uniwersytet w północnej Anglii – brzydkie funkcjonalne budynki z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych rozrzucone na dużym terenie, szare korytarze pełne poważnych skupionych ludzi, przeważnie młodych, rozmawiających pod afiszami anonsującymi wykłady i koncerty. Unosiła się tu nawet taka sama akademicka woń pasty do podłóg, ciepłych ludzkich ciał i jedzenia ze stołówki. Znacznie łatwiej jej było wyobrazić sobie Alexa tutaj niż w eleganckich biurach Les Eaux-Vives.

Asystent profesora Waltona zostawił ją na korytarzu Ośrodka Przetwarzania Danych i poszedł poszukać szefa. Teraz, gdy znalazła się sama, miała ochotę stąd uciec. To, co w swojej łazience w Cologny, po znalezieniu jego wizytówki, uznała za dobry pomysł – żeby zadzwonić do niego i nie zważając na jego zdziwienie, zapytać, czy może przyjechać; powie mu, o co chodzi, później, w cztery oczy – teraz wydało jej się histeryczne i żenujące. Odwróciwszy się, żeby znaleźć wyjście, zauważyła stary komputer w szklanej gablocie. Podeszła bliżej i przeczytała, że to procesor NeXT, który w 1991 roku zapoczątkował erę internetu w CERN-ie. Na czarnej metalowej obudowie wciąż widniała informacja dla sprzątaczek: „To urządzenie to serwer – NIE WYŁĄCZAĆ GO!”. Niesamowicie, pomyślała, że to wszystko zaczęło się od czegoś tak prozaicznego.

– Puszka Pandory – rozległ się głos za jej plecami i gdy się odwróciła, zobaczyła Waltona; była ciekawa, jak długo ją obserwował. – Inaczej mówiąc, prawo niezamierzonych konsekwencji. Zaczyna się od prób odtworzenia początków wszechświata, a kończy na stworzeniu eBaya. Zapraszam do mojego gabinetu. Obawiam się, że nie mam dużo czasu.

– Na pewno? Nie chcę sprawiać kłopotu. Mogę przyjechać kiedy indziej.

– Nie ma sprawy. – Przyjrzał jej się bacznie. – Chodzi o tworzenie sztuki z fizyki cząstek elementarnych czy o Alexa?

– O Alexa.

– Tak myślałem.

Poprowadził ją korytarzem ozdobionym starymi zdjęciami do budynku administracji. Był on nieładny, ale praktyczny – drzwi z mlecznego szkła, zbyt jasne świetlówki, obowiązkowe linoleum, szare lamperie – nie tego się spodziewała po siedzibie Wielkiego Zderzacza Hadronów.

Ale znowu bez trudu potrafiła wyobrazić sobie tu Alexa: było to z pewnością bardziej naturalne otoczenie dla człowieka, za którego wyszła, niż designerski gabinet, ze skórzanymi meblami i pierwszymi wydaniem dzieł naukowych w Cologny.

– To tutaj spał wielki człowiek – zauważył Walton, otwierając drzwi do spartańskiej klitki z dwoma biurkami, dwoma terminalami i widokiem na parking.

– Spał?

– I pracował, gwoli sprawiedliwości. Dwadzieścia godzin na dobę, z czterema godzinami na sen. Zwijał materac i stawiał go w tamtym kącie. – Uśmiechnął się lekko na to wspomnienie i spojrzał na nią swoimi poważnymi szarymi oczami. – Alex oszedł stąd mniej więcej w tym czasie, gdy poznaliście się na naszym skromnym sylwestrze... a w każdym razie zamierzał odejść. Domyślam się, że jest jakiś problem.

– Tak, owszem.

Pokiwał głową, jakby nie był zdziwiony.

– Wejź i usiądź. – Zaprowadził ją korytarzem do swojego gabinetu. Był taki sam jak tamten, z tym wyjątkiem, że stało w nim tylko jedno biurko. Poza tym Walton go uczłowieczył – położył na linoleum perski dywan i ustawił na porzewiałym metalowym parapecie kilka roślin doniczkowych. Na szafie stało radio, z którego cicho płynęła muzyka klasyczna, grana przez kwartet smyczkowy. Wyłączył je. – W czym mogę pomóc?

– Powiedz mi, co Alex tu robił i co się stało. Zdaje się, że przeżył wtedy załamanie nerwowe, i boję się, że wszystko zaczyna się od nowa. Przepraszam. – Opuściła wzrok.

– Nie wiem, do kogo innego mogłabym się zwrócić w tej sprawie.

Walton siedział za biurkiem. Zetknął długie palce obu dłoni i przytknął je do ust. Przyglądał jej się dłuższą chwilę. W końcu zapytał:

– Słyszałaś kiedyś o desertronie?

* * *

Desertron, jak wyjaśnił jej Walton, miał być amerykańskim superprzewodzącym superzderzaczem – w Waxahachie, w Teksasie, wykuto już nawet osiemdziesięciosiedmiokilometrowy tunel w skale. Ale w 1993 roku Kongres USA w swojej nieskończonej mądrości przegłosował

rezygnację z jego budowy. Pozwoliło to zaoszczędzić około dziesięciu miliardów dolarów z kieszeni podatników. („Którzy musieli tańczyć z radości na ulicach”). Jednak równocześnie zniweczyło to plany zawodowe całego pokolenia amerykańskich fizyków, łącznie z błyskotliwym młodym Alexem Hoffmannem, który robił wówczas doktorat w Princeton.

Mimo to Alex i tak należał do szczęśliwców – miał dopiero dwadzieścia pięć lat czy coś koło tego, a już stał się na tyle znany, że zdobył jedno z nielicznych nieeuropejskich stypendiów umożliwiających pracę w CERN-ie nad Wielkim Zderzaczem Elektronowo-Pozytronowym, prekursorem Wielkiego Zderzacza Hadronów. Większość jego kolegów niestety musiała zrezygnować z kariery naukowej i zatrudnić się w charakterze kwantów na Wall Street, gdzie zajmowali się tworzeniem derywatów, a nie budową akceleratorów cząstek. Ale tam także nastąpił krach: system bankowy się załamał i Kongres musiał go ratować – za cenę trzech bilionów siedmiuset miliardów dolarów z kieszeni podatników.

– Co stanowi kolejny przykład prawa niezamierzonych konsekwencji – zauważył Walton. – Wiesz, że Alex pięć lat temu zaproponował mi pracę?

– Nie wiedziałam.

– To było przed kryzysem finansowym. Powiedziałem mu, że według mnie zaawansowane badania naukowe i pieniądze nie idą w parze. To zbyt niestabilne połączenie. Być może użyłem określenia „czarna magia”. I obawiam się, że znowu się poróżniliśmy.

Gabrielle pokiwała głową energicznie i odparła:

– Rozumiem, co masz na myśli. On ma w sobie pewnego rodzaju napięcie. Zawsze miałam tego świadomość, a ostatnio szczególnie.

– Właśnie. Na przestrzeni lat poznałem całkiem sporo ludzi, którzy porzucili pracę naukową dla pieniędzy... choć żaden nie odniósł takiego sukcesu jak Alex... i teraz w głębi ducha gardzą za to sobą. Co łatwo poznać po tym, że zawsze twierdzą coś wręcz przeciwnego.

Sprawił wrażenie autentycznie przygnębionego tym, co dzieje się w jego zawodzie, jakby ludzie, o których mówił, stracili łaskę, i znowu przywiódł Gabrielle na myśl księdza. Miał w sobie coś nie z tego świata, tak jak Alex.

– Ale mówiłeś o latach dziewięćdziesiątych... – ponagliła go znowu.

– A tak, właśnie, wracając do lat dziewięćdziesiątych...

Alex przyjechał do Genewy zaledwie parę lat po wynalezieniu przez naukowców z CERN-u internetu. I o dziwo, właśnie to zawładnęło jego wyobraźnią: nie rekonstrukcja Wielkiego Wybuchu, odnalezienie boskiej cząstki ani stworzenie antymaterii, ale możliwości, jakie stwarza seryjne przetwarzanie danych, myślenie maszynowe, globalny mózg.

Był romantykiem, jeśli o to chodzi... co zawsze jest niebezpieczne. Byłem jego szefem w Ośrodku Przetwarzania Danych. Maggie i ja trochę pomagaliśmy mu stanąć na nogi. Zajmował się naszymi synami, gdy byli mali, miał się nimi opiekować pod naszą nieobecność. Szło mu to beznadziejnie.

– Wyobrażam to sobie! – Przygryzła wargę na myśl o Alexie i dzieciach.

– Naprawdę był beznadziejny. Po powrocie zastawiliśmy go śpiącego w pokoju dzieciennym, a ich na dole przed telewizorem. Zawsze też zmuszał się do nadmiernego wysiłku, co go wyczerpywało. Miał obsesję na punkcie sztucznej inteligencji, chociaż nie podobał mu się napuszony wydźwięk tego określenia i zamiast niego używał innego: autonomiczne myślenie elektroniczne. Masz umysł ścisły?

– O nie, zupełnie nie.

– Czy to ci nie przeszkadza? W kontaktach z Alexem?

– Szczerze mówiąc, myślę, że wręcz odwrotnie. Dzięki temu jakoś nam się układa. – Czy układało, miała ochotę dodać. Zakochała się właśnie w skupionym na sobie matematyku, który w nim tkwił, pozbawionym obycia i nietowarzyskim, dziwnie niewinnym; trudniej jej było zrozumieć tego nowego Alexa, prezesa odnoszącego sukcesy funduszu hedgingowego, miliardera.

– Cóż, żeby więc nie wdawać się w szczegóły, jednym z wielkich wyzwania, przed którymi stoimy, jest po prostu analizowanie mnóstwa danych uzyskiwanych z prowadzonych przez nas doświadczeń. Ich liczba dochodzi do dwudziestu siedmiu bilionów bajtów dziennie. Alex pracował więc nad wynalezieniem algorytmu, który sam będzie się uczył, czego szukać... żeby się tak wyrazić... a potem na tej podstawie będzie szukał dalej i dalej. Dzięki temu pracowałby nieskończenie szybciej niż człowiek. Teoretycznie było to genialne, ale katastrofalne w skutkach.

– Dlaczego? Algorytm się nie sprawdził?

– Owszem, sprawdził. I na tym polega całe nieszczęście. Algorytm zaczął się rozprzestrzeniać po całym systemie, rozpleniać jak chwast.

W końcu musieliśmy go zawiesić, co praktycznie oznaczało zamknięcie projektu. Niestety, musiałem powiedzieć Alexowi, że te badania są zbyt ryzykowne, aby je kontynuować. Trzeba by nałożyć na nie pewne ograniczenia, jak na technologię nuklearną, bo inaczej skutek będzie podobny do wpuszczenia wirusa do sieci komputerowej. Nie chciałem przyjąć tego do wiadomości. Zrobiło się nieprzyjemnie. Pewnego dnia trzeba go było siłą usunąć z budynku.

– I wtedy doznał załamania nerwowego?

Walton pokiwał głową ze smutkiem.

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś był tak zrozpaczony. Można by pomyśleć, że zamordowano mu dziecko.

15

Gdy zastanawiałem się nad tymi zagadnieniami... wpadłem na nowy pomysł: „cyfrowego systemu nerwowego”... Cyfrowy system nerwowy steruje procesami cyfrowymi, które pozwalają firmie obserwować swoje środowisko i stosownie reagować, wyczuwać wyzwania ze strony konkurencji oraz potrzeby klientów, i podejmować na czas odpowiednie działania...

Bill Gates, *Biznes szybki jak myśl* (2000)

Gdy Hoffmann dotarł do biura, był już koniec dnia pracy – około osiemnastej w Genewie, a dwunastej w południe w Nowym Jorku. Ludzie wychodzili z budynku i szli do domu, na drinka albo do siłowni. Stał w bramie naprzeciwko, aby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma policji, a kiedy się upewnił, że nie, przebiegł przez ulicę, spojrzął ponuro w czytnik rysów twarzy, następnie przeciął hol, wjechał windą na górę i wkroczył do działu transakcji. Wciąż było tam pełno ludzi; większość pracowników siedziała przy biurkach do ósmej wieczorem. Opuścił głowę i skierował się do swojego gabinetu, starając się nie zwracać uwagi na zdziwione spojrzenia, które mu towarzyszyły. Marie-Claude, siedząca przy swoim stanowisku, patrzyła na niego, jak się zbliżał. Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale Hoffmann podniósł ręce.

– Wiem – uprzedził ją – potrzebuję dziesięciu minut dla siebie, potem wszystkim się zajmę. Nie wpuszczaj nikogo, dobra?

Wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Usiadł na swoim drogim fotelu ortopedycznym z genialnym systemem regulacji i włączył przyniesionego laptopa. Kto włamał się do jego dokumentacji medycznej? Bo ten, kto to zrobił, był odpowiedzialny za całą resztę. To pytanie go intrygowało. Nigdy nie uważał siebie za człowieka, który może mieć wrogów. To prawda, nigdy nie miał też przyjaciół; ale zawsze sądził, że skoro jest samotnikiem, nie ma także wrogów.

Znowu bolała go głowa. Przesunął palcami po ogolonym miejscu; szwy były w dotyku jak przeszycia na piłce. Ramiona miał zeszywniałe z napięcia. Zaczął masować sobie kark; odchylił się przy tym na fotelu i spojrzął na wykrywacz dymu jak setki razy wcześniej, gdy usiłował skupić myśli. Chwilę przyglądał się małej czerwonej diodzie, takiej samej

jak na suficie w sypialni w Coligny; zawsze, gdy zasypiał, światelko to kojarzyło mu się z Marsem. Powoli zaprzestał masażu.

– Cholera jasna – szepnął.

Usiadł prosto i spojrzął na wygaszacz ekranu w laptopie: zdjęcie samego siebie, patrzącego w przestrzeń z roztargnieniem. Wszedł na fotel, który zachwiało się pod nim niebezpiecznie, gdy zstępował z niego na biurko. Czujnik dymu był kwadratowy, z białego plastiku, miał detektor tlenku węgla w formie płytki, diodę pokazującą, czy jest podłączony do zasilania, przycisk i kratkę, za którą pewnie znajdował się alarm. Pomacał jego obudowę. Wyglądało na to, że urządzenie jest przyklejone do płyty na suficie. Pociągnął je do siebie, potem nim pokręcił, aż wreszcie, przestraszony i sfrustrowany, ujął mocno i wyszarpnął.

Przeciągły pisk protestu, który to spowodowało, był tak przenikliwy, że wręcz fizyczny. Obudowa drżała mu w rękach, a powietrze aż zaczęło wibrować. Urządzenie było wciąż połączone z sufitem pępowiną kabla i kiedy Hoffmann włożył palce pod spód, próbując je rozłączyć, poraził go prąd, i to tak boleśnie, jakby został ugryziony przez dzikie zwierzę; wstrząs dotarł aż do serca. Hoffmann wydał okrzyk, puścił urządzenie, tak że zawisło na kablu, i zamachał ręką, jakby chciał ją osuszyć. Hałas był jak fizyczna napaść; Hoffmann miał wrażenie, że jeśli go nie wyłączy, krew pocieknie mu z uszu. Tym razem chwycił czujnik za obudowę i pociągnął z całej siły, niemal na nim zawisając, aż wreszcie odłączył urządzenie, choć jednocześnie wyrwał kawałek sufitu. Cisza, która nagle zapadła, była równie nieznośna jak poprzedni pisk.

* * *

Znacznie później, kiedy Quarry odtwarzał wydarzenia następnych kilku godzin i gdy go pytano, który moment był dla niego najbardziej przerażający, stwierdził, o dziwo, że właśnie ten: gdy usłyszał alarm, przebiegł z jednego końca działu transakcji na drugi i zobaczył Hoffmanna – jedyne go człowieka, który w pełni rozumiał algorytm dokonujący w tamtej chwili transakcji wartości trzydziestu miliardów dolarów – jak zakrwawiony, pokryty pyłem, stał pod wyrwą w suficie i bełkotał coś o tym, że wszędzie jest szpiegowany.

Quarry nie pojawił się jako pierwszy na scenie wydarzeń. Drzwi był otwarte i w gabinecie znajdowała się już Marie-Claude z kilkoma

kwantami. Quarry przepchnął się wśród nich i kazał im wracać do pracy. Już z daleka widział, że Hoffmann przeżył załamanie nerwowe. Wspólnik miał dziki wzrok i ubranie w nieładzie. W jego włosach widać było zaschniętą krew. A ręce wyglądały tak, jakby walił nimi w mur.

Powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił:

– Dobrze, Alex, co się tu dzieje?

– Zajmij się swoimi sprawami! – zawołał Hoffmann nerwowo. Zeskoczył z biurka i wyciągnął dłoń. Leżały na niej części zdemontowanego alarmu przeciwpożarowego. Grzebnął wśród nich palcem wskazującym, jak przyrodnik, który bada wnętrze jakiegoś niezwykłego stworzenia. Podniósł małą soczewkę z przytwierdzonym z tyłu kablem.

– Wiesz, co to jest?

– Nie mam pojęcia.

– Kamera internetowa. – Rozsunął palce i niektóre części czujnika spadły na biurko, a inne stoczyły się na podłogę. – Spójrz na to. – Podał Quarry'emu laptopa. Postukał w ekran. – Jak myślisz, skąd zrobiono to zdjęcie?

Usiadł na fotelu i odchylił się na jego oparcie. Quarry popatrzył na niego, potem na ekran i znowu na niego. Zerknął na sufit.

– Jasna cholera. Skąd to masz?

– Laptop należał do faceta, który zaatakował mnie zeszłej nocy.

Już wówczas Quarry zwrócił uwagę na dziwne użycie czasu przeszłego – „należał”? – i zaczął się zastanawiać, jak Hoffmann wszedł w posiadanie komputera. Nie zdążył jednak o to zapytać, ponieważ wspólnik zerwał się na nogi. Nie mógł usiedzieć na miejscu.

– Chodź – rzucił, przywołując go ruchem ręki. – Chodź.

Ujął Quarry'ego za łokieć i wyprowadził z gabinetu, a następnie wskazał sufit nad biurkiem Marie-Claude, gdzie znajdował się identyczny czujnik. Przyłożył palec do ust. Potem zaprowadził Hugona do działu transakcji i wskazał kolejne czujniki – jeden, drugi, trzeci, czwarty; i następne – w sali konferencyjnej, a nawet w męskiej toalecie. Tam wspiął się na umywalki i sięgnął do czujnika. Pociągnął mocno i urządzenie wyszło razem z kawałkami tynku, które spadły jak deszcz. Wtedy zeskoczył na podłogę i pokazał Quarry'emu. Kolejna kamera internetowa.

– Są wszędzie. Widziałem je od wielu miesięcy, ale nie zwracałem na nie uwagi. W twoim gabinecie też jest taka. W domu również je mam, we

wszystkich pomieszczeniach... nawet w sypialni. Chryste Panie. Nawet w łazience.

– Przyłożył rękę do czoła, jakby dopiero teraz w pełni do niego dotarło znaczenie własnych słów. – Niewiarygodne.

Quarry zawsze miał niejasne obawy, że mogą ich szpiegować konkurenci; na ich miejscu sam by tak robił. Dlatego zatrudnił Genouda jako konsultanta do spraw bezpieczeństwa. Z odrazą obrócił czujnik w dłoni.

– Myślisz, że we wszystkich detektorach są kamery?

– Hm, możemy to sprawdzić, ale owszem... myślę, że tak.

– Mój Boże, a my płacimy Genoudowi majątek, żeby chronił to miejsce przed urządzeniami szpiegowskimi.

– Na tym polega dowcip... na pewno to on je założył, nie rozumiesz? To samo zrobił w moim domu. Obserwuje nas przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Popatrz. – Hoffmann wyjął swój telefon komórkowy. – To on je zamówił, prawda... nasze specjalnie szyfrujące telefony? – Otworzył aparat – nie wiadomo dlaczego przypomniał Quarry’emu kogoś, kto odgina odnóża homara – i pospiesznie rozłożył go na części przy jednej z umywalk. – To idealne miejsce, żeby umieścić pluskwę. Nie trzeba nawet wkładać mikrofonu... bo jest już wbudowany. Czytałem o tym w „Wall Street Journal”. Myślisz, że wyłączyłeś komórkę, chociaż pozostaje aktywna, rejestruje twoje rozmowy, nawet jeśli przez nią nie gadasz. I cały czas ją ładujesz. Moja zachowywała się dziwnie przez cały dzień.

Był tak pewny swojej racji, że Quarry’emu udzieliło się to przekonanie. Podejrzliwie obejrzał własny telefon, jakby to był granat, który może wybuchnąć mu w rękę, a potem zadzwonił z niego do swojej asystentki.

– Amber, mogłabyś znaleźć Maurice’a Genouda i wezwać go tu zaraz? Powiedz mu, żeby rzucił wszystko i przyszedł do gabinetu Alexa. – Rozłączył się. – Posłuchamy, co drań ma do powiedzenia. Nigdy nie miałem do niego zaufania. Ciekawe, w co gra.

– To oczywiste, nie sądzisz? Jesteśmy funduszem hedgingowym, który przynosi osiemdziesięcioletni zwrot z inwestycji. Jeśli ktoś nas szpieguje i potem kopiuje wszystkie nasze transakcje, to zbije majątek. Nawet nie musiałby wiedzieć, jak to robimy. Oto, dlaczego jesteśmy inwigilowani. Nie rozumiem tylko, po co robił te wszystkie pozostałe rzeczy.

– Pozostałe?

– Otworzył konto zagraniczne na Kajmanach, przelewał na nie pieniądze, wysyłał e-maile w moim imieniu, kupił mi rozprawę Darwina na temat strachu, zepsuł wystawę Gabby, włamał się do mojej dokumentacji medycznej i nasłał na mnie psychopatę. Jakby ktoś mu zapłacił, żeby doprowadził mnie do szaleństwa.

Słuchając go, Quarry znowu poczuł dziwny niepokój, ale zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zadzwonił jego telefon.

– Pan Genoud był na dole – poinformowała go Amber.

– Zaraz przyjdzie.

– Dzięki. – Zwrócił się do Hoffmanna: – Genoud jest w budynku. Zastanawiające, nie sądzisz? Co on tu robi? Może się domyśla, że jesteśmy na jego tropie.

– Może. – Nagle Hoffmann znowu stał się niespokojny, wybiegł z toalety, popędził korytarzem i wpadł do swojego gabinetu. Przyszła mu do głowy pewna myśl. Gwałtownie otworzył szufladę biurka i wyjął książkę, którą rano przyniósł z sobą; było to dzieło Darwina, w sprawie którego dzwonił w nocy do Quarry'ego.

– A spójrz na to – powiedział, przerzucając kartki. Pokazał fotografię przedstawiającą starego człowieka w stanie przerażenia. Co za groteskowe indywiduum, pomyślał Quarry, jak postać z gabinetu osobliwości.

– Widzę jakiegoś świra z epoki wiktoriańskiej, który wygląda, jakby się właśnie zesrał w gacie ze strachu – odparł.

– Uhm, ale przyjrzyj się uważnie. Widzisz szczęki imadła?

Quarry wyteńczył wzrok. Rzeczywiście, para rąk po obu stronach twarzy mężczyzny przytykała mu do skroni metalowe pręty. Jego głowa wsparta była na jakimś podglówku; ofiara miała na sobie coś w rodzaju koszuli do operacji chirurgicznych.

– Takie szczęki stosował francuski lekarz, Guillaume-Benjamin-Armand Duchenne. Uważał on, że ludzka twarz stanowi odbicie duszy. Poruszał więc mięśniami twarzy za pomocą tak zwanego wówczas prądu galwanicznego... czyli elektrycznego, uzyskiwanego poprzez reakcję kwasową. Stosuje się go często, żeby wywołać skurcz mięśni w nogach zdechłej żaby, że niby zwierzę skacze, taki dowcip na przyjęcia. – Odczekał, żeby Quarry pojął doniosłość tej informacji, ale ponieważ ten najwyraźniej nie pojmował, wyjaśnił: – To doświadczenie mające na celu wywołanie fizycznych objawów strachu, aby je potem sfotografować.

– Dobra – odparł Quarry ostrożnie. – Kapuję.

Hoffmann machnął książką ze zniecierpliwieniem.

– Czy nie to samo dzieje się w moim przypadku? To jedyna ilustracja w książce, na której wyraźnie widać szczęki... z innych Darwin je usunął. Jestem przedmiotem eksperymentu, który ma na celu wywołanie we mnie strachu, a moje reakcje są stale monitorowane.

Quarry odezwał się dopiero po chwili, gdy już mógł wydobyć z siebie głos.

– Hm, przykro mi to słyszeć, Alex. To musi być okropne uczucie.

– Pozostaje pytanie: kto to robi i po co? Najwyraźniej nie jest to pomysł Genouda. On jest tylko narzędziem...

Ale Quarry przestał słuchać. Myślał o swoich obowiązkach jako dyrektora generalnego – wobec inwestorów, pracowników i samego siebie (później nie wstydził się do tego przyznać). Zobaczył przed oczami apteczkę w dawnym mieszkaniu Hoffmanna, pełną leków psychotropowych, które byłyby w stanie zapewnić ćpunowi nieprzerwane pasmo szczęścia przez pół roku, i przypomniał sobie, że zakazał Rajamaniemu protokołowania jakichkolwiek uwag na temat zdrowia psychicznego prezesa firmy. Pomyślał z lękiem, co by się stało, gdyby cokolwiek z tego przedostało się do wiadomości publicznej.

– Usiądźmy – zaproponował. – Musimy porozmawiać o kilku sprawach. Hoffmann zirytował się wyraźnie, że przerywa mu się wywód.

– Czy to pilne?

– Raczej tak. – Quarry zajął miejsce na kanapie i dał Hoffmannowi znak, żeby się do niego przyłączył.

Ale on to zignorował i usiadł za biurkiem. Przesunął ramieniem po blacie, zrzucając z niego części czujnika dymu.

– Dobra, mów. Tylko najpierw wyjmij baterię z komórki.

* * *

Hoffmanna nie zdziwiło, że Quarry nie pojął roli książki Darwina w całej tej sprawie. On sam przez całe życie pojmował wszystko szybciej niż inni; dlatego właśnie musiał spędzać tyle czasu na długich samotnych podróżach intelektualnych. W końcu pozostali zaczęli coś pojmować z jego idei, ale wtedy on przebywał już w innych rejonach.

Teraz patrzył, jak Quarry rozmontowuje telefon komórkowy i ostrożnie odkłada baterię na stolik do kawy.

– Mamy problem z VIXAL-em – oznajmił współlnik.

– Jaki problem?

– Przekroczył deltę.

Hoffmann popatrzył na niego uważnie.

– Nie bądź śmieszny. – Przyciągnął do siebie klawiaturę, zalogował się do terminalu i zaczął oglądać firmowe pozycje – pod względem sektora, wartości, typu, daty. Klikał myszką tak szybko, jakby wystukiwał kod alfabetem Morse’a, i każde kolejne okno, które otwierał, budziło w nim jeszcze większe zdumienie niż poprzednie.

– Ale przecież nie ma w tym żadnego sensu. Nie tak został zaprogramowany.

– Większość z tego wydarzyła się między lunchem a otwarciem giełdy w Stanach. Nie mogliśmy się z tobą skontaktować. Pomyślna wiadomość jest taka, że typuje dobrze... jak na razie. Dow spadł o setkę, a jeśli spojrzysz na licznik zysków/strat, jesteśmy do przodu o jakieś dwieście milionów od rozpoczęcia dnia.

– Ale przecież nie tak to miało działać – powtórzył Hoffmann. Oczywiście, musiało istnieć jakieś racjonalne wytłumaczenie, zawsze istniało. I on zamierzał je w końcu znaleźć. – Dobra, po pierwsze, czy mamy pewność, że te dane są prawdziwe? Możemy wierzyć w to, co widzimy na ekranach? Bo niewykluczone, że to również krecia robota. Albo wirus. – Przypomniał sobie obcy plik w systemie komputerowym doktor Polidori. – Może haker dostał się do systemu informatycznego firmy... wzięliśmy to pod uwagę?

– Nawet jeśli tak jest, to nie wyjaśnia sprawy krótkiej sprzedaży Vista Airways. a wierz mi, to zaczyna wyglądać na coś więcej niż zbieg okoliczności.

– Bo nie musi nim być. Już o tym rozmawialiśmy...

Quarry przerwał mu ze zniecierpliwieniem:

– Wiem, wiem, ale doszły nowe okoliczności. Wygląda na to, że katastrofa samolotu nie była wcale skutkiem awarii. Gdy samolot znajdował się już w powietrzu, na stronie internetowej jakichś islamskich terrorystów pojawiło się ostrzeżenie o bombie na pokładzie. FBI tego nie zarejestrowała; my tak.

Do Hoffmanna początkowo nie dotarło znaczenie słów współnika; został zarzucony zbyt wieloma informacjami jednocześnie.

– Ale przecież to wykracza daleko poza parametry VIXAL-a. To byłby niezwykle punkt przegięcia... coś jak przejście kwantowe.

– Myślałem, że mamy do czynienia z samouczącym się algorytmem.

– Owszem.

– To może czegoś się nauczył.

– Nie bądź głupcem, Hugo. To tak nie działa.

– W porządku, jeśli nie działa, to nie działa. Dobra, nie jestem ekspertem. Ale to nie zmienia faktu, że musimy szybko podjąć decyzję. Albo zawiesimy działanie VIXAL-a, albo będziemy musieli wyłożyć dwa i pół miliarda dolarów w gotówce, żeby banki pozwoliły nam grać dalej.

Do drzwi zapukała Marie-Claude i weszła.

– Jest już *monsieur* Genoud.

Quarry rzucił do Hoffmanna:

– Pozwól, że ja się tym zajmę. – Miał wrażenie, że gra z automatem i wszystko dzieje się jednocześnie.

Marie-Claude usunęła się na bok, żeby przepuścić byłego policjanta. Jego uwagę natychmiast zwróciła dziura w suficie.

– Wejdz, Maurice – powiedział Quarry. – Zamknij drzwi za sobą. Jak widzisz, zabawiliśmy się w majstra złotą rączkę i chcielibyśmy wiedzieć, czy możesz to w jakiś sposób wytłumaczyć.

– Nie sądzę – odparł Genoud, zatraskując drzwi. – Dlaczego miałbym?

– Na Boga, twardej z niego, Hugo. Pokaż mu to – zauważył Hoffmann.

Quarry wyciągnął rękę.

– Spokojnie, Alex. Poczekaj chwilę, dobrze? W porządku, Maurice. Tylko nie wstawiaj nam kitu. Musimy wiedzieć, od jak dawna to trwa. Kto cię opłaca? I czy to ty grzebałeś w naszych systemach komputerowych. To pilna sprawa, bo jesteśmy w bardzo niestabilnej sytuacji finansowej. Nie chcielibyśmy zgłaszać tego na policję, ale zrobimy to, jeśli nie będziemy mieli wyjścia. Wszystko więc zależy od ciebie i radziłbym ci postawić na całkowitą szczerość.

Po krótkiej chwili Genoud spojrzał na Hoffmanna.

– Mogę mu powiedzieć?

– Co takiego? – zapytał Hoffmann.

– Stawia mnie pan w bardzo niezręcznej sytuacji, doktorze Hoffmann.

– Nie wiem, o czym on mówi – zwrócił się Hoffmann do Quarry’ego.

– W tych okolicznościach nie może pan liczyć na moją dyskrecję – powiedział Genoud do Quarry’ego. – Sam doktor Hoffmann mi to zlecił.

W jego kłamliwym oświadczeniu była taka jawna bezczelność, że Hoffmann miał ochotę go uderzyć.

– Ty dupku – wycedził. – Myślisz, że ktokolwiek ci uwierzy?

Genoud ciągnął nieporuszony, zwracając się bezpośrednio do Quarry’ego i zupełnie ignorując Hoffmanna.

– Mówię prawdę. Gdy wprowadziliście się do tych pomieszczeń, wydał mi polecenie, żebym zainstalował ukryte kamery. Domyślałem się, że nie poinformował was o tym. Ale jest prezesem firmy, więc uznałem, że ma do tego prawo. Taka jest prawda, przysięgam.

Hoffmann uśmiechnął się pod nosem i pokręcił głową.

– Hugo, to kompletne bzdury. Przez cały dzień wmawia mi się to samo. Nie odbyłem żadnej rozmowy z tym gościem o zainstalowaniu kamer. po co miałbym filmować własnych pracowników? Albo zlecać założenie pluskwy we własnym telefonie? To absolutne bzdury – powtórzył.

– Nie odbyliśmy żadnej rozmowy – oświadczył Genoud. – Jak pan dobrze wie, doktorze Hoffmann, otrzymuję od pana polecenia e-mailem.

E-mail – znowu!

– Naprawdę chce mi pan powiedzieć, że zamontował te wszystkie kamery i nigdy w ciągu następnych miesięcy, mimo że to musiało kosztować tysiące franków, nie rozmawiał pan ze mną na ten temat? – zapytał Hoffmann.

– Nie.

Hoffmann wydał dźwięk, wyrażający jednocześnie pogardę i niedowierzenie.

Quarry odezwał się do Genouda:

– Rzeczywiście, trudno w to uwierzyć. Czy nie wydało się to panu dziwne?

– Nieszczególnie. Odniosłem wrażenie, że wszystko jest jak z podręcznika, by się tak wyrazić. Że doktor Hoffmann nie chce się przyznać do tego, co robi. Kiedyś próbowałem porozmawiać z nim o tym, niebezpośrednio. Ale on spojrział na mnie dziwnie.

– To całkiem zrozumiałe, no nie? Nie wiedziałem, o czym pan mówi. I jak, do licha, miałem panu za to wszystko zapłacić?!

– Przelewem – wyjaśnił Genoud – z banku na Kajmanach.

Hoffmann szybko uniósł głowę. Quarry popatrzył na niego z uwagą.

– Dobra – ustąpił – przypuśćmy, że istotnie dostał pan ode mnie te e-maile. Skąd pan wiedział, że to ja je wysyłałem, a nie ktoś inny, kto się za mnie podawał?

– Nie zastanawiałem się nad tym. To pańska firma, pański adres e-mailowy, pański rachunek bankowy. I jeśli mam być szczery, doktorze Hoffmann, ma pan reputację człowieka, z którym trudno się porozumieć.

Hoffmann przeklął i z frustracji uderzył pięścią w blat biurka.

– Znowu to samo. Rzekomo zamówiłem Darvina przez internet. Rzekomo wykupiłem wszystkie prace Gabrielle przez internet. Rzekomo zwróciłem się do szaleńca przez internet, żeby mnie zamordował. – Mimowolnie ujrzał przed oczami makabryczną scenę, która rozegrała się w pokoju hotelowym, głowę nieżyjącego mężczyzny opadającą jak zwiędły kwiat. Na kilka minut o tym wszystkim zapomniał. Uświadomił sobie, że Quarry spogląda na niego z konsternacją. – Kto mi to robi, Hugo? – zapytał z rozpaczą. – I filmuje? Musisz mi pomóc to wyjaśnić. To jak koszmar, z którego nie mogę się obudzić.

Quarry'emu kręciło się w głowie od tego wszystkiego. Z trudem zachowywał spokojny ton głosu.

– Oczywiście, że ci pomogę, Alex. Spróbujmy dotrzeć do sedna całej tej sprawy i skończmy z tym. – Odezwał się do Genouda: – Dobra, Maurice, pewnie zachowałeś te e-maile?

– Jasne.

– Masz do nich dostęp?

– Mogę mieć, jeśli sobie panowie życzyście. – Genoud stał się bardzo sztywny i oficjalny podczas tej wymiany zdań, stał wyprostowany, jakby ugodzono jego honor byłego funkcjonariusza policji. Co było dość zabawne, pomyślał Quarry, bo niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, to on założył te wszystkie urządzenia szpiegowskie.

– Skoro tak, pokaż nam je. Pozwól mu skorzystać ze swojego komputera, Alex.

Hoffmann wstał z fotela jak w transie. Pod jego stopami zachrzęściły kawałki czujnika dymu. Z namysłem spojrział na sufit, który sam zdewastował. Tam, gdzie kiedyś znajdował się czujnik, ział ciemny otwór. W środku, w miejscu, w którym stykały się druty, co jakiś czas pojawiała się białoniebieska iskra. Odniósł wrażenie, że w głębi coś się poruszyło.

Zamknął oczy i zobaczył pod powiekami tamtą iskrę, tak jakby patrzył w słońce. Zaświtało mu w głowie podejrzenie.

Genoud, który pochylił się nad komputerem, zawołał triumfalnie:

– Jest!

Wyprostował się i stanął z boku, żeby Hoffmann i Quarry mogli przeczytać e-maile. Przefiltrował zachowane wiadomości tak, żeby zostały tylko te od Hoffmanna – było ich mnóstwo, datowane od przeszło roku. Quarry ujął myszkę i zaczął je otwierać na chybił trafił.

– Obawiam się, że wszystkie noszą twój adres e-mailowy, Alex – stwierdził. – Bez dwóch zdań.

– Uhm, na pewno, ale ja ich nie wysłałem.

– Jeśli nie ty, kto to zrobił?

Hoffmann się zamyślił. To już nie było hakerstwo, włamanie do systemu, użycie klonu serwera, lecz coś bardziej fundamentalnego, jakby firma nagle wdrożyła bliźniaczy system komputerowy.

Quarry wciąż czytał e-maile.

– Nie wierzę własnym oczom – stwierdził. – Szpiegowałeś siebie samego we własnym domu...

– Nie lubię się powtarzać, ale zapewniam cię, że to nie moja robota.

– Przykro mi, Alex, ale się mylisz. Posłuchaj tego: *Do: Genoud. Od: Hoffmann. Natychmiast wstrzymać dwudziestoczworgodziną obserwację Colony za pomocą kamer komputerowych...*

– Daj spokój, stary. Czyja tak mówię? Nikt tak nie mówi.

– Ktoś musi, dowód jest na ekranie.

Hoffmann nagle zwrócił się do Genouda:

– Dokąd idą wszystkie informacje? Co dzieje się z obrazami, nagraniami audio?

– Jak pan wie – odpowiedział Genoud – wszystko jest przesyłane w postaci strumienia danych cyfrowych do zabezpieczonego serwera.

– Ale przecież to muszą być tysiące godzin! – wykrzyknął Hoffmann. – Kto miałby czas, żeby przeglądać taki materiał? Ja na pewno nie mógłbym tego robić. Trzeba by całego sztabu ludzi, i to pełnych poświęcenia. Doba musiałaby mieć więcej niż dwadzieścia cztery godziny.

Genoud wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Często sam się nad tym zastanawiałem. Ale robiłem, co mi kazano.

Tylko komputer mógłby przetworzyć taką liczbę danych, pomyślał Hoffmann. I musiałyby być wyposażony w najnowszą technologię rozpoznawania rysów twarzy; i rozpoznawania głosu; narzędzia poszukiwawcze...

Z zamyślenia wyrwał go kolejny okrzyk Quarry'ego:

– A kiedy to wzięliśmy w leasing pomieszczenia przemysłowe w Zimeysie?!

– Powiem panu kiedy, panie Quarry: dokładnie sześć miesięcy temu. To duży obiekt, przy Route de Clerval pięćdziesiąt cztery. Doktor Hoffmann zamówił do niego specjalny nowy system zabezpieczeń i nadzoru.

– Co tam się znajduje? – zapytał Hoffmann.

– Komputery.

– Kto je tam umieścił?

– Nie wiem. Firma komputerowa.

– Więc kontaktuję się e-mailowo nie tylko z panem? Ale także z całym firmami?

– Skąd mam wiedzieć. Pewnie tak.

Quarry nadal przeglądał e-maile.

– To niewiarygodne – zwrócił się do Hoffmanna. – Z tego wynika, że cały ten budynek należy do ciebie.

– To prawda, doktorze Hoffmann – potwierdził Genoud. – Zawarł pan ze mną umowę na jego ochronę. Dlatego byłem na miejscu, gdy pan zadzwonił.

– Tak jest czy nie? – zapytał Quarry. – Budynek jest twoją własnością?

Hoffmann jednak już nie słuchał. Wrócił myślami do czasów, gdy pracował w CERN-ie i Bob Walton skierował do szefów komitetów badań naukowych, łącznie z komitetem nadzoru urzędów komputerowych, notatkę służbową, w której zalecał zamknięcie AMR-1, projektu badawczego Hoffmanna. Dołączył do niej ostrzeżenie wydane przez Thomasa S. Raya, inżyniera oprogramowania i profesora zoologii na Uniwersytecie Oklahomy, następującej treści: „...swobodnie ewoluujące autonomiczne sztuczne byty należy uważać za potencjalne zagrożenie dla życia organicznego i trzeba sprawować nad nimi kontrolę, przynajmniej dopóki dobrze nie pozna się ich prawdziwych możliwości... Ewolucja wciąż pozostaje procesem niezależnym, mającym na celu interes danego gatunku, a nawet interesy organizmów cyfrowych mogą być sprzeczne z naszymi”.

Wciągnął powietrze w płuca.

– Hugo, muszę z tobą porozmawiać... w cztery oczy.

– Dobrze, nie ma sprawy. Maurice, możesz zostawić nas samych na kilka minut?

– Nie, on niech tu zostanie i zacznie sprzątać po sobie. – Zwrócił się do Genouda. – Chciałbym, żeby pan skopiował wszystkie e-maile, które dostał pan ode mnie. Poproszę także o listę prac, jakie pan wykonał rzekomo na moje polecenie. Zwłaszcza interesuje mnie to, co miało związek z obiektem przemysłowym w Zimeysie. Potem niech pan zacznie demontować kamery i urządzenia podsłuchowe we wszystkich należących do nas budynkach, poczynając od mojego domu. Chcę, aby przystąpiono do tego jeszcze dziś wieczorem. Rozumie pan?

Genoud spojrzał na Quarry'ego, jakby czekał na potwierdzenie. Ten się zawahał, a potem skinął głową. Genoud odparł krótko:

– Jak pan sobie życzy.

Hoffmann i Quarry zostawili go w gabinecie. Gdy wyszli na zewnątrz i zamknęli za sobą drzwi, Quarry zaczął:

– Mam nadzieję, Alex, że potrafisz to wszystko wytłumaczyć, bo muszę ci powiedzieć, że...

Hoffmann ostrzegawczo podniósł palec i wskazał wzrokiem czujnik dymu nad biurkiem Marie-Claude.

Quarry odparł z ciężkim westchnieniem:

– Dobra, rozumiem. Chodźmy do mojego gabinetu.

– Nie. Nie tutaj. Tu nie jest bezpiecznie. Tam... Hoffmann zaprowadził go do łazienki i zamknął drzwi.

Części detektora dymu leżały tam, gdzie je zostawił, obok umywalki. Ledwie rozpoznawał samego siebie w lustrze. Wyglądał jak ktoś, kto uciekł z najpilniej strzeżonego skrzydła szpitala psychiatrycznego.

– Hugo, myślisz, że zwariowałem? – zapytał.

– Skoro pytasz, tak, do cholery! W każdym razie to bardzo prawdopodobne. Sam już nie wiem.

– W porządku. Nie mam do ciebie pretensji, jeśli rzeczywiście tak uważasz. Doskonale zdaję sobie sprawę, jak to musi wyglądać... i to, co powiem, wcale cię nie uspokoi. – Nie mieściło mu się w głowie, że sam to mówi. – Według mnie przyczyną naszych problemów jest VIXAL.

– Zwiększenie delty?

– Zwiększenie delty, ale także możliwość, że system robi więcej, niż od niego oczekiwałem.

Quarry popatrzył na niego spod zmrużonych powiek.

– O czym ty mówisz? Nie nadążam za tobą...

Drzwi się uchyliły i ktoś chciał wejść. Quarry jednak zablokował je łokciem.

– Nie teraz – rzucił, nie odrywając wzroku od Hoffmanna. – Spadaj stąd. Sikaj do wiadra, jeśli musisz, dobra?

– Jasne, Hugo – odpowiedział męski głos.

Quarry zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

– W jakim sensie więcej niż od niego oczekiwałeś?

– Być może VIXAL podejmuje decyzje, które nie są zgodne z naszym interesem – wyjaśnił Hoffmann ostrożnie.

– Interesem jako firmy, tak?

– Nie. Naszym interesem... jako gatunku ludzkiego.

– Czy to nie to samo?

– Niekoniecznie.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że jakimś cudem działa samodzielnie... szpieguje nas i tak dalej?

Oddając mu sprawiedliwość, Hoffmann pomyślał, że Quarry przynajmniej traktuje sprawę poważnie.

– Nie wiem. Nie wierzę, że sam to mówię. Dopóki nie zdobędziemy dość informacji, żeby mieć co do tego pewność, musimy postępować bardzo ostrożnie. Przede wszystkim trzeba pozbyć się pozycji na giełdzie. To może być niebezpieczne... i to nie tylko dla nas.

– Nawet jeśli na tym zarabiamy?

– Tu nie chodzi już tylko o pieniądze... nie możesz choć raz zapomnieć o forsie?! – Hoffmannowi coraz trudniej było zachować zimną krew, ale zdołał dokończyć spokojnie: – Gra toczy się o wyższą stawkę.

Quarry założył ręce na piersi i zastanawiał się przez chwilę, patrząc na wyłożoną terakotą podłogę.

– Jesteś pewien, że możemy podjąć taką decyzję?

– Tak, jestem pewien. Proszę, zaufaj mi, choćby przez wzgląd na ostatnie lata, dobrze? Ostatni raz, obiecuję ci. Od jutra ty tu będziesz dowodził.

Przez długi moment patrzyli na siebie wzajemnie, fizyk i finansista. Quarry naprawdę nie miał pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. Ale jak

później powiedział, firma należała przecież do Hoffmanna – to jego geniusz ściągnął do niej klientów i jego system zarabiał pieniądze, więc i jego wola decydowała o dalszym postępowaniu.

– To twoje dziecko – powiedział w końcu. Odsunął się od drzwi.

Hoffmann ruszył do działu transakcji. Poczował się lepiej, gdy przystąpił do działania, podjął walkę. Quarry podążył za nim.

Hoffmann klasnął w ręce.

– Posłuchajcie mnie, panowie! – Wszedł na krzesło, żeby kwanci widzieli go lepiej. Znowu zaklaskał. – Chodźcie tu do mnie na chwilę.

Na jego wezwanie wszyscy wstali sprzed ekranów, jak armia duchów z doktoratami. Hoffmann widział, że podchodząc, wymieniali spojrzenia, niektórzy szeptali między sobą. Najwyraźniej wszyscy byli zaniepokojeni tym, co się działo. Van der Zyl wyszedł ze swojego gabinetu, podobnie jak Ju-Long; nie widać było tylko Rajamaniego. Odczekał, aż kilku maruderów z działu wdrażania przejdzie między biurkami, a potem odchrząknął.

– Dobra, wystąpiło kilka anomalii... łagodnie mówiąc... z którymi musimy sobie poradzić... i myślę, że ze względów bezpieczeństwa powinniśmy przystąpić do zamykania pozycji, które zajęliśmy w ciągu ostatnich kilku godzin.

Przerwał na chwilę. Nie chciał spowodować paniki. Pamiętał także o detektorach dymu rozmieszczonych na całym suficie. Wszystko, co mówił, było prawdopodobnie monitorowane.

– To wcale nie musi znaczyć, że mamy problem z VIXAL-em, ale musimy się zatrzymać i sprawdzić, dlatego postępuje tak, a nie inaczej. Nie wiem, jak długo to potrwa, więc na razie przywracamy deltę... wesprzyjcie ją pozycjami długimi na innych rynkach, a nawet przystąpcie do likwidacji niektórych pozycji krótkich, jeśli będzie trzeba. Jednym słowem, spieprzamy, skąd się da.

Quarry rzucił do Hoffmanna i całej reszty:

– Ale działajmy ostrożnie. Jeśli zbyt szybko zaczniemy zamykać pozycje tej wielkości, wpłynie to na cenę.

Hoffmann pokiwał głową.

– To prawda, ale VIXAL pomoże nam uzyskać optima nawet w stanie zawieszenia. – Spojrzał na szereg zegarów pod wielkimi ekranami telewizyjnymi. – Mamy jeszcze ponad trzy godziny do zamknięcia w Ameryce. Imre, zajmiesz się z Dieterem obligacjami i walutami? Franco i Jon, weźcie po trzech albo czterech ludzi i podzielcie między siebie akcje

i branży. Kolya, ty zrobisz to samo z indeksami. Wszyscy inni wracają do swoich zajęć.

– Jeśli napotkacie jakiegokolwiek problemy – znowu włączył się Quarry – Alex i ja służymy wam pomocą. Mogę jeszcze tylko powiedzieć jedno: niech wam się nie wydaje, że dajemy tyły. Zarobiliśmy dziś dodatkowe dwa miliardy w nowych inwestycjach... więc firma ma się dobrze, rozumiemy się? Czy to jasne? Za dwadzieścia cztery godziny ponownie ocenimy sytuację i przejdziemy do ataku na jeszcze większą skalę. Jakies pytania? – Ktoś podniósł rękę. – Tak?

– To prawda, że właśnie zwolniłeś Ganę Rajamaniego?

Hoffmann ze zdziwieniem zerknął na Quarry'ego. Myślał, że wspólnik wstrzyma się z tym, dopóki nie zażegnają kryzysu.

Quarry nie dał się zbić z tropu.

– Gana chciał pojechać na kilka tygodni do rodziny w Londynie. – Ze strony zebranych dały się słyszeć okrzyki zdziwienia. Quarry podniósł rękę: – Mogę was zapewnić, że całkowicie popiera nasze działania. Czy ktoś jeszcze chce zaryzykować swoją karierę, zadając mi kolejne podstępne pytanie? – Rozległy się nerwowe śmiechy. – Jeśli nie, to...

Hoffmann dodał:

– Jest jeszcze jedna sprawa, Hugo. – Patrząc na zwróconych ku niemu kwantów, nagle po raz pierwszy poczuł z nimi solidarność. To on zwerbował każdego z nich. Ten zespół był jego drużyną; pomyślał, że może minąć dużo czasu, zanim będzie miał kolejną okazję rozmawiać z nimi wszystkimi razem, jeśli w ogóle. – Mogę coś do tego dorzucić? Jak niektórzy z was się pewnie domyślają, to naprawdę sądny dzień. Jednak cokolwiek się ze mną stanie, chcę powiedzieć wam wszystkim... i każdemu z osobna... – Musiał przerwać i przełknąć ślinę. Ku swojemu przerażeniu stwierdził, że łzy napływają mu do oczu i w gardle dławi go ze wzruszenia. Spojrzał pod nogi, próbując odzyskać panowanie nad sobą, a potem podniósł głowę. Musiał się pospieszyć, bo inaczej całkiem by się rozsypał. – Chcę po prostu wam powiedzieć, że jestem bardzo dumny z tego, co razem dokonaliśmy. Nigdy nie chodziło w tym o pieniądze... w każdym razie tak było w moim przypadku i chyba większości z was. Dziękuję wam. To wiele dla mnie znaczy. I tyle.

Nie było oklasków, zapanowało natomiast zdumienie. Hoffmann zszedł z krzesła. Quarry patrzył na niego dziwnie, ale szybko ochłonął i zawołał:

– Dobra, wszyscy, koniec gadania! Na galery, niewolnicy, i do wiosł.
Nadchodzi sztorm.

Gdy kwanci zaczęli się rozchodzić, Quarry rzucił do Hoffmanna:

– To zabrzmiało jak mowa pożegnalna.

– Nie było to moją intencją.

– Cóż. Takie odniosłem wrażenie. Co miałeś na myśli, mówiąc:
„Cokolwiek się ze mną stanie”?

Zanim Hoffmann zdążył odpowiedzieć, ktoś zawołał:

– Alex, mogę cię prosić na chwilę?! Chyba mamy problem.

16

Życie rozumne na planecie dojrzewa dopiero wtedy, gdy po raz pierwszy uświadamia sobie przyczyny swojego własnego istnienia.

Richard Dawkins, *Samolubny gen* (1976),

przekład Marka Słonecznego, Prószyński i Spółka,

Warszawa 2012

To, co potem oficjalnie nazwano „kompleksową awarią systemu”, nastąpiło w Hoffmann Investment Technologies o godzinie dziewiętnastej czasu środkowoeuropejskiego. Dokładnie w tym samym momencie niemal cztery tysiące mil dalej, o trzynastej czasu urzędowego wschodnioamerykańskiego, odnotowano niezwykłą aktywność na giełdzie nowojorskiej. Spowodowało to takie wahanie cen akcji kilkudziesięciu przedsiębiorstw, że automatycznie uruchomiły się tak zwane LRP, *liquidity replenishment points*. Przewodniczący US Securities i Exchange Commission wyjaśnił potem w swoim zeznaniu przed Kongresem:

LRP najlepiej porównać z hamulcami, które mają za zadanie ustabilizować płynność handlu akcjami poprzez czasowe przerzucenie ich z rynku automatycznego do sterowanego ręcznie, na zasadzie aukcji, gdy zmiana cen akcji osiągnie określony poziom. W takich przypadkach handel tymi akcjami na NYSE zostaje zawieszony na pewien czas, co pozwala market makerowi uzyskać dodatkową płynność przed powrotem do notowań automatycznych⁴.

Jednakże była to tylko mechaniczna interwencja, nic nadzwyczajnego, i na tym etapie stosunkowo ograniczona. Niewielu ludzi w Ameryce zwróciło uwagę na to, co działo się na giełdzie przez następne pół godziny, a z całą pewnością nie był tego świadomy żaden z kwantów Hoffmann Investment Technologies.

* * *

Człowiek, którego wezwał Hoffmann przed swoje sześć ekranów, nazywał się Croker, zrobił doktorat w Oksfordzie i Hoffmann ściągnął go z Rutherford Appleton Laboratory podczas tej samej podróży, w trakcie której Gabrielle wpadła na pomysł artystycznego przetworzenia skanów ludzkiego ciała. Croker próbował przełączyć algorytm na sterowanie

manualne, aby przystąpić do likwidacji dużej pozycji VIX-a, ale system odmówił mu dostępu.

– Daj, ja spróbuję – poprosił Hoffmann. Zajął miejsce Crokera i wystukał na klawiaturze swoje hasło, które dawało mu nieograniczony dostęp do całego systemu VIXAL, ale tym razem nawet jego żądanie szczególnych uprawnień operacyjnych spotkało się z odmową. Próbował więc ukryć strach.

Gdy Hoffmann bez skutku klikał myszką i próbował na różne sposoby dostać się do systemu, Quarry stał za nim i patrzył mu przez ramię, razem z van der Zylem i Ju-Longiem. Był zadziwiająco spokojny; popadł nawet w rezygnację. Gdzieś w głębi duszy zawsze wiedział, że to nastąpi, tak samo jak zawsze, gdy zapinał pasy bezpieczeństwa w samolocie, spodziewał się, że zginie w katastrofie. Zawierając sterowanej przez kogoś innego maszynie, człowiek zdawał się na los. Po chwili zapytał więc tylko:

– Rozumiem, że ostatecznym rozwiązaniem jest wyłączenie zasilania temu cholerstwu?

Hoffmann odpowiedział, nie odwracając głowy:

– Ale jeśli to zrobimy, po prostu przestaniemy działać i kropka. Nie będziemy mogli zlikwidować naszych obecnych pozycji; po prostu zostaniemy z nimi i już.

W całej sali rozlegały się ciche okrzyki zdumienia i przerażenia. Kwanci, jeden po drugim, odchodzili od swoich terminali, żeby popatrzeć na to, co robi Hoffmann. Jak widzowie gromadzący się wokół gracza układającego gigantyczne puzzle, niektórzy od czasu do czasu występowali z jakąś sugestią: czy Hoffmann nie sądzi, że ten element pasuje tu? Może lepiej by było spróbować inaczej? On jednak nie zwracał na nich uwagi. Nikt nie znał VIXAL-a tak dobrze jak on; sam go zaprojektował.

Na wielkich ekranach jak zwykle ukazywały się popołudniowe doniesienia z Wall Street. W wiadomościach skupiano się przede wszystkim na demonstracjach w Atenach przeciwko oszczędnościom wprowadzanym przez grecki rząd – zastanawiano się, czy Grecja zbankrutuje, zaraza się rozprzestrzeni, euro padnie. Fundusz hedgingowy jednak wciąż zarabiał pieniądze: w pewnym sensie to było najdziwniejsze ze wszystkiego. Quarry odwrócił się na chwilę, żeby spojrzeć na licznik zysków/strat tuż obok: byli do przodu o prawie trzysta milionów od początku dnia. W głębi duszy wciąż zachodził w głowę, dlaczego tak desperacko usiłują obejść algorytm. Stworzyli z silikonowych chipów istnego króla Midasa; jak to możliwe, że

maszyna przynosząca człowiekowi takie pieniądze mogła zwrócić się przeciwko niemu?

Nagle Hoffmann uniósł ręce znad klawiatury w dramatycznym geście pianisty koncertowego kończącego swój występ.

– Nie jest dobrze. Program nie odpowiada. Myślałem, że uda nam się chociaż zlecić normalne zamknięcie, ale to też nie wchodzi w grę. Trzeba wyłączyć cały system i poddać go kwarantannie, dopóki się nie dowiemy, co jest z nim nie tak.

– Jak to zrobimy? – zapytał Ju-Long.

– Może zwyczajnie, w tradycyjny sposób? – zaproponował Quarry. – Odłączmy VIXAL-a od internetu, zadzwońmy do brokerów albo skontaktujmy się z nimi e-mailem i zlecmy im zamknięcie pozycji?

– Musielibyśmy w wiarygodny sposób wyjaśnić, dlaczego nie używamy już algorytmu, żeby zrobić to bezpośrednio na parkiecie.

– Żaden problem – stwierdził Quarry. – Wyciągniemy wtyczki, a potem powiemy, że w pomieszczeniu z komputerami wysiadł prąd, a my musimy wycofać się z rynku, zanim usterka zostanie naprawiona. To jak wszystkie dobre kłamstwa nosi znamiona prawdopodobieństwa.

– Rzeczywiście, musimy jakoś przeżyć tylko dwie godziny i pięćdziesiąt minut, bo potem rynki zostaną zamknięte. A pojutrze jest już weekend. W poniedziałek rano wyjdziemy na prostą i będziemy bezpieczni... jeśli rynki tymczasem się nie odbiją – zauważył van der Zyl.

– Dow spadł o cały procent – zauważył Quarry. – Tak samo S&P pięćset. W strefie euro nie dzieje się nic dobrego, więc te afery z zadłużeniem... nie ma takiej możliwości, żeby ten rynek pozbierał się do końca dnia. – Czterej kierownicy popatrzyli na siebie wzajemnie. – To co? Zgoda? – Wszyscy skinęli głowami.

– Ja to zrobię – oświadczył Hoffmann.

– Pójdę z tobą – zaproponował Quarry.

– Nie. Ja go włączyłem, to i ja go wyłączę.

Miał wrażenie, że od działu transakcji do pomieszczenia z komputerami prowadzi długa droga. Czuł na swoich plecach spojrzenia wszystkich pracowników i pomyślał, że gdyby to był film science fiction, nie udałoby się dostać do płyt głównych. Ale kiedy zwrócił twarz w stronę skanera, rygle odskoczyły i drzwi się otwały. W zimnym, ciemnym, hałaśliwym pomieszczeniu mrugał do niego las oczu. Miał wrażenie, że dopuszcza się morderstwa; czuł się tak jak kiedyś w CERN-ie, gdy kazali mu zamknąć

projekt. Mimo to otworzył metalową skrzynkę i ujął rączkę wyłącznika. To tylko koniec pewnego etapu, powiedział sobie: prace będą trwały nadal, jeśli nie pod jego kierunkiem, to kogoś innego. Przesunął dźwignię i po kilku sekundach diody zgasły, a szum ustał. W złowróżbnej ciszy, która zapadła, słychać było jedynie klimatyzację. Zrobiło się ponuro i zimno jak w kostnicy. Hoffmann ruszył w stronę drzwi, przez które wpadało światło.

Gdy zbliżał się do grupy kwantów skupionych wokół sześciu ekranów, wszyscy odwrócili się, aby na niego spojrzeć. Nie potrafił jednak niczego wyczytać z ich twarzy.

– Co się stało? Nie udało ci się? – zapytał Quarry.

– Owszem, udało się. Wyłączyłem. – Oderwał wzrok od zdziwionej twarzy współnika i spojrzał na ekrany: VIXAL wciąż pracował. Zaskoczony, podszedł do terminalu i popatrzył kolejno na ekrany.

Quarry zwrócił się cicho do jednego z kwantów:

– Idź tam i sprawdź, dobra?

Hoffmann się obruszył:

– Potrafię wyłączyć to świństwo, Hugo! Jeszcze na tyle nie zwariowałem, aby stracić rozeznanie, gdzie się włącza i wyłącza zasilanie. Mój Boże... spójrz na to! – VIXAL nie przestał handlować na żadnym z rynków: sprzedawał na krótko w euro, skupował obligacje skarbowe, dodawał do swoich pozycji kontrakty terminowe na VIX-a.

Kwant zawołał z progu pomieszczenia komputerowego:

– Zasilanie wyłączone!

Rozległy się pełne niepokoju pomruki.

– To jak działa algorytm, jeśli nie na naszym sprzęcie? – zapytał ostro Quarry.

Hoffmann nie odpowiedział.

– O to samo zapyta was nadzór finansowy – odezwał się Rajamani.

Później nikt nie potrafił powiedzieć, jak długo ich obserwował. Ktoś mówił, że Rajamani przez cały czas był w swoim gabinecie; widziano, jak wyglądał zza rozchylonych żaluzji, gdy Hoffmann przemawiał do pracowników działu transakcji. Ktoś inny twierdził, że natknął się na niego przy dodatkowym terminalu w sali konferencyjnej; miał ze sobą nośnik pamięci i kopiował na nią dane. Jeszcze inny kwant, również Hindus, przyznał się nawet, że Rajamani podszedł do niego we wspólnej kuchni i zapytał go, czy nie chciałby zostać jego informatorem wewnątrz firmy. W nieco historycznej atmosferze, która miała zapanować w Hoffmann

Investment Technologies, heretycy i uczniowie, odszczepieńcy i męczennicy podzielili się na różne frakcje, niełatwo było ustalić prawdę. Wszyscy zgadzali się tylko co do jednego: Quarry popełnił poważny błąd, nie każąc ochronie wyprowadzić z biura menedżera ryzyka firmy, w chwili gdy go zwolnił; w chaosie, który nastąpił, po prostu o nim zapomniał.

Rajamani stał na progu działu transakcji, w rękach trzymał niewielkie kartonowe pudełko zawierające rzeczy osobiste – zdjęcia z uroczystego zakończenia studiów i ze ślubu, fotografie dzieci; puszkę herbaty Darjeeling, którą trzymał w służbowej lodówce i której nikomu nie wolno było dotykać; doniczkowego kaktusa w kształcie uniesionego kciuka; oprawiony w ramki odręczny list od szefa wydziału do spraw gospodarczych Scotland Yardu, który dziękował mu za pomoc w rozwiązaniu sprawy będącej czubkiem góry lodowej; miała ona stanowić zapowiedź nowych czasów w egzekwowaniu prawa na terenie City, ale została oddalona podczas apelacji.

– Powiedziałem ci chyba, żebyś się wynosił – odezwał się szorstko Quarry.

– Zamierzam to zaraz zrobić – odciął się Rajamani – ale może chciałbyś wiedzieć, że umówiłem się na jutro rano w Ministerstwie Finansów. Ostrzegam was wszystkich, że grozi wam sprawa karna, więzienie i grzywny w wysokości milionów dolarów za współudział w prowadzeniu firmy, która nie powinna grać na giełdzie. To najwyraźniej niebezpieczna technologia, która wymknęła się spod kontroli, i gwarantuję wam obu, Alex i Hugo, że SEC i FSA⁵ pozbawią was dostępu do wszystkich rynków w Ameryce i Londynie do czasu zakończenia śledztwa. Wstyďte się obaj. Wszyscy się wstyďte.

Tylko dzięki swojej pewności siebie Rajamani zdołał wygłosić tę tyradę nad puszką herbaty i kaktusem w kształcie uniesionego kciuka z całą godnością. Obrzuciwszy szefów i kolegów gniewnym, pełnym wzgardy spojrzeniem, uniósł głowę i ruszył w stronę recepcji. Niejednemu z zebranych stanął wtedy przed oczami obraz pracowników Lehman Brothers, opuszczających miejsce pracy ze swoimi rzeczami w kartonach.

– Dobra, spieprzaj już stąd! – zawołał za nim Quarry. – Przekonasz się, że z dziesięcioma miliardami dolarów możemy mieć na usługach tylu prawników, ilu zechcemy. I jeszcze wytoczymy ci proces za złamanie warunków umowy. Zrobimy z ciebie miazgę, zobaczysz!

– Poczekaj! – krzyknął Hoffmann.

– Zostaw go, Alex – zwrócił się do niego Quarry – nie dawaj mu satysfakcji.

– Ale on ma rację, Hugo. Czai się tu wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli VIXAL wymknął się spod kontroli, może stanowić naprawdę poważne zagrożenie dla systemu.

Powinniśmy mieć Rajamaniego po naszej stronie, dopóki nie wymyślimy, jak z tego wybrnąć.

Pobiegł za Rajamanim, nie zważając na protesty Quarry'ego, ale Hindus przyspieszył kroku i opuścił już recepcję. Hoffmann dogonił go przy windach. Korytarz był pusty.

– Gana! – zawołał. – Proszę cię. Pogadajmy.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, Alex. – Kurczowo ścisnął w rękach karton. Stał zwrócony plecami do panelu z przyciskami i łokciem przywołał windę. – Nie mam nic przeciwko tobie osobiście. Przykro mi.

Drzwi windy się otworzyły, Rajamani zrobił krok w tył, przekraczając je, i zniknął. Drzwi zasunęły się za nim cicho.

Hoffmann przez kilka sekund stał nieruchomo, nie bardzo wiedział, czego był właśnie świadkiem. Niepewnie ruszył korytarzem i wcisnął guzik przywołujący windę. Drzwi ponownie się otworzyły, odsłaniając przeszklony pusty szyb. Hoffmann zbliżył się do jego krawędzi i spojrzał w dół, w głąb przezroczystej kolumny, mierzącego z pięćdziesiąt metrów szybu, który nikł w mroku podziemnego parkingu na dole. Zawołał z rozpaczą: – Gana! – Nie było jednak odpowiedzi. Nasłuchiwał przez chwilę, ale nie usłyszał nawet krzyku. Rajamani spadł tak szybko, że nikt tego nie zauważył.

Hoffmann popędził korytarzem do wyjścia ewakuacyjnego i przeskakując po kilka stopni, zbiegł betonową klatką schodową przez wszystkie piętra aż do podziemia. Wpadł na parking i podbiegł do windy. Wcisnął palce między drzwi i próbował je rozsunąć, ale nie ustępowały. Już rozważał rozbicie szyby w jednym z samochodów, żeby dostać się do bagażnika po lewarek, gdy zauważył metalowe drzwi z błyskającym symbolem żarówki, które otworzył bez trudu. Za nimi znajdował się magazyn z narzędziami – były tam szczotki, łopaty, wiadra, młotek. Znalazł wśród nich łom prawie metrowej długości, wrócił biegiem pod drzwi windy i wetknął go pomiędzy nie, usiłując je otworzyć. Udało mu się rozewrzeć je na tyle, żeby wcisnąć najpierw stopę, potem kolano i wreszcie udo. Uruchomiło to jakiś mechanizm i drzwi wreszcie odskoczyły.

W dochodzącym z górnych pięter świetle Hoffmann zobaczył Rajamaniego. Hindus leżał w szybie windy twarzą do dołu. Spod jego głowy wypływała kałuża krwi, była wielkości dużego talerza i stale się powiększała. Wokół niego spoczywały zdjęcia w ramkach. Hoffmann wskoczył do szybu. Pod jego stopami zachrząściło zbite szkło. W powietrzu absurdalnie unosił się zapach herbaty. Hoffmann pochylił się i ujął rękę Rajamaniego, która wydała mu się makabrycznie ciepła i miękka, i po raz drugi tego dnia próbował wyczuć puls, ale i tym razem mu się to nie udało. Za nim, nieco powyżej, z lekkim stukotem zamknęły się drzwi. Gdy winda ruszyła w dół, Hoffmann w panice rozejrzał się wokół. Pasma światła zwięzało się szybko, w miarę jak kabina zjeżdżała, mijając piąte, a potem czwarte piętro. Chwycił łom i usiłował go wetknąć między drzwi, ale stracił podparcie. Upadł na plecy i leżał obok zwłok Rajamaniego; patrzył na zbliżający się wagonik windy i obiema rękami trzymał łom nad głową jak włócznię w obronie przed atakującym dzikim zwierzęciem. Poczul zalutujący smarem powiew na twarzy. Światło gasło powoli, aż znikło całkowicie, coś ciężkiego uderzyło go w ramię, a potem łom drgnął i osiadł w miejscu jak rozpora. Przez kilka sekund Hoffmann czuł, że narzędzie ledwo wytrzymało ciężar. Zaczął krzyczeć w całkowitych ciemnościach, w stronę podłogi windy, która musiała znajdować się zaledwie kilka cali od jego twarzy; miał świadomość, że łom lada chwila pęknie albo się zegnije. Ale wtedy ktoś na górze najwyraźniej przywołał windę, bo silnik zawył, łom opadł Hoffmannowi w ręce i kabina ruszyła w górę. Wznosiła się szybko katedralną kolumną ze szkła, pokonując kolejne piętra, a wewnątrz szybu znowu zalało jasne światło.

Podniósł się pospiesznie i wcisnął łom między drzwi, próbując je otworzyć. Po chwili udało mu się je lekko rozsunać. Winda tymczasem osiągnęła najwyższy punkt i stanęła. Po chwili rozległ się szcęk i zaczęła zjeżdżać ponownie. Hoffmann uniósł się i wetknął palce w wąską szczelinę. Rozstawił nogi, zaparł się i napiął mięśnie, rozsuwając dalej drzwi. Odrzucił głowę w tył i stęknął z wysiłku. Drzwi najpierw nieznacznie ustąpiły, a potem się rozwarły. Na jego plecy znowu padł cień i Hoffmann wraz z podmuchem powietrza, przy wtórze ryku maszynierii, rzucił się do przodu na betonową podłogę.

* * *

Leclerc był w swoim gabinecie na posterunku policji i już miał iść do domu, gdy odebrał telefon z informacją, że w hotelu przy Rue de Berne znaleziono zwłoki. Z opisu – pociągła twarz, spięte w kucyk włosy, skórzany płaszcz – od razu się domyślił, że to mężczyzna, który napadł na Hoffmanna. Przyczyną śmierci – usłyszał – było prawdopodobnie uduszenie, choć nie wiadomo, czy nastąpiło to w wyniku samobójstwa czy zabójstwa. Ofiara to Niemiec: Johannes Karp, wiek: pięćdziesiąt osiem lat. Leclerc drugi raz tego dnia zadzwonił więc do żony, aby jej powiedzieć, że musi zostać w pracy, wsiadł na tylne siedzenie wozu patrolowego i mimo godziny szczytu ruszył na północ na nabrzeże.

Przebywał na służbie już prawie od dwudziestu godzin i był wykończony jak stary pies. Ale na wiadomość o przypadku podejrzonej śmierci, których w Genewie nie zdarzało się więcej niż osiem rocznie, nabrał energii. Samochód, z włączonym kogutem, na sygnale, dając odczuć innym swoją ważność, przedarł się przez Boulevard Carl-Vogt, przejechał przez most i pomknął lewym pasem Rue de Sous-Terre, zmuszając pozostałe pojazdy, aby usunęły mu się z drogi. Leclerc, rzucany w różne strony na tylnym siedzeniu, zadzwonił do swojego szefa i zostawił mu wiadomość, że podejrzany w sprawie Hoffmanna nie żyje.

Przed hotelem Diodati przy Rue de Berne panowała niemal karnawałowa atmosfera – stały tam cztery wozy policyjne z błyskającymi niebieskimi światłami, jeszcze bardziej jaskrawymi o zmierzchu, przy zachmurzonym niebie; po drugiej stronie ulicy zebrał się spory tłum gapiów, a wśród nich kilka czarnych, skąpo ubranych prostytutek, żartujących sobie z miejscowymi; na wietrze powiewały pasiaste czarno-żółte taśmy, odgradzające miejsce zbrodni. Od czasu do czasu błyskał flesz. Ci ludzie są jak fani – pomyślał Leclerc, wysiadając z samochodu – czekają, aż pojawi się ich idol. Żandarm podniósł taśmę i Leclerc dał pod nią nura. Jako młody policjant, patrolujący ten rejon na piechotę, musiał znać z imienia wszystkie pracujące tu dziewczyny. Przyszło mu na myśl, że niektóre z nich muszą już być babkami; właściwie już wtedy jedna czy dwie nimi były.

Wszedł do hotelu. W latach osiemdziesiątych miejsce to nazywało się inaczej. Ale nie pamiętał jak. Wszyscy goście zostali zatrzymani w recepcji; nie wolno im było wyjść, dopóki nie złożą zeznań. Było między nimi kilka dziwek, a także para elegancko ubranych mężczyzn, którzy popełnili ten błąd, że tu przyszli, a teraz stali z dala od siebie i zażenowani,

zachowywali się opryskliwie. Leclercowi nie spodobała się maleńka winda, więc postanowił pójść po schodach i przystawał na każdym z pustych pięter, aby złapać oddech. Na korytarzu przed pokojem, w którym znaleziono ciało, kręcili się ludzie w mundurach i musiał włożyć kombinezon, białe lateksowe rękawiczki oraz czyste plastikowe ochraniacze na buty. Odmówił jednak naciągnięcia kaptura na głowę. Wyglądam jak jakiś przeklęty królik, pomyślał.

Nie znał oficera z wydziału dochodzeniowo-śledczego, który dowodził na miejscu przestępstwa – był to nowy, niejaki Moynier, prawdopodobnie jeszcze przed trzydziestką, chociaż trudno to było stwierdzić na pewno, bo miał kaptur na głowie, spod którego wзираła tylko okrągła różowa jak u niemowlęcia twarz. W pokoju, również ubrani w białe kombinezony, znajdowali się patolog i fotograf, obaj weterani, ale nie tak starzy jak Leclerc; nikt nie był tak stary jak Leclerc, który miał tyle lat co sama Jura. Obejrzał ciało wiszące na gałce u drzwi do łazienki. Głowa nad sznurem, który werznął się w szyję, zaczęła już czernieć. Na twarzy widniały różne zadrapania i otarcia. Jedno oko spuchło. Chudy i żyłasty, Niemiec wyglądał jak stary martwy kruk, pozostawiony przez farmera, żeby odstraszał inne ścierwojady. W łazience nie było włącznika światła, ale mimo to dało się zauważyć smugi krwi na muszli klozetowej. Zasłona prysznicowa odstawała od ściany; podobnie jak umywalka.

– Mężczyzna z sąsiedniego pokoju twierdzi, że około trzeciej słyszał odgłosy walki – odezwał się Moynier. – Krew jest także przy łóżku. Moje wstępne orzeczenie brzmi: morderstwo.

– Błyskotliwe – zauważył Leclerc.

Patolog zakaszłał, żeby pokryć parsknięcie śmiechem.

Moynier jednak nie zwrócił na to uwagi.

– Dobrze zrobiłem, dzwoniąc po pana? Sądzi pan, że to ten człowiek zaatakował pańskiego amerykańskiego finansistę?

– Wszystko na to wskazuje.

– Hm, mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, Leclerc, ale ja byłem tu pierwszy i to moja sprawa.

– Mój drogi kolego, ma pan oczywiście wolną rękę.

Leclerc zaczął się zastanawiać, co lokatora tego obskurnego pokoju mogło łączyć z właścicielem rezydencji w Cologny wartej sześćdziesiąt milionów dolarów. Na łóżku spoczywały zapakowane pojedynczo w plastikowe torebki rzeczy zamordowanego: ubrania, aparat fotograficzny,

dwa noże, płaszcz przeciwdeszczowy, rozcięty z przodu. Hoffmann miał taki sam, gdy przyjechał do szpitala – przypomniał sobie Leclerc. Wziął do ręki zasilacz sieciowy.

– Czy to nie do laptopa? – zapytał. – Gdzie on jest?

Moynier wzruszył ramionami.

– Tu go nie ma.

Zadzwoił jego telefon komórkowy. Miał go w kieszeni marynarki. Nie mógł się do niego dostać przez ten cholerny kostium królika. Z irytacją rozsunął zamek przy kombinezonie i ściągnął rękawiczki. Moynier próbował protestować, mówił coś o zacieraniu śladów, ale Leclerc odwrócił się do niego plecami. Dzwonił jego asystent, młody Lullin, który też został w pracy. Właśnie przeglądał popołudniowe zgłoszenia. Niejaka doktor Polidori z Vernier, psychiatra, zgłosiła przed kilkoma godzinami, że jeden z jej pacjentów zdradza potencjalnie niebezpieczne objawy schizofrenii – wdał się w jakąś bójkę, jak powiedziała – ale kiedy pod jej gabinet przyjechał wóz policyjny, faceta już nie było. Nazywał się Alexander Hoffmann. Lekarka nie знаła jego obecnego adresu, ale podała rysopis.

– Czy miał ze sobą laptopa? Wspomniała o tym? – zapytał Leclerc.

Nastąpiła chwila przerwy, rozległ się szelest notatek, i Lullin rzucił w odpowiedzi:

– Skąd pan wiedział?

* * *

Hoffmann, wciąż ściskając w dłoni łom, wbiegł po schodach na parter; zamierzał wszcząć alarm w sprawie Rajamaniego. Zatrzymał się jednak przy drzwiach na korytarz. Przez ich prostokątną szybkę zobaczył sześciu żandarmów w czarnych mundurach, którzy z bronią w rękach przebiegali w ciężkich butach przez recepcję, kierując się w głąb budynku; za nimi podążał zdyszany Leclerc. Gdy przeszli przez kołowrót, przejście zostało zablokowane i po obu jego stronach stanęli dwaj uzbrojeni policjanci.

Hoffmann zawrócił i wycofał się po schodach na parking. Wyjazd na ulicę znajdował się w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów. Ruszył w tamtą stronę. Za sobą usłyszał cichy pisk opon skręcających na betonie i z zatoki wyjechało duże czarne bmw, które z włączonymi światłami skierowało się wprost na niego. Bez namysłu stanął na drodze samochodu,

zmuszając go do zatrzymania się, a potem podbiegł do drzwi po stronie kierowcy i je otworzył.

Prezes Hoffmann Investment Technologies stanowił dziwny widok: zakrwawiony, brudny, z łomem długości metra w ręce. Nic dziwnego, że kierowca czym prędzej wysiadł z wozu. Hoffmann rzucił łom na siedzenie dla pasażera, uruchomił automatyczną skrzynię biegów i wcisnął pedał gazu. Wielki samochód ruszył w stronę wyjazdu. Stalowe drzwi z przodu zaczęły się otwierać. Musiał zahamować i odczekać, aż podniosą się na odpowiednią wysokość. W lusterku wstecznym widział właściciela bmw, który tymczasem pod wpływem adrenaliny otrząsnął się ze strachu, wpadł we wściekłość i szedł za nim szybkim krokiem, żeby zaprotestować. Hoffmann zablokował drzwi. Mężczyzna zaczął walić pięścią w boczną szybę i krzyczeć, ale grube przyciemniane szkło tłumilo jego okrzyki, które dochodziły jakby spod wody. Stalowe drzwi wreszcie uniosły się całkowicie, więc Hoffmann przeniósł stopę z hamulca na gaz i ponownie wcisnął mocno, żeby jak najszybciej wydostać się z budynku. Bmw przecięło chodnik i skręciwszy ostro, z piskiem opon, wypadło na pustą jednokierunkową uliczkę.

* * *

Na piątym piętrze Leclerc z towarzyszącą mu grupą policjantów wysiadł z działającej windy. Nacisnął dzwonek i spojrzał do kamery przemysłowej. Recepcjonistka poszła już do domu, więc wpuściła ich Marie-Claude, która z trwogą podniosła rękę do ust, gdy mijali ją uzbrojeni mężczyźni.

– Szukam doktora Hoffmanna – wyjaśnił Leclerc. – Jest tutaj?

– Tak, oczywiście.

– Zaprowadzi nas pani do niego?

Wskazała im drogę do działu transakcji. Quarry usłyszał poruszenie, więc się odwrócił. Zachodził w głowę, co się stało z Hoffmannem. Pomyślał jednak, że wspólnik dogonił Rajamaniego i że jego przedłużająca się nieobecność stanowi dobry znak: byłoby lepiej – uznał po namyśle – gdyby udało się przekonać byłego menedżera ryzyka, aby zrezygnował z działań zmierzających do zamknięcia firmy w tak krytycznym momencie. Gdy jednak zobaczył Leclerca i żandarmów, zrozumiał, że okręt tonie.

Niemniej, za przykładem swoich przodków, postanowił z godnością pójść razem z nim na dno.

– W czym mogę wam pomóc, panowie? – zapytał spokojnie.

– Musimy porozmawiać z doktorem Hoffmannem – odparł Leclerc. Stał na palcach i przechylając się z prawa na lewo, wypatrywał Amerykanina wśród zdumionych kwantów, którzy odwracali głowy od ekranów komputerowych. – Mogę prosić, żeby wszyscy zostali na swoich miejscach?

– Musiał pan się z nim minąć. Wyszedł na zewnątrz, żeby porozmawiać z jednym z naszych kierowników – odrzekł Quarry.

– Na zewnątrz budynku? Gdzie dokładnie?

– Myślałem, że wyszedł tylko na korytarz...

Leclerc przeklął. Rzucił do najbliższej stojących żandarmów:

– Wasza trójka sprawdzi teren firmy. – Pozostałym polecił: – Wy trzej pójdziecie ze mną. – Na koniec zaś zwrócił się do zebranych w dziale transakcji: – Proszę nie wychodzić z budynku bez mojego zezwolenia. Ani nigdzie nie dzwonić. Postaramy się załatwić sprawę najszybciej, jak się da. Dziękuję wszystkim za współpracę.

Skierował się szybkim krokiem do recepcji. Quarry pobiegł za nim.

– Jeśli można, inspektorze... proszę mi wybaczyć... ale co takiego zrobił Alex?

– Znalezione zwłoki. Musimy porozmawiać z nim na ten temat. A teraz przepraszam... – Wyszedł z biura i znalazł się na pustym korytarzu. To miejsce budziło w nim niepokój. Rozejrzał się uważnie: – Czy na tym piętrze są jeszcze jakieś inne firmy?

Quarry podążył tuż za nim. Miał poszarzałą twarz.

– Nie, tylko nasza, wynajęliśmy całą powierzchnię. Jakie ciało?

Leclerc zwrócił się do swoich ludzi:

– Zaczniemy od dołu i będziemy posuwać się w górę.

Jeden z żandarmów wezwał windę. Drzwi się otworzyły.

CzuJNI Leclerc jako pierwszy dostrzegł niebezpieczeństwo i zawołał do tamtego, żeby się zatrzymał.

– Chryste Panie – jęknął Quarry, patrząc w głąb szybu. – Alex...

Drzwi zaczęły się zasuwać. Żandarm nacisnął guzik, żeby otworzyć je ponownie. Leclerc, krzywiąc się, ukląkł na obydwa kolana, przesunął się na nich ku krawędzi szybu i spojrzał w dół. Nie dostrzegł jednak nic na dnie. Poczł, że na kark spadła mu kropla płynu, przytknął do niej rękę i poczuł

coś lepkiego. Zadarł głowę i spojrzał w górę; ujrzał spód windy. Znajdowała się zaledwie piętro wyżej. Coś z niej zwisało. Cofnął się pospiesznie.

* * *

Gabrielle skończyła się pakować. Jej bagaże stały już w holu: jedna duża walizka, druga mniejsza i torba podręczna – za mało na wyprowadzkę, ale też za dużo na jednodniowy wyjazd. Ostatni tego dnia samolot do Londynu wylatywał o dziewiątej dwadzieścia pięć i na stronie internetowej British Airways zapowiadano wzmożone środki bezpieczeństwa po wybuchu bomby na pokładzie Vista Airways; powinna już wyjść z domu, jeśli chciała na niego zdążyć. Usiadła więc w pracowni i napisała list do Alexa, w tradycyjny sposób: na czystym białym papierze, piórem ze stalówką, atramentem.

Chciała mu przede wszystkim powiedzieć, że go kocha i że nie odchodzi na zawsze – *choć może być tak wolał* – tylko że musi odpocząć od Genewy. Że spotkała się z Bobem Waltonem w CERN-ie – *nie gniewaj się, to porządny człowiek, martwi się o Ciebie* – i dobrze zrobiła, bo wreszcie zaczęła zdawać sobie sprawę, jakiego wyzwania się podjął i pod jaką musi być presją.

Wyraziła żal, że obwiniła go o porażkę swojej wystawy. Jeśli wciąż twierdzi, że to nie on wykupił wszystkie jej prace, to ona, oczywiście, mu wierzy: *Ale, Kochanie, naprawdę jesteś tego pewny? Bo kto inny mógł to zrobić?...* Może znowu przeżywa załamanie nerwowe; jeśli tak, chciałaby mu pomóc; zdecydowanie jednak wolałaby nie dowiadywać się o jego dawnych problemach od policjanta, jakby już nie było od kogo innego. *Jeśli mamy nadal być razem, musimy być wobec siebie szczerzy.* Przed laty przyjechała do Szwajcarii, aby popracować przez kilka miesięcy jako sekretarka, ale w końcu została tu na stałe i całe jej życie kręciło się wokół niego. Może byłoby inaczej, gdyby mieli dzieci. Jednak to, co wydarzyło się tego dnia, uświadomiło jej ostatecznie, że nawet najbardziej twórcza praca nie da jej spełnienia, podczas gdy jemu – najwyraźniej tak.

I w ten sposób doszła do głównego punktu. Jeśli dobrze zrozumiała to, co powiedział jej Walton, Alex przez całe życie próbował stworzyć maszynę, która potrafi myśleć, uczyć się i działać niezależnie od ludzi. Według niej w całej tej koncepcji było coś z natury przerażającego, choć

Walton zapewniał ją, że jej mąż miał szlachetne intencje *i znając Cię, nie mam co do tego wątpliwości*. Ale mieć taką szczytną ideę i zastosować ją do zarabiania pieniędzy – czy to nie próba pożenienia sacrum z profanum? Nic dziwnego, że zaczął się zachowywać tak dziwnie. Już samo pragnienie zdobycia miliarda dolarów, nie mówiąc o ich posiadaniu, było w jej odczuciu szaleństwem i kiedyś on też by tak uważał. Jeśli komuś udaje się wynaleźć coś, co posłuży innym – to w porządku, okay. Ale zdobycie takiej sumy poprzez spekulacje (nigdy nie rozumiała zbyt dobrze, czym zajmuje się jego firma, ale zdaje się, że zasadniczo właśnie czymś takim), cóż, taka zachłanność to coś więcej niż szaleństwo, to niegodziwość – i nie może przynieść niczego dobrego. Dlatego musi uciec z Genewy, zanim to miasto i jego system wartości ją zniszczy...

Pisała i pisała, straciwszy poczucie czasu; pióro połyskiwało nad czerpanym papierem z kunsztowną kaligrafią. W pracowni robiło się coraz ciemniej. Po drugiej stronie jeziora zaczęły rozbłyskiwać światła miasta. Zaczęła ją gnębić myśl, że Alex tam właśnie jest.

Czuję się podle, wyjeżdżając, gdy Ty jesteś chory, ale jeśli nie chcesz, abym Ci pomogła, i nie zamierzasz poddać się badaniom lekarskim, nie ma sensu, żebym została, prawda? Zadzwoń, jeżeli będziesz mnie potrzebował. Proszę. O każdej porze. Tylko tego zawsze pragnęłam. Kocham Cię. G xxx.

Włożyła list do koperty, zakleiła ją i napisawszy z przodu duże A, poszła do gabinetu Alexa. Po drodze się zatrzymała i poprosiła ochroniarza, żeby zaniósł jej bagaże do samochodu, a potem zawiózł ją na lotnisko.

Weszła do gabinetu i oparła list o klawiaturę komputera, ale musiała przy tym niechcący nacisnąć jakiś klawisz, bo ekran się rozświetlił i ujrzała obraz kobiety pochylającej się nad biurkiem. Dopiero po chwili zorientowała się, że to ona sama. Spojrzała za siebie i w górę, na czerwoną lampkę wykrywacza dymu; kobieta na ekranie wykonała identyczne ruchy.

Nacisnęła kilka klawiszy na chybił trafił. Nic. Nacisnęła więc ESCAPE i obraz natychmiast się zminimalizował; zajął miejsce w lewym górnym rogu ekranu, jako element siatki ujęć z dwudziestu czterech różnych kamer; lekko wybrzuszały się one na środku jak zwielokrotnione obrazy widziane okiem owada. Na jednym z nich coś się poruszyło. Ujęła myszkę i kliknęła w niego. Na ekranie pojawił się noktowizyjny obraz jej samej: leżała w łóżku w czarnym jedwabnym kimonie, ze skrzyżowanymi nogami i rękami pod głową. Obok niej paliła się świeca, jasna jak słońce.

Rozwiązała pasek, zdjęła szlafrok i naga wyciągnęła ręce przed siebie. W prawym dolnym rogu ekranu pojawiła się męska głowa – głowa Alexa, jeszcze niezraniona. On także zaczął się rozbierać.

Usłyszała uprzejme kasznięcie.

– *Madame* Hoffmann? – zapytał za nią głos. Oderwała więc przerażony wzrok od ekranu i zobaczyła, że w drzwiach stoi jej ochroniarz. Za nim pojawili się żandarmi w czarnych czapkach.

* * *

W Nowym Jorku o trzynastej trzydzieści na tamtejszej giełdzie odnotowano tak duży wolumen obrotów, że częstość stosowania LRP wynosiła siedem na minutę, zapewniając w ten sposób płynność rynku jedynie w przypadku dwudziestu procent notowanych tam akcji. Dow spadł o ponad półtora procent, S&P 500 – o dwa. VIX poszybował w górę o dziesięć.

17

Osobniki najsilniejsze albo te, które z największym powodzeniem zmagają się z warunkami życia, zostawią po sobie najwięcej potomstwa. Ale sukces będzie często zależał od posiadania szczególnej broni czy też środków obrony...

Karol Darwin, *O pochodzeniu gatunków* (1859)

Zimeysa była ziemią niczyją – nie miała historii, ciekawego ukształtowania terenu, mieszkańców; nawet jej nazwa stanowiła akronim od Zone Industrielle de Meyrin-Satigny. Hoffmann jechał wśród niskich zabudowań, które nie były ani biurami, ani zakładami przemysłowymi, ale hybrydami jednych i drugich. Co się tu działo? Co tu powstawało? Nie dało się powiedzieć. Nad placami budowy wznosiły się szkieletowe ramiona dźwigów, a parkingi dla ciężarówek pustoszały przed nocą. To miejsce mogło znajdować się w każdym zakątku świata. Niespełna kilometr na wschód leżało lotnisko. Światła terminali rozjaśniały ciemniejące niebo, zasnuwane niskimi chmurami. Każdy podchodzący do lądowania samolot pasażerski powodował hałas przypominający rozbijanie się fal morskich o brzeg; było to ogłuszające crescendo, które wykańczało Hoffmanna nerwowo, po nim zaś niczym odpływ następował cichnący pogłos, a światła lądowania znikały jak szczątki wraku między dźwigami i płaskimi dachami.

Prowadził bmw z niezwykłą ostrożnością, przysuwając twarz do przedniej szyby. Wciąż natykał się na roboty drogowe, przeciągane kable, zamknięte pasy ruchu, raz z jednej, raz z drugiej strony, i czuł się jak w labiryncie. Po prawej, tuż za centrum dystrybucyjnym części samochodowych – do Volvo, Nissana i Hondy – znajdował się skręt prowadzący do Route de Clerval. Włączył więc kierunkowskaz. Przed sobą, po lewej, zauważył stację paliw. Zajechał na nią, a potem wszedł do sklepu. Obraz z telewizji przemysłowej ukazuje go, jak przechodzi niepewnie wśród regałów, a potem, już bardziej zdecydowanie, kieruje się do działu z kanistrami: z czerwonego metalu, dobrej jakości, po trzydzieści pięć franków sztuka. Nagranie jest poklatkowe, ruchy Hoffmanna wydają się urywane jak u marionetki. Kupuje pięć kanistrów, płaci za nie gotówką. Kamera nad kasą wyraźnie pokazuje ranę na czubku jego głowy. Sprzedawca później powiedział, że ten człowiek był zdenerwowany. Twarz

i ubranie miał pobrudzone tłuszczem i smarem, a we włosach widać było zaschniętą krew.

Hoffmann zapytał, żałośnie próbując się uśmiechnąć:

– Co z tymi robotami drogowymi?

– To już tak trwa od miesięcy, *monsieur*. Kładą światłowody.

Hoffmann wyszedł ze sklepu z kanistrami. Musiał wykonać dwa kursy, żeby zanieść wszystkie do najbliższego dystrybutora. Zaczął je kolejno napełniać. Poza nim na stacji nie było innych klientów. Gdy tak stał w świetle jarzeniówek, czuł się z daleka widoczny. Widział, że sprzedawca go obserwuje. Kolejny samolot podszedł do lądowania nad ich głowami i powietrze aż zadrżało. Hoffmann miał wrażenie, że to drżenie przeniknęło go całego. Napełnił ostatni kanister, wstawił go na sam koniec tylnego siedzenia bmw i dostawił do niego pozostałe. Wrócił do sklepu, zapłacił sto sześćdziesiąt osiem franków za paliwo i dwadzieścia pięć za latarkę, dwie zapalniczki i trzy ściereczki do czyszczenia, również gotówką. Wyszedł, nie oglądając się za siebie.

* * *

Leclerc szybko zlustrował zwłoki na dnie szybu windy. Niewiele miał do oglądania. Przypomniało mu się samobójstwo na stacji kolejowej w Cornavin, którym kiedyś się zajmował. Na szczęście nie miał wydelikaczonego żołądka. Takie anonimowe ciała patrzyły na człowieka, jakby wciąż oddychały, i to zapadało w pamięć: w ich oczach zawsze widać było niemy wyrzut. Gdzie byłeś, kiedy cię potrzebowałem?

W podziemiach odbył też rozmowę z austriackim biznesmenem, któremu Hoffmann rąbnął samochód. Facet był wściekły, obwinił policję za stratę wozu bardziej niż prawdziwego winowajcę – „płacę tu podatki, oczekuję, że będziecie mnie chronić” i tak dalej – więc Leclerc musiał wysłuchać go uprzejmie. Numer rejestracyjny i opis samochodu przekazano niezwłocznie wszystkim funkcjonariuszom. Wydano polecenia przeszukania i ewakuacji budynku. Policjanci śledczy byli już w drodze. *Madame* Hoffmann została zabrana z domu w Cologny i jechała już na przesłuchanie. Zawiadomiono biuro szefa policji; on sam był na oficjalnej kolacji w Zurychu, na szczęście. Leclerc nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić.

Drugi raz tego wieczoru zaczął wspinać się po kolejnych odcinkach schodów. Z wysiłku zakręciło mu się w głowie. Czuł mrowienie w lewym ramieniu. Pomyślał, że musi się przebadać; żona wciąż go do tego namawiała. Pomyślał o Hoffmannie: czy to on zabił kolegę, jak tamtego Niemca w pokoju hotelowym. Na pozór wydawało się to niemożliwe, najwyraźniej nawalił system zabezpieczeń windy. A jednak trzeba powiedzieć, że byłyby to dziwny zbieg okoliczności: żeby facet w ciągu kilku godzin był w tych samych miejscach, gdzie zginęli dwaj ludzie.

Na piątym piętrze przystanął, żeby odpocząć. Wejście do biura funduszu hedgingowego było otwarte; stał przy nim na straży młody żandarm. Leclerc skinął mu głową. Wszyscy w dziale transakcji byli nie tylko w szoku – tego należało się spodziewać po wiadomości o tragicznej śmierci kolegi – ale wręcz w hysterii. Pracownicy, poprzednio raczej milczący, zbili się w grupki i rozmawiali z przejęciem. Ten Anglik, Quarry, niemal do niego podbiegł. Liczby na ekranach nadal zmieniały się bez przerwy.

– Ma pan jakieś wiadomości o Alexie? – zapytał Quarry.

– Zatrzymał na dole samochód, kazał kierowcy wysiąść i uciekł jego wozem. Szukamy go.

– To niewiarygodne... – stwierdził Quarry.

Leclerc nie dał mu dokończyć:

– Przepraszam, *monsieur*. Mógłbym zobaczyć gabinet doktora Hoffmanna?

Quarry od razu zeszywniał.

– Nie jestem pewien. Chyba powinienem wezwać naszego prawnika...

– Jestem pewien, że doradzałby pójście na pełną współpracę – odparł stanowczo Leclerc.

Ciekaw był, co finansista chce ukryć.

Quarry natychmiast się wycofał.

– Tak, oczywiście.

Na podłodze w gabinecie Hoffmanna wciąż leżał tynk. Nad biurkiem ziała wyrwa w suficie. Leclerc spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Kiedy to się stało?

Quarry skrzywił się ze zmieszania, jak ktoś zmuszony przyznać, że ma w rodzinie obłąkanego.

– Z godzinę temu. Alex wyrwał czujnik dymu.

– Dlaczego?

– Podejrzał, że w środku jest kamera.
– I była?
– Tak.
– Kto ją zainstalował?
– Nasz szef ochrony, Maurice Genoud.
– Na czyje polecenie?
– Cóż... – Quarry się poddał. – Podobno Alexa.
– Hoffmann szpiegował samego siebie?
– Wszystko na to wskazuje. Ale nie przypominał sobie, żeby to zlecił.
– A gdzie jest w tej chwili Genoud?
– Chyba poszedł porozmawiać z pańskimi ludźmi, gdy znaleziono ciało Gany. Jest odpowiedzialny za ochronę całego budynku.

Leclerc usiadł za biurkiem Hoffmanna i zaczął otwierać szuflady.

Quarry zagadnął:

– Nie potrzebuje pan w tym celu nakazu rewizji?
– Nie. – Leclerc znalazł dzieło Darwina i płytę CD z oddziału radiologicznego szpitala. Zauważył też, że na kanapie leży porzucony laptop. Podszedł do niego, włączył go, przyjrzał się zdjęciu Hoffmanna na ekranie, a potem otworzył folder zawierający korespondencję z zamordowanym Niemcem. Był tak zaabsorbowany, że ledwie podniósł głowę, gdy wszedł Ju-Long.

Ju-Long powiedział:

– Przepraszam, że przeszkadzam, Hugo... ale chyba powinieneś zobaczyć, co dzieje się na rynkach.

Quarry, marszcząc czoło, pochylił się nad ekranem i zaczął otwierać kolejne okna. Spadki były już poważne. VIX szedł ostro w górę, euro traciło na wartości, inwestorzy wyprzedawali akcje i szukali bezpiecznych przystani na rynku złota albo dziesięcioletnich obligacji skarbowych, których rentowności szybko spadały. Pieniądze wyparowywały na wszystkich rynkach – w samych tylko kontraktach terminowych na S&P 500 w handlu elektronicznym w ciągu niewiele ponad dziewięćdziesięciu minut wartość zakumulowanego popytu po stronie kupna spadła z sześciu do dwóch i pół miliarda dolarów.

No, to mamy, pomyślał.

– Inspektorze – powiedział – jeśli pan już skończył, muszę wracać do pracy. W Nowym Jorku nastąpiła fala wyprzedaży.

– Spokojnie – odezwał się Ju-Long. – Już i tak straciliśmy kontrolę.

Słyszając nutę desperacji w jego głosie, Leclerc gwałtownie uniósł głowę.

– Mamy pewne problemy techniczne – wyjaśnił Quarry. Dostrzegł podejrzliwość na twarzy Leclerca. To byłby koszmar, gdyby śledztwo policyjne przeszło od załamania nerwowego Hoffmanna do kryzysu w całej firmie. Rano mieliby już na głowie inspektorów nadzoru finansowego. – Nie ma powodu do niepokoju, ale powinienem pogadać z informatykami...

Już miał odejść od biurka, gdy Leclerc rzucił stanowczo:

– Proszę poczekać.

Popatrzył na dział transakcji. Aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że sama firma może mieć kłopoty. Teraz jednak zauważył, że nie tylko pracownicy działu transakcji się niepokoją, ale inni też. Ich postawy i zachowania zdecydowanie wyrażały panikę, co początkowo przypisywał śmierci kolegi i zniknięciu szefa, ale wreszcie do niego dotarło, że przyczyna jest inna, znacznie głębsza.

– Jakiego rodzaju problemy techniczne? – zapytał.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi i do pokoju wetknął głowę jeden z żandarmów.

– Namierzyliśmy skradziony samochód.

Leclerc odwrócił się, aby na niego spojrzeć.

– Gdzie?

– Właśnie zadzwonił facet ze stacji benzynowej w Zimeysie. Mężczyzna odpowiadający rysopisowi Hoffmanna, prowadzący czarne bmw, właśnie kupił sto litrów paliwa.

– Sto litrów? Mój Boże, dokąd on się wybiera?

– Dlatego właśnie facet do nas zadzwonił. Mówi, że gość nie zatankował tego do baku.

* * *

Numer pięćdziesiąt cztery przy Route de Clerval znajdował się na końcu długiej ulicy, przy której stały także stacja przeładunkowa i zakład utylizacji odpadów; kończyła się ślepym zaułkiem obok torów kolejowych. Budynek w jasnym kolorze był wyraźnie widoczny o zmierzchu, mimo że skrywał się za drzewami: pudełkowa konstrukcja, dwu-, trzypiętrowa – z braku okien trudno było to ocenić – z reflektorami bezpieczeństwa zamontowanymi wokół dachu i kamerami przemysłowymi na rogach. Zwróciły się one na Hoffmanna i podążały za nim, gdy przejeżdżał. Do

metalowej bramy prowadził krótki podjazd; za nią rozciągał się pusty parking. Cały teren był otoczony stalowym ogrodzeniem z trzema rzędami drutu kolczastego na górze. Hoffmann uznał, że pierwotnie miał się tu mieścić magazyn albo hurtownia. Z pewnością budynek nie został zbudowany na zamówienie; nie było na to czasu. Hoffmann zajechał przed bramę. Na poziomie okna zobaczył panel z klawiaturą i domofon; obok nich znajdowało się różowe słoniowe oczko kamery na podczerwień.

Wychylił się, nacisnął dzwonek i czekał. Nic jednak nie nastąpiło. Spojrzał na budynek; sprawiał wrażenie opuszczonego. Próbował postawić się na miejscu maszyny i przeniknąć jej tok rozumowania, a potem wystukał najmniejszą liczbę wyrażającą na dwa różne sposoby sumę dwóch sześciaków. Brama natychmiast zaczęła się otwierać.

Przejechał wolno przez parking, a następnie wzdłuż budynku. W bocznym lusterku widział, że śledzi go kamera. Od woni benzyny na tylnym siedzeniu zbierało mu się na mdłości. Skręcił za róg i zatrzymał się przed dużą podnoszoną do góry bramą ze stali, jakby wjazdem dla samochodów dostawczych. Zamontowana nad nią kamera była skierowana wprost na niego. Wysiadł z samochodu i podszedł do bramy. Podobnie jak biuro funduszu hedgingowego otwierała się automatycznie na podstawie identyfikacji rysów twarzy. Stał przed skanerem. Reakcja była natychmiastowa, brama podniosła się jak kurtyna w teatrze, ukazując pustą rampę załadunkową. Odwrócił się, żeby wrócić do samochodu, i wtedy zauważył – po drugiej stronie torów kolejowych – przemieszczające się bardzo szybko czerwone niebieskie migające światła; jednocześnie z wiatrem dobiegł go słaby dźwięk syren policyjnych.

Pospiesznie wjechał za bramę, zatrzymał się, wyłączył silnik samochodu i zaczął nasłuchiwać. Nie słyszał już syren. To pewnie nie miało z nim nic wspólnego. Postanowił jednak na wszelki wypadek zamknąć za sobą bramę, ale kiedy przyjrzał się panelowi sterowania, stwierdził, że nie ma włącznika światła. Wyjął więc latarkę; rozerwał zębami jej plastikowe opakowanie i wy dobył ją z niego. Sprawdził, czy działa, a potem nacisnął guzik, żeby zamknąć bramę. Rozległ się ostrzegawczy brzęczyk; błysnęła pomarańczowa lampka. Brama zaczęła opadać, a wraz z nią powoli następowała ciemność. Po dziesięciu sekundach dolna część bramy uderzyła ze szczękiem o betonowe podłoże, odcinając wąskie pasmo światła. Hoffmann – ofiara własnej wyobraźni – poczuł się samotny w mroku. Cisza nie była zupełna; coś jednak słyszał. Wziął łom

z sąsiedniego fotela. Lewą ręką oświetlił latarką gołe ściany i sufit, wyławiając z ciemności kolejną kamerę przemysłową, umieszczoną wysoko w rogu i łypiącą na niego złowrogo, a przynajmniej tak pomyślał. Pod nią zobaczył metalowe drzwi, również otwierane na podstawie identyfikacji rysów twarzy. Wsadził łom pod ramię, oświetlił latarką swoją twarz i niepewnie przycisnął dłoń do płytki. Przez kilka sekund nic się nie działo, ale potem – niemal niechętnie – drzwi się otworzyły i zobaczył za nimi kilka drewnianych schodów, które prowadziły na korytarz.

Kierował światło latarki w głąb korytarza i zobaczył na jego końcu następne drzwi. Teraz wyraźnie usłyszał cichy szum centralnego procesora. Sufit był niski, a powietrze zimne jak w chłodni. Domyślił się, że musi tu być wentylacja podłogowa, tak jak w pomieszczeniach komputerowych w CERN-ie. Ostrożnie doszedł do końca korytarza, przyłożył dłoń do sensora i otworzył drzwi. Za nimi znajdowała się farma procesorów, z typowymi dla niej błyskami światła i hałasem. W wąskim snopie światła latarki ujrzał płyty główne; spoczywały na stalowych półkach rozciągających się przed nim po obu stronach i wydzielały znajomą, dziwnie słodką woń rozgrzanego kurzu. Firma komputerowa serwisująca sprzęt przykleiła etykiety ze swoją nazwą i adresem na każdym z regałów: w razie problemów technicznych proszę dzwonić pod ten numer telefonu. Ruszył dalej przed siebie, świecąc latarką na prawo i lewo, w głąb przejść, a snop światła nikał w ciemnościach. Ciekaw był, kto jeszcze ma tu dostęp. Pewnie firma ochroniarska – ludzie Genouda; ekipa sprzątająca i konserwatorska; obsługa techniczna hardware'u. Jeśli wszyscy oni otrzymywali polecenia i wynagrodzenie drogą elektroniczną, miejsce to prawdopodobnie mogło funkcjonować samodzielnie, bez własnej siły roboczej, korzystając tylko z usług firm zewnętrznych: było to ucieleśnienie Gatesowskiej idei przedsiębiorstwa z cyfrowym systemem nerwowym. Przypomniał sobie, że w początkowym okresie swojej działalności Amazon reklamował się jako „rzeczywista firma w wirtualnym świecie”. Może był to logiczny etap w procesie ewolucji: wirtualne przedsiębiorstwo w realnym świecie.

Doszedł do następnych drzwi i powtórzył całą procedurę z latarką i identyfikatorem. Kiedy bolce się odsunęły, przystanął na chwilę, żeby obejrzeć framugę. Ściany nie były stałym elementem konstrukcyjnym, zauważył, ale cienkimi przepierzeniami z prefabrykatu. Patrząc z zewnątrz, przypuszczał, że w budynku znajduje się duża pusta przestrzeń, ale teraz

zdał sobie sprawę, że wewnątrz przypomina plaster miodu: ma strukturę komórkową jak kolonia owadów. Przeszedł próg następnego pomieszczenia, usłyszał po jednej stronie ruch, więc odwrócił się szybko, gdy IBM-owski robot taśmowy TS3500 ruszył w jego kierunku po swoim torze jednoszynowym, wyjął dysk i zabrał z sobą. Hoffmann stał i patrzył na niego przez chwilę, czekając, aż serce przestanie walić mu w piersi. Wyczuł w pomieszczeniu wyteżoną aktywność. Gdy ruszył przed siebie, zobaczył cztery inne roboty wykonujące szybko swoje zadania. W świetle latarki w rogu ukazały się otwarte metalowe schody prowadzące na piętro.

Następne pomieszczenie było mniejsze i najwyraźniej zbiegały się tu potoki komunikacyjne. Oświetlił latarką dwa czarne kable dalekosiężne, grubości jego pięści, które wychodziły z zamkniętej metalowej skrzynki, potem, jak guzowate korzenie, zagłębiały się w kanale biegnącym pod jego stopami, a następnie łączyły z jakimś przełącznikowym systemem macierzowym. Obie strony przejścia były osłonięte potężnymi metalowymi siatkami. Wiedział, że w pobliżu genewskiego lotniska przebiegały światłowody GVA-1 i GVA-2, ciągnięte z Marsylii, na południu Francji, początkowej stacji naziemnej, do Niemiec. Umożliwiało to przesyłanie danych do Nowego Jorku i z powrotem z szybkością cząstek elementarnych w Wielkim Zderzaczach Hadronów – zaledwie ułamek mniejszą od prędkości światła. VIXAL znajdował się więc nad najszybszą linią komunikacyjną w Europie.

Snop światła wydobył z ciemności inne kable biegnące po ścianie na wysokości ramienia, częściowo pod obudową z galwanizowanego metalu, która brała początek przy małych drzwiach. Były one zamknięte na kłódkę. Wsadził więc łom w stalowe ucho o kształcie litery U i używając go jako dźwigni, wyłamał je. Rozległ się trzask, drzwi się otworzyły i w świetle latarki ukazało się za nimi coś w rodzaju nastawni układu elektroenergetycznego – liczniki prądu, skrzynka bezpiecznikowa wielkości małej szafy i kilka wyłączników automatycznych. Namierzyła go kolejna kamera przemysłowa.

Szybko przesunął wyłączniki automatyczne na pozycję OFF. Przez chwilę nic się nie działo, ale gdzieś w głębi przepastnego budynku z drzeniem włączył się dieslowski generator i o dziwo, zapaliły się wszystkie światła. Hoffmann, pod wpływem nagłej frustracji, zamachnął się łomem na prześladowającą go kamerę, wbił go jej w oko i z satysfakcją rozwalił soczewkę na drobne kawałki, a następnie zaatakował skrzynkę

bezpiecznikową i rozwalił jej plastikową obudowę. Poddał się dopiero wtedy, gdy zrozumiał, że nic to nie daje.

Wyłączył latarkę i wrócił do pomieszczenia z potokami komunikacyjnymi. Pod drugiej jego stronie zwrócił twarz do skanera, starając się zachować obojętną minę, i drzwi się otworzyły – ale jak się okazało, tym razem znajdowała się za nimi otwarta sala, z wysokim sufitem, cyfrowymi zegarami pokazującymi różne strefy czasowe i wielkimi ekranami telewizyjnymi; wszystko to przypominało dział transakcji w Les Eaux-Vives. Był tam także główny punkt sterowania złożony z sześciu ekranów komputerowych i oddzielnych monitorów telewizji przemysłowej pokazujących ziarniste obrazy z kamer. Przed nim, w miejscach gdzie siedzieliby kwanci, widniały szeregi płyt głównych; wszystkie przetwarzały dane z maksymalną prędkością, sądząc po szybko błyskających diodach.

To musi być mózg, pomyślał Hoffmann. Stał przez chwilę zdumiony. W tej scenie, z jej atmosferą skupienia i celowości, było coś, co go niespodziewanie poruszyło; tak mógłby poczuć się rodzic po raz pierwszy będący świadkiem, jak jego dziecko radzi sobie w świecie. To, że VIXAL był maszyną i nie miał uczuć ani świadomości; że zarabiał pieniądze, kierując się wyłącznie instynktem samozachowawczym; że pozostawiony samemu sobie, zgodnie z teorią Darwina walczył o przetrwanie, by zapanować na całym świecie – nic z tego nie przesłoniło Hoffmannowi zdumiewającego faktu, że algorytm działał. Wybaczył mu nawet to, że naraził go na takie drastyczne przeżycia: przecież zrobił to tylko dla celów badawczych. Nie można go było oceniać pod względem moralnym tak samo jak rekina. Zachowywał się po prostu jak fundusz hedgingowy.

Hoffmann zapomniał na chwilę, że przyjechał tu, aby zniszczyć system, i pochylił się nad ekranami, żeby spojrzeć na dokonywane przez niego transakcje. Były one przetwarzane z bardzo wysoką częstotliwością, w gigantycznej liczbie – miliony akcji kupowanych zaledwie na ułamki sekund według strategii znanej jako sniping albo sniffing: maszyna wydawała polecenie kupna i natychmiastowej sprzedaży, testując ukryte zasoby płynności rynku. Osiągany w ten sposób zysk był znikomy albo wręcz żaden i Hoffmann zastanowił się przelotnie, co VIXAL w ten sposób zamierza osiągnąć. Wtedy ekran zaczął błyskać alarmowo.

* * *

W tej chwili informacja ta pojawiła się na wszystkich parkietach świata; w Genewie była dwudziesta trzydzieści, w Nowym Jorku czternasta trzydzieści, w Chicago trzynasta trzydzieści:

CBOE o 13.30 czasu środkowoamerykańskiego ogłosiło wzajemną pomoc wobec NYSE/ARCA. NYSE/ARCA nie należą do NBBO i nie można się z nimi połączyć. Wszystkie systemy CBOE działają normalnie.

Branżowy żargon maskował skalę problemu, pozbawiał go wagi, jak wszystkie żargony. Hoffmann dobrze jednak wiedział, co to znaczy. CBOE to akronim Chicago Board Options Exchange, która sprzedaje rocznie około miliarda opcji na akcje, indeksy oraz tytuły uczestnictwa funduszy – między innymi na VIX. Jedna giełda amerykańska może ogłosić „wzajemną pomoc” dla drugiej, jeśli ta zaczyna realizować zlecenia po przeszło sekundzie; rynki w USA mają bowiem zakaz „przebijania się” nawzajem – to znaczy oferowania inwestorowi gorszej ceny niż ta, którą można uzyskać dokładnie w danej chwili na jakiegokolwiek innej giełdzie w kraju. Ten system jest całkowicie zautomatyzowany i działa z prędkością tysięcznych sekundy. Dla zawodowca, którym był Hoffmann, alarmowe ogłoszenie przez CBOE wzajemnej pomocy stanowi ostrzeżenie, że na ARCA, nowojorskiej giełdzie elektronicznej, nastąpiło załamanie systemowe – na tyle poważne, że Chicago odmawia przekierowywania do niej zleceń na warunkach regulaminowych NBBO, National Best Bid and Offer, nawet jeśli oferuje ona lepsze ceny dla inwestorów niż Chicago.

Ogłoszenie to miało dwojaki skutek. Oznaczało, że Chicago musi natychmiast interweniować, zapewniając płynność wcześniej gwarantowaną przez NYSE/ARCA – i to w momencie, gdy ta płynność była zagrożona – a także, co chyba jeszcze ważniejsze, spowodowała jeszcze większy strach na już i tak zaniepokojonym rynku.

Zobaczywszy alarm, Hoffmann nie od razu skojarzył go z VIXAL-em. Kiedy jednak zdziwiony uniósł głowę znad ekranu i przebiegł wzrokiem po błyskających diodach procesorów głównych, gdy znowu wyczuł, niemal namacalnie, w jakiej liczbie i z jaką prędkością przetwarzają one zlecenia, i kiedy przypomniał sobie, ile VIXAL zarabia na załamaniu rynku dzięki niezabezpieczonym transakcjom w krótkiej sprzedaży – w tej chwili zrozumiał, co robi algorytm.

Zlustrował konsolę w poszukiwaniu pilotów do telewizorów. Na ekranach natychmiast pojawiły się kanały biznesowe, pokazujące na żywo

demonstrantów walczących z policją w półmroku na dużym placu miejskim. Płonęły wielkie stosy śmieci; wypowiedzi komentatorów co jakiś czas przerywane były przez eksplozje gdzieś poza kamerami. Kanał CNBS emitował informację: „Wiadomość z ostatniej chwili: manifestanci wylegli na ulice Aten po ogłoszeniu przez rząd surowych środków oszczędnościowych”.

Prezenterka mówiła: – Jak państwo widzą, policja grecka pacyfikuje tłum demonstrantów pałkami...

Pasek na dole ekranu informował, że Dow spadł o dwieście sześćdziesiąt punktów.

Procesory główne pracowały nieubłaganie. Hoffmann ruszył w drogę powrotną do rampy załadunkowej.

* * *

W tym samym czasie hałaśliwa kawalkada ośmiu wozów policyjnych wydziału policji genewskiej przejechała pustą Route de Clerval, zatrzymała się przed budynkiem, wzdłuż jego dłuższej ściany, i wypuściła odnoża w postaci otwierających się kilkunastu drzwi. Leclerc znajdował się w pierwszym samochodzie, razem z Quarrym, Genoud jechał drugim, Gabrielle – czwartym z kolei.

Wygramoliwszy się z wozu, Leclerc pomyślał, że miejsce to przypomina fortecę. Objął spojrzeniem wysokie potężne ogrodzenie z metalowych płyt, drut kolczasty, kamery przemysłowe, pusty parking i wreszcie stalowe ściany samej konstrukcji, wznoszące się niczym srebrny zamek w niknącym świetle dnia. Musiały mieć co najmniej piętnaście metrów wysokości. Za nim z samochodów wysypywali się uzbrojeni policjanci – niektórzy w kamizelkach z kevlaru, inni z tarczami kuloodpornymi – którzy przygotowywali się do akcji. Leclerc zdał sobie sprawę, że musi postępować bardzo ostrożnie, bo inaczej sprawa skończy się tylko w jeden sposób.

– Hoffmann nie jest uzbrojony – oświadczył, przechodząc z krótkofalówką w ręce przed szeregiem swoich ludzi. – Pamiętajcie... nie ma broni.

– Oprócz stu litrów benzyny – zauważył jeden z żandarmów. – To broń.

– Nie, wcale nie. Wy czterej, idźcie od drugiej strony. Niech nikt nie próbuje wkroczyć do środka bez mojego rozkazu i w żadnym razie nie

wolno strzelać... zrozumiano?

Ruszył do samochodu, w którym jechała Gabrielle. Drzwi były już otwarte. Kobieta jednak siedziała wciąż na tylnym siedzeniu, najwyraźniej w stanie szoku. A to dopiero początek, pomyślał. Jadąc wozem patrolowym po ulicach Genewy, przeczytał do końca korespondencję w laptopie Karpa. Ciekaw był, jak biedaczka się poczuje, gdy się dowie, że to jej mąż zorganizował włamanie do ich domu i napad na samego siebie.

– *Madame Hoffmann* – odezwał się do niej – wiem, że to dla pani trudne, ale czy zechciałaby pani...? – Podał jej rękę. Gabrielle przez chwilę patrzyła na niego tępo, a potem przyjęła jego dłoń. Uścisnęła ją mocno, jakby nie pomagał jej wyjść z samochodu, ale wyciągał ją z rozszalałych fal morskich.

Wyjście na zimne nocne powietrze jakby ją otrzeźwiło, wyrwało z transu. Zamrugła na widok zmobilizowanych sił.

– To wszystko na Alexa? – zapytała.

– Przykro mi. Musimy stosować standardowe procedury w takich przypadkach jak ten. Postarajmy się, żeby nie doszło do rozlewu krwi. Pomoże mi pani?

– Tak, oczywiście. Zrobię wszystko, co będę mogła.

Zaprowadził ją na czoło kolumny samochodów, gdzie wraz z Genoudem stał Quarry. Gdy Leclerc do nich podszedł, ochroniarz praktycznie stanął na baczność. Ależ z niego gnida, pomyślał Leclerc. Niemniej postarał się zachować wobec niego uprzejmość; tak jak miał w zwyczaju.

– Maurice – zaczął – znasz ten budynek. Z czym mamy do czynienia?

– Trzy piętra, podzielone przepierzeniami obłożonymi drewnem. – Jego chęć pomocy była wręcz śmieszna; następnego dnia się wyprze, że w ogóle znał Hoffmanna. – Sztuczne piętra, podwieszane sufity. To konstrukcja modułowa, w każdym module znajduje się sprzęt komputerowy, z wyjątkiem centralnego pomieszczenia kontrolnego. Gdy ostatnim razem zaglądałem do środka, budynek był zagospodarowany tylko w połowie.

– Góra?

– Pusta.

– Dostęp?

– Trzy wejścia. Jedno przez rampę załadunkową. Z dachu prowadzą wewnętrzne schody ewakuacyjne.

– Jak się otwiera drzwi?

– Te tutaj, na zewnątrz, czterocyfrowym szyfrem; wewnątrz za pomocą identyfikacji rysów twarzy.

– Jest jeszcze jakaś brama prowadząca do środka oprócz tej?

– Nie.

– A co z zasilaniem? Możemy je odłączyć?

Genoud pokręcił głową.

– Z tyłu na parterze są dieslowskie generatory z zapasem paliwa na czterdzieści osiem godzin.

– Zabezpieczenia?

– System alarmowy. Wszystko automatyczne. Żadnego personelu na całym terenie.

– Jak pokonamy bramy?

– Za pomocą kodu, tak jak drzwi.

– Świetnie. To je otwórz, proszę.

Patrzył, jak Genoud wystukuje cyfry. Brama jednak nie zareagowała. Genoud, z ponurą miną, ponawiał próbę kilka razy, bez efektu. Gdy wreszcie się odezwał, w jego głosie brzmiało zdziwienie:

– To właściwy kod, przysięgam.

Leclerc ujął jeden z rygli. Brama była bardzo solidna. Nawet nie drgnęła. Można by próbować staranować ją ciężarówką i pewnie by nie ustąpiła.

– Może Alex także nie mógł dostać się do środka i wcale go tam nie ma – odezwał się Quarry.

– Niewykluczone, ale jest bardziej prawdopodobne, że po prostu zmienił kod.

Człowiek fantazjujący o śmierci zamknięty w budynku ze stoma litrami benzyny! Leclerc zawołał do swojego kierowcy:

– Dopilnuj, by straż pożarna zabrała sprzęt do cięcia! I lepiej wezwijmy karetkę, na wszelki wypadek. *Madame Hoffmann*, mogłaby pani przemówić do męża i poprosić go, żeby nie zrobił jakiegoś głupstwa?

– Spróbuję.

Wcisnęła brzęczyk przy bramie.

– Alex? – zapytała łagodnie. – Alex?

Przytrzymała palec na guziku, jakby bardzo jej zależało, żeby odpowiedział. Wcisnęła go raz po raz.

* * *

Hoffmann właśnie skończył oblewać benzyną salę z procesorami, pomieszczenie z robotami taśmowymi i kanał światłowodowy, gdy usłyszał brzęczyk przy panelu sterowania. Miał w ręce kanister. Ręka go bolała od jego ciężaru. Paliwo ciekło mu po butach i spodniach. Zrobiło się wyraźnie cieplej – musiał jednak jakimś sposobem wyłączyć zasilanie systemu wentylacyjnego. Cały się spocił. CNBC ogłaszało: „Dow spadł o ponad trzysta punktów”. Postawił kanister obok panelu i spojrzął na monitory telewizji przemysłowej. Poruszając myszką i klikając na poszczególne ujęcia, odtworzył całą scenę przy bramie; widział żandarmów, Quarry’ego, Leclerca, Genouda i Gabrielle, której twarz, gdy powiększył okno, wypełniła cały ekran. Wyglądała na załamana. Pewnie powiedziano jej już najgorsze, pomyślał. Przez chwilę trzymał palec nad przyciskiem.

– Gabby...

Dziwnie było zobaczyć na ekranie jej reakcję na dźwięk jego głosu, wyraźną ulgę na twarzy.

– Dzięki Bogu, Alex. Wszyscy bardzo się o ciebie niepokoiimy. Co się dzieje tam w środku?

Rozejrzał się wokół. Żałował, że nie znajduje słów, aby to opisać.

– To... niewiarygodne.

– Naprawdę, Alex? Wyobrażam to sobie! – Urwała, zerknęła w bok, a potem zbliżyła twarz do kamery i powiedziała ciszej, poufnym tonem, jakby byli tylko we dwoje: – Posłuchaj, chciałabym wejść i porozmawiać z tobą. Chciałabym to zobaczyć, jeśli mogę.

– Żałuję. Ale to naprawdę niemożliwe.

– Tylko ja sama. Obiecuję. Wszyscy inni zostaną tu, na miejscu.

– Tak mówisz, Gabby, ale pewnie oni planują co innego. Obawiam się, że zaszło wielkie nieporozumienie.

– Poczekaj chwilę, Alex – rzuciła. Jej twarz zniknęła z ekranu i widział tylko bok wozu policyjnego. Usłyszał początek rozmowy, ale Gabrielle zasłoniła ręką głośnik i jej słowa były zbyt stłumione, aby mógł coś z nich zrozumieć. Spojrzął na ekrany telewizyjne. CNBC donosiło: „Dow spadł o ponad czterysta punktów”.

– Przykro mi, Gabby – powiedział. – Muszę już iść.

– Poczekaj! – zawołała.

Nagle na ekranie pojawiła się twarz Leclerca.

– Doktorze Hoffmann, to ja... Leclerc. Proszę otworzyć bramę i wpuścić żonę. Musi pan z nią porozmawiać. Moi ludzie pozostaną na

zewnątrz, ma pan moje słowo.

Hoffmann się zawahał. O dziwo, nagle pomyślał, że policjant ma rację. Rzeczywiście, powinien z nią porozmawiać. A przynajmniej pokazać jej to – niech zobaczy wszystko, zanim zostanie zniszczone. Ten widok tłumaczył całą tę historię lepiej, niż zrobiłby to on sam.

Na jednym z ekranów systemu pojawił się kolejny alarm:

„NASDAQ ogłasza wzajemną pomoc wobec NYSE/ARCA o 14:36:59 czasu wschodnioamerykańskiego”.

Nacisnął guzik i wpuścił Gabrielle do środka.

18

Masa uciekająca powstaje w następstwie groźby. Polega ona na tym, że wszyscy jej członkowie uciekają, zarażając się jedni od drugich. Wszystkim grozi to samo niebezpieczeństwo... Masa ucieka razem, ponieważ tak się ucieka najlepiej. Wszyscy są jednakowo podnieceni: energia jednych wzmacnia energię innych, ludzie popychają się w tym samym kierunku. Póki są razem, odczuwają niebezpieczeństwo jako podzielone.

Elias Canetti, *Masa i władza* (1960), przekład Elizy i Marii Przybyłowskich, Czytelnik, Warszawa 1996

Strach na rynkach amerykańskich rozprzestrzenił się jak wirus, algorytmy bezustannie, jeden po drugim dokonywały sniffingu i snipingu za pomocą sieci światłowodowych w poszukiwaniu utraconej na giełdach płynności. W rezultacie liczba transakcji dziesięciokrotnie przekroczyła zwykły poziom: kupowano i sprzedawano sto milionów udziałów na minutę. Ale nawet ta liczba nie oddaje tego, co się działo.

Pozycje przed zbyciem zatrzymywano na zaledwie ułamki sekund – co w późniejszym śledztwie nazwano „efektem gorącego ziemniaka”. Już sama ta nienormalna aktywność potęgowała panikę.

O dwudziestej trzydzięci dwie czasu genewskiego wkroczył na rynek algorytm obarczony zadaniem sprzedaży w imieniu Ivy Asset Strategy Fund siedemdziesięciu pięciu tysięcy e-mini – kontraktów terminowych na S&P 500 w obrocie elektronicznym – o hipotetycznej wartości czterech miliardów stu milionów dolarów. Aby zmniejszyć wpływ na cenę tak dużych kontraktów, system zgodnie z programem miał ograniczyć sprzedaż tak, by nie przekroczyła ona dziewięciu procent całego rynku w danej chwili: przy takim stosunku transakcje musiały trwać od trzech do czterech godzin. Ale ponieważ płynność rynku zwiększyła się dziesięć razy, algorytm dokonał stosownych obliczeń, aby w efekcie wykonać zadanie w dziewiętnaście minut.

* * *

Gdy tylko brama zaczęła się otwierać, Gabrielle wsunęła się za nią i ruszyła przez parking. Nie uszła daleko, gdy usłyszała za sobą krzyki. Odwróciła się i zobaczyła, że Quarry odłączył się od grupy i podązał za nią.

Leclerc kazał mu wracać, ale Quarry w odpowiedzi tylko podniósł rękę lekceważąco i szedł dalej.

– Nie zostawię cię samej, Gabs – oznajmił, gdy zrównał z nią krok. – To wszystko moja wina, nie twoja. Ja go w to wciągnąłem.

– To niczyja wina, Hugo – odrzekła, nie patrząc na niego. – On jest chory.

– Ale... nie masz nic przeciwko temu, że będę ci towarzyszył?

Zgrzytnęła zębami. „Będę ci towarzyszył” – jakby wybierali się na spacer.

– Jak chcesz.

Kiedy jednak wyszli z za rogu i zobaczyła męża stojącego w wejściu prowadzącym do ładowni, poczuła ulgę, że ma kogoś przy sobie, choćby Quarry’ego, ponieważ Alex trzymał w jednej ręce żelazny łom, a w drugiej wielki czerwony kanister i w całej jego postawie było coś niepokojącego, psychotycznego – stał całkiem spokojnie, twarz, włosy i ubranie miał umazane krwią oraz smarem i patrzył wyczekująco. Wokół unosił się zapach benzyny.

Powiedział: – Chodźcie szybko, już się zaczęło – i zanim do niego dołączyli, odwrócił się i zniknął w budynku. Pospieszyli więc za nim, mijając po drodze bmw i rampę załadunkową, płyty główne i roboty taśmowe. Benzyna ulatniała się tak szybko, że trudno było oddychać. Gabrielle musiała zasłonić nos brzegiem kurtki. Z góry dobiegł dziwny harmider.

Alex, pomyślała, Alex, Alex...

Quarry zawołał za nim w panice:

– Jezu, Alex, tu może zaraz nastąpić wybuch!...

Wreszcie wkroczyli do znacznie większego pomieszczenia, z którego dobiegały okrzyki paniki. Hoffmann podkręcił dźwięk wielkich telewizorów. Słysząc też było głos mężczyzny, wyrzucającego z siebie słowa jak komentator na ostatnim odcinku ważnego wyścigu. Nic jej to nie mówiło, ale Quarry’emu – tak: była to relacja na żywo z parkietu S&P 500 w Chicago.

– „Kolejne zlecenie sprzedaży! Mamy dziewięć i pół, teraz dziewięć dwadzieścia, równo dziewięć, panowie, a teraz handlują już po osiem. I znowu, panowie... tylko zlecenia sprzedaży po osiem! Teraz chcą już sprzedać po siedem!!!...”.

W tle krzyczeli ludzie, jakby byli świadkami jakiejś katastrofy. Gabrielle zauważyła informację na jednym z ekranów: „Dow, S&P 500, NASDAQ odnotowują największe od roku spadki w skali jednego dnia”.

Mężczyzna na innym ekranie komentował materiał ukazujący nocne demonstracje:

– „Fundusze hedgingowe będą próbowały wykończyć Włochy, będą próbowały wykończyć Hiszpanię. Nie wiadomo, co na to...”.

Informacja na poprzednim ekranie się zmieniła: „VIX skacze o kolejne 30%”. Nie miała jednak pojęcia, co to znaczy. Jeszcze w czasie gdy patrzyła, pojawiło się kolejne doniesienie: „Dow spadł o ponad 500 punktów”.

Quarry stał jak skamieniały.

– Tylko mi nie mów, że to nasza robota.

Hoffmann przechylił kanister i zaczął oblewać benzyną procesor centralny.

– Tak, my to wprawiliśmy w ruch. Zaatakowaliśmy Nowy Jork. Spowodowaliśmy lawinę.

– „Panowie, tracimy razem sześćdziesiąt cztery punkty od początku dnia, panowie...”.

* * *

Tego dnia sprzedano na giełdzie nowojorskiej dziewiętnaście miliardów czterysta milionów akcji, czyli więcej niż w całej dekadzie lat sześćdziesiątych. Wydarzenia rozgrywały się w milisekundach, z prędkością znacznie przekraczającą pojmowanie ludzkiego umysłu. Można było je odtworzyć dopiero później, kiedy komputery ujawniły swoje sekrety.

Zgodnie z raportem NANEX-u, firmy dystrybuującej źródła danych, o godzinie 20:42:43:675 czasu genewskiego „tempo spadku cen wszystkich akcji NYSE, NYSE/ARCA i NASDAQ osiągnęło poziomy nasycenia w ciągu siedemdziesięciu pięciu milisekund”. Czterysta milisekund później algorytm Ivy Asset Strategy Fund sprzedał kolejną transzę kontraktów e-mini o wartości stu dwudziestu pięciu milionów dolarów, nie zważając na spadek ceny. Dwadzieścia pięć milisekund później inny system transakcyjny zbył elektronicznie następne kontrakty terminowe o wartości stu milionów dolarów. Dow spadł już o sześćset trzydzieści punktów;

sekundę później – o siedemset dwadzieścia. Quarry patrzył na to, zahipnotyzowany zmieniającymi się liczbami. Później powiedział, że czuł się, „jakby oglądał jedną z tych kreskówek, w których facet wypada za krawędź urwiska i wisi nad przepaścią, dopóki nie spojrzy w dół – wtedy znika”.

* * *

Przed budynkiem, obok szpaleru samochodów policyjnych, zatrzymały się trzy wozy genewskiej straży pożarnej. Tylu ludzi, tyle świateł. Leclerc polecił im przystąpić do akcji. Szczęki przecinaków hydraulicznych, gdy umieszczono je na miejscach, przypominały mu gigantyczne żuchwy; ciężły po kolei potężne żelazne słupy w ogrodzeniu, jakby to były źdźbła trawy.

* * *

Gabrielle błagała męża:

– Chodź, Alex, proszę. Zostaw to i chodź.

Hoffmann opróżnił ostatni kanister i rzucił go na podłogę.

Rozerwał zębami paczkę ściereczek.

– Jeszcze nie skończyłem. – Wypluł kawałek plastiku. – Wy dwoje już idźcie. Zaraz was dogonię. – Spojrzał na nią i przez chwilę był dawnym Alexem. – Kocham cię. A teraz już idź, proszę. – Zanurzył szmatkę w kałuży benzyny, która zebrała się na pokrywie płyty głównej, i starannie ją zamoczył. W drugiej ręce trzymał zapalniczkę.

– Idź – powtórzył i w jego głosie zabrzmiała taka desperacja, że Gabrielle się wycofała.

Komentator na kanale CNBC mówił:

– „To naprawdę kapitulacja, klasyczna kapitulacja; na rynku zapanował strach... proszę spojrzeć na VIX, dziś po prostu eksploduje...”.

Quarry, który stał przy ekranie komputerowym, ledwie wierzył własnym oczom. W ciągu zaledwie kilku sekund Dow powiększył spadek z ośmiuset do dziewięciuset punktów. VIX natomiast wzrósł o czterdzieści procent – słodki Jezu, to oznaczało niemal pół miliarda dolarów zysku na tej jednej pozycji, którą miał przed oczami. VIXAL właśnie zamykał pozycje z krótkiej sprzedaży, skupując akcje po niesamowicie niskim cenach – P&G, Accenture, Wynn Resorts, Exelon, 3-M...

Histeryczny głos na parkiecie w Chicago ciągnął jakby przez ściśnięte gardło:

– „...chcą sprzedać po siedemdziesiąt pięć, panowie, oferty kupna są już po siedemdziesiąt. Morgan Stanley sprzedaje...”.

Quarry usłyszał jakby podmuch i zobaczył, że spomiędzy palców Hoffmanna strzela ogień. Nie teraz, pomyślał, jeszcze chwila – niech VIXAL dokończy transakcje. Gabrielle krzyknęła za nim:

– Alex!

Quarry rzucił się do drzwi. Ogień spłynął z dłoni Hoffmanna, przez moment zdawał się tańczyć w powietrzu, aż wreszcie zamienił się w świetlistą wybuchającą gwiazdę.

* * *

Gdy Hoffmann rzucił pusty kanister, o dwudziestej czterdzieści pięć czasu genewskiego, nastąpił drugi, decydujący kryzys płynności, czyli siedmiominutowy „błyskawiczny krach”. Inwestorzy na całym świecie patrzyli na ekrany i albo wstrzymywali wszelkie transakcje, albo zaczęli gwałtownie wyprzedawać papiery. Według oficjalnego raportu: „Ponieważ równocześnie spadły ceny różnego rodzaju papierów wartościowych, przestraszyli się, że nastąpił jakiś kataklizm, o którym nie wiedzieli i z którym ich systemy nie mogły sobie poradzić. Wielu graczy wycofało się tego dnia z rynku”.

W ciągu piętnastu sekund, począwszy od 20:45:13, ultraszybkie programy algorytmiczne zleciły sprzedaż dwudziestu siedmiu tysięcy kontraktów e-mini – co stanowiło czterdzieści dziewięć procent wszystkich otwartych pozycji – ale tylko dwieście z nich faktycznie zbyto: wszystko to wywołał „efekt gorącego ziemniaka”, prawdziwych nabywców bowiem nie było. Płynność spadła do jednego procenta poprzedniej wartości. O 20:45:27, w ciągu pięciuset milisekund, gdy Hoffmann pstryknął zapalniczką, na rynek weszli następni sprzedający i cena e-mini obniżyła się z tysiąca siedemdziesięciu do tysiąca sześćdziesięciu dwóch, potem do tysiąca pięćdziesięciu dziewięciu i wreszcie do tysiąca pięćdziesięciu sześciu, kiedy to ta dramatyczna zmienność automatycznie uruchomiła tak zwaną procedurę zatrzymania cen CME Globex: pięciosekundowe zamrożenie wszystkich transakcji na chicagowskiej giełdzie kontraktów terminowych S&P 500, aby rynek odzyskał płynność.

Spadek Dow wynosił już wtedy tysiąc punktów.

* * *

Z nagrań rozmów na otwartych kanałach radiowych policji wynika, że dokładnie w chwili, gdy giełda w Chicago została zamrożona, o 20:45:28, w budynku należącym do Hoffmann Investment Technologies nastąpił wybuch. Leclerc biegł właśnie w tamtą stronę na czele grupy żandarmów, gdy zatrzymał go huk. Padł na ziemię i osłonił rękami głowę – nie było to zachowanie godne wyższego funkcjonariusza policji, stwierdził później, ale cóż. Niektórzy z młodszych policjantów, z brawurą wynikającą z braku doświadczenia, nie zatrzymali się jednak i gdy Leclerc wstawał, biegiem wracali już zza rogu budynku, prowadząc Gabrielle i Quarry'go.

– Gdzie Hoffmann?! – krzyknął Leclerc.

Z budynku znowu dobiegł odgłos wybuchu.

* * *

Strach przed włamaniem w nocy. Strach przed napaścią i użyciem przemocy. Strach przed chorobą. Strach przed obłądem. Strach przed samotnością. Strach przed uwięzieniem w płonącym budynku...

Kamery filmują Hoffmanna spokojnie, beznamiętnie, gdy odzyskuje on przytomność w dużym pomieszczeniu centralnym. Wszystkie ekrany są zgaszone, płyty główne nie działają, VIXAL został wyłączony. Panuje cisza, przerywana jedynie trzaskiem płomieni, które obejmują kolejne pomieszczenia, trawiąc drewniane przepierzenia, podwieszane sufity, kilometry kabli z tworzywa, plastikowe elementy procesora centralnego.

Hoffmann dźwiga się z czworaków na kolana, z trudem wstaje. Stoi chwiejnie. Ściąga marynarkę i trzyma ją przed sobą dla ochrony przed ogniem, potem wbiega do pomieszczenia ze światłowodem, gdzie panuje piekło, mija tłące się unieruchomione roboty, przemyka przez pogrążoną w mroku farmę procesorów i wpada na rampę załadunkową. Widzi, że stalowa brama jest opuszczona. Jak do tego doszło? Uderza guzik wnętrzem dłoni, żeby ją otworzyć. Bez skutku. Ponawia próbę szaleńczo, jakby chciał wbić przycisk w ścianę. Nic. Wszystkie światła są zgaszone; ogień musiał przerwać obwody elektryczne. Odwraca się, obrzuca wzrokiem śledzące go kamery i jedna z nich rejestruje w jego oczach emocje: wściekłość, nawet coś w rodzaju chorego triumfu, no i oczywiście strach.

Gdy strach zamienia się w przerażenie, skutki, tak samo jak w przypadku wszystkich innych emocji, mogą być rozmaite.

Hoffmann ma do wyboru: albo zostanie, gdzie jest, ryzykując, że zostanie uwięziony i spłonie żywcem. Albo spróbuje przedostać się przez płomienie, żeby dotrzeć do schodów ewakuacyjnych w rogu pomieszczenia z robotami.

Widać w oczach, że dokonuje kalkulacji.

Wybiera drugą opcję. W ostatnich kilku sekundach zrobiło się bardzo gorąco. Ogień rzuca świetlisty blask. Szafki z pleksiglasu się topią. Jeden z robotów stanął w płomieniach, on również topi się w środkowej części, i gdy Hoffmann przebiega obok niego, ten jakby się skłania i z hałasem spada tuż za nim na podłogę.

Stalowe schody są tak gorące, że nie można ich dotknąć. Hoffmann przez podeszwy butów czuje ich żar. Stopnie nie prowadzą na dach, jedynie na następne piętro, na którym panuje ciemność. Ale w szkarłatnym blasku ognia za plecami dostrzega duże pomieszczenie z trzema drzwiami. Słysząc hałas przypominający świst wiatru na poddaszu. Hoffmann nie może się zorientować, czy dochodzi on z lewej, czy z prawej strony. Gdzieś w oddali rozlega się trzask, gdy obrywa się część podłogi. Zbliży twarz do skanera, aby odemknąć pierwsze drzwi. Gdy nie reagują, ociera ją rękawem: jest spocona i ubrudzona smarem, więc możliwe, że czytnik jej nie rozpoznaje. Ale później, gdy zwraca ku niemu czystą już twarz, także nie ma reakcji. Drugie drzwi też nie chcą się otworzyć. Trzecie wreszcie ustępują i Hoffmann wkracza w całkowite ciemności. Noktowizyjne kamery pokazują, jak obmacuje ściany w poszukiwaniu następnych drzwi, i tak przechodzi dalej, od pomieszczenia do pomieszczenia, próbując dotrzeć do wyjścia w labiryncie budynku, aż wreszcie, na końcu jakiegoś korytarza, otwiera drzwi do pieca. Język ognia skacze w stronę nowej porcji tlenu jak wygłodzone zwierzę. Hoffmann odwraca się i biegnie przed siebie. Płomienie jakby go goniły, oświetlając znajdujące się przed nim metalowe schody. Wychodzi poza pole widzenia kamery. Chwilę później kula ognia dosięga obiektywu. Obraz gaśnie.

* * *

Patrzącym z zewnątrz ludziom budynek przypomina szybkowar. Nie widać płomieni, jedynie dym wydobywający się otworami wentylacyjnymi

i szczelinami, czemu towarzyszy nieustający ryk. Straż pożarna z trzech stron oblewa ściany wodą, aby je ochłodzić. Dowódca, jak wyjaśnia Leclercowi, niepokoi się, że przecięcie drzwi spowoduje wpuszczenie tlenu stanowiącego pożywkę dla ognia. Mimo to sprzęt na podczerwień pokazuje przesuwające się w budynku czarne obszary, w których żar jest mniejszy; tam ktoś mógł przeżyć. Ekipa w ciężkich kombinezonach ognioodpornych odzieży ochronnej przygotowuje się, aby wkroczyć do środka.

Gabrielle została odprowadzona razem z Quarrym pod samo ogrodzenie. Ktoś narzucił jej na ramiona koc. Oboje stoją i patrzą. Nagle spod płaskiego dachu budynku strzela w nocne niebo pomarańczowy płomień. Kształtem, jeśli już nie kolorem, przypomina pióropusz ognia, jaki można zobaczyć w rafinerii podczas spalania gazowych odpadów produkcyjnych. Coś odłącza się u jego podstawy. Dopiero po chwili wszyscy orientują się, że to sylwetka płonącego człowieka. Podbiega on z rozpostartymi rękami do brzegu dachu, a potem rzuca się z niego i leci w dół jak Ikar.

19

Patrząc w przyszłość... nie można przewidzieć, które grupy w końcu zdobędą dominację, gdyż dobrze wiemy, że wiele z nich, dawniej doskonale rozwiniętych, już wymarło.

Karol Darwin, *O pochodzeniu gatunków* (1859)

Dochodziła już północ i ulice prowadzące do Les Eaux-Vives były puste, witryny sklepów zasłonięte, restauracje zamknięte. Quarry i Leclerc siedzieli w milczeniu na tylnym siedzeniu wozu policyjnego. W końcu Leclerc zapytał:

- Na pewno pan nie chce, żeby odwieźć pana do domu?
- Na pewno. Dziękuję, ale muszę jeszcze dziś w nocy skomunikować się z klientami, zanim usłyszą w wiadomościach o tym, co się zdarzyło.
- Sprawa stanie się głośna, nie ma co do tego wątpliwości.
- Właśnie.
- Ale, jeśli wolno mi zauważyć, po tak traumatycznych przeżyciach musi pan na siebie uważać.
- Będę, proszę się nie martwić.
- Przynajmniej *madame* Hoffmann jest w szpitalu, tam już zajmą się skutkami szoku, który przeżyła...
- Inspektorze, nic mi nie będzie, naprawdę.

Quarry oparł brodę na dłoni i wyjrzał przez okno, żeby zniechęcić policjanta do dalszej rozmowy. Leclerc spojrział na ulicę po drugiej stronie. Pomyśleć, że ledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej zaczynał rutynową nocną zmianę! Naprawdę, człowiek nigdy nie wie, co przyniesie życie. Szef dzwonił podczas kolacji z Zurychu, żeby mu pogratulować szybkiego rozwiązania potencjalnie kłopotliwej sprawy: Ministerstwo Finansów było zadowolone; reputacja Genewy jako ośrodka inwestycyjnego została uratowana. Mimo to miał poczucie, że w jakiś sposób zawiódł – zresztą jak zawsze w godzinę czy dwie po zakończeniu śledztwa. Szkoda, że nie pojechał z Hoffmannem do szpitala o świcie, pomyślał, i nie nalegał, żeby został tam na obserwacji; wtedy nie doszłoby do tego wszystkiego. Powiedział niemal do siebie:

- Mogłem to lepiej przeprowadzić.

Quarry spojrział na niego z ukosa.

- Co takiego?

– Właśnie myślałem, *monsieur*, że mogłem bardziej się postarać. Niewykluczone, że wówczas dałoby się uniknąć tej tragedii. Mogłem na przykład wcześniej... już na samym początku... zauważyć, że Hoffmann jest psychicznie chory, i to poważnie. – Przypomniał sobie dzieło Darwina i twierdzenia Hoffmanna, że mężczyzna z ilustracji stanowi wyjaśnienie zagadki napaści na niego.

– Może. – W głosie Quarry’ego nie było jednak przekonania.

– Albo później, na wystawie *madame* Hoffmann...

– Proszę posłuchać – odezwał się zniecierpliwiony Quarry – chce pan znać prawdę? Alex był dziwnym facetem. Zawsze. Powiniennem być wiedzieć, w co się pakuję, już tamtego pierwszego wieczoru, gdy go poznałem. Więc, proszę mi wybaczyć, że tak mówię, ale to nie pana wina.

– Mimo to...

– Niech mnie pan źle nie zrozumie: jest mi ogromnie przykro, że tak to się dla niego skończyło. Ale proszę sobie wyobrazić: przez cały czas prowadził całą tę nieistniejącą firmę praktycznie tuż pod moim nosem... szpiegował mnie, swoją własną żonę, nawet siebie samego...

Leclerc pomyślał, ile razy słyszał takie pełne niedowierzania stwierdzenia w ustach żon i mężów, kochanków i przyjaciół; jak niewiele wiemy o tym, co dzieje się w umysłach ludzi, których podobno znamy. Zapytał więc łagodnie:

– Co stanie się z firmą bez niego?

– Z firmą? Jaką firmą? Fundusz jest skończony.

– Tak, zdaję sobie sprawę, że komentarze będą druzgocące.

– Doprawdy? Tak pan sądzi? „Genialny finansista, chory na schizofrenię, wpada w szal, morduje dwóch ludzi, podpala budynek”... coś takiego pan sobie wyobraża?

Samochód zajechał pod siedzibę funduszu. Quarry odchylił głowę na oparcie fotela i spojrział w górę. Westchnął przeciągle.

– Wpadliśmy w bagno po uszy.

– Rzeczywiście.

– Cóż. – Quarry ze zmęczeniem otworzył drzwi. – Rozumiem, że jeszcze się jutro spotkamy.

– Nie, *monsieur*, jeśli będzie pan z kimś rozmawiał, to nie ze mną. Sprawę przydzielono bardzo zdolnemu młodemu oficerowi... Moynierowi. Przekona się pan, że jest bardzo sprawny – odparł Leclerc.

– Aha. – Quarry sprawiał wrażenie lekko rozczarowanego. Ucisnął policjantowi rękę. – Wobec tego czekam na telefon od pańskiego kolegi. Dobranoc.

Wysiadł z wozu, przerzucając długie nogi na chodnik.

– Dobranoc. A przy okazji... – Leclerc dodał szybko, zanim Quarry zamknął drzwi. Pochylił się ku oknu. – Chciałem zapytać o wasze wcześniejsze problemy techniczne... czy były poważne?

– Och, to był drobiazg. Nic poważnego – skłamał gładko Quarry, który nie wyszedł z wprawy.

– Ale pański kolega mówił, że straciliście kontrolę nad systemem...

– To była przenośnia. Wiepan, jak to jest z komputerami.

– No tak, faktycznie... te komputery!

Quarry zamknął drzwi. Wóz policyjny odjechał. Leclerc spojrzał na finansistę, wchodzącego do budynku. Jakaś myśl przebiegła mu przez głowę, ale był zbyt zmęczony, żeby się nad nią zastanowić.

– Dokąd teraz, szefie? – zapytał kierowca.

– Na południe – odparł Leclerc. – Drogą na Annecy-le-Vieux.

– Mieszka pan we Francji?

– Tuż za granicą. Nie wiem, jak pana, ale mnie już nie stać na mieszkanie w Genewie.

– Wiem, co ma pan na myśli. Miasto przejęli cudzoziemcy.

Kierowca zaczął rozprawiać o cenach nieruchomości. Leclerc usadowił się wygodnie na tylnym siedzeniu i zamknął oczy. Gdy dojechali do granicy francuskiej, już spał.

* * *

Żandarmi opuścili już budynek. Jedna winda była ogrodzona czarno-żółtą policyjną taśmą, na której widniało ostrzeżenie: „Uwaga, niebezpieczeństwo! Urządzenie uszkodzone” – ale druga działała i po krótkiej chwili wahania Quarry pojechał nią na górę.

Van der Zyl i Ju-Long czekali na niego w recepcji. Wstali, gdy się pojawił. Obaj wyglądali na wstrząśniętych. Van der Zyl zaczął:

– Mówili już o tym w wiadomościach. Pokazywali zdjęcia z pożaru, sam budynek... wszystko.

Quarry przeklął i spojrzał na zegarek.

– Lepiej zacznę powiadamiać e-mailem co ważniejszych klientów. Lepiej, żeby dowiedzieli się od nas. – Zauważył, że van der Zyl i Ju-Long patrzą na siebie. – Dobra, o co chodzi?

– Zanim pójdziesz, powinieneś coś zobaczyć – oznajmił Ju-Long.

Ruszył za nimi do działu transakcji. Ku jego zdumieniu żaden z kwantów nie poszedł do domu. Wstali, gdy wszedł, i stali w zupełnej ciszy. Zastanowił się, czy to nie wyraz szacunku. Miał nadzieję, że nie oczekują od niego przemówienia. Z przyzwyczajenia spojrzął na ekrany telewizyjne. Dow odrobił już dwie trzecie dzisiejszych strat i na zamknięciu jego spadek wynosił trzysta osiemdziesiąt siedem punktów; VIX zwyżkował o sześćdziesiąt procent. Na kanale państwowym nadawano prognozowane wyniki przyszłych wyborów w Wielkiej Brytanii i napis głosił: „Żadnej odgórnej kontroli”. To dobre podsumowanie tego wszystkiego, pomyślał. Zerknął na licznik zysków/strat na najbliższym ekranie z notowaniami dziennymi, zamrugał i przeczytał dane jeszcze raz, a potem ze zdumieniem zwrócił się do pozostałych.

– To prawda – potwierdził – Ju-Long. – Zarobiliśmy na krachu cztery koma jeden miliarda dolarów.

– I cały dowcip polega na tym – dodał van der Zyl – że to zaledwie zero koma cztery procent całej zmienności rynku. Z wyjątkiem nas nikt nawet tego nie zauważy.

– Dobry Boże... – Quarry szybko obliczył w pamięci, ile sam na tym zyskał. – To znaczy, że VIXAL przeprowadził do końca wszystkie transakcje, zanim Alex go zniszczył.

Nastąpiła cisza, a potem Ju-Long oświadczył:

– Wcale go nie zniszczył, Hugo. System wciąż pracuje.

– Słucham?

– VIXAL wciąż gra na giełdzie.

– Ależ to niemożliwe! Widziałem, że cały sprzęt spłonął całkowicie.

– Więc musi mieć inny hardware, o którym nie wiemy. Chyba zdarzył się cud. Zaglądałeś do intranetu? Hasło firmy się zmieniło.

Quarry przesunął wzrokiem po twarzach kwantów. Wydali mu się jednocześnie otepiali i promienni, jak członkowie jakiejś sekty. To było dziwaczne. Kilku z nich zachęcająco kiwnęło głowami. Pochylił się i spojrzął na wygaszacz ekranu.

FIRMA PRZYSZŁOŚCI NIE BĘDZIE POTRZEBOWAŁA
PRACOWNIKÓW.

FIRMA PRZYSZŁOŚCI NIE BĘDZIE POTRZEBOWAŁA
KIEROWNICTWA.

FIRMA PRZYSZŁOŚCI BĘDZIE BYTEM CYFROWYM.

FIRMA PRZYSZŁOŚCI BĘDZIE ŻYWA.

* * *

Quarry pisał w swoim gabinecie e-mail do klientów:

Do: Etienne & Clarisse Mussard, Elmira Gulzhan & François de Gombart-Tonnelle, Ezra Klein, Bill Easterbrook, Amschel Herxheimer, Iain Mould, Mieczysław Łukasiński, Liwei Xu, Qi Zhang

Od: Hugo Quarry

Temat: Alex

Moi drodzy przyjaciele, czytając tę wiadomość, będziecie już pewnie znali tragiczną historię Alexa Hoffmanna. Później skontaktuję się z każdym z Was, żeby omówić sytuację. Na razie chcę tylko, abyście wiedzieli, że Alex jest pod doskonałą opieką medyczną i że modlimy się za niego i Gabrielle w tych trudnych dla nich obojga chwilach. Oczywiście, jest jeszcze zbyt wcześnie, aby mówić o przyszłości firmy, którą założył, ale pragnę Was zapewnić, że zostawił system w całkowitym porządku, co oznacza, że Wasze inwestycje są bezpieczne, a nawet, jestem tego pewien, będą przynosić coraz większe zyski. Wyjaśnię wszystko bardziej szczegółowo podczas rozmowy.

Kwanci przeprowadzili głosowanie na parkiecie i zgodzili się utrzymać w tajemnicy to, co się zdarzyło. W zamian każdy z nich miał niezwłocznie otrzymać w ramach premii pięć milionów dolarów. Mogli także oczekiwać dalszych wynagrodzeń w przyszłości – w kwocie do uzgodnienia – zależnie

od zysków wypracowanych przez VIXAL. Nikt się nie sprzeciwił; z pewnością głównie dlatego, że widzieli, co stało się z Rajamanim – przypuszczał Quarry.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Quarry zawołał:

– Wejść! – Był to Genoud.

– Cześć, Maurice, czego chcesz?

– Przyszedłem porozmawiać o tych kamerach, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Quarry pomyślał o VIXAL-u. Wyobraził go sobie jako świetlistą cyfrową chmurę od czasu do czasu nawiedzającą ziemię. Mógł być wszędzie – w jakiejś upalnej strefie przemysłowej na odludziu, przy lotnisku międzynarodowym w Azji Południowo-Wschodniej albo Ameryce Łacińskiej, gdzie czuć paliwo samolotowe i słyszeć cykanie świerszczy; albo w chłodnym, pełnym zieleni biznesparku w schludnej, deszczowej Nowej Anglii czy Nadrenii; albo na rzadko odwiedzanym, mrocznym parkiecie nowiutkiego biurowca w londyńskim City, Bombaju czy Sao Paulo; czy nawet w zakamarkach setek tysięcy komputerów osobistych. Jest wszędzie wokół nas, pomyślał, w powietrzu, którym oddychamy. Spojrzał na ukrytą kamerę i skinął głową usłużnie.

– Zostaw je – polecił.

* * *

Gabrielle wróciła tam, gdzie zastał ją świt, do szpitala, tylko że tym razem siedziała przy łóżku męża. Umieszczono go w separacie na końcu pogrążonego w mroku oddziału na drugim piętrze. W oknach były kraty, a przed drzwiami pełnili straż żandarmi: mężczyzna i kobieta. Alexa ledwie było widać zza bandaży i rurek. Od upadku na ziemię nie odzyskał przytomności. Powiedzieli jej, że ma liczne złamania i poparzenia drugiego stopnia; właśnie zabrano go z oddziału intensywnej opieki medycznej i podłączono do kroplówki i monitora; był zaintubowany. Chirurg nie chciał się na razie wypowiedzieć na temat rokowań, powiedział tylko, że następna doba będzie decydująca. Cztery szeregi szmaragdowozielonych linii przebiegały hipnotyzująco po ekranie, wznosząc się i opadając. Przypomniał jej się ich miesiąc miodowy, gdy patrzyli, jak daleko na morzu formują się fale, i śledzili ich zbliżanie się do brzegu.

Alex próbował krzyczeć we śnie wywołanym środkami uspokajającymi. Wydawał się czymś przerażony. Dotknęła jego zabandażowanej ręki i zaczęła się zastanawiać, co dzieje się w tym genialnym umyśle.

– Wszystko w porządku, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Położyła głowę na poduszce obok jego twarzy. Poczowała dziwne zadowolenie, mimo tego, co się stało, że ma go w końcu dla siebie. Za okratowanym oknem zegar na wieży kościelnej wybił północ. Zaczęła cicho śpiewać Alexowi kołysankę.

¹ Jeśli nie podano inaczej, tłumaczenia cytatów są autorstwa M. Słysz.

² Przekład Elizy i Marii Przybyłowskich, Czytelnik, Warszawa 1996.

³ ζῶον λογὸν ἔχον.

⁴ Mary Shapiro, zeznanie przed Kongresem Stanów Zjednoczonych. To, co w dalszym planie wydarzyło się na rynkach finansowych USA w ciągu następnych dwóch godzin, jest oparte na faktach zaczerpniętych z zeznań przed Kongresem oraz ze wspólnego raportu CFTC i SEC, *Findings Regarding the Market Events of May 6, 2010*.

⁵ SEC (Securities and Exchange Commission) i FSA (Financial Services Authority) – organizacje nadzorujące rynek finansowy w USA i Wielkiej Brytanii. Ich odpowiednikiem w Polsce jest Komisja Nadzoru Finansowego (KNF).